

Desmond Bagley

List Vivero



Rozdział I

Drogę do West Country pokonałem w dobrym czasie. Szosa była pusta i tylko od czasu do czasu oślepił mnie jakiś samochód nadjeżdżający z przeciwka. Za Honiton zjechałem z drogi, wyłączyłem silnik i zapaliłem papierosa. Nie chciałem zjawić się na farmie o tak nieprzyzwoicie wczesnej porze. Poza tym chciałem jeszcze przemyśleć parę rzeczy.

Mówi się, że ten, kto podsłuchuje, nigdy nie usłyszy komplementów na swój temat. Z punktu widzenia logiki takie stwierdzenie ma wątpliwą wartość, ale nie udało mi się podważyć go empirycznie. Nie zamierzałem podsłuchiwać — są takie sytuacje, gdy nie można się taktownie wycofać — po prostu przypadkowo usłyszałem opinię o sobie, której wolałbym chyba nie znać.

Zdarzyło się to poprzedniego dnia na przyjęciu, jednym ze zwykłych, na w pół improwizowanych spotkań, w które obfituje rozbawiony Londyn. Poszliśmy na imprezę, bo Sheila tego chciała, a jej znajomy był znajomym gospodarza. Dom znajdował się w tej części Golders Green, którą mieszkańcy chętniej nazywali Hampstead, a właścicielem był przedsiębiorczy młodzieniec świetnie zorientowany w sprawach mody. Pracował w przemyśle płytowym, a w wolnych chwilach uczestniczył w wyścigach samochodowych. Swoją uwagę poświęcał mniej więcej w połowie gładzeniu o teoriach Marshalla, MacLuhana, w połowie zaś wyścigom formuły I na torze Brand's Hatchery. Wszystko to nadwierało bębny moich uszu. Ani Sheila, ani ja nie znaleźliśmy go osobiście — była to właśnie tego rodzaju impreza.

Najpierw zostawiało się płaszcz w sypialni, a potem człowiek zanurzał się w szum bezładnej paplaniny, ścisnął szklankę ciepłej whisky i rozpaczliwie usiłował nawiązać kontakt z ludźmi. Większość z nich była sobie obca, mimo że sprawiali wrażenie, jakby znali się od lat, co stwarzało dodatkową trudność dla samotnego intruza. W panującym gwarze usiłowałem uchwycić sens słownego ping-ponga, który zastępuje przy takich okazjach zwyczajne rozmowy, ale wkrótce mnie to znudziło. Jednak Sheila najwyraźniej nieźle sobie radziła, więc widząc, że się to zapowiada na dłużej, westchnąłem i sięgnąłem po następnego drinka.

W połowie wieczoru zabrakło mi papierosów. Pamiętałem, że gdzieś w kieszeni płaszcza miałem nową paczkę, więc udałem się do sypialni. Ktoś zabrał płaszcz z łóżka i rzucił je na podłogę za dużym awangardowym parawanem. Grzebałem w tej stercie, usiłując odnaleźć swój, gdy ktoś wszedł do pokoju. Usłyszałem kobiecy głos:

— Ten facet, z którym przyszłaś, to zupełny dureń, no nie?

Po głosie łatwo rozpoznałem niejaką Helen, blondynkę, którą przyprowadził jakiś facet będący typową duszą towarzystwa. Sięgnąłem do kieszeni płaszcza, znalazłem papierosy i nagle znieruchomiałem, słysząc Sheilę:

— Owszem.

— Nie wiem, po co sobie zawracasz nim głowę — powiedziała Helen.

— Też nie wiem — roześmiała się Sheila. — Zawsze lepiej mieć pod ręką jakiegoś mężczyznę. Dziewczyna powinna mieć się z kim pokazać.

— Mogłaś wybrać kogoś weselszego. Ten to zupełny ponurak. Co on robi?

— Chyba jest księgowym. Nie mówi zbyt wiele na ten temat. Ot, taki szary człowieczek na szarej posadce. Rzucę go, gdy tylko znajdę sobie kogoś ciekawszego.

Pozostałem za parawanem w śmiesznym półprzysiadzie. Po tym, co usłyszałem, z pewnością nie mogłem się pokazać. Dobiegało mnie przytłumione trajkotanie od strony toaletki, gdzie dziewczyny poprawiały makijaż. Przez kilka minut paplały o fryzurach, po czym Helen zapytała:

— Co się stało z Jimmym Jak-mu-tam?

— O, ten był zbyt drapieżny — zachichotała Sheila. — Przebywanie w jego towarzystwie nie było bezpieczne. Podniecający, owszem, ale w ubiegłym miesiącu firma wysłała go za granicę.

— Nie sędzę, żeby ten obcy mu dorównywał.

— Jemmy jest w porządku — odparła Sheila zdawkowo. — Nie muszę się przy nim martwić o cnotę. To, dla odmiany, bardzo uspokajające.

— A może to pedał? — spytała Helen.

— Nie wydaje mi się — odrzekła Sheila, ale w jej głosie dzwięczała nuta wątpliwości. — Sądząc z zachowania, nie.

— Nigdy nie wiadomo. Wielu z nich dobrze się maskuje. Jaki ładny odcień szminki, co to jest?

Ponownie zaczęły paplać o błahostkach, podczas gdy ja pocilem się za parawanem. Wydawało się, że upłynęła godzina, zanim skończyły, mimo że w rzeczywistości nie trwało to dłużej niż pięć minut. Kiedy wreszcie usłyszałem trzaśnięcie drzwiami, ostrożnie wstałem, wyszedłem z ukrycia i zszedłem na dół, by znowu wmieszać się w tłum gości.

Cierpliwie dotrwałem do chwili, gdy Sheila miała dość, i odwiozłem ją do domu. Byłem prawie zdecydowany, by jej udowodnić w jedyny możliwy sposób, że nie jestem pedałem, ale szybko porzuciłem tę myśl. Gwałt nie należy do moich ulubionych rozrywek. Wysadziłem Sheilę w pobliżu mieszkania, które zajmowała z dwiema innymi dziewczynami, i serdecznie pożegnałem się. Musiałbym być bardzo spragniony czyjś towarzystwa, by chcieć zobaczyć się z nią ponownie.

Szary człowieczek na szarej posadce... czy rzeczywiście tak widzieli mnie inni? Nigdy się nad tym specjalnie nie zastanawiałem. Jak długo interesy oparte będą na cyfrach, tak długo potrzebni będą księgowi, żeby w nich mieszać. Zajęcie to zresztą nigdy nie wydawało mi się szarą robotą, zwłaszcza po wprowadzeniu komputerów. Nie mówiłem o swojej pracy, bo czyż jest to temat do rozmowy z dziewczyną? O zaletach języków komputerowych takich jak COBOL czy ALGOL nie da się gawędzić tak błyskotliwie, jak o tym, co powiedział John Lennon na ostatniej sesji nagraniowej. Tyle o pracy, ale co ze mną? Czy rzeczywiście nie mam klasy i jestem bez gustu? Szary i mało interesujący? Bardzo możliwe, że właśnie tak mnie widzą inni. Nigdy nie należałem do tych, co to mają serce na dłoni, byłem też może jak na dzisiejsze czasy zbyt zasadniczy. Nie odpowiadała mi atmosfera swobody obyczajowej Anglii połowy lat sześćdziesiątych — tandetna, szalona, niekiedy wprost wulgarna. Mogłem się bez tego obejść. Cóż, taki ze mnie Johnny Niedzisiejszy.

Sheilę poznałem przed miesiącem zupełnie przypadkowo. Teraz, przypominając sobie rozmowę podsłuchaną w sypialni, wiem, jak to musiało wyglądać. Jimmy Jakmu-tam akurat zniknął z jej życia, więc przyczepiła się do mnie. Miałem przez jakiś czas pełnić funkcję substytutu.

Z różnych powodów, z których najważniejszy można wyrazić przysłowiem: „Kto się raz sparzył, ten na zimne dmucha”, nie miałem zwyczaju wskakiwać na oślep do łóżka dopiero co poznanej dziewczyny. Jeżeli więc Sheila tego się spodziewała czy nawet pragnęła, wybrała nieodpowiedniego faceta. Cóż to za cholerne towarzystwo, w którym każdego nieco bardziej wstrzemięźliwego mężczyznę natychmiast posądza się o homoseksualizm.

Być może byłem głupi, biorąc sobie tak mocno do serca tę złośliwą gadaninę pustych kobiet, ale spojrzenie na siebie oczyma innych bywa zbawienne, skłania do przyjrzenia się sobie z dystansu. I to właśnie czyniłem, siedząc w samochodzie w pobliżu Honiton.

Krótką charakterystyka: Jeremy Wheale, z dobrego ziemiańskiego rodu o silnych tradycjach rodzinnych. Wstąpił na uniwersytet, może nie najlepszy, ale skończył w nim z wyróżnieniem matematykę i ekonomię. Obecnie, w wieku trzydziestu jeden lat, księgowy wyspecjalizowany w obsłudze komputerów, z dobrymi perspektywami na przyszłość. Charakter: introwertyk, zamknięty w sobie, ale nie przesadnie. W wieku 25 lat przeżył płomienny romans, który wyjałowił go uczuciowo. Obecnie ostrożny w kontaktach z kobietami. Hobby — w zaciszu czterech ścian rozrywki matematyczne i szermierka, na wolnym powietrzu — nurkowanie z akwalungiem. Majątek w gotówce, na bieżącym rachunku bankowym 102 funty, 18 szylingów i 4 penty, papiery wartościowe i akcje o wartości rynkowej 940 funtów. Do tego przestarzały ford cortina, w którym właśnie siedzi i rozmyśla, jeden zestaw hi-fi wysokiej klasy, jeden komplet sprzętu do nurkowania w bagażniku samochodu. Pasywa — własna osoba.

I cóż w tym złego? Pomyślmy raczej, co w tym wszystkim dobrego? Może Sheila miała rację, określając mnie jako szarego człowieka, ale tylko w pewnym sensie. Spodziewała się Seana Connery'ego przebranego za Jamesa Bonda, a dostała mnie — po prostu dobrego, staroświeckiego, przeciętnego człowieka.

Sprawiła jednak, że spróbowałem spojrzeć na siebie obiektywnie, a to, co zobaczyłem, nie napawało optymizmem. Patrząc w przyszłość tak daleko, jak tylko potrafiłem, widziałem siebie, jak układam coraz bardziej skomplikowane programy do coraz bardziej skomplikowanych komputerów na żądanie ludzi, którzy zrobili majątek. Bezbarwna perspektywa, by nie określić tego nadużywanym już słowem — szara! A może wpadłem w rutynę i przejąłem zachowanie typowe dla ludzi w średnim wieku, zanim jeszcze nadszedł mój czas?

Wyrzuciłem przez okno niedopałek trzeciego papierosa i uruchomiłem silnik. Nie sądziłem, żebym mógł wiele zmienić, i czułem się całkiem zadowolony ze swojego losu. Chociaż już może nie tak szczęśliwy i zadowolony jak przedtem, zanim Sheila wsączyła we mnie swą truciznę.

Z Honiton do farmy w pobliżu Totnes jest około półtorej godziny jazdy, jeśli wyjedzie się wcześniej rano, by uniknąć weekendowego tłoku na obwodnicy Exeteru. Dokładnie po 90 minutach zatrzymałem się, tak jak to zawsze robiłem, na poboczu przy Outler's Corner, gdzie teren opadał w dolinę i otwierała się przerwa w wysokim żywopłocie. Wsiadłem z samochodu i wygodnie oparłem się o ogrodzenie.

Urodziłem się tutaj trzydzieści jeden lat temu, na farmie, która przytulona do doliny pozostawała z nią w takiej harmonii, jak gdyby była tworem natury, a nie dziełem człowieka. Wybudował ją Wheale i Wheale'owie mieszkali na niej już ponad czterysta lat. Zgodnie z rodzinną tradycją najstarszy syn dziedziczył farmę, a młodszy zaciągali się na statki. Naruszyłem te reguły, oddając się interesom, ale mój brat, Bob, trzymał się farmy Hay Tree i dbał o ziemię. Nie zazdrościłem mu tego, gdyż był lepszym farmerem, niż ja mógłbym kiedykolwiek zostać. Nie pociąga mnie ani hodowla bydła, ani owiec i przy tego rodzaju pracy dostałbym chyba kręćka. Obecnie cały mój wkład polega na pomocy w prowadzeniu prawidłowej księgowości i doradzaniu Bobowi w sprawach inwestycji.

Wśród Wheale'ów byłem nietypową jednostką. Na końcu długiej linii łowców lisów, morderców bażantów, średniorolnych farmerów znaleźliśmy się my, Bob i ja. Bob podtrzymywał tradycje, dobrze uprawiał ziemię, jak wariat polował na lisy i największą przyjemność sprawiało mu brutalne strzelanie do celu przez cały dzień, a ja byłem tym dziwolągiem, który jako chłopiec nie lubił masakrowania królików za pomocą wiatrówki, a jako mężczyzna za pomocą strzelby. Rodzice, gdy jeszcze żyli, patrzyli na mnie z zakłopotaniem i chyba stanowiłem duży problem dla ich nieskomplikowanych umysłów. Nie byłem normalnym dzieckiem, nie psociłem,

natomiast przejawiałem nietypową dla Wheale'ów ochotę do czytania książek i zdolności robienia różnych cudów z cyframi. Często kręcono głową z powątpiewaniem i mówiono: „Cóż też z tego chłopaka wyrośnie?”

Zapaliłem papierosa i obłok dymu rozsnął się w rześkim porannym powietrzu. Uśmiechnąłem się, widząc, że z kominów farmy nie unosi się jeszcze dym. Bob musiał zapaść. Zdarzało mu się to wtedy, gdy zasiedziało się do późnej nocy w którymś ze swoich ulubionych pubów, w Kingsbridge Inn czy Cott Inn. Ten radosny zwyczaj mógł się jednak skończyć z chwilą, gdy się ożeni. Byłem zadowolony, bo nareszcie miał zamiar to zrobić. Trochę się już martwiłem, nie mogąc wyobrazić sobie Hay Tree bez Wheale'ów, a gdyby Bob umarł jako kawaler, pozostałbym tylko ja, a z pewnością nie chciałem zajmować się farmerstwem.

Wsiadłem do samochodu, przejechałem jeszcze kawałek, potem skręciłem na drogę dojazdową do farmy. Bob zniwelował ją i pokrył nową nawierzchnią — zrobił w końcu coś, o czym mówił od lat.

Zjeżdżałem w dół na luzie obok rozłożystego dębu, który, jak głosiła rodzinna legenda, zasadził mój pradziadek. Minąłem zakręt wiodący wprost na podwórze farmy. Raptem przyhamowałem, bo dostrzegłem, że jakiś człowiek leży na środku drogi.

Wysiadłem z wozu i spojrzałem na niego. Leżał twarzą w dół, z jednym ramieniem odrzuconym w bok, a gdy uklęknałem i dotknąłem jego dłoni, okazało się, że była już zimna jak kamień. Ja też skamieniałem, kiedy obejrzałem tył jego głowy. Ostrożnie spróbowałem unieść ją, ale nastąpiło już stężenie pośmiertne i musiałem odwrócić ciało na plecy, by zobaczyć twarz. Odetchnąłem z ulgą, gdy zobaczyłem, że to obcy człowiek.

Nie miał lekkiej śmierci, ale za to szybką. Świadczyły o tym jego rysy. Usta, ściągnięte w grymasie bólu, odsłoniły zęby, a otwarte oczy wpatrywały się ponad moim ramieniem w poranne niebo. Pod nim czerwieniła się spora kałuża na wpół zakrzepłej krwi pokrywającej również jego pierś. Nikt nie mógłby utracić tyle krwi powoli, musiała buchnąć nagle silnym strumieniem, przynosząc szybką śmierć.

Uniosłem się i rozejrzałem wkoło. Było bardzo cicho i słyszałem tylko pogwizdywanie kosa, a żwir, gdy przesunąłem stopę, zachrzęścił nienaturalnie głośno. Od strony domu dobiegał ponury skowyt psa, potem nieco bliżej rozległo się wściekłe ujadanie i młody owczarek wypadł zza rogu, obszczekując mnie zajadle. Nie był jeszcze dorosły, mógł mieć dziewięć miesięcy, więc uznałem, że to jeden ze szczeniaków starej Jess.

Wyciągnąłem rękę i strzeliłem palcami. Agresywne warczenie przemieniło się w radosny skowyt i pies, machając ogonem, zbliżył się przymilnym truchtem. Nagle od strony domu rozległo się wycie drugiego. Odgłos ten zjeżył mi włosy na głowie. Wszedłem na podwórze i od razu dostrzegłem, że drzwi do kuchni były uchylone. Delikatnie pchnąłem je i zawołałem: — Bob!

Zasłony były zaciągnięte, więc w pomieszczeniu panował półmrok. Wyczułem jednak jakiś ruch i usłyszałem groźne warczenie. Otworzyłem drzwi jeszcze szerzej, by wpuścić więcej światła, i ujrzałem starą Jess, skradającą się do mnie z wyszczerzonymi kłami.

— Już dobrze, Jess — powiedziałem łagodnie. — Już dobrze, staruszko. — Znieruchomiała, przyjrzała mi się uważnie i przestała warczeć. Poklepałem się po nodze. — Chodź tu, Jess.

Nie chciała podejść. Zamiast tego zaskomliła smutno i zniknęła za dużym kuchennym stołem. Poszedłem za nią i zobaczyłem, jak pochyła się nad ciałem Boba.

Ręce miał chłodne, ale nie trupio zimne, a na nadgarstku wyczułem słaby puls. Cały przód koszuli nasiąkł świeżą krwią płynącą z okropnej rany na piersi.

Wiedziałem, że przy tak poważnych obrażeniach nie wolno go ruszać. Pobiegłem szybko na górę, ściągnąłem koce z łóżka i zniosłem na dół, by go okryć i ogrzać.

Nic więcej nie mogłem zrobić. Podeszedłem do telefonu i wykręciłem numer 999.

— Mówi Jeremy Wheale z farmy Hay Tree. Była tu strzelanina. Jeden człowiek nie żyje, drugi jest ciężko ranny. Proszę o doktora, karetkę i policję. W takiej właśnie kolejności.

Rozdział 2

W godzinę później rozmawiałem z Dave'em Goosanem. Karetka zabrała już Boba. Jego stan był ciężki i doktor Grierson wyperswadował mi jazdę do szpitala.

— To zbyt ciężkie, Jemmy. Zawadzałbyś tylko i byłbyś nieznośny. Wiesz, że zrobimy wszystko, co w naszej mocy.

— Jakie ma szansę? — zapytałem. Grierson pokręcił głową.

— Prawdę mówiąc, niewielkie. Ale powiem ci coś więcej, gdy mu się przyjrzę bliżej.

Rozmawiałem więc z Dave'em Goosanem, policjantem. Gdy go widziałem ostatnio, był sierżantem, a teraz już inspektorem. Chodziłem do szkoły z jego młodszym bratem, Harrym, który także wylądował w policji. Ten zawód był już tradycją w ich rodzinie.

— Brzydka sprawa, Jemmy — powiedział. — Przekracza moje kompetencje. Mam zbyt niską rangę, by zajmować się morderstwem. Przyślą nadinspektora z Newton Abbot.

— Kto został zamordowany?

Zakłopotany wyciągnął rękę w kierunku podwórza.

— Przepraszam. Nie chciałem przez to powiedzieć, że twój brat kogoś zamordował. W każdym razie została popełniona zbrodnia.

Byliśmy w pokoju gościnnym i przez okno widziałem ruch w obejściu. Ciało, przykryte już teraz plastikową płachtą, ciągle jeszcze leżało w tym samym miejscu. Było tam również z tuzin policjantów, cywilów i mundurowych. Kilku z nich sprawiało wrażenie zajętych tylko rozmową, ale pozostali dokładnie przetrząsali podwórze.

— Kim on był, Dave? — spytałem.

— Nie wiem jeszcze — skrzywił się. — Opowiedz mi tę historię od początku. Musimy to zrobić dokładnie, Jemmy, bo nadinspektor wypruje ze mnie flaki. To pierwsza zbrodnia, z którą mam do czynienia. — Wyglądał na bardzo zmartwionego.

Powtórzyłem więc wszystko jeszcze raz: jak przyjechałem na farmę, jak znalazłem martwego mężczyznę, a później Boba. Kiedy skończyłem, Dave zapytał: — Odwróciłeś tylko ciało, nic więcej?

— Myślałem, że to Bob — odparłem. — Sylwetka i włosy wydawały mi się podobne.

— Powiem ci coś — przerwał mi Dave. — On mógł być Amerykaninem, w każdym razie jego ubranie o tym świadczy. Czy to ci coś mówi?

— Nic.

— W porządku — westchnął — i tak dowiemy się o nim wszystkiego wcześniej czy później. Został zastrzelony z bliskiej odległości. Według lekarza rozerwana aorta spowodowała ten silny krwotok. Zbadaliśmy też strzelbę twojego brata, strzelano z obu luf.

— Wobec tego Bob go zastrzelił — powiedziałem cicho. — Ale to jeszcze nie świadczy o morderstwie.

— Oczywiście, że nie. Zrekonstruowaliśmy dość dokładnie wszystko, co się tutaj wydarzyło, i wygląda to na działanie w obronie własnej. Ten człowiek był złodziejem, tyle już wiemy na pewno.

— Co ukradł?

— Chodź ze mną, to ci pokażę. Ale idź po moich śladach i nie zbaczaj z drogi.

Podążyłem za nim na podwórze, niemal deptając mu po piętach. Zataczając półkole, zbliżyłem się do ściany kuchni. Zatrzymał się i spytał:

— Czy już to kiedyś widziałeś?

Spojrzałem tam, gdzie wskazywał, i zobaczyłem tacę, która, odkąd pamiętam, stała zawsze na górnej półce kuchennego kredensu. Moja matka miała zwyczaj zdejmować ją od czasu do czasu i polerować, ale tak naprawdę to używała jej tylko z okazji świąt lub innych wyjątkowych wydarzeń. Na Boże Narodzenie stawiano ją wypełnioną owocami na środku wigilijnego stołu.

— Chcesz mi powiedzieć, że został zabity dlatego, bo próbował zwinąć mosiężną tacę? Że to z jej powodu strzelał do Boba? — Pochyliłem się, by ją podnieść, lecz Dave złapał mnie za rękę. Spojrzał na mnie uważnie.

— Może nie wiedziałeś, ale to nie mosiądz, Jemmy, to złoto!

Gapilem się na niego z osłupieniem. Mimowolnie otworzyłem usta, ale zamknąłem je w ostatniej chwili, nim muchy zdążyły wlecieć do środka.

— Ale to zawsze była mosiężna taca — powiedziałem bezmyślnie.

— Bob też tak sądził — zgodził się Dave. — Odkrył to dopiero niedawno. Muzeum w Totnes organizowało specjalną wystawę lokalnych staroci i wtedy poproszono Boba o wypożyczenie tacy. Jest chyba w waszej rodzinie od dawna.

— Podobno już dziadek mojego dziadka o niej wspominał — powiedziałem.

— No, to trochę już tu jest. Tak czy inaczej Bob wypożyczył ją do muzeum i tam została wystawiona razem z innymi rzeczami. Wtedy ktoś powiedział, że to złoto, i na Boga, okazało się, że to prawda! Dla pracowników muzeum sytuacja stała się bardzo kłopotliwa i wtedy, dla odmiany, poprosili Boba, żeby zabrał tacę z powrotem. Nie była przecież ubezpieczona, a zaczęły krążyć pogłoski o możliwości kradzieży. Pisano też o tym w prasie, zamieszczono fotografie, a przecież zamki muzeum w Totnes każdy sprytniejszy chłopak mógłby otworzyć zwykłą szpilką do włosów.

— Nie widziałem prasowych komentarzy.

— Wiadomość o tym nie dotarła do prasy ogólnokrajowej — powiedział Dave. — Podały ją tylko gazety lokalne. W każdym razie Bob zabrał tacę z muzeum. Słuchaj, czy on wiedział, że przyjedziesz na ten weekend?

— Zadzwoń do niego w czwartek. Opracowałem plan modernizacji farmy i sądziłem, że go zainteresuje.

— No, to wszystko jasne. Tego odkrycia dokonano chyba z dziesięć dni temu i pewnie chciał ci zrobić niespodziankę.

— Udało mu się — powiedziałem z goryczą, spoglądając na tacę.

— Musiała być bardzo cenna, przynajmniej ze względu na złoto — kontynuował Dave. — Mogła zwrócić uwagę złodzieja. A do tego eksperci twierdzą, że jest w niej coś, co powiększa jeszcze jej wartość. Nie potrafię ci nic więcej powiedzieć, bo przecież nie jestem antykwariuszem. — Potarł kark dłonią. — Jest jedna rzecz w tym wszystkim, która mnie naprawdę martwi. Chodź i popatrz na to, tylko nie dotykaj.

Przeprowadził mnie przez podwórze i podeszliśmy do ciała z drugiej strony. Kawalek matowej folii przykrywał jakiś przedmiot na ziemi.

— To z tego strzelano do twego brata.

Uniósł płachtę i wtedy zobaczyłem broń — starodawną króciwę.

— Kto chciałby używać czegoś takiego? — spytałem.

— Paskudne, prawda?

Pochyliłem się, przyjrzałem dokładniej i zrozumiałem swoją pomyłkę. To wcale nie była króciwa, ale strzelba z krótko obciętej lufy i kolbą, z której pozostała jedynie rękojeść. Dave powiedział:

— Który złodziejaszek przy zdrowych zmysłach poszedłby na robotę z takim obrzynkiem? Za samo posiadanie czegoś takiego dostałby rok. I jeszcze coś: były dwie. — Strzelby?

— Nie, osoby. Co najmniej dwie. Dalej, przy drodze dojazdowej, parkował jakiś samochód. Znaleźliśmy w błocie ślady kół i krople oleju. Sądząc po wczorajszej

pogodzie, można przypuszczać, że samochód skręcił na drogę po dziesiątej wieczorem. Grierson twierdzi, że ten facet został zastrzelony przed północą. Stawiam sto do jednego, że samochód i ten facet są ze sobą powiązani. Wóz sam nie odjechał, musiał więc być jeszcze jeden mężczyzna.

— Albo kobieta — wtrąciłem.

— Być może — zgodził się Dave. Nagle przyszła mi do głowy pewna myśl:

— A gdzie byli Edgecombe'owie ostatniej nocy? — Jack Edgecombe był totumfackim Boba na farmie, a jego żona, Madge, prowadziła mojemu bratu gospodarstwo. Mieli własne małe mieszkanie w głównym budynku farmy. Wszyscy pozostali pracownicy mieszkali w swoich domach.

— Stwierdziłem to — powiedział Dave. — Są teraz, jak sprawdziłem, na wakacjach na Jersey. Twój brat był sam. Od strony domu nadszedł umundurowany policjant.

— Inspektorze, jest pan pilnie proszony do telefonu.

Dave przeprosił mnie i odszedł, a ja zostałem sam na sam z potokiem chaotycznych myśli. Dave szybko powrócił i gdy zobaczyłem jego poważną twarz, wiedziałem już, co ma mi do zakomunikowania.

— Bob nie żyje — uprzedziłem go.

— Dziesięć minut temu — potwierdził z wyrazem przygnębienia na twarzy.

— Na miłość boską! — krzyknąłem. — Zmarnowałem pół godziny za Honiton, to mogło wszystko zmienić.

— Nie powinieneś się obwiniać. Nawet gdybyś znalazł go dwie godziny wcześniej, nie miałyby to żadnego znaczenia. Rana była zbyt poważna. — Nagle głos mu się zmienił. — Teraz już naprawdę chodzi o morderstwo, Jemmy. Musimy znaleźć tego człowieka. W Newton Abbot wpadł nam w ręce jakiś porzucony samochód. To zapewne ten, którego szukamy. Okaże się po sprawdzeniu opon.

— Czy Elizabeth Horton już o tym wie?

— A kto to taki? — Dave zmarszczył brwi.

— Narzeczona Boba.

— O Boże! No tak, miał się przecież żenić. Nie, jeszcze nic nie wie.

— W takim razie lepiej będzie, jeśli ja jej to powiem.

— W porządku. Nie zapomnij też, że masz teraz na głowie farmę, a krowy nie wydoją się same. Musisz się zmobilizować, w przeciwnym wypadku wszystko szybko się rozleci. Radzę ci, ściągnij Jacka Edgecombe'a. A zresztą nie martw się tym, dowiem się, gdzie jest, i sam wyślę telegram.

— Dzięki, Dave, czy nie wykracza to jednak poza twoje obowiązki?

— Zawsze do usług — odpowiedział, udając bez troskę. — Dbamy o swoich. Bardzo lubię Boba, wiesz. — Zawahał się. — Kto był jego adwokatem?

— Odkąd pamiętam, to sprawami rodziny zajmował się stary Mount.

— Lepiej skontaktuj się z nim jak najszybciej — poradził Dave. — Trzeba będzie załatwić sprawę testamentu i pewnie jeszcze parę formalności. — Spojrzał na zegarek. — Słuchaj, jeżeli złapie cię nadinspektor, to spędzisz tu jeszcze parę ładnych godzin. Lepiej znikaj stąd i bierz się za to, co masz do zrobienia. Przekażę mu twoje zeznania, a jeśli będzie chciał cię osobiście przesłuchać, może to zrobić później. Ale, proszę, zadzwoń za kilka godzin, żebyśmy wiedzieli, gdzie jesteś.

Rozdział 3

W drodze do Totnes zerknąłem na zegarek i ze zdumieniem spostrzegłem, że nie było jeszcze dziesiątej. Dla niektórych ludzi dzień dopiero się rozpoczynał, a ja czułem ciężar tych ostatnich trzech godzin, jakbym w tym czasie przeżył całe życie. Mój umysł jeszcze nie funkcjonował normalnie, ale już czułem, jak narastał we mnie gniew, stopniowo wypierając dotychczasowy smutek. To, że człowiek został zastrzelony we własnym domu, w dodatku z tak barbarzyńskiej broni, wydawało mi się potwornym, koszmarnym snem. Nad spokojną doliną Deyonu zerwano na chwilę zasłonę, ukazując inny świat. Świat okrutny. Świat, w którym gwałtowna śmierć nie szokowała nikogo. Wstrząsnęło mną, że ta właśnie rzeczywistość wdarła się w moje życie.

Spotkanie z Elizabeth okazało się trudne. Gdy jej opowiedziałem o wszystkim, zastygła w bezruchu, ze skamieniałą nagle twarzą. W pierwszej chwili wydała mi się tym typem Angielki, dla której okazywanie jakichkolwiek wzruszeń jest niemalże w złym guście, ale już za chwilę wybuchnęła niepohamowanym płaczem i matka musiała ją wyprowadzić. Było mi jej naprawdę żal. Oboje z Bobem późno stanęli do małżeńskich wyścigów, a teraz ten bieg został odwołany. Nie znałem jej zbyt dobrze, ale przypuszczałem, że byłaby dobrą żoną dla Boba.

Pan Mount przyjął wiadomość dużo spokojniej. Dla tego starego prawnika śmierć była chlebem powszednim. Był jednak wzburzony jej rodzajem. Nagły zgon nie był dla niego czymś obcym i gdyby Bob na przykład skrzyknął kark ścigając lisa, mieściłoby się to w tradycji, zostałyby jakoś zaakceptowane. Ale to był pierwszy przypadek morderstwa w Totnes w ciągu całej jego prawniczej kariery. Był więc wstrząśnięty, jednak szybko się opanował, próbując podeprzeć swój rozsypujący się w gruzy świat solidnymi i pewnymi formułami prawa.

— Oczywiście, jest testament — powiedział. — Twój brat rozmawiał ze mną o nowym zapisie. Nie wiem, czy się orientujesz, ale w momencie ślubu wszystkie dotychczasowe akty zostają automatycznie unieważnione i trzeba sporządzić nowe. Jednak nie doszło do jego podpisania. Będziemy więc brali pod uwagę poprzedni testament.

Na jego twarzy pojawił się słaby uśmiech.

— Nie widzę powodu, Jemmy, abyśmy mieli cokolwiek owijać w bawełnę. Z wyjątkiem jednego czy dwóch niewielkich zapisów dla pracowników farmy i osobistych przyjaciół ty jesteś jedynym spadkobiercą. Farma Hay Tree jest teraz twoja, a raczej będzie po potwierdzeniu autentyczności testamentu. Oczywiście, należy się spodziewać jakichś opłat, ale ziemia należąca do gospodarstw rolnych ma czterdzieści pięć procent ulgi przy wycenie.

Zrobił jakąś notatkę.

— Muszę zobaczyć się z dyrektorem banku, w którym lokował pieniądze twój brat, by dowiedzieć się szczegółów o jego kontaktach.

— Większość tych danych mogę panu podać — powiedziałem. — Byłem księgowym Boba i wszystkie dane mam przy sobie. Opracowywałem właśnie plan modernizacji farmy i dlatego przyjechałem do domu na weekend.

— To ułatwi mi sprawę — odparł Mount. Rozwahał coś. — Przypuszczam, że przy wycenie farma okaże się warta około stu dwudziestu pięciu tysięcy funtów. Nie licząc, rzecz jasna, żywego inwentarza i trwałego dobytku.

— Mój Boże! Aż tyle! — wykrzyknąłem, gwałtownie unosząc głowę. Spojrzał na mnie z rozbawieniem.

— Jeżeli farma należy tak długo do jednej rodziny, jak w waszym przypadku, rzeczywista, materialna wartość ziemi jest zazwyczaj pomijana, traktuje się ją na

zasadzie zainwestowanego kapitału. A ta wartość bardzo wzrosła w ostatnich latach, Jemmy. Masz teraz pięćset akrów pierwszorzędnej ziemi, same rędziny. Na aukcji dostałbyś nie mniej niż dwieście pięćdziesiąt funtów za akr. Jeżeli dodasz do tego inwentarz i nieruchomości, nie zapominając o doskonałej oborze dla krów mlecznych, którą wybudował Bob, i o wszelkich modernizacjach, jakich dokonał, to zaryzykowałbym twierdzenie, że wycena dla poświadczenia testamentu wyniesie niewiele poniżej stu siedemdziesięciu tysięcy funtów.

Musiałem mu uwierzyć, choć brzmiało to niezbyt realnie. Mount był prawnikiem, który mieszkał na wsi i wiedział o wartości okolicznych farm tyle, ile pozbawiony złudzeń gospodarz, spoglądając krytycznym wzrokiem na pole sąsiada. Znowu zabrał głos:

— Gdybyś to sprzedał, Jemmy, miałbyś poważną fortunę.

— Nie mógłbym sprzedać Hay Tree — odparłem, potrząsając przecząco głową. Spojrzał na mnie ze zrozumieniem.

— Nie — powiedział zamyślony. — Chyba nie. To tak, jakby królowa miała sprzedać pałac Buckingham jakiemuś dorobkiewiczowi. Ale co masz zamiar zrobić? Poprowadzisz ją sam?

— Nie wiem — powiedziałem nieco rozpaczliwie. — Nie zastanawiałem się jeszcze.

— Będzie czas, żeby to przemyśleć — uspokoił mnie. — Jednym z możliwych rozwiązań byłoby wyznaczenie zarządcy majątku. Jack Edgecombe cieszył się dobrą opinią u twojego brata. Zrobiłbyś więc nie najgorzej, mianując go zarządcą farmy. On zająłby się stroną praktyczną, o której ty nie masz pojęcia, a sam poprowadziłbyś interesy, co dla niego jest czarną magią. Nie musiałbyś w takim układzie porzucać swego obecnego zajęcia.

— Pomyślę jeszcze nad tym.

— Słuchaj — zapytał Mount — wspomniałeś o planach modernizacji farmy. Można wiedzieć, co to takiego?

— Rządowe farmy eksperymentalne używają komputerów do opracowania maksymalnego wykorzystania zasobów naturalnych. Mam dostęp do komputera, więc włożyłem do niego dane Hay Tree i zaprogramowałem go na uzyskanie z niej optymalnego zysku.

Mount uśmiechnął się z pobłażaniem.

— Twoja farma jest prawidłowo prowadzona od czterystu lat. Wątpię, żeby udało ci się znaleźć lepsze metody gospodarowania na niej niż te, które tradycyjnie stosuje się w naszej dolinie.

Spotkałem się już wcześniej z takimi opiniami i wiedziałem, jak sobie z tym poradzić.

— Tradycyjne metody są dobre, ale nikt nie powiedział, że doskonałe. Jeżeli weźmie się pod uwagę wszystkie wartości zmienne, występujące nawet na niewielkiej farmie, odpowiednią proporcję gruntów rolnych i pastwisk, strukturę hodowli zwierząt, to, jakie pasze uprawiać, a jakie kupować — jeśli się więc weźmie te wszystkie wartości i poda je permutacji oraz kombinacji, to w efekcie można uzyskać kilkanaście milionów rozwiązań. Dzięki tradycyjnym metodom osiągnięto wysoki poziom i farmerowi nie opłaca się ich udoskonalanie. Musiałby być zdolnym matematykiem, a i tak te kalkulacje zajęłyby mu z pięćdziesiąt lat. Komputer natomiast może to zrobić w ciągu piętnastu minut. W przypadku farmy Hay Tree różnica między metodą tradycyjną a najlepszą daje piętnaście procent wzrostu dochodu netto.

— Zaskakujesz mnie — powiedział Mount z zainteresowaniem. — Będziemy musieli o tym porozmawiać, ale w stosowniejszym czasie.

Był to temat, na który mógłbym mówić godzinami, lecz, jak słusznie zauważył Mount, czas nie był zbyt odpowiedni. Zapytałem więc:

— Czy Bob rozmawiał z panem o tej tacy?

— No, oczywiście — powiedział Mount. — Przyniósł ją do mojego biura prosto z muzeum i rozmawialiśmy na temat ubezpieczenia. To bardzo wartościowa rzecz.

— Właśnie, jaka jest jej wartość?

— Trudno teraz powiedzieć. Zważyliśmy ją i jeżeli złoto jest bez domieszek, to wartość samego kruszcu można oszacować na dwa i pół tysiąca funtów. Do tego oczywiście dochodzą wartości artystyczna i historyczna. Czy wiesz coś o jej dziejach?

— Zupełnie nic. Odkąd pamiętam, była po prostu w naszym domu.

— Trzeba ją będzie również wycenić jako część majątku. Sądzę, że najlepiej zrobią to Sotheby's. — Mount ponownie coś zanotował. — Będziemy musieli poważnie zagłębić się w interesy twojego brata. Mam nadzieję, że znajdzie się dosyć... eee... gotówki pod ręką na zapłacenie podatku spadkowego. Byłoby szkoda, gdyby się okazało, że trzeba spieniężyć na to część farmy. Czy zgodziłbyś się na sprzedaż tacy, jeśli zaszłaby taka konieczność?

— Oczywiście, gdyby tylko pozwoliło to utrzymać farmę w całości. — Pomyślałem, że prawdopodobnie i tak bym ją sprzedał. Jak na mój gust było na niej zbyt dużo krwi, by cieszyło mnie jej posiadanie.

— Nie sądzą, żebyśmy mogli teraz jeszcze coś zrobić — powiedział Mount. — Nadam bieg sprawom związanym z formalnościami prawnymi, w tym możesz na mnie polegać. — Wstał. — Jestem wykonawcą testamentu, Jemmy, a to znaczy, że mam dużą swobodę, szczególnie przy pewnej znajomości kruczków prawnych. Będiesz potrzebował gotówki na prowadzenie farmy, na przykład na opłacenie ludzi. Te pieniądze można ściągnąć z masy spadkowej. — Twarz wykrzywił mu grymas. — Formalnie rzecz biorąc, to ja powinienem prowadzić farmę do czasu urzędowego potwierdzenia testamentu, ale mogę też wyznaczyć pełnomocnika. I nikt mi nie zabroni wybrać właśnie ciebie. Myślę więc, że na tym poprzestaniemy. A może wolałbyś, abym zatrudnił na ten okres jakiegoś zarządcę majątku?

— Proszę dać mi kilka dni do namysłu — odrzekłem. — Przede wszystkim chciałbym jeszcze porozmawiać z Jackiem Edgecombe'em.

— W porządku — zgodził się Mount. — Byle nie dłużej.

Zanim opuściłem biuro Mounta, zadzwoniłem jeszcze na farmę, zgodnie z tym, co obiecałem Dave'owi Goosanowi. Powiedziano mi, że nadinspektor Smith życzył sobie, bym zajrzał na posterunek

w Totnes jeszcze dzisiaj o trzeciej po południu. Obiecałem, że tak zrobię, i wyszedłem na ulicę. Czuję się nieco zagubiony i nie miałem pojęcia, co robić dalej. Dokuczało mi coś nieokreślonego. Wreszcie zrozumiałem. Byłem głodny!

Kiedy spojrzałem na zegarek, okazało się, że dochodziła dwunasta, a ja byłem przecież bez śniadania. Poprzedniego wieczoru zjadłem tylko w pośpiechu coś lekkiego, więc nie było się czemu dziwić. Jednak pomimo głodu nie miałem ochoty na jakiś wyszukany posiłek, dlatego wsiadłem do samochodu i pojechałem do Cott, gdzie mogłem dostać kanapki.

Przy barze było prawie pusto. W rogu sali siedziała tylko jakaś starsza para. Poszedłem do baru i powiedziałem do Pauli:

— Jedno duże proszę!

— Och, panie Wheale, tak mi przykro z powodu tego, co się stało. Nie minęło dużo czasu, a już wszyscy wiedzieli. Ale w tak małym miasteczku, jak Totnes, można się było tego spodziewać.

— Tak — powiedziałem — paskudna sprawa. Odwróciła się, by nalać piwo, gdy z drugiego pomieszczenia nadszedł Nigel.

– Przykro mi z powodu twojego brata, Jemmy.

– Tak – powtórzyłem. – Słuchaj, Nigel, chciałem tylko piwo i kilka kanapek. Wybacz, ale nie jestem teraz w nastroju do rozmów. Skinął głową i zaproponował:

– Jeżeli chcesz, podam ci w pokoju na zapleczu.

– Nie, to nie ma znaczenia. Zjem tutaj.

Przekazał polecenie do kuchni, następnie zamienił kilka słów z Paulą. Pociągnąłem łyk piwa i kątem oka dostrzegłem, że Nigel ponownie podchodzi do lady.

– Wiem, że nie masz ochoty do rozmów – powiedział – ale jest coś, o czym powinieneś wiedzieć.

– O co chodzi?

– Czy to prawda – zawahał się – że ten zabity, no, ten włamywacz, był Amerykaninem?

– Nie mam jeszcze pewności, ale to prawdopodobne.

– To może nie mieć znaczenia, ale kilka dni temu Harry Hannaford mówił mi, że właśnie jakiś Amerykanin chciał odkupić od Boba tacę, wiesz, tę, która okazała się taka cenna.

– Gdzie to było?

– Tutaj! Nie było mnie wtedy, lecz Harry wszystko słyszał. Mówił, że wypili po setce.

– Znasz go? – spytałem.

– Chyba nie. Przyjeżdża tu sporo jankesów, ostatecznie prowadząc knajpę tak starą jak Cott, wchodzi się automatycznie do obiegu kulturowego. Ale akurat wtedy nie mieliśmy tu żadnych Amerykanów. Za to teraz jest jakiś, przyjechał wczoraj.

– O! Co to za typ?

– Starszy gość – Nigel uśmiechnął się. – Może mieć koło sześćdziesiątki. Nazywa się Fallon. Ma też chyba sporo forsy, sądząc po jego rachunku za telefon. Ale nie wygląda podejrzanie.

– A wracając do Hannaforda i tamtego jankesa – spytałem – możesz mi powiedzieć o tym coś jeszcze?

– Nie ma nic więcej do opowiadania. Jedynie, że jankes chciał kupić tacę, tyle powtórzył mi Harry. – Spojrzał na wiszący zegar. – Harry pewnie zaraz tu wpadnie na swoje południowe jasne. Zazwyczaj przychodzi o tej porze. Znasz go?

– Chyba nie.

– W porządku. Gdy będzie wchodził, dam ci znać.

Podano kanapki, które zabrałem do narożnego stolika przy kominku. Gdy usiadłem, poczułem ogarniające mnie zmęczenie, co mnie wcale nie zdumiało, jeśli się weźmie pod uwagę, że miałem za sobą nie przespaną noc i wiele godzin cholernego napięcia. Jadłem powoli, popijałem kanapki piwem. Dopiero teraz ustępował szok, którego doznałem, gdy znalazłem ciało Boba, a jego miejsce zajmował ból.

Pub zapełniał się powoli. Zobaczyłem kilka znajomych twarzy, ale na szczęście nikt mi się nie narzucił, chociaż przechwyciłem parę wścibskich, ukradkowo rzucanych spojrzeń. Podstawowa zasada przyzwoitości zabraniała wieśniakom jawnego okazywania ciekawości.

Niebawem ujrzałem Nigela rozmawiającego z wysokim mężczyzną w tweedowym ubraniu. Po chwili podszedł do mnie i powiedział:

– Jest tu Hannaford. Chcesz z nim pogadać? Rozejrzałem się po zatłoczonym już teraz barze.

– Wolałbym gdzieś indziej. Masz może jakiś pokój?

– Skorzystaj z mojego biura – zaproponował Nigel bez namysłu. – Idź tam, zaraz przyślę Harry'ego.

– Podrzucić też dwa duże – dodałem i wyszedłem z baru przez zapleczce.

Hannaford dołączył do mnie po paru minutach.

— Przykro mi z powodu Boba — zaczął głębokim głosem. — Trochę się tu razem pośmialiśmy. Był fajnym kumplem.

— Tak, panie Hannaford.

Bez trudu domyśliłem się, jakie stosunki łączyły mojego nowego znajomego z Bobem. Kiedy ktoś regularnie przesiaduje w tym samych czterech ścianach pubu, łatwo zawiera przygodne znajomości. Najczęściej nie sięgają one zbyt głęboko i może nigdy nie dojść do spotkania poza barem. Jednak to wcale nie znaczy, że muszą być płytkie, są po prostu nieskomplikowane i przyjazne.

— Nigel mówił mi, że jakiś Amerykanin chciał odkupić tacę od Boba.

— Bo tak było i to nie jeden. O ile wiem, to Bob miał dwie propozycje. Obie od Amerykanów.

— Doprawdy? Wie pan coś o tych ludziach, panie Hannaford?

— Pan Gatt był prawdziwie miłym gentlemanem — Hannaford pociągnął się za ucho. — Wcale nie takim namolnym, jak większość tych jankesów. Elegancki facet w średnim wieku. Aż się palił, żeby kupić tę tacę od Boba.

— Czy zaproponował jakąś konkretną cenę?

— Tak wprost, to nie. Pana brat powiedział, że w ogóle nie ma co proponować mu jakiejś sumy, dopóki nie wyceni tacy, a pan Gatt mówił, że dałby Bobowi tyle, na ile ją oszacują. No i wyglądał na zbitego z tropu, gdy Bob roześmiał mu się w nos, lekceważąc ofertę i mówiąc, że być może wcale nie sprzeda tacy, bo to pamiątka rodzinna.

— A co z tym drugim człowiekiem?

— Tym młodym facetem? Nie przypadł mi specjalnie do gustu, bo za bardzo zadzierał nosa. Z tego, co słyszałem, to nie złożył żadnej oferty, ale był zawiedziony, kiedy Bob powiedział mu, że jeszcze nie zdecydował się na sprzedaż. Wtedy dość ostro naskoczył na Boba i dopiero żona zamknęła mu gębę.

— Żona?

Hannaford uśmiechnął się.

— No, nie przysięgłbym. Przecież nie pokazywał metryki ślubu, ale wydaje mi się, że to jednak była żona albo może siostra.

— Podał jakieś nazwisko?

— A tak. Zaraz, jak to było? Hall? Nie, to nie to. Steadman? Nieee. Chwileczkę, przypomnę sobie. — Czerwona twarz Hannaforda nabrzmiała z wysiłku i nagle wypogodziła się. — Halstead, to jest to. To nazwisko brzmiało Halstead. Dał pańskiemu bratu swoją wizytówkę, pamiętam. Powiedział, że skontaktuje się z nim znowu, kiedy taca będzie wyceniona. Bob go uprzedził, że tylko traci czas, i wtedy tamten rozzłościł się.

— Pamięta pan coś jeszcze? Hannaford pokręcił głową.

— To chyba wszystko. Aha, pan Gatt mówił, że kolekcjonuje takie rzeczy. Przypuszczam, że to jeden z tych amerykańskich milionerów.

Pomyślałem, że w okolicy Cott zaroilo się nagle od bogatych Amerykanów.

— Kiedy to było? — zapytałem jeszcze.

— Chwileczkę — Hannaford potarł brodę — to było po tym, jak wydrukowali wiadomość o tacy w „Western Morning News”, o ile dobrze pamiętam, dwa dni później. To by było pięć dni temu, czyli we wtorek.

— Dziękuję panu, panie Hannaford. Policję może to także zainteresować.

— Powiem im to wszystko co panu — zapewnił poważnie i położył mi dłoń na ramieniu. — Kiedy będzie pogrzeb? Chciałbym oddać Bobowi tę ostatnią przysługę.

Nie pomyślałem o tym jeszcze. Zbyt wiele zdarzyło się w tak krótkim czasie.

— Nie wiem — odrzekłem. — Najpierw musi się zakończyć śledztwo.

— Oczywiście — zgodził się Hannaford. — Jak pan tylko będzie wiedział coś konkretnego, to proszę powiedzieć Nigelowi, a on da mi znać. I innym też. Bob Wheale był tu bardzo lubiany.

— Obiecuję to panu.

Wróciliśmy do baru. Nigel dał mi znak, żebym podszedł do niego. Postawiłem kufel na kontuarze, a on skinął dyskretnie głową w drugą stronę lokalu.

— To Fallon, ten jankes, który tu teraz mieszka.

Odwróciłem się i zobaczyłem siedzącego blisko ognia nienaturalnie chudego faceta, trzymającego w dłoniach szklankę whisky. Miał koło sześćdziesiątki, a jego szczupła twarz kolorem opalenizny przypominała dobrze znoszoną skórę. Gdy tak patrzyłem, wydawało mi się, że zadrżał i przysunął krzesło bliżej ognia.

Ponownie odwróciłem się od Nigela, który powiedział:

— Mówił mi, że wiele czasu spędza w Meksyku. Nie lubi angielskiego klimatu, uważa, że jest zbyt chłodny.

Rozdział 4

Tę noc spędziłem samotnie na farmie Hay Tree. Może powinienem był zostać w Cott, by zaoszczędzić sobie cierpienia, jednak zamiast tego włóczyłem się po cichych pokojach, wypełnionych teraz widmami przeszłości, i ogarniała mnie coraz większa rozpacz.

Byłem ostatnim z Wheale'ów, oprócz mnie nie pozostał już nikt. Żadni wujkowie, ciotki, bracia czy siostry – zostałem sam. Ten rozbrzmiewający echemi przeszłości pusty dom, uginający się pod ciężarem wieków, był przez te wszystkie lata świadkiem długiego korowodu Wheale'ów – tych z czasów Elżbiety i Jakuba I, Restauracji i Regencji, Wiktorii i Edwarda. Mały skrawek Anglii wokół domu nasiąkał potem Wheale'ów przez ponad cztery stulecia, przez lata dobre i złe, a teraz wszystko to ograniczyło się do jednego punktu – mnie. Do mnie – szarego człowieka na szarej posadce.

To nie było fair.

Zorientowałem się nagle, że stoję w pokoju Boba. Łóżko ciągle jeszcze było rozbebeszone tam, gdzie wyciągałem koce potrzebne, by go okryć. Niemal odruchowo wygładziłem kołdrę. Na toaletce jak zawsze panował bałagan, a górną część lustra ozdabiała kolekcja nie oprawionych fotografii. Były to zdjęcia naszych rodziców, moje i Stalwarta – pięknego, narowistego konia, ulubionego wierzchowca Boba – oraz ładna fotografia Elizabeth. Wyciągnąłem zdjęcie Elizabeth, by lepiej się przyjrzeć, i wtedy coś spadło na blat toaletki.

Schyliłem się. Była to wizytówka Halsteada, o której mówił Hannaford. Beznamyślnie przeczytałem: Paul Halstead, Avenida Quintillana 1534, Mexico City.

Zaskakująco głośno zadzwonił telefon. Podniosłem słuchawkę i usłyszałem suchy głos pana Mounta.

– Halo, Jeremy. Właśnie sobie pomyślałem, że nie ma potrzeby, byś zajmował się formalnościami pogrzebowymi. Zrobię to za ciebie.

– To bardzo miło z pana strony – odpowiedziałem.

– Twój ojciec i ja byliśmy dobrymi przyjaciółmi. Ale nie sądzę, aby ci kiedykolwiek wspominał, że gdyby on nie ożenił się z twoją matką, ja bym to zrobił. – Odłożył słuchawkę i połączenie zostało przerwane.

Tej nocy spałem w swoim pokoju, który zajmowałem od dziecka.

Zasypiając płakałem jak nigdy od czasów dzieciństwa.

Rozdział 5

Dopiero na rozprawie poznałem nazwisko zabitego. Był to Victor Niscemi, obywatel Stanów Zjednoczonych.

Przewód sądowy nie trwał długo. Polegał na formalnym stwierdzeniu tożsamości i mojej relacji o okolicznościach, w jakich znalazłem ciała Niscemiego i mego brata. Następnie w imieniu policji złożył oświadczenie Dave Goosan, a złota taca i strzelby zostały przedstawione w charakterze dowodów.

Koroner szybko zebrał to wszystko i wydał werdykt w sprawie Niscemiego, stwierdzający, że został on zabity przez Roberta Blake'a Wheale'a, który działał w obronie własnej. Natomiast orzeczenie dotyczące śmierci Boba brzmiało: „Zamordowany przez Victora Niscemiego i osobę lub osoby nieznane”.

Spotkałem Dave'a Goosana na wąskiej, brukowanej uliczce za Guildhall, gdzie odbyła się rozprawa. Skinął głową w kierunku oddalających się dwóch krępych mężczyzn.

— Ze Scotland Yardu — powiedział. — To teraz ich parafia. Wtrącają się do wszystkiego, co może mieć międzynarodowy zasięg.

— Myślisz, że to dlatego, iż Niscemi był Amerykaninem?

— Właśnie. Powiem ci coś jeszcze, Jemmy. Był notowany po drugiej stronie Atlantyku. Drobne kradzieże i rabunek z bronią w ręku, w sumie niewiele.

— Wystarczyło, żeby wykończyć Boba — wtrąciłem zjadliwie. Dave przytaknął rozgoryczony.

— Prawdę mówiąc, trochę to wszystko nie trzyma się kupy. Niscemi nie osiągnął sukcesu jako złodziej i nigdy nie doszedł do pieniędzy. Rozumiesz, taki swego rodzaju przedstawiciel klasy pracującej. Z pewnością nigdy nie miał forsy na przyjazd tutaj, chyba że zrobił coś większego niż zazwyczaj. I nikt nie wie, dlaczego przyjechał do Anglii. Byłby tu przecież jak ryba wyciągnięta z wody. Tak samo czułby się włamywacz z Bermondsey w Nowym Jorku. Mimo to policja bada ten trop.

— Czego Smith dowiedział się na temat Halsteda i Gatta, tych jankesów, na których ślad trafiłem? Dave spojrzał mi w oczy.

— Nie mogę ci tego powiedzieć, Jemmy. Nie mogę z tobą rozmawiać o sprawach służbowych, nawet jeśli jesteś bratem Boba. Nadinspektor zdjąłby mi skalp. — Szturchnął mnie w pierś. — Nie zapominaj, chłopcze, że ty też byłeś przez pewien czas podejrzany.

Moje zdumienie musiało być chyba widoczne, bo wyjaśnił szybko:

— Cóż, do licha, w końcu kto najbardziej zyskał na śmierci Boba? Cała ta historia z tacą mogła się okazać bzdurą. Ja wiedziałem, że nie masz z tym nic wspólnego, ale dla nadinspektora byłeś jeszcze jednym człowiekiem, błąkającym się po miejscu zbrodni.

Odetchnąłem głęboko.

— Mam nadzieję, że już nie figuruję na jego liście podejrzanych — powiedziałem ironicznie.

— Nie zawracaj sobie tym głowy, choć nie twierdzą, że mój szef już o tobie nie myśli. To największy niedowiarek, jakiego znam. Gdyby sam znalazł ciało, to też by się wpisał na listę. — Dave pociągnął się za ucho. — Powiem ci tyle, że Halstead jest chyba czysty. Był w tym czasie w Londynie i ma alibi. — Uśmiechnął się. — Przesłuchano go w czytelni British Museum. Ci londyńscy gliniarze muszą być bardzo taktownym towarzystwem.

— Kim on jest? Co robi?

— Twierdzi, że jest archeologiem — odparł Dave i zapatrzył się, lekko

skonsternowany, w jakiś punkt poza mną. — O Chryste, nadchodzą ci cholerni reporterzy. Właż szybko do kościoła, może nie będą na tyle bezczelni, żeby tam pójść za tobą. Ja spróbuję ich zatrzymać, a ty tymczasem zwiewaj przez zakrystię.

Opuściłem go pospiesznie i wślizgnąłem się na dziedziniec kościelny. Gdy wchodziłem do świątyni, usłyszałem jazgot, jakby sfora psów osaczyła zdobycz.

Pogrzeb odbył się następnego dnia po rozprawie. Przyszło mnóstwo ludzi, większość z nich znałem, ale nie wszystkich. Wśród uczestników ceremonii dostrzegłem pracowników Hay Tree, byli między nimi także Madge i Jack Edgecombe'owie, którzy wrócili z Jersey. Pogrzeb był krótki, a mimo to odczułem ulgę, gdy się skończył, i mogłem wreszcie pożegnać tych wszystkich, okazujących mi swoje współczucie, ludzi. Zanim odszedłem, zamieniłem kilka słów z Jackiem Edgecombe'em.

— Zobaczmy się na farmie, są pewne sprawy do omówienia.

Przyjechałem do Hay Tree przygnębiony. A więc już po wszystkim. Bob został pochowany. Niscemi pewnie też, chyba że policja zatrzymała jeszcze jego ciało wsadzone do jakiejś chłodni. Z wyjątkiem nie rozwikłanej sprawy hipotetycznego współnika Niscemiego wszystko wróciło do ustalonego porządku i świat mógł się już spokojnie toczyć dalej.

Myślałem o farmie, o tym, co było na niej do zrobienia, i o tym, jak sobie poradzę z Jackiem, który mógł okazać zachowawczy opór wieśniaka w stosunku do moich nowomodnych pomysłów. Zajęty tymi sprawami automatycznie skręciłem w podwórze i niewiele brakowało, bym wpakował się na wielkiego mercedesa, zaparkowanego przed domem.

Wyskoczyłem z samochodu, to samo zrobił kierowca mercedesa, rozprostowując szczupłą sylwetkę, swoją nieprawdopodobną długością przypominającą wstęgę. Był to Fallon, Amerykanin, którego Nigel wskazał mi w Cott.

— Pan Wheale? — zapytał.

— Zgadza się.

— Wiem, że nie powinienem panu przeszkadzać w takim momencie, ale mam niewiele czasu. Nazywam się Fallon. — Wyciągnął do mnie rękę i uściśnąłem palce chude jak u kościotrupa.

— Czym mogę panu służyć, panie Fallon?

— Gdyby zechciał mi pan poświęcić parę minut, nie sposób tego wyjaśnić w dwóch słowach... — jego głos był pozbawiony typowego amerykańskiego akcentu.

— Niech pan wejdzie do środka — powiedziałem z wahaniem.

Schylił się i wyjął z samochodu walizeczkę. Zaprowadziłem go do Boba... to znaczy do mojego gabinetu, wskazałem krzesło i bez słowa usiadłem naprzeciwko.

Odkaszlnął nerwowo, najwyraźniej nie wiedząc, od czego zacząć, ale mu nie pomogłem. Znowu zakaszłał, wreszcie odezwał się.

— Panie Wheale, mam świadomość, że może to być drażliwy temat, lecz czy mógłbym zobaczyć tę złotą tacę, która jest w pańskim posiadaniu?

— Obawiam się, że to zupełnie niemożliwe — odpowiedziałem stanowczo.

— Chyba jej pan nie sprzedał? — W jego oczach pojawił się strach.

— Nie, wciąż znajduje się w rękach policji.

— Och! — odprężył się i otworzył zatrask walizeczki. — Szkoda. Ale może mógłby pan rzucić okiem na te fotografie.

Podał mi plik zdjęć o wymiarach 20 x 25. Ułożyłem je w wachlarz. Były lśniące i ostre jak igła, najwyraźniej stanowiły dzieło zawodowego fotografa. Przedstawiły tacę we wszystkich możliwych ujęciach. Kilka w całości, a całe serie innych przybliżyły delikatny ornament winnej latorośli widniejący na jej obrzeżu.

— Te mogą okazać się bardziej pomocne — powiedział Fallon i podał mi

następny plik. Te zdjęcia były kolorowe, może nie tak ostre jak czarno-białe, ale chyba lepiej oddawały rzeczywisty wygląd tacy.

— Skąd pan je ma? — spytałem, unosząc głowę.

— Czy to ma znaczenie?

— Policja może tak uważać — powiedziałem z naciskiem. — Ta taca odegrała decydującą rolę w morderstwie i mogą chcieć wiedzieć, jak pan wszedł w posiadanie tak doskonałej dokumentacji mojej tacy.

— Nie pańskiej — przerwał łagodnie — mojej tacy.

— Nonsens — uniosłem się. — O ile mi wiadomo, to używano jej w tym domu od stu pięćdziesięciu lat. I nie rozumiem, w jaki, u diabła, sposób może pan rościć sobie do niej prawa.

— Nie rozumiemy się — przecząco machnął ręką. — To są fotografie tacy będącej obecnie w moim posiadaniu i bezpiecznie zamkniętej w sejfie. Przybyłem tutaj, żeby się dowiedzieć, czy pańska taca w ogóle przypomina moją. Sądzę, że dał mi pan już wystarczającą odpowiedź na to nie wypowiedziane pytanie.

Spojrzałem ponownie na fotografie, czując, że zrobiłem z siebie durnia. Taca na zdjęciach z pewnością wyglądała tak jak ta, którą tyle razy oglądałem, chociaż trudno by mi było jednoznacznie stwierdzić, czy istotnie stanowi dokładną replikę. Widziałem wprawdzie swoją tacę przelotnie ubiegłej soboty, gdy Dave Goosan mi ją pokazał, ale kiedy przyglądałem się jej wcześniej? Chyba wówczas, gdy ostatnio odwiedziłem Boba, ale prawdę rzekłszy, nigdy nie zwracałem na nią uwagi. W zasadzie od czasów dzieciństwa nie oglądałem jej zbyt dokładnie.

— Czy są naprawdę aż tak podobne? — spytał Fallon. Wyjaśniłem, na czym polega mój kłopot. Pokiwał ze zrozumieniem głową i powiedział:

— Czy byłby pan skłonny sprzedać mi tacę, panie Wheale? Zapłacę uczciwą cenę.

— Nie należy do mnie, więc nie mogę nią dysponować.

— Jak to? Sądziłem, że pan ją odziedziczył?

— Tak. Tyle że znajduje się teraz w depozycie. Nie dostanę jej do rąk, dopóki ostatnia wola mojego brata nie zostanie uprawomocniona.

Nie przyznałem się Fallonowi, że Mount sugerował, bym sprzedał to cholerstwo. Chciałem potrzymać go w niepewności, by zorientować się, o co mu właściwie chodzi. Nawet na sekundę nie zapomniałem, że Bob zginął właśnie z powodu tej tacy.

— Rozumiem. — Zabębnił palcami o oparcie swego fotela. — Przypuszczam, że policja przekaze ją w pańskie ręce.

— Nie widzę powodu, żeby mieli tego nie zrobić.

— Panie Wheale — uśmiechnął się — czy wówczas pozwoli mi ją pan obejrzeć i sfotografować? Nie będzie w ogóle opuszczała tego domu, mam do dyspozycji bardzo dobry aparat.

— Nie wiem, dlaczego miałbym panu na to pozwolić? — odpowiedziałem, odwzajemniając uśmiech.

Jego zniknął z twarzy, jak gdyby nigdy go tam nie było. Po chwili powrócił w postaci skrzywienia kącików warg.

— Widzę, że jest pan podejrzliwy w stosunku do mnie.

— Trafił pan w sedno — roześmiałem się. — A jak by pan zachowywał się na moim miejscu?

— Wydaje mi się, że też bym zbyt nie ufał — przyznał. — Wyglupilem się.

Widziałem kiedyś świetnego szachistę, wykonującego ewidentnie zły ruch, którego nie popełniłby nawet nowicjusz. Jego twarz odzwierciedlała wtedy tak wielkie zdumienie, że przybrała aż komiczny wyraz i taki właśnie miało oblicze Fallona. Sprawiał wrażenie faceta, który w myślach pluje sobie w brodę za swój brak dyplomacji.

Przed domem usłyszałem odgłos zatrzymującego się samochodu. Wstałem więc i otworzyłem okno. Jack i Madge właśnie wysiadali ze swojego mini morrisa.

— Daj mi jeszcze kilka minut, Jack, jestem trochę zajęty — zawołałem.

Pokiwał ręką i odszedł, ale Madge podeszła do okna.

— Może filiżankę herbaty?

— To chyba niezły pomysł. Co pan na to, panie Fallon, czy wypije pan ze mną herbatę?

— Będzie mi miło — powiedział.

— Dobrze, Madge. Podaj nam tutaj dwie herbaty. Odeszła, a ja zwróciłem się ponownie do Fallona.

— Wydaje mi się, że dobrze by było, gdyby mi pan wreszcie powiedział, do czego pan właściwie zmierza. — Zapewniam pana, że nic mi nie wiadomo o okolicznościach, które doprowadziły do śmierci pańskiego brata — odrzekł zmartwiony. — Moją uwagę na tacę zwrócił artykuł i fotografia w „Western Morning News”, które jednak późno do mnie dotarły. Niezwłocznie przyjechałem do Totnes w piątek, późno wieczorem...

— ... i zamieszkał pan w gospodzie Cott?

— Właśnie tak zrobiłem — odparł nieco zaskoczony. — Miałem zamiar odwiedzić pańskiego brata w sobotę rano, ale usłyszałem o tym... co się stało...

— Więc pan go nie odwiedził. Bardzo to taktowne, panie Fallon. Przypuszczam, że zdaje pan sobie sprawę z tego, iż tę historię będzie pan musiał powtórzyć policji?

— Nie widzę powodu.

— Czyżby? W takim razie wyjaśnię to panu. Czy wie pan, że mojego brata zabił Amerykanin o nazwisku Victor Niscemi? Fallon jedynie potrząsnął głową.

— Nie czytał pan dziś rano sprawozdania z rozprawy? Było opublikowane w większości gazet.

— Jeszcze nie przeglądałem dzisiejszej prasy — powiedział cicho.

— Panie Fallon — westchnąłem — proszę posłuchać. Pewien Amerykanin morduje mojego brata, a taca ma z tym jakiś związek. Cztery dni przed zabójstwem dwóch innych Amerykanów usiłuje ją kupić od Boba. A teraz przychodzi pan, także Amerykanin, i również chce pan kupić tacę. Nie sądzi pan, że należą mi się wyjaśnienia?

Twarz ściągnęła mu się i wyglądał, jakby przybyło mu co najmniej pięć lat, ale czujnie uniósł głowę.

— Amerykanie? Jak się nazywali ci, którzy chcieli kupić tacę?

— Może pan mi to powie — odparłem.

— Czy jednym z nich był Halstead?

— Teraz już się pan nie wykręci — powiedziałem ponuro. — Sądzę, że będzie lepiej, jeżeli od razu zawiozę pana na posterunek. Nadinspektor Smith zainteresuje się na pewno pańską osobą.

Spuścił wzrok na podłogę i namyślał się przez chwilę. Wreszcie podniósł głowę.

— Wydaje mi się, że teraz pan zaczyna być nierozsądny, panie Wheale. Naprawdę sądzi pan, że gdybym był zamieszany w to morderstwo, przyszedłbym tu dziś tak otwarcie? Nie miałem pojęcia ani o tym, że Halstead złożył ofertę pańskiemu bratu, ani o tym, że włamywacz był Amerykaninem.

— Ale zna pan nazwisko Halsteada. Zmęczonym ruchem opuścił rękę.

— W ciągu ostatnich trzech lat wciąż trafiam na jego ślady w całej Ameryce Środkowej i Europie. Czasami ja bywam pierwszy, czasami on. Tak, znam Halsteada, był moim studentem kilka lat temu.

— Studentem czego?

— Jestem archeologiem — wyjaśnił Fallon. — Halstead również.

Przerwaliśmy rozmowę, gdy weszła Madge. Przyniosła herbatę, trójkątne

placuszki, dżem truskawkowy i śmietankę z podgrzanego mleka. Postawiła tacę na biurku, posłała mi przygaszony uśmiech i wyszła. Częstując Fallona placuszkami i nalewając mu herbatę, zreflektowałem się, że zrobiła się z tego przyjemna domowa scenka, pozostająca w jawnej sprzeczności z przedmiotem dyskusji. Odstawiłem imbryk i spytałem:

— A co z Gatterem? Zna go pan?

— Nigdy nie słyszałem o tym człowieku.

Zastanowiłem się przez moment. Uderzyła mnie pewna myśl — jak dotąd nie złapałem Fallona na żadnym kłamstwie. Powiedział, że Halstead był archeologiem i zostało to potwierdzone przez Dave'a Goosana. Powiedział, że przyjechał do Cott w piątek, a o tym wiedziałem od Nigela. Przemyślałem to i wyciągnąłem rękę, by przysunąć do siebie telefon. Niczego nie wyjaśniając, zadzwoniłem do Cott, obserwując jednocześnie Fallona zajętego piciem herbaty.

— Cześć, Nigel. Słuchaj, chodzi o tego faceta, Fallona, o której on przyjechał w piątek?

— Około wpół do siódmej. Dlaczego pytasz, Jemmy?

— Właśnie w tej chwili coś wyszło na jaw. Czy możesz mi powiedzieć, co robił tamtej nocy? — Uporczywie wpatrywałem się w Fallona, który zupełnie nie przejmował się kierunkiem, w jakim zmierzały moje pytania. Po prostu rozproszony odrobinię śmietany na powierzchni placuszka i zaczął jeść.

— Mogę ci dokładnie opowiedzieć, co porabiał tamtej nocy — odparł Nigel. — Mieliliśmy tu małe, zaimprovizowane party, które się nieco przeciągnęło. Sporo rozmawiałem z Fallonem. To stary wyga, opowiadał mi o swoich przeżyciach w Meksyku.

— Możesz to jakoś umiejscowić w czasie?

— Był w barze od dziesiątej aż do momentu, gdy przyjęcie się rozsypało. Zabalowaliśmy do późna, gdzieś do za piętnaście drugą. — Zawahał się. — Idziesz z tym na policję?

— Nie złamałeś chyba praw licencyjnych? — odpowiedziałem pytaniem na pytanie.

— Oczywiście, że nie. Wszyscy byli mieszkańcami Cott. Przywileje gości i tak dalej. — Jesteś pewien, że był tam przez cały czas?

— Absolutnie.

— Dzięki, Nigel, bardzo mi pomogłeś. Odłożyłem słuchawkę i spojrzałem na Fallona.

— Jest pan poza podejrzeniem.

Rozejrzał się cicho i koniuszkami palców delikatnie dotknął serwetki.

— Bardzo rozsądny z pana człowiek, panie Wheale.

Usiadłem wygodniej w fotelu.

— Na ile by pan określił wartość tej tacy?

— Trudno odpowiedzieć na to pytanie — powiedział. — Sama w sobie niewiele jest warta, bo złoto jest stopione ze srebrem i miedzią. Pod względem artystycznym to bardzo ładna robota, a jej wartość antykwaryczna jest również wysoka. Śmiem twierdzić, że na aukcji, przy dobrej licytacji, osiągnęłaby cenę siedmiu tysięcy funtów.

— A wartość archeologiczna?

— To hiszpańska robota z szesnastego wieku — roześmiał się. — O wartości archeologicznej nie może tu być więc mowy.

— Wiem tylko, że ludzie, którzy dobijają się o jej kupno, są archeologami. — Spojrzałem na niego w zamyśleniu. — Proszę zaproponować cenę.

— Dam panu siedem tysięcy funtów — rzucił natychmiast.

— Tyle mógłbym dostać u Sotheby'ego — zauważyłem. — Poza tym Halstead lub

Gatt mogliby dać mi więcej.

— Wątpię czy Halsteda byłoby na to stać — powiedział Fallon spokojnie. — Ale pójdę dalej, panie Wheale, dam dziesięć tysięcy funtów.

— Daje więc pan trzy tysiące za wartość archeologiczną, której, według pana, taca nie ma. — Przerwałem mu z ironią. — Jest pan hojny. Czy uważa się pan za bogatego człowieka?

— Sądzę, że tak — uśmiechnął się nieznacznie.

Wstałem i powiedziałem gwałtownie:

— Trochę za dużo w tym tajemnic jak na mój gust. Wie pan coś o tej tacy, o czym nie chce pan mówić. Wydaje mi się, że lepiej zrobię, jeśli sam ją dokładnie obejrzę, zanim podejmę jakąś wiążącą decyzję.

Jeśli nawet był rozczarowany, to starannie ukrył swoją reakcję.

— Może się to wydawać rozsądne, ale wątpię, by cokolwiek panu dało. Panie Wheale, złożyłem panu bardzo korzystną ofertę, ale chciałbym pójść jeszcze dalej. Czy mogę nabyć opcję na tacę? Dam panu od razu tysiąc funtów, pod warunkiem, że nie pozwoli pan oglądać jej nikomu, szczególnie doktorowi Halsteadowi. Gdyby się pan w końcu zdecydował na sprzedanie mi tacy, ta suma będzie dodatkiem do poprzednio zaproponowanej ceny. Jeżeli zaś będzie pan chciał zatrzymać tacę dla siebie, te tysiąc funtów jest pańskie tak długo, jak długo będzie się pan wywiązywał z naszej umowy.

Zrobiłem głęboki wdech.

— Jest pan prawdziwym psem ogrodnika, prawda? Nie może jej pan dostać, to przynajmniej niech nie ma jej nikt inny. Nic z tego, panie Fallon, nie pozwolę związać sobie rąk. — Usiadłem. — Zastanawiam się, do jakiej ceny by pan doszedł, gdybym pana naprawdę przycisnął.

— Panie Wheale, to dla mnie sprawa najwyższej wagi. — W jego głosie zabrzmiało napięcie. — Dlaczego pan sam nie ustalił ceny?

— Wartość rzeczy to sprawa względna — odparłem. — Jeśli ma ona charakter archeologiczny, to do cholery z nią. Znam czternastoletnią dziewczynę, dla której najważniejszymi ludźmi na świecie są Beatlesi.

— Pan wybaczy, ale porównanie Beatlesów z archeologią nie stanowi zbyt sensownej skali wartości.

— Dlaczego? — Wzruszyłem ramionami. — I jedno, i drugie dotyczy ludzi. Ukazuje po prostu, że hierarchia ważności spraw tej nastolatki jest inna niż pańska. Ale zgoda, mogę ustalić swoją cenę, panie Fallon, i wcale nie musi być ona wymierna w pieniądzu. Zastanowię się jeszcze i dam panu znać. Czy może pan przyjść jutro?

— Tak, mogę — spojrzał mi w oczy. — A co z doktorem Halsteadem? Co pan zrobi, jeśli zgłosi się do pana?

— Wysłucham go — odrzekłem natychmiast. — Tak jak wysłuchałem pana. Jestem przygotowany na to, by wysłuchać każdego, kto mógłby mi powiedzieć coś, o czym nie wiem. Co nie znaczy, że tak było do tej pory.

Nie zareagował na przytyk.

Zamiast tego rzekł:

— Uważam, że powinien pan wiedzieć, iż w pewnych kręgach podważa się uczciwość doktora Halsteda. To wszystko, co mogę panu o nim powiedzieć. O której mam jutro przyjść?

— Po lunchu, czy wpół do trzeciej panu odpowiada? Skinął głową, więc ciągnąłem dalej:

— Będę musiał powiedzieć o panu policji. Popełniono morderstwo, a pańska osoba jest tym jednym zbiegiem okoliczności za dużo.

— Rozumiem pana — odparł zmęczonym głosem. — Może byłoby lepiej, gdybym sam do nich poszedł, choćby tylko po to, by wyjaśnić ten nonsens. Pojadę

niezwłocznie. Gdzie ich znajde? Wytlumaczyłem mu, gdzie jest posterunek, i dodałem: — Niech pan zapyta o inspektora Goosana lub nadinspektora Smitha.

Nagle roześmiał się.

— Goosan! — wystękał, ledwo łapiąc oddech. — Mój Boże, a to dopiero!

Wpatrywałem się w niego i zupełnie nie pojmowałem, co go tak rozbawiło.

— To nie jest niezwykle nazwisko w Devon.

— Oczywiście, że nie — przytaknął, tłumiąc śmiech. — W takim razie do zobaczenia jutro, panie Wheale.

Odprowadziłem go poza obejście domu, po czym wróciłem do gabinetu i zadzwoniłem do Dave'a Goosana.

— Jest jeszcze jeden facet, który chce kupić tacę — powiedziałem. — Następny Amerykanin. Interesuje cię to?

— Myślę, że nawet bardzo — jego głos zabrzmiał ostro.

— Nazywa się Fallon i mieszka teraz w Cott. Właśnie pojechał do ciebie, na posterunek. Za jakieś dziesięć minut powinien zastukać do twoich drzwi. Jeśli tego nie zrobi, to chyba warto byłoby go poszukać.

— Zrozumiałem.

— Jak długo zamierzacie trzymać tacę? — zapytałem jeszcze.

— Jeżeli chcesz, możesz ją zabrać choćby teraz. Jednak nie będę mógł ci oddać strzelby Boba, ta sprawa nie jest jeszcze zakończona.

— W porządku. Przyjadę po tacę. Chciałem cię prosić o przysługę, Dave. Fallon będzie musiał się przed tobą wylegitymować, czy mógłbyś mi potem przekazać jego dane? Chciałbym wiedzieć, z kim robię interesy.

— Jesteśmy policją, a nie biurem informacyjnym. Dobra, powiem ci, co będę mógł, jeśli nie będzie to sprzeczne z przepisami.

— Dzięki — powiedziałem i rozłączyłem się. Przez kilka minut siedziałem bez ruchu przy biurku i intensywnie myślałem. Wreszcie wyjąłem z biurka papiery dotyczące reorganizacji farmy, by przygotować się do walki z Jackiem Edgecombe'em. Ale, prawdę mówiąc, nie wkładałem już w to serca.

Rozdział 6

Późnym popołudniem udałem się na posterunek, by odebrać tacę. Na mój widok Dave mruknął:

— Wybrałeś sobie niezłego podejrzanego.

— Jest w porządku?

— Czysty jak łaźnia. W piątek w nocy nie było go nawet w pobliżu twojej farmy. Twierdzi tak czterech ludzi, jeden z nich jest moim przyjacielem, a pozostałych też znam. Mimo to nie robię ci wyrzutów, że go tu przysłałeś. Rozumiem, że nie mogłeś przejść do porządku dziennego wobec takiego zbiegu okoliczności. — Pokręcił głową. — Ale trafiłeś. — Co masz na myśli?

Zgarnął plik papierów z biurka i pomachał mi nimi przed nosem.

— Sprawdziliśmy go. To jest teleks z Yardu. Posłuchaj i popłacz sobie: John Niesmith Fallon, urodzony w 1908 roku w Massachusetts, wykształcenie wyższe, studiował na Uniwersytecie Harvarda oraz w Getyndze, studium podyplomowe zrobił w Mexico City. Archeolog przez duże A. W 1936 roku zmarł jego ojciec i zostawił mu ponad trzydzieści milionów dolarów, którą to fortunę Fallon co najmniej podwoił do tej pory. Nie utracił więc rodzinnego talentu do robienia pieniędzy.

— A ja go spytałem, czy uważa się za bogatego człowieka — zaśmiałem się. — Czy archeologią zajmuje się na poważnie? — Nie jest dyletantem. Yard sprawdził go w British Museum, zajmuje czołową pozycję w swojej specjalności, to znaczy w archeologii Ameryki Środkowej. — Pogrzebał w papierach. — Wiele publikuje w czasopiśmie naukowych. Ostatnia rzecz, którą wydał, nosi tytuł

Niektóre badania nad kalendarzem glicyficznym Dzi... Dzibi... — muszę to spróbować trochę wolniej — *...Dzibilchaltun*. Boże wszechmocny, ten facet zajmuje się rzeczami, których ja nawet nie mogę wymówić. W 1949 roku założył Trust Archeologiczny Fallona, z wkładem dziesięć milionów dolarów. Mógł sobie na to pozwolić jako właściciel wszystkich szybów naftowych, nie licząc tych, które należą do Getty'ego. — Rzucił papiery na biurko. — I to jest ten twój podejrzan o morderstwo?

— A co z Halsteadem i Gattem? — spytałem.

— Co z nimi? — Dave wzruszył ramionami. — Halstead oczywiście też jest archeologiem. Nie kopaliśmy zbyt głęboko w jego aktach personalnych. — Uśmiechnął się. — Gra słów nie była zamierzona. Gatta jeszcze nie sprawdziliśmy.

— Halstead był studentem Fallona. Fallon go nie lubi.

— Bawiłeś się w detektywa? — spytał Dave, unosząc brwi. — Słuchaj, Jemmy. Jeśli oficer policji może tak powiedzieć, to nie mam nic wspólnego z tą sprawą. To znaczy, że nie zostałem przydzielony do jej prowadzenia. To, czego się dowiedziałem, muszę przekazać zwierzchnikom w Londynie, to teraz ich działka, a ja jestem jedynie chłopcem na posyłki. Pozwól, że ci coś doradzę. Możesz sobie snuć najróżniejsze domysły i nikomu się krzywda nie stanie, ale nie próbuj czegoś robić na własną rękę jak jakiś niedowarzony bohater kryminału. Chłopcy ze Scotland Yardu nie są durniami i wierz mi, że potrafią dodać dwa do dwóch prędzej niż ty. Poza tym mają dostęp do większej ilości materiałów i są dość silni, żeby położyć na tym łapę, jeżeli uznają, że taki ruch jest konieczny. Zostaw to zawodowcom, w prawdziwym życiu nie istnieją tacy jak Roger Sherringham czy Peter Wimsey.

— Nie gorączkuj się — uspokoiłem go łagodnie.

— Przecież chodzi mi tylko o to, żebyś nie zrobił z siebie ostatniego idioty. — Wstał. — Przyniosę tacę, jest w sejfie.

Wyszedł z biura, a ja sięgnąłem po kartkę z teleksu i przestudiowałem ją. Informacje zawierały więcej szczegółów, ale w sumie sprowadzały się do tego, o czym

mówił Dave. Wydawało się zupełnie nieprawdopodobne, by człowiek pokroju Fallona mógł mieć coś wspólnego z takim złodziejaskiem jak Niscemi. Ale wciąż jeszcze była sprawa tacy. Obaj się nią interesowali, podobnie jak Halstead i Gatt. Czterej Amerykanie i taca... Dave wrócił, niosąc ją przed sobą.

— Ciężka — powiedział i położył tacę na biurku. — Musi być sporo warta, jeśli to rzeczywiście jest złoto.

— Jest — potwierdziłem. — Tyle że niezbyt czyste. Stuknął palcem w dno.

— A wygląda jak zwykła miedź.

Wziąłem tacę i przyjrzałem się jej dokładnie chyba po raz pierwszy od dwudziestu lat. Miała kształt koła o średnicy mniej więcej czterdziestu centymetrów. Na obrzeżu dziesięciocentymetrowej szerokości widniał misternie wykuty w złocie zawity wzór liści dzikiego wina, natomiast środek o średnicy dwudziestu trzech centymetrów zrobiony był z gładko polerowanej miedzi. Odwróciłem ją i zobaczyłem spód. Był z litego złota.

— Lepiej, żebyś to zapakował — powiedział Dave. — Znajdę trochę papieru.

— Zrobiliście jakieś fotografie? — spytałem.

— Mnóstwo. We wszystkich ujęciach.

— Nie mógłbyś mi dać kompletu odbitek?

— Czy ty przypadkiem nie sądzisz, że policja haruje dla Jemmy'ego Wheale'a? — odparł urażony. — To nie instytucja charytatywna, wiesz. — Pokręcił głową. — Przykro mi, Jemmy, negatywy odesłano do Londynu.

Zaczął szperać po pokoju i znalazł jakąś gazetę, w którą owinął tacę.

— Bob miał swoją ciemnię. W domu znajdziesz cały sprzęt, żeby samemu popstrykać.

Miał rację. Jako chłopcy obaj z Bobem pasjonowaliśmy się fotografowaniem, on nawet bardziej. Rzuciłem to, kiedy wstąpiłem na uniwersytet, on jednak pozostał wierny dawnej pasji. Pomyślałem, że chyba jeszcze pamiętam dosyć, by zrobić parę zdjęć, wywołać film i wykonać odbitki.

Jakoś nie miałem ochoty angażować do tego kogoś obcego. Waga, jaką Fallon przywiązywał do obejrzenia tacy, sprawiła, że wolałem wszystko zrobić sam.

Gdy wychodziłem, Dave przestrzegał mnie. — Pamiętaj o tym, co powiedziałem, Jemmy. Jeśli miałbyś znowu z czymś wypalić, przyjdź najpierw do mnie. Moim szefom nie spodobałoby się, gdybyś wtykał w to swoje trzy grosze.

Pojechałem do domu i odszukałem aparat Boba. Myślę, że mojego brata śmiało można było nazwać doświadczonym fotografem. Miał dobry sprzęt: aparat pentax ze sporym zestawem obiektywów, a także powiększalnik durst z wszystkimi urządzeniami do obróbki zdjęć w doskonale wyposażonej ciemni. Znalazłem szpulę nie naświetlonego, czarno-białego filmu, włożyłem go do aparatu i zabrałem się do roboty. Nieco kłopotów sprawiła mi kapryśna elektronowa lampa błyskowa, która dwukrotnie błysnęła w nieoczekiwanych momentach, zanim wreszcie pojawiłem, o co w niej chodzi. W końcu jednak wypstrykałem całą szpulę i z mniejszym lub większym powodzeniem wywołałem film. Ponieważ jeszcze był mokry i nie mogłem wziąć się za robienie odbitek, poszedłem wcześniej spać. Ale nie wcześniej, nim schowałem tacę do sejfu.

Rozdział 7

Następnego dnia rano kontynuowałem uciążliwą walkę z Jackiem Edgecombe'em, który zawzięcie sprzeciwiał się nowym pomysłom. Tłumaczył z nieszczęśliwą miną:

— Osiemdziesiąt krów na stu akrach to za dużo, panie Wheale, nigdy przedtem tak nie robiono.

Ledwie powstrzymałem się, by nie wrzasnąć, ale powiedziałem cierpliwie:

— Posłuchaj, Jack, dotychczas paszę dla bydła produkowano na farmie. Dlaczego?

— Zawsze tak było — odrzekł, wzruszając ramionami. Zdawał sobie jednak sprawę, że nie było to żadne wytłumaczenie. Ciągnąłem więc dalej:

— Możemy przecież kupić paszę po niższej cenie niż koszty jej produkcji, po kiego więc diabła mamy ją produkować?

Ponownie przedstawiłem mu plan podany przez komputer, dodając tym razem własne argumenty.

— Zwiększymy liczbę krów mlecznych do osiemdziesięciu i umieścimy je na najżyźniejszym terenie, a brakującą ilość paszy po prostu dokupimy. — Wskazałem na mapę. — To wzgórze nadaje się tylko do wypasu owiec, więc ulokujemy tam owce. Chciałbym dorobić się porządnego stadka. Możemy karmić owce trochę bardziej ekonomicznie, sadząc rośliny okopowe na tym płaskim terenie nad rzeką i stosując płodozmian z dochodową uprawą jęczmienia słodowego. W każdym razie dajmy już sobie spokój z uprawianiem warzyw na sprzedaż. Ostatecznie to jest farma, a nie ogródek działkowy. Uprawa warzyw pochłania zbyt wiele czasu, nie ma w pobliżu dużego miasta, żeby się to opłacało. Jack był nieprzejednany w swoim uporze. Tak przecież nigdy dotąd nie robiono, nie widział więc powodu, dla którego miałoby się tak robić teraz.

Byłem w kłopotcie, bo jeżeli nie przekonałbym go, nasza współpraca straciłaby sens.

Przerwała nam Madge.

— Jakaś pani chce się z panem zobaczyć, panie Wheale.

— Czy przedstawiła się? — spytałem.

— Tak, to pani Halstead.

— Poproś, żeby zaczekała kilka minut. Niech się rozgości, zaproponuj jej herbatę.

Powróciłem do rozmowy z Jackiem. Zawsze wiedziałem, że nie wszystko można osiągnąć od razu. Doskonale rozumiałem, o co mu chodzi. Gdyby został zarządcą farmy, a metody kierowania nią uległyby radykalnym zmianom, naraziłby się na mnóstwo drwin ze strony farmerów, którzy mieszkali w sąsiedztwie. Musiał pamiętać o swojej reputacji. Powiedziałem więc:

— Popatrz na to w ten sposób: jeżeli wprowadzimy w życie mój projekt, to ty będziesz zarządzał gospodarstwem, a ja zadowolę się statusem niedzielnego gościa. Jeśli ten pomysł nie wypali, będziesz mógł całą winę zwalić na mnie, ty zostaniesz czysty jako ten, który tylko wykonuje moje polecenia. Natomiast jeżeli odniesiemy sukces, o czym jestem święcie przekonany, jeśli tylko obaj solidnie przyłożymy się do roboty, to główną zasługę przypisze się tobie, bo będziesz tym, który wprowadził moje projekty w życie. To ty masz praktykę jako farmer, nie ja. Jestem tylko teoretykiem, ale wydaje mi się, że możemy chłopcom w okolicy pokazać parę numerów.

Przemyślał moje argumenty i wyraźnie rozpogodził się. Zaproponowałem mu przecież wyjście z tej sytuacji bez szkody dla jego miłości. Zaczął więc mówić, powoli

cedząc słowa:

— Wie pan, podoba mi się ten pomysł z likwidacją warzyw, zawsze było z tym dużo kłopotów, przede wszystkim za dużo ręcznej babraniny. — Pogrzebał w papierach. — Wie pan, myślę, że jeśli zrobimy z tym porządek, to można by obrabiać farmę, mając o jedną osobę mniej.

Zostało to już wcześniej wykazane — wcale nie przeze mnie, ale przez komputer — byłem jednak gotów pozwolić Jackowi, by sobie przypisał ten pomysł.

— No popatrz, jasne że tak! Muszę teraz iść, ale ty zostań i przemyśl to wszystko jeszcze raz. Jeżeli wpadniesz jeszcze na coś równie dobrego, daj mi znać.

Zostawiłem go i poszedłem do salonu, by zobaczyć się z panią Halstead.

— Przykro mi, że musiała pani na mnie czekać — powiedziałem wchodząc i stanąłem jak wryty. Żona Halsteada była piękną kobietą. Rude włosy, zielone oczy, zniewalający uśmiech i figura taka, że każdy facet, który na nią spojrział, musiał się pilnować, by utrzymać łapy przy sobie. Nawet taki szaraczek jak ja.

— Nic nie szkodzi, panie Wheale. Pańska gospodyni zatroszczyła się o mnie. — Głos dopełniał reszty. Mnie wydawała się jednak zbyt doskonała, aby być prawdziwą.

— Czym mogę pani służyć? — spytałem, siadając naprzeciw niej.

— Wydaje mi się, że jest pan właścicielem złotej tacy.

— Zgadza się.

— Czytałam artykuł w gazecie. — Otworzyła torebkę i wyjęła z niej wycinek prasowy. — Czy to ta taca?

Wziąłem wycinek i przestudiowałem go dokładnie. Był to artykuł z „Western Morning News”, o którym już słyszałem, ale którego nie miałem jeszcze dotychczas okazji zobaczyć. Zdjęcie było nieco zamazane.

— Tak, to moja taca.

— Fotografia nie jest zbyt wyraźna, prawda? Mógłby mi pan powiedzieć, czy pańska taca przypomina nieco tę?

Podawała mi odbitkę formatu pocztówkowego. Było to lepsze jakościowo zdjęcie tacy, ale nie mojej. Najwyraźniej wykonano je w jakimś muzeum. Widać było, że taca znajduje się w szklanej gablocie. Odbite od niej światło zamazywało ostrość. Wszyscy zasypywali mnie teraz zdjęciami tac, zacząłem więc zastanawiać się, ile ich w końcu było.

— Wygląda podobnie. To jednak też nie jest najlepsze zdjęcie.

— Czy mogę zobaczyć pańską tacę, panie Wheale?

— A po co? — spytałem bez ogródek. — Chce ją pani kupić?

— Tak, gdyby cena okazała się przystępna.

— A jaka cena, według pani, byłaby odpowiednia? — Ponownie ją przycisnąłem.

— To zależałoby od tacy. — Moja rozmówczyni okazała się jednak bardzo dobra w tym słownym pojedynku.

— Wstępna wartość została ustalona na siedem tysięcy funtów, może ją pani przebić? — Powiedziałem to celowo.

— To dużo pieniędzy, panie Wheale — odrzekła spokojnie. — Tak — zgodziłem się. — Z tego, co mi wiadomo, taką właśnie sumę zaproponował mojemu bratu pewien Amerykanin. Pan Gatt powiedział, że zapłaci tyle po oszacowaniu.

— Nie sądzę, żeby Paul... mój mąż, zdawał sobie sprawę, że to aż tyle wyniesie — powiedziała nieco zmartwiona.

— Powiniennem panią uprzedzić, że otrzymałem jeszcze wyższą ofertę od pana Fallona — dodałem, pochylając się do przodu.

Obserwowałem ją uważnie. Na moment zeszytniała, ale był to prawie niedostrzegalny odruch, od razu świetnie opanowany.

— Nie wydaje mi się, abyśmy mogli konkurować z profesorem Fallonem, gdy w

grę wchodzą pieniądze.

— Nie — odparłem. — Ma ich chyba więcej niż większość z nas.

— Czy profesor Fallon widział tacę? — spytała.

— Jeszcze nie. Zaproponował mi dużą sumę w ciemno. Nie wydaje się to pani dziwne?

— Nic, co robi Fallon, nie może mnie zaskoczyć — odparła. — Mo e to być w moim odczuciu bezwzględne, nawet niezgodne z prawem, ale na pewno nie dziwne. We wszystkim, co robi, ma jakiś cel.

— Byłbym ostrożniejszy z mówieniem takich rzeczy, pani Halstead, szczególnie w Anglii. Nasze prawo surowiej karze za oszczerstwo niż wasze — przerwałem jej łagodnie.

— Czy oświadczenie jest oszczerstwem, jeśli można je udowodnić? — zapytała. — Zamierza pan sprzedać tę tacę Fallonowi?

— Jeszcze się nie zdecydowałem. Pomyślała przez chwilę.

— Jeżeli nie będziemy mogli kupić tacy, czy miałby pan coś przeciwko temu, aby mój mąż ją obejrzał? Mógłby to zrobić tutaj i zapewniam pana, że nic by się jej nie stało.

Fallon usilnie prosił, żeby właśnie Halsteadowi nie pokazywać tacy. Do diabła z tym!

— Dlaczego by nie — odrzekłem.

— Dzisiaj rano? — spytała z ożywieniem.

— Przykro mi, ale nie, nie mam jej tutaj. Mogę ją mieć dopiero po południu. Urządza to panią? — Kłamałem w żywe oczy.

— O tak — uśmiechnęła się promiennie. Pomyślałem, że kobieta nie ma prawa uśmiechać się w ten sposób do mężczyzny, który ją nabiera. Osłabia jego postanowienie.

— Nie będę już dłużej zabierała panu czasu, panie Wheale, z pewnością jest pan zajęty. O której możemy przyjść?

— Około wpół do trzeciej — powiedziałem zdawkowo.

Odprowadziłem ją do drzwi i przez chwilę patrzyłem, jak odjeżdżała małym samochodem. Ci archeologowie wyglądali na nieco dziwne towarzystwo. Fallon imputował nieuczciwość Halsteadowi, pani Halstead zaś oskarżała Fallona o działanie niezgodne z prawem. Zdawać by się mogło, że wewnętrzne walki w kołach akademickich szły na bardzo ostre noże.

Pomyślałem o zestawie chemicznym, którym bawiłem się jako chłopiec. Był w nim wspaniały zbiór buteleczek i fiolek zawierających różnokolorowe proszki. Gdy je mieszałem, działy się dziwne rzeczy, osobno natomiast były zupełnie obojętne.

Denerwowało mnie, że spotkania z Fallonem i panią Halstead niczego nowego nie wniosły. Żadne z nich nie było ze mną na tyle szczere, by wyjawić prawdziwe powody zainteresowania tacą. Zastanawiałem się, co dziwnego może się zdarzyć, gdy zbiorę ich razem o wpół do trzeciej tego popołudnia.

Rozdział 8

Po powrocie zaliczyłem kolejną przeprawę z Jackiem Edgecombe'em. Może jeszcze nie był całkowicie przekonany do moich planów, ale zmiękł na pewno, co sprawiło, że dyskusja z nim przestała przypominać męczącą wspinaczkę. Popracowałem nad nim jeszcze trochę i udało mi się wzniecić w nim kolejną iskierkę entuzjazmu, po czym odprawiłem go, by rozejrzał się po farmie pod kątem wprowadzenia innowacji.

Resztę poranka spędziłem w ciemni. Pociąłem suchy już film 35-milimetrowy i zrobiłem próbną odbitkę, by sprawdzić, jak wyszedł. Wyszedł niezłe, większość klitek nadawała się do użytku, zrobiłem więc serię odbitek o wymiarach dwadzieścia na dwadzieścia pięć centymetrów. Nie były wykonane aż tak fachowo jak te, które pokazywał mi Fallon, ale z pewnością były na tyle dobre, by je z tamtymi porównać.

Powielilem również nieudane zdjęcia, w tym także te, przy których lampa błyskowa pstryknęła ni stąd, ni zowąd. Jedno z nich okazało się tak interesujące, że je dokładnie obejrzałem pod lupą. Była to prawdziwa łamigłówka i bardzo chciałem powtórzyć to ujęcie, ale zabrakło mi już czasu, bo goście mieli nadejść lada moment.

Halsteadowie przyjechali piętnaście minut przed czasem, co potwierdzało ich olbrzymie zainteresowanie tacą. Halstead wyglądał na jakieś trzydzieści pięć lat i sprawiał wrażenie kłębka nerwów. Był na swój sposób przystojnym mężczyzną, jeśli ktoś gustował w jastrzębich obliczach. Twarz jego cechowały wydatne kości policzkowe, a głęboko osadzone oczy były tak podkrążone, jakby ich właściciel jeszcze nie doszedł do siebie po tygodniowej balandze. Miał szybkie ruchy, a jego sposób mówienia przypominał krótkie staccato, więc pomyślałem sobie, że mógłby się okazać dosyć męczącym towarzyszem na dłuższą metę.

Jednak pani Halstead jakoś sobie radziła i zachowywała pogodę ducha, która rekompensowała nerwowość Halsteada. Być może osiągnęła to dzięki wytrwałej pracy. Przedstawiła mi swojego męża, po czym nastąpiła, skrócona do minimum, pogawędka towarzyska.

Zapanowała nagle cisza. Halstead spojrzał na mnie wyczekująco.

— Co z tacą? — spytał głosem uniesionym bardziej, niż to było konieczne.

Spojrzałem na niego obojętnie.

— A tak — powiedziałem. — Mam tu kilka fotografii, które mogą pana zainteresować.

Podąłem mu je i zauważyłem, jak drżały mu dłonie. Przerzucił je błyskawicznie, uniósł głowę i spytał ostro:

— To są zdjęcia pańskiej tacy?

— Tak.

— To właśnie ta, popatrz na liście winorośli. Taka sama, jak ta meksykańska. Nie ma żadnych wątpliwości — zwrócił się do żony.

— Wydaje się taka sama — odrzekła z wahaniem.

— Nie bądź głupia — przerwał. — Jest taka sama. Na miłość boską, przyglądałem się tamtej wystarczająco długo. Gdzie masz nasze zdjęcia?

Pani Halstead wyjęła je i zajęli się porównywaniem.

— Nie jest to replika — oświadczył Halstead. — Ale niewiele się różni. Niewątpliwie obie wyszły spod tej samej ręki. Zwróć uwagę na unerwienie liści.

— Chyba masz rację.

— Mam rację — powiedział stanowczo. Odwrócił się w moją stronę. — Żona mówiła, że pozwoli mi pan zobaczyć tacę.

Nie podobały mi się jego maniery, jego natarczywość i nieuprzejmość, a może i

sposób, w jaki odnosił się do żony.

— Powiedziałem tylko, że nie ma żadnego powodu, dla którego nie miałbym jej panu pokazać. Równocześnie nie widzę ani jednego powodu, dla którego miałbym to zrobić. Może pan mógłby mnie oświecić?

— To sprawa czysto zawodowa i naukowa — odparł sztywno z miną człowieka, który nie lubił, gdy mu się sprzeciwiano. — Stanowi ona część moich obecnych badań i doprawdy wątpię, by pan to zrozumiał.

— Spróbujmy — przerwałem spokojnie. Czułem się urażony jego zarozumiałością. — Rozumiem słowa dwusylabowe, a może nawet trzysylabowe, jeśli będzie je pan wolno wymawiał.

— Bylibyśmy bardzo wdzięczni, gdybyśmy mogli zobaczyć tacę — wtrąciła się do rozmowy pani Halstead. — Wyświadczyłby nam pan wielką przysługę, panie Wheale.

Nie chciała przeproszać za niezbyt piękne maniery męża, ale robiła, co mogła, by wlać choć odrobinę oliwy ogłady towarzyskiej do tego mechanizmu.

Przerwała nam Madge.

— Panie Wheale, jakiś dżentelmen chce się z panem zobaczyć. Uśmiechnąłem się krzywo do Halsteada i odrzekłem:

— Dziękuję, pani Edgecombe, proszę go wprowadzić.

Kiedy wszedł Fallon, Halstead szarpnął się konwulsyjnie.

Spojrzał na mnie i spytał podniesionym głosem:

— Co on tu robi?

— Profesor Fallon przybył tu na moje zaproszenie, tak jak i państwo — powiedziałem słodko.

— Nie zostanę tu z tym człowiekiem. Chodź, Katherine. — Halstead skoczył na równe nogi.

— Zaczekaj chwilę, Paul. Co z tacą?

To pytanie zastopowało Halsteada i stanął jak wryty. Niepewnie spojrzał na mnie, potem na Fallona.

— Ubolewam nad tym — powiedział drżącym głosem — w najwyższym stopniu nad tym ubolewam.

— Myślisz może, że mnie się to wszystko podoba? Ale nie złoścę się z tego powodu jak rozkapryszone dziecko. Zawsze byłeś zbyt wybuchowy, Paul — powiedział Fallon zaskoczony widokiem rywala. Wszedł jednak dalej do pokoju. Zapytał:

— Można wiedzieć, co to wszystko znaczy, panie Wheale?

— Może zorganizowałem licytację? — powiedziałem spokojnie.

— Marnuje pan czas, ci ludzie nie mają złamanego grosza.

— Zawsze uważałam, że kupił pan swoją reputację, profesorze Fallon — odcięła się Katherine Halstead. — A czego nie może pan dostać za pieniądze, kradnie pan.

— Do licha, chyba nie uważasz mnie za złodzieja, panienko? — Fallon gwałtownie odwrócił się.

— Uważam — odpowiedziała spokojnie. — Ma pan przecież list Vivera, prawda?

— Co pani wie o tym liście? — Fallon znieruchomiał.

— Tylko tyle, że skradziono go nam niemal dwa lata temu oraz że obecnie jest w pańskim posiadaniu. — Spojrzała na mnie. — Jakie wnioski by pan z tego wyciągnął, panie Wheale?

Uważnie przyglądałem się Fallonowi. Substancje chemiczne wspaniale się ze sobą mieszały i miałem nadzieję, że uda mi się wydestylować

z nich trochę prawdy. Postanowiłem jeszcze bardziej wzburzyć tę mieszaninę.

— Ma pan rzeczywiście ten list? — spytałem. Fallon z ociąganiem skinął głową.

— Tak, kupiłem go najzupełniej legalnie w Nowym Jorku. Mogę to udowodnić, bo mam nawet rachunek. Ale, do licha, to ci dopiero parka, ośmielają się mówić o

kradzieży. Powiedz lepiej, Halstead, co z tymi papierami, które ukradłeś mi w Meksyku?

Ściągnięte nozdrza Halsteada aż zbieleły.

— Nie zabrałem ci niczego, co nie należało do mnie. A co ty mi zabrałeś? Tylko moje dobre imię, nic więcej. W tym zawodzie jest zbyt wielu takich złodziejskich drani jak ty, Fallon, ludzi niekompetentnych, którzy zdobywają pozycję, żerując na pracy innych.

— Ty sukinsynu — zagrzmiał Fallon. — Ogłosiłem już to wszystko w czasopiśmie i jakoś nikt nie zwrócił na ciebie uwagi. Myślisz, że ktoś uwierzy w te bzdury?

Stali naprzeciwko siebie jak walczące koguty i lada moment skoczyliby sobie do gardeł, gdybym nie wrzasnął na cały głos:

— Spokój!

Obaj odwrócili się jak na komendę, powiedziałem więc już nieco ciszej:

— Słuchajcie. W życiu nie widziałem jeszcze równie żenującego widowiska w wykonaniu dorosłych mężczyzn. Albo zaczniecie zachowywać się w moim domu porządnie, albo was wszystkich stąd wyrzucę i nigdy już nie zobaczycie tej cholerniej tacy.

Pierwszy opamiętał się Fallon.

— Przepraszam, panie Wheale, ale ten człowiek mnie rozzłościł — powiedział siadając.

Halstead także siedział i w milczeniu wpatrywał w Fallona. Twarz Katherine pobladła, a na jej policzkach pojawiły się różowe plamki. Spojrzała na męża i zacisnęła usta, a kiedy w dalszym ciągu milczał, powiedziała:

— Przepraszam za nasze zachowanie, panie Wheale.

— Niech pani przeprosza za siebie, pani Halstead. Nie można tego robić za innych, nawet za własnego męża — zwróciłem się do niej szorstko.

Umilkłem i czekałem, aż Halstead coś powie, on jednak zachowywał uporczywe milczenie, więc zignorowałem go i zwróciłem się do Fallona:

— Nie interesują mnie specjalnie szczegóły waszych zawodowych konfliktów, aczkolwiek muszę przyznać, że zaskoczyły mnie zarzuty, które tu dzisiaj popołudnia padły.

— Nie ja rozpocząłem to obrzucanie się błotem — odezwał się Fallon, uśmiechając się gorzko.

— Nic mnie to nie obchodzi — powiedziałem. — Ludzie, jesteście niesamowici. Jesteście tak pochłonięci swoimi trywialnymi sprawami zawodowymi, że zapominacie o najważniejszym. Przecież z powodu tej tacy zamordowano człowieka. Na miłość boską, już dwóch ludzi nie żyje!

Tym razem odezwała się Katherine Halstead.

— Przykro mi, jeśli wydajemy się panu tak bezduszni, to rzeczywiście musi być dla pana szokujące.

— I, na Boga, jest! A teraz posłuchajcie mnie wszyscy uważnie. Sądzę, że dostałem w tej rozgrywce wysoką kartę, mam bowiem tacę, która okazała się tak cholernie ważna. Ale nikt z was jej nawet nie powącha, dopóki nie dowiem się, o co w tym wszystkim chodzi. Nie mam zamiaru działać na oślep. Fallon, co pan na to?

— W porządku, umowa stoi — poruszył się zniecierpliwiony. — Powiem panu wszystko, co chce pan wiedzieć, ale na osobności. Nie chcę, żeby Halstead był przy tym.

— To nie pan stawia warunki — odrzekłem. — Cokolwiek chce mi pan powiedzieć, zrobi to teraz, w tym pokoju. Odnosi się to również do pana, Halstead.

Paul popatrzył na mnie wściekłym wzrokiem.

— To potworne. Miałbym wyjawic rezultaty wieloletnich poszukiwan temu szarlatanowi?

— Albo bedzie pan mowil, albo niech pan zjezdza stad. — Wyciagnalem reke. — Drzwi sa otwarte i moze pan wyjśc, kiedy sie podoba, nikt nikogo tu nie trzyma. Ale niech pan pamietaja, ze jesli pojdzie, zostawi tace Fallonowi.

Na jego twarzy odbilo sie wahanie, a kostki dloni, ktore zacisnal nerwowo na oparciu fotela, zbielaly.

Decyzje podjela za niego Katherine Halstead, ktora powiedziala stanowczo:

— Przyjmujemy panskie warunki, zostaniemy. — I gdy zaszokowany Halstead spojrzal na nia, dodala: — W porzadku, Paul, wiem, co robie.

— A pan, panie Fallon?

— Sade, ze juz wpakowalem sie w to — odparl i usmiechnal sie nieznacznie. — Halstead mowi o latach poszukiwan, ale ja tez wlozylem w to troche czasu. Nie bylbym zdziwiony, gdyby okazalo sie, ze obaj wiemy tyle samo o tej sprawie. Bog mi swiadkiem, ze spotykalem te pare w kazdym muzeum w Europie. Wapiem, aby ta gielda informacji przyniosla cos nowego.

— Mogem cie zaskoczyc — powiedzial ostro Halstead. — Nie masz monopolu na wiedze.

— Dosyc — przerwalem stanowczo. — Ta wasza spowiedz odbedzie sie wedlug zasad ustalonych przeze mnie, a to oznacza, ze obydwaj zrezygnujecie ze zlosliwych komentarzy. Wyrazam sie chyba jasno.

Po chwili odezwal sie Fallon:

— Wie pan, Wheale, nie mialem o panu zbyt wysokiego mniemania po naszym pierwszym spotkaniu. Zaskakuje mnie pan.

Usmiechnalem sie. Czasami zaskakuje nawet sam siebie. Tak wlasnie bylo w tej chwili. Co sie stalo z malym szarym czlowieczkiem?

Rozdział 9

Była to zdumiewająca, niesamowita i zupełnie absurdalna historia i gdybym w ciemni na górze nie miał dziwnej, niezrozumiałej fotografii, odrzuciłbym ją natychmiast. A przecież Fallon, który nie był głupcem, uwierzył w tę historię. Halstead także, chociaż akurat nie dałbym głowy za prawidłowość jego procesów myślowych.

Staralem się panować nad sytuacją w trakcie opowiadania tej historii. Chwilami brały górę wybuchowe temperamenty, dotyczyło to głównie Halsteada, ale i Fallon miał kilka ostrych wejść. Wkraczałem wtedy natychmiast do akcji, choć widziałem, że żaden z nich nie był tym zachwycony, jednak nie mieli innego wyjścia i musieli się podporządkować. To, że posiadałem tacę, było kartą przetargową w tej osobliwej, zawilej rozgrywce i zarówno Fallon, jak i Halstead musieli się z tym liczyć, jeśli nie chcieli ustąpić jeden drugiemu.

Z nich dwóch Fallon sprawiał wrażenie rozsądniejszego i bardziej obiektywnego, więc to właśnie jego poprosiłem o rozpoczęcie relacji. Lekko pociągnął się za ucho, spojrzął na mnie i rzekł bezradnie:

— Nie wiem, od czego zacząć.

— Najlepiej od początku — odparłem. — Kiedy zetknął się pan z tym po raz pierwszy?

Jeszcze raz pociągnął się za ucho i położył chude dłonie jedna na drugą.

— Jestem archeologiem i pracuję głównie w Meksyku. Słyszał pan coś o Majach? Potrząsałem głową.

— To mi pan pomógł — powiedział kwaśno. — Ale na razie jest to bez znaczenia, gdyż początki nie miały nic wspólnego z Majami, przynajmniej pozornie. W swojej pracy kilkakrotnie natknąłem się na wzmianki o meksykańskiej rodzinie de Viverów. Był to stary hiszpański ród, a jego założyciel, Jaime de Vivero, dotarł do Meksyku tuż po Cortezie. Zagarnął olbrzymie zyski. Stali się wielkimi właścicielami ziemskimi, ranczerami, posiadaczami kopalń, a w końcu przemysłowcami. Byli jedną z tych potężnych meksykańskich rodzin, w rękach których spoczywała rzeczywista władza. Nie stanowili jednak, jakby to można było określić, ekipy o silnie ukształtowanym duchu obywatelskim i większość ich pieniędzy pochodziła z wyzysku wieśniaków. W latach sześćdziesiątych ubiegłego stulecia udzielili poparcia Maksymilianowi w idiotycznym dążeniu Habsburgów do ustanowienia królestwa Meksyku.

To była ich pierwsza omyłka, bo Maksymilian poniósł klęskę. To oczywiście nie złamało potęgi de Viverów, ale w Meksyku wrzało, zmieniali się dyktatorzy, przewroty następowały jeden za drugim, a de Viverowie za każdym razem stawiali na niewłaściwego konia. Zatracili chyba zdolność właściwej oceny sytuacji. W przeciągu stu lat ta rodzina została starta na proch. I jeśli jeszcze ktoś z nich żyje, to musiał bardzo podupaść, bo nigdzie nie znalazłem o nich żadnej wzmianki.

Zwrócił wzrok na Halsteada.

— Może ty spotkałeś jakiegoś de Vivera?

— Nie — krótko powiedział Halstead. Fallon z satysfakcją skinął głową.

— A więc w swoim czasie była to bardzo bogata rodzina, nawet jak na warunki meksykańskie, a gdy się mówi o kimś w Meksyku, że jest bogaty, to naprawdę dużo znaczy. Mieli oczywiście dużo cennych rzeczy, które uległy stopniowemu rozproszeniu, od kiedy zaczęło im się wieść coraz gorzej, a jedną z nich była złota taca, podobna do pańskiej, Wheale. — Wziął teczkę i otworzył ją. — Pozwoli pan, że coś przeczytam na ten temat.

Wyciągnął plik papierów.

— Taca była czymś w rodzaju rodowego skarbu i de Viverowie dbali o nią, nie używając jej, z wyjątkiem oficjalnych przyjęć. Przeważnie znajdowała się pod kluczem. A teraz kilka plotek z osiemnastego wieku. Pewien Francuz, Murville, odwiedził wtedy Meksyk i napisał o tym książkę. Właśnie przebywał w jednej z posiadłości de Viverów, gdy wydali oni przyjęcie dla gubernatora prowincji. Oto stosowny fragment. — Chrząknął.

Nigdy nie widziałem równie wspaniale zastawionego stołu, nawet na naszym francuskim dworze. Grandowie Meksyku żyją jak książęta i jadają ze złotych talerzy, których była tu obfitość. Na centralnym miejscu stołu znajdowały się złote tace, wypełnione owocami tego kraju.

Najwspanialsza z nich była osobiście zdobiona wzorem liści winnej latorośli, niezwykle misternej roboty. Jak powiedział mi jeden z synów tej rodziny, taca ta ma swoją legendę, gdyż wykonał ją podobno ktoś z protoplastów rodu de Viverów. Mało to prawdopodobne, dobrze bowiem wiadomo, że rodzina ta ma szlachecki rodowód, sięgający głęboko w historię starej Hiszpanii, i nie wydaje się, by ktoś z takiego rodu mógł kiedykolwiek zajmować się tego rodzaju pracą, choćby nie wiadomo jak artystyczną była. Powiedziano mi również, jakoby taca ta kryła w sobie jakiś sekret, którego poznanie może uczynić odkrywcą niewiarygodnie bogatym. Mój informator uśmiechnął się, mówiąc to, i dodał, że skoro de Viverowie są już bogaci ponad wszelką miarę, odkrycie takiego sekretu nie mogłoby uczynić ich o wiele bogatszymi. Fallon wrzucił papiery z powrotem do teczki.

— Wówczas nie miało to dla mnie większego znaczenia, ale zawsze interesują mnie wszelkie tajemnice, które mają związek z Meksykiem, więc rutynowo skopiowałem ten fragment i odłożyłem do akt. Nawiasem mówiąc, ten fragment o szlacheckim pochodzeniu de Viverów jest nieprawdziwy. De Viverowie byli ludźmi z awansu społecznego, typowymi dorobkiewiczami, ale do tego jeszcze dojdziemy.

Wkrótce potem zacząłem spotykać nazwisko de Vivero, gdziekolwiek się nie obróciłem. Wie pan, jak to jest — natkniesz się w książce na jakieś obce słowo, którego wcześniej nie znałeś, i później napotykasz je dwa razy w tygodniu. Tak właśnie było z rodziną de Viverów i ich tacą. W Meksyku nietrudno zetknąć się z nazwiskiem de Vivero, byli przecież kiedyś potężną rodziną, ale ja w ciągu następnego roku przynajmniej siedem razy natrafiłem na wzmianki o tej ich tacy. W trzech z nich wspomniano o rzekomej tajemnicy. Taca na pewno musiała mieć olbrzymie znaczenie dla de Viverów. Na razie odkładałem te wszystkie materiały na bok. Nie interesowałem się zbytnio tym problemem, gdyż nie mieścił się w sferze moich zainteresowań archeologicznych.

— A jakie one są? — spytałem.

— Prekolumbijskie cywilizacje Ameryki Środkowej — wyjaśnił. — Szesnastowieczna hiszpańska taca niewiele wtedy dla mnie znaczyła. Byłem zajęty pracami wykopaliskowymi w południowym Campeche. Halstead towarzyszył mi wówczas wraz z innymi. Kiedy skończył się sezon i powróciliśmy do cywilizowanego świata, wszczął ze mną kłótnię i odszedł. Razem z nim zniknęła teczka z materiałami o de Viverze.

— To kłamstwo! — Głos Halsteda zabrzmiał jak trzaśnięcie bicia.

— Tak właśnie było — powiedział Fallon, wzruszając ramionami.

Nie doszliśmy jeszcze do tego fragmentu opowiadania, w którym hiszpańska taca odgrywałaby główną rolę, za to pojawiła się pierwsza wzmianka o głęboko zakorzenionym konflikcie między tymi ludźmi. To mogło mieć znaczenie, postanowiłem więc dotrzeć do sedna.

— O co poszło?

— Ukradł moją pracę — powiedział Halstead stanowczo.

— Diabła tam ukradłem! — Fallon zwrócił się do mnie. — Muszę z przykrością stwierdzić, że jest to jeden z problemów, które czasem wyłaniają się niespodziewanie w kręgach akademickich. Zwykle bywa tak, że młody człowiek, tuż po studiach, pracuje w terenie ze starszymi i bardziej doświadczonymi naukowcami. Wiele lat temu robiłem to samo z Murrayem. Wspólnie się wszystko opracowuje i czasem temu młodemu wydaje się, że jego zasługi nie zostały odpowiednio docenione. To się często zdarza.

— Czy i w tym wypadku tak było?

Halstead już chciał się odezwać, ale żona położyła mu rękę na kolanie i uciszyła go.

— Na pewno nie — powiedział Fallon. — Przyznaję, że napisałem artykuł o niektórych aspektach legendy o Quetzalcoatl, i Halstead twierdzi, że przywłaszczył sobie jego teorię, ale to wcale nie było tak. — Potrząsnął głową z rezygnacją. — Nakreślę sytuację. Niech pan sobie wyobrazi, że jest na wykopaliskach, haruje przez cały dzień, więc to normalne, że ma wieczorem ochotę odprężyć się, pogadać, może nawet trochę wypić. A jeśli jest was kilku, to może dojść do wymiany poglądów: wy, Anglicy, nazywacie to giełdą pomysłów. Mówi się wtedy dużo, często jeden przez drugiego, i nie ma nigdy pewności, kto, co i kiedy powiedział. Wyniki takich dyskusji zwykle się uważa za wspólną własność. Mogło się więc zdarzyć, że takie właśnie jest pochodzenie artykułu, który ogłosiłem pod swoim nazwiskiem, i być może była to sugestia Halsteda, ale, na Boga, żaden z nas nie jest już w stanie tego udowodnić.

— Doskonale wiesz, że to ja zasugerowałem główną myśl tego artykułu — powiedział Halstead.

Fallon rozłożył ręce i zwrócił się do mnie.

— Widzisz pan sam, jak to jest. Nie byłoby tej całej sprawy, gdyby ten młody głupiec nie zaczął wypisywać do czasopism elaboratów, publicznie oskarżając mnie o kradzież. Mógłbym wytoczyć mu proces o zniesławienie i zedrzeć z niego ostatnie spodnie, ale nie zrobiłem tego. Napisałem natomiast do niego najzupełniej prywatnie i zasugerowałem tylko, by powstrzymał się od rozpętania publicznej pyskówki, gdyż z pewnością nie będę wdawał się z nim w tego typu dyskusję na łamach prasy fachowej. On jednak nie ustawał w atakach na mnie i ostatecznie doprowadził wreszcie do tego, że wydawcom znudziło się publikowanie jego listów.

— Chciałeś powiedzieć, że kupiłeś tych przeklętych wydawców? — Głos Halsteda zabrzmiał wrogo,

— Myśl sobie, co chcesz — odparł Fallon z niesmakiem. — Powracając do tematu, to zorientowałem się, że zaginięcie moich materiałów o de Viverze zbiegło się z odejściem Halsteda. Wówczas nie miało to znaczenia, nawet wtedy, gdy już zaczęło mi zależeć na tych papierach, nie było bowiem problemu z dotarciem do źródeł. Kiedy jednak na każdym kroku zacząłem spotykać Halsteadów, dodałem sobie dwa do dwóch i wszystko stało się jasne.

— Ale nie ma pan pewności, że to on zabrał te materiały — powiedziałem. — Nie potrafiłby pan udowodnić tego przed sądem?

— Raczej nie — zgodził się Fallon.

— W takim razie im mniej będziemy o tym mówić, tym lepiej. — Halstead był chyba zadowolony z takiego obrotu sprawy, więc dodałem: — Obaj bez żenady obrzucacie się oskarżeniami. Trochę inaczej wyobrażałem sobie zawodową godność.

— Nie zna pan jeszcze całej historii, panie Wheale — odezwała się pani Halstead.

— Proszę zatem opowiadać dalej, profesorze Fallon. A może pan chciałby coś dodać, doktorze Halstead? Spojrzał na mnie ponuro.

— Jeszcze nie teraz. — Zabrzmiało to jak zapowiedź nadciągającej burzy i

zrozumiałem, że czeka nas kilka fajerwerków.

— Przez dłuższy czas nic się nie działo — kontynuował Fallon. — Dopiero gdy przebywałem w Nowym Jorku, otrzymałem list od Marka Gerrysona z prośbą o spotkanie. Gerryson jest handlarzem, z którego usług czasem korzystałem. Powiedział, że ma kilka dzbanków do czekolady z okresu Majów, nie takich zwykłych, glinianych, lecz wykonanych ze złota. Musiały należeć do znakomitego rodu. Oferował także fragment płaszcza z piór i kilka innych rzeczy.

— Cholerny płaszcz z piór! — Halstead parsknął i mruknął półgłosem.

— Dobrze wiem, że to była imitacja! — powiedział Fallon. — I nie kupiłem go. Ale dzbanki na czekoladę były oryginalne. Gerryson wiedział, że będą mi się podobały. Jego nie interesują zwykli specjaliści od Majów, gdyż nie dysponują pieniędzmi, których on żąda. Na ogół sprzedaje swoje rzeczy do muzeów albo bogatym kolekcjonerom. Ja sam także prowadzę muzeum, oczywiście oprócz kilku innych spraw, i w przeszłości wziąłem od Gerrysona parę wartościowych rzeczy.

Targowaliśmy się trochę i powiedziałem mu, co sędzę o jego płaszczu z piór. Śmiał się, tłumacząc, że to był żart. Natomiast dzbanki do czekolady były autentyczne i kupiłem je. Wówczas powiedział, że chciałby zasięgnąć mojej opinii na temat czegoś, co dopiero otrzymał. Była to ręcznie pisana relacja pewnego Hiszpana, który żył wśród Majów na początku szesnastego wieku. Gerrysonowi chodziło o potwierdzenie jej autentyczności.

— Czy konsultował się z panem jako ekspertem w tej dziedzinie? — spytałem. Zauważyłem, że Katherine Halstead pochyliła się z wyrazem napięcia na twarzy.

Fallon skinął głową.

— Tak. Nazwisko Hiszpana brzmiało de Vivero, a manuskrypt był listem do jego synów. — Umilkł. Ciszę przerwał Halstead.

— Nie zatrzymuj się, Fallon, teraz, kiedy to dopiero zaczyna być interesujące. Fallon spojrział na mnie.

— Czy wie pan coś o podboju Meksyku?

— Niewiele. Trochę uczyli o tym w szkole. Cortez i tak dalej, ale szczegółów nie pamiętam, nawet jeśli je w ogóle kiedyś znałem.

— To tak jak większość ludzi. Ma pan mapę Meksyku?

Przeszedłem przez pokój i wziąłem z półki atlas. Uporządkowałem stolik i położyłem na nim atlas otwarty na odpowiedniej stronie. Fallon pochylił się nad nim i rzekł do mnie:

— Muszę pana trochę wprowadzić w te sprawy, bo inaczej nie zrozumie pan listu.

Położył palec na mapie Meksyku, blisko wybrzeża, niedaleko Tampico.

— W pierwszej połowie szesnastego wieku Hiszpanie skupili swoją uwagę na tych ziemiach, które dzisiaj nazywamy Meksykiem. Krążyły plotki o nieprzebranych bogactwach tych ziem, więc konkwistadorzy przygotowali się do ich zagarnięcia. — Zatoczył palcem łuk wokół Zatoki Meksykańskiej. — Hernández de Cordoba zdobył wybrzeże w 1517 roku, a Juan de Grijalva poszedł w jego ślady rok później. W 1519 roku Hernán Cortez zaryzykował i udał się z ekspedycją w głąb kontynentu, no i wiadomo, czym to się skończyło. Natknął się na Azteków i pobił ich dzięki mistrzowskiemu połączeniu siły, zdolności politycznych, zabobonów i najzwyklejszych oszustw. Był to jeden z najbardziej zdumiewających wyczynów w historii.

Ale dokonawszy tego, szybko zorientował się, że są jeszcze inne światy do podbicia. Na południu, na obszarze dzisiejszego Jukatenu, Gwatemali i Hondurasu, znajdowało się kolejne imperium Indian amerykańskich należące do Majów. Ilość złota zdobytego na Aztekach trochę go rozczarowała, ale jeśli wierzyć raportom, które

nadchodziły z południa, to Majowie wprost oczekali złotem. Tak więc w 1525 roku wyruszył przeciwko nim. Punktem wyjścia było Tenochtitlan, obecnie Mexico City, do wybrzeża dotarł tutaj, w Coatzacoalco, następnie przeszedł grzbietem przesmyku do jeziora Peten, a stamtąd do Coban. Cały ten trud nie opłacił mu się zbyt, gdyż główna siedziba Majów wcale nie znajdowała się na płaskowyżu Anahuac, lecz na półwyspie Jukatan.

Pochyliłem się nad jego ramieniem i patrząc na mapę, uważnie słuchałem wyjaśnień.

— Wtedy Cortez zrzekł się funkcji dowodzącego, został bowiem odwołany do Hiszpanii, a kolejną ekspedycję poprowadził Francisco de Monteyo, który już poprzednio penetrował wybrzeże Jukatanu od strony morza. Dysponował dość poważnymi siłami, ale szybko zorientował się, że Majowie to zupełnie inny przeciwnik niż Aztekowie. Stawiali opór, zdecydowany opór, a Monteyo nie był Cortezem, rezultat — Hiszpanie dostali ciężki w kilku pierwszych bitwach.

W tej wyprawie brał udział Manuel de Vivero. Nie przypuszczam, aby był kimś więcej niż zwykłym piechurkiem, ale przytrafiło mu się coś szczególnego. Został ujęty przez Majów, którzy go jednak nie zabili. Zachowali go przy życiu jako swego rodzaju niewolnika i maskotkę.

Monteyo nigdy nie spacyfikował Jukatanu i nie pokonał Majów. Właściwie nikomu się to nie udało. Walki osłabiły ich do pewnego stopnia, odebrano im część terytorium, ale nigdy nie przegrali żadnej bitwy. W 1549 roku, dwadzieścia lat po rozpoczęciu kampanii, Monteyo kontrolował zaledwie połowę Półwyspu Jukatańskiego, i przez cały ten czas de Vivero był jeńcem w interiorze.

Był to okres ciekawy w historii Majów, zdarzyło się bowiem coś, co przez długi czas zdumiewało archeologów. Okazało się, że Hiszpanie i Majowie żyli i pracowali obok siebie we własnych kręgach kulturowych. Znalezione świątynie Majów i hiszpański kościół wybudowane w sąsiedztwie, co więcej, w tym samym czasie. Łamano sobie nad tym głowy, dopóki wypadki nie zostały usystematyzowane w takiej kolejności, w jakiej je teraz przedstawiłem.

W każdym razie Majowie i Hiszpanie żyli tam obok siebie i tylko od czasu do czasu dochodziło do konfliktu. Hiszpanie kontrolowali wschodni Jukatan, gdzie znajdowały się wielkie miasta Majów, Chichén

Itzá i Uxmal, natomiast cała zachodnia część półwyspu, obecnie prowincja Quintana Roo, stanowiła dla nich terra incognita. Zresztą do dnia dzisiejszego teren ten nie jest do końca zbadany. Pomiędzy tymi obszarami musiał jednak istnieć ożywiony handel i de Vivero, mimo że był jeńcem, zdołał jakoś przemycić list do swoich synów. Oto właśnie jest ów list.

Ponownie sięgnął do teczeki.

— Mam tu jego odpis, jeżeli chce go pan przeczytać. Pobieźnie przejrzałem plik papierów, które mi podał.

— Sporo tego — powiedziałem. — Mam to czytać teraz?

— Tak byłoby najlepiej, moglibyśmy nieco szybciej uporać się z resztą spraw. Niczego pan nie zrozumie, dopóki nie przeczyta tego listu.

— W porządku — zgodziłem się. Ale — zabiorę to do gabinetu. Mam nadzieję, że nie pozabijacie się podczas mojej nieobecności?

— Nie będzie kłopotów — powiedziała chłodno Katherine Halstead. Uśmiechnąłem się do niej pogodnie.

— Poproszę panią Edgcombe, by przyniosła wam herbatę, to powinno ostudzić wasze temperamenty. Nikt nie zabija przy filiżance herbaty. To byłby zupełny brak taktu.

Rozdział 10

Synom swoim, Jaime'owi i Juanowi, pozdrowienia przesyła Manuel de Vivero y Castuera, ojciec.

Synowie, przez wiele lat poszukiwałem sposobu, w jaki mógłbym do was przemówić, aby was zapewnić, że jestem bezpieczny w tym pogańskim kraju. Wiele razy próbowałem uciec i tyleż razy zostałem schwytany, dlatego wiem już teraz, że ucieczka z mojej niedoli jest niemożliwa, gdyż obserwują mnie bez przerwy. Ale dzięki tajemnemu fortelowi i przyjaźni dwóch Majów mogę wam przesłać to pismo w nadziei, że serca wasze się rozjaśnią i nie będziecie rozpaczali nade mną niczym nad zmarłym. Lecz musicie wiedzieć, że nigdy już nie wydostanę się z tego kraju ani z tego miasta, zwanego Uaxuanoc, i podobnie jak dzieci Izraela będę więźniem tak długo, jak długo Pan Bóg zechce utrzymać mnie przy życiu. W liście tym złożę wam sprawę z tego, w jaki sposób się tu znalazłem, jak Bóg zachował mnie od śmierci, podczas gdy tylu moich towarzyszy zostało zabitych, i opowiem wam o swoim życiu wśród ludzi z plemienia Majów. Jestem tu już od lat dwunastu i widziałem wiele cudownych rzeczy, gdyż jest to główne miasto Majów, którego wszyscy szukali w Ameryce. Uaxuanoc ma się tak do Tenochtitlan podbitego przez Hernana Corteza, jak Madryt do ostatniej wioski w Huelva, prowincji, skąd wywodzi się nasza rodzina. Byłem z Cortezem, gdy zdobywał Tenochtitlan, widziałem potężnego Montezumę i jego upadek, ale w porównaniu z przeciętnym człowiekiem z Uaxuanoc ten wielki król wydaje mi się teraz zwykłym wieśniakiem.

Musicie wiedzieć, że Roku Pańskiego 1527 pomaszerowałem z Francisco de Monteyo na Jukatan przeciwko Majom. Zajmowałem w oddziale wysoką pozycję, dowodziłem grupą naszych hiszpańskich żołnierzy. Zdanie moje cenił Cortez, znakomity przecież wojownik, miałem także wiele do powiedzenia na naradach u Francisca de Monteyo. Znam więc szczegóły licznych forteli, których użyto w trakcie tej wyprawy. Odkąd żyję wśród Majów i udało mi się ich poznać, mówić ich językiem i myśleć jak oni, zrozumiałem, dlaczego tyle naszych wysiłków poszło na marne.

Francisco de Monteyo był i, mam nadzieję, że jest moim przyjacielem, jednak nie jestem na tyle zaślepiony, by nie dostrzegać teraz jego braków jako żołnierza i męża stanu. Jest on niewątpliwie odważny, ale odwagą odyńca lub byka z kraju Basków, który szarżuje wprost, bez uciekania się do podstępu czy uniku, przez co łatwo go pokonać. Odwaga to u żołnierza jeszcze nie wszystko, moi synowie, musi on być przebiegły, musi umieć tak kłamać, by nawet sami myśleli, że mówi prawdę, jeśli uzna, że to konieczne. Musi też umieć się cofać, by uzyskać przewagę, nie zważając na rady odważniejszych, lecz ostatnich żołnierzy. Musi zastawiać pułapki, aby usidlić przeciwnika. Musi umieć użyć siły wroga przeciwko niemu samemu, tak jak uczynił to Cortez, sprzymierzając się z Tlascalanami przeciwko ludom Meksyku.

Cortez wszystko to wiedział. Odnosił się grzecznie do wszystkich, ale trzymał się swoich planów i szedł własną drogą.

Być może uciekanie się do takich diabelskich wynalazków, jak kłamstwo, szykany i podstęp jest niezgodne z naukami Kościoła Świętego i rzeczywiście zasługiwałoby na potępienie, gdyby stosowane było w walce z innymi chrześcijanami. Ale tu walczymy przeciwko dzieciom samego diabła, kierując przeciw niemu jego własną broń w przekonaniu, iż sprawa nasza jest słuszna i że z pomocą Pana Najwyższego Jezusa Chrystusa moglibyśmy nawrócić tych ciemnych dzikusów na jedynie prawdziwą wiarę.

Francisco de Monteyo nie posiadał jednak i nie posiada przymiotów, które wymieniłem, dlatego jego wysiłki poszły na marne. Nawet teraz, mimo że minęło dwanaście lat od chwili, gdy radośnie wyruszyliśmy na naszą Świętą Krucjatę, Majowie są wciąż tak samo silni, chociaż stracili kilka miast. Nie obwiniałbym jednak o to wszystko Francisca, gdyż jest to najdziwniejszy kraj spośród tych, które widziałem w czasie podróży po Ameryce, gdzie co dnia można zobaczyć dziwne wspaniałe rzeczy.

Jedno wam powiem. Jukatan nie jest podobny do żadnego innego kraju. Hernán Cortez pokonał armię Majów w czasie podróży do El Peten i Hondurasu, ponieważ walczył na wyżynach Anahuac, gdzie teren jest otwarty i wszystkie wspaniałe osiągnięcia sztuki wojennej, w której poczyniliśmy takie postępy, mogły zostać użyte. Ale kiedy dotarliśmy i Monteyo do Jukatana, głównej twierdzy wroga, znaleźliśmy się w zielonej puszczy, w gąszczu drzew tak ogromnym, że mógłby pokryć całą starą Hiszpanię. W takim miejscu nasze konie, które napędniają trwogą ciemnych dzikusów, okazały się zupełnie nieprzydatne. Ale nie poddaliśmy się przygnębieniu, postanowiliśmy użyć ich jako zwierząt jucznych, doznaliśmy jednak bolesnego zawodu, gdyż zaraziły się jakąś chorobą i z dnia na dzień padało ich coraz więcej. Z tych zaś, które ocalały, niewielki był pożytek, bo drzewa rosły tak gęsto, że tylko człowiek mógł się między nimi przecisnąć. W ten oto sposób z najbardziej cenionej przez nas własności stały się przeszkodą w naszej wyprawie.

Kolejnym nieszczęściem tego kraju jest brak wody. Dziwi mnie to, bo przecież rosną tu potężne drzewa i krzewy rozmaitych gatunków. Gdy pada deszcz, co zdarza się nieregularnie, lecz częściej w pewnych porach roku, wówczas wsiąka on od razu w glebę. Nie ma więc w tym kraju strumieni i rzek. Czasami jednak spotyka się sadzawki oraz studnie, które Majowie nazywają cenote. Woda jest w nich świeża i dobra, chociaż nie zasilają jej rwące strumienie, a raczej wypływa z wnętrza ziemi.

Jako że miejsc takich jest w lesie niewiele, Majowie czczą je, budując świątynie, w których zanoszą bałwochwalcze modły do swych bogów z błaganiami o dobrą wodę. Tu także wznoszą zamki i umocnienia, gdy więc maszerowaliśmy z de Monteyem, musieliśmy staczać boje o wodę, która dałaby nam siłę do dalszej walki.

Majowie są uparci i nie dają posłuchu Słowu Bożemu. Nie chcieli słuchać ani Francisca de Monteyo, ani żadnego z jego kapitanów, nie wyłączając mnie, ani nawet dobrych księży z naszej świty, którzy błagali ich w imię Zbawiciela. Odrzucili Słowo Baranka Bożego i stawili zbrojny opór, choć, prawdę mówiąc, od czasu pojmania przekonałem się, że są spokojni i nieskorzy do zwady, jednak w gniewie potrafią być straszni.

Mimo że broń mają nędzną, są to bowiem drewniane miecze z kamiennymi krawędziami i włóczniami z takimiż grotami, stawili nam silny opór, gdyż było ich wielu i znali w tym kraju tajemne ścieżki. Zastawiali na nas pułapki, w których zabito wielu moich towarzyszy, a w jednej z takich potyczek ja, wasz ojciec, ku swojej sromocie zostałem wzięty do niewoli.

Nie mogłem ani dalej walczyć, gdyż wytrącono mi z ręki broń, ani rzucić się na ich miecze i zginąć, bo zostałem spętany linami. Zawieszono mnie przez kręte, leśne ścieżki do obozu ich wojsk, gdzie wielki kacyk przesłuchał mnie dość dokładnie. Język tych ludzi nie różni się zbyt od mowy Tolteków, którą rozumiałem, ale nie dałem tego po sobie poznać i dlatego udało mi się zataić przed nimi położenie naszych sił głównych. Nie mogli też wyciągnąć tego ze mnie za pomocą tortur, ponieważ myślałem, że nie znam ich języka.

Sądzę, że chcieli mnie zabić, ale znajdujący się wśród nich kapłan wskazał na moje włosy. Jak wiecie, mają one kolor dojrzałego zboża, rzecz to dziwna u

Hiszpana, właściwsza mieszkańcom północnych krain.

Tak więc zabrano mnie z tego obozu i odesłano pod strażą do Chichén Itzá. W mieście tym znajduje się ogromna cenote, a „chichén” w języku Majów oznacza wylot studni. Do tej wielkiej sadzawki wrzuca się dziewice, które wędrują do świata podziemi i powracają, opowiadając o dziwach jakie widziały w Hadesie. Z całą pewnością są to pomioty szatana.

W Chichén Itzá widziałem kacyka, wspanialszego nawet niż tamten poprzedni, szlachcica odzianego w wyszywaną spódniczkę i płaszcz z piór. Otaczała go starszyzna i kapłani tego ludu.

Zostałem ponownie przesłuchany, ale też nadaremnie. Tu także duże wrażenie uczyniły moje włosy i wśród starszyzny podniósł się wielki krzyk, że na pewno jestem Kukulkanem. Imię to oznacza białego boga, który miał nadejść z zachodu, a którego Toltekowie znali jako Quetzalcoatl. Domyślcie się zapewne, jak pomocne okazało się to pogańskie wierzenie.

W Chichén Itzá spędziłem miesiąc, bacznie strzeżony w kamiennej celi, ale poza tym nie doznałem żadnej krzywdy. Karmiono mnie regularnie jakimś nie znanym mi zbożem, mięsem oraz gorzkim napojem, zwanym chokolatl.

Po miesiącu ponownie odesłano mnie do ich głównego miasta — Uaxuanoc, gdzie się teraz znajduję. Strzegą mnie już teraz młodzieńcy z zacnych rodów, wspaniale odziani w stroje z haftowanej bawełny i dobrze, jak na ich warunki, uzbrojeni. Nie uważałem ich zbroi za równie dobre jak nasze, żelazne, lecz bez wątplenia wystarczają im, gdy walczą między sobą. W czasie drogi byłem luźno skuty ciężkimi, złotymi łańcuchami, ale poza tym nie uczyniono mi nic złego.

Uaxuanoc to rozległe miasto z wieloma świątyniami i dużymi budowlami. Największą z nich jest świątynia ku czci KUKULKANA. Ozdabia ją Pierzasty Wąż, poświęcony temu bóstwu. Tam też mnie zaprowadzono, by miejscowi kapłani mogli mnie obejrzeć i osądzić, czy rzeczywiście jestem Kukulkanem — ich najwyższym bogiem. Rozgorzał spór: niektórzy twierdzili, że nie mogą nim być, bo dlaczego ich bóg miałby walczyć po stronie wrogów? Inni pytali: „Dlaczego Kukulkan nie miałby przywieźć ze sobą swoich wojowników i pobić nas magiczną bronią, jeśli, być może, naruszyliśmy ustanowione przez niego prawa?” Radzili oni, by raczej wejrzeć we własne serca i poszukać tam grzechu. Byli też tacy, którzy głosili, że nie mogą być Kukulkanem, bo nie mówię ich językiem. Tych znowu pytali drudzy: „Dlaczego bogowie mają mówić językiem ziemskim, skoro między sobą rozmawiają o sprawach, których ludzkimi ustami wymówić nie sposób?”

Podczas tych dyskusji usiłowałem zachować spokój, chociaż cały drżałem. Czyż nie znalazłem się w piekielnych tarapatach? Gdyby orzekli, że nie jestem Kukulkanem, złożono by ze mnie ofiarę w świątyni i zwyczajem Azteków z Tenochtitlan wydarto by z mojego ciała bijące jeszcze serce. Jeżeli jednak uwierzyliby, że jestem ich bogiem, biliby przede mną pokłony i wielbili mnie, a ja, obraziwszy Chrystusa, byłbym przeklęty na wieki i skazany na męki piekielne, żaden bowiem śmiertelnik nie jest godzien, by go wynieść ponad Boga.

Spór swój kapłani rozwiązali w ten sposób, że zaprowadzili mnie przed oblicze króla, by on, najwyższy wśród nich sędzia w sprawach państwowych i religijnych, rozsądził sprawiedliwie wedle ich praw. Pomiędzy Majami wydawał się on postawnym mężczyzną, w naszych oczach jednak nie uchodził za takiego. Miał szlachetne rysy twarzy i przebogate odzienie z błyszczących piór kolibrów oraz mnóstwo złotych ozdób. Zasiadał na złotym tronie, a nad jego głową widniał wizerunek Pierzastego Węża ze złota, drogocennych kamieni i wspaniałego szkliwa.

Król rozkazał, by pozostawiono mnie przy życiu i nauczono języka Majów, abym sam mógł powiedzieć, kim byłem.

Ten wyrok, godny Salomona, tak mnie uradował, że w pierwszej chwili chciałem w podzięcie paść przed nim na kolana. Na szczęście przypomniałem sobie, że nie mogę się zdradzić znajomością języka, którego nauka miała mi zająć długie miesiące lub nawet lata. Dzięki temu fortelowi uratowałem nie tylko swoje życie, ale i duszę.

Zostałem odprowadzony na bok i oddany pod opiekę najstarszemu z kapłanów, który powiódł mnie do wielkiej świątyni, gdzie zamieszkałem między kapłanami. Wkrótce zorientowałem się, że mogę wychodzić do miasta i wracać, kiedy tylko mam na to ochotę, choć zawsze towarzyszyło mi dwóch szlachetnie urodzonych strażników i podzwanianie złotych kajdan, którymi byłem skuty. Wiele lat później odkryłem, że kapłani dali mi taką swobodę w obawie przed tym, że mógłbym naprawdę okazać się Kukulkanem, a będąc więzionym, domagałbym się później zemsty. Jeśli chodzi o złote łańcuchy, to czyż złoto nie było metalem bogów? Być może złoto nie uraziłoby Kukulkana, gdybym nim był rzeczywiście. Sam król nosił złote łańcuchy, chociaż go nie zakuto. Tak oto rozumowali kapłani w obawie, by nie popaść w niełasę na wypadek pomyłki.

Kapłani uczyli mnie swojego języka, ale ku wielkiemu rozczarowaniu nauka szła mi opornie i ciągnęła się miesiącami, gdyż język mój był niechętny, a i mowa kulą. W tym czasie widziałem wiele ohydnych scen w wielkiej świątyni. Młodzieńców składano w ofierze Kukulkanowi, ich ciała nacierano pachnącymi olejami, a głowy zdobiono girlandami kwiatów. Szli dobrowolnie ku splamionemu krwią ołtarzowi. Tam już czekali na nich kapłani, by wyrwać im serce i podsunąć je przed zachodzące mgłą oczy. Zmuszono mnie do uczestnictwa w tych bluźnierczych ceremoniach u stóp posągu Pierzastego Węża. Moi strażnicy przytrzymywali mnie za ręce, bym nie mógł uciec. Za każdym razem zaciskałem oczy i modliłem się do Chrystusa i Matki Najświętszej, by wyzwolili mnie od tej strasznej doli, na którą zostałem skazany.

Innego rodzaju ofiary składano przy dużej cenote pośrodku miasta. Wyniosłość terenu rozdziela miasto na część wschodnią i zachodnią. Na szczycie tej wyniosłości znajduje się świątynia Yum Chaca, boga deszczu, którego pałac, jak wierzą ci głupi ludzie, jest na dnie cenoty. W czasie ceremonii ku czci Yum Chaca dziewczęta są zrzucane ze świątyni do głębokiego stawu u stóp zbocza i znikają w odmętach wody. Na szczęście nie brałem udziału w tych niegodziwościach.

Po pewnym czasie znalazłem wreszcie ucieczkę od strasznych problemów, z którymi się borykałem. Musicie wiedzieć, że Majowie są dobrymi rzemieślnikami w kamieniu i złocie, chociaż większość ich prac polega na wykonywaniu pogańskich bożków, zajęciu niegodnym rąk chrześcijanina.

Synowie, wasz dziadek, a mój ojciec, był złotnikiem w Sewilli i gdy zostałem chłopcem, uczyłem się zawodu na jego kolanach. Zauważyłem, że Majowie nie znają wielu sposobów wykorzystania wosku, który powszechnie jest stosowany w Hiszpanii. Poprosiłem więc kapłanów o złoto i pszczeli wosk oraz palenisko do przetopienia złota.

Porozumieli się między sobą, dostarczyli mi tego, czego żądałem, i uważnie obserwowali moją robotę. Była tam dziewczyna najwyżej czternastoletnia, która usługiwała mi na kwaterze i dbała o moje wygody. Pod baczny okiem kapłanów, obawiających się zapewne czarów, zrobiłem jej figurkę z wosku. Majowie nie znają gipsu, musiałem więc użyć miękkiej gliny do pokrycia statuetki i wykonania u góry wlewu na złoto.

Pozwolono mi korzystać z kuźni, która znajdowała się w świątyni. Kapłani aż krzyknęli ze zdumienia, gdy wlałem do otworu roztopione złoto, a gorący wosk trysnął przez otwór wentylacyjny. A ja pocilem się z obawy, czy gliniana forma nie

pęknie. Wytrzymała jednak i byłem nawet dosyć zadowolony z małej figurki, którą kapłani zabrali przed oblicze króla i powiedzieli mu, jak została zrobiona.

Od tamtej pory wykonałem wiele przedmiotów ze złota, ale nigdy nie były to posągi bożków ani też żadne inne rzeczy używane w świątyni. Król rozkazał, bym nauczył jego kowali nowej sztuki robienia przedmiotów ze złota. Tak też uczyniłem, a mnóstwo wielkich kacyków tego kraju przybywało i zamawiało u mnie biżuterię.

Nadszedł wreszcie dzień, gdy już dłużej nie mogłem ukrywać faktu, że poznałem ich język. Kapłani zaprowadzili mnie do króla, by wydał wyrok, a on kazał mi własnymi słowami powiedzieć, kim jestem. Rzekłem szczerze, że nie jestem żadnym Kukulkanem, ale szlachcicem z kraju na wschodzie i wiernym poddanym wielkiego imperatora Karola V Hiszpańskiego, który rozkazał mi przybyć do Majów i szerzyć wśród nich naukę Chrystusa.

Kapłani poszeptali między sobą i zaczęli przekonywać króla, że bogowie Majów są dość silni, dlatego nie potrzebują innego, a ja powinienem zostać złożony w ofierze w świątyni Kukulkana za bluźnierstwo. Wtedy śmiało zwróciłem się wprost do króla i zapytałem, czy zabiłby człowieka takiego jak ja, który mógłby nauczyć jego kowali wielu dziwów, by królestwo, którym włada, było bogatsze w ozdoby od innych.

Król uśmiechnął się do mnie i zawyrokował, że nie zostanę złożony w ofierze, lecz otrzymam dom i służbę, a w zamian za to nauczę swojej sztuki wszystkich kowali tego kraju na pożytek całego królestwa. Zabronił mi jednak szerzenia słowa Chrystusa owego pod groźbą śmierci. To ostatnie rzeki pewnie po to, by zadowolić kapłanów Kukulkana. Dano mi zatem dom z kuźnią i wieloma służącymi, kowale z całego kraju przybywali i siadali u mych stóp, a mnie rozkuto z łańcuchów.

Dwukrotnie później uciekałem, ale zgubiłem się w wielkim lesie, gdzie żołnierze królewscy odnaleźli mnie i przywiedli z powrotem do Uaxuanoc. Król okazał mi jednak miłosierdzie i nie ukarał mnie.

Ale kiedy zbiegłem po raz trzeci i znów przyprowadzono mnie do miasta, nachmurzył się i rzekł, że jego cierpliwość się już kończy i jeśli ucieknę raz jeszcze, to zostanę ofiarowany Kukulkanowi. Z konieczności więc musiałem tego zaniechać i pogodzić się z życiem w niewoli.

Jestem tu już, moi synowie, dwanaście długich lat i stałem się dla tych ludzi jednym z nich, z tą różnicą, że straż stoi wciąż przed domem i eskorta towarzyszy mi, gdy idę na targowisko. Nie chodzę do tutejszej świątyni, natomiast w domu zrobiłem sobie kapliczkę Jezusa i Matki Najświętszej, gdzie modłę się codziennie i nikt mi w tym nie przeszkadza, gdyż król powiedział: „Pozwólmymy każdemu modlić się do bogów jego serca”. Nie pozwoli! mi jednak głosić prawdziwej wiary w mieście, a ja podporządkowałem się temu zakazowi z obawy przed śmiercią i wstydem się z tego powodu.

Uaxuanoc jest wielkim i pięknym miastem, gdzie wszystko aż kapie od złota. Nawet rynny odprowadzające wodę deszczową z dachów świątyni do cystern są ze złota. Ja sam używam w kuchni złotych łyżek, pod tym względem jestem bogatszy od każdego króla w chrześcijańskim świecie. Wydaje mi się, że Majowie wyszli z łądzwi tych starożytnych Egipcjan, którzy więzili Izraelitów, gdyż ich świątynie są bardzo podobne do egipskich piramid, jeśli wierzyć opisom pewnego podróżnika, który był w tamtych stronach. Jedynie pałac królewski jest budowlą wzniesioną na planie kwadratu wyłożoną w środku i na zewnątrz złotymi płytami, złote są nawet posadzki. Ludzie ci doskonale opanowali sztukę emaliowania, ale używają jej w bluźnierczych celach, a mianowicie, by zdobić swoich bożków, robią również dużo pięknej biżuterii. Nawet zwykli ludzie noszą tu złoto i emaliowane ozdoby.

Życie wiodę lekkie, cieszę się bowiem wielkim szacunkiem za moją pracę w

kuźni, a ponadto pozyskałem względy króla, który obdarowuje mnie prezentami, ilekroć zadowolę go moimi wyrobami. Często jednak płaczę po nocach, marząc o tym, by znów być w Hiszpanii, choćby w zwykłej tawernie Kadyksu, wypełnionej muzyką i śpiewem, gdyż Majowie mają bardzo mizerne pojęcie o muzyce, nie znają innych instrumentów prócz fujarki i bębna, a ja nie posiadam nijakiej wiedzy o sztuce muzykowania, by móc ich w tej mierze czegoś nauczyć.

Ale mówię wam, moi synowie, że Bóg dotknął Swym Palcem tej ziemi i z pewnością pragnie, by włączyć jej mieszkańców do Owczarni Chrystusa. Widziałem tu bowiem cud nad cudami, rzecz tak niepojętą, że dla wszystkich powinna być widowym świadectwem tego, że łagodna Dłoń Chrystusa obejmuje cały świat i żadnego zakątka nie pomija. Widziałem ten znak wypisany rozpalonym złotem na zboczu złotej góry, leżącej o krok od centrum miasta, a świeci on w wieczystej chwale jaśniej niż złoty pałac króla Majów. Musi on oznaczać, że chrześcijanie posiadają ten kraj na własność, niewierni zostaną pognębieni, a poddani Chrystusa obalą kiedyś posągi bogów w świątyniach, zedrą złoto z dachów i wezmą w posiadanie złotą górę z płonącym znakiem – cudem, który wszystkie oczy powinny zobaczyć.

Dlatego też, moi synowie, Jaimie i Juanie, czytajcie uważnie ten list, gdyż moim życzeniem jest, by chwała ta przypadła rodzinie de Viverów, która skutkiem tego zostanie wywyższona.

Wiecie, że nasza rodzina wywodzi się ze starego hiszpańskiego rodu, który padł ofiarą Maurów, że majątki nasze przepadły, a dziedzice świetnego nazwiska musieli zająć się najzwyklejszym rzemiosłem. Mój ojciec był złotnikiem, co, chwała Bogu, uratowało duszę moją w tym kraju.

Kiedy przepędzono z Hiszpanii niewiernych Maurów, nasz los odmienił się. Dzięki spuściźnie po ojcu mogłem kupić ziemię w prowincji Huelva i stać się alkadem. Spoglądałem jednak ku dalekim, nie znanym krainom leżącym na zachodzie i myślałem, że można by je ujarzmić, osiąść w nich jako gubernator nowych prowincji królewskich i przekazać wam, moi synowie, o wiele większe dziedzictwo.

Tak więc przybyłem z Hernanem Cortezem do Meksyku. Ktokolwiek zajmie miasto Uaxuanoc, posiadzie też złotą górę, o której pisałem, a imię jego rozbrzmiewać będzie w całym chrześcijańskim świecie. Zasiądzie on po prawicy królów i cieszyć się będzie większym niż inni szacunkiem. Moim zaś życzeniem jest, by człowiek ten nosił nazwisko de Vivero.

Ale smuciło mnie, gdy synowie moi żyli w niezgodzie jak niegdyś Kain i Abel, gdy walczyli ze sobą z błahego powodu, przynosząc tym wstyd nazwisku, zamiast zjednoczyć się dla dobra rodziny. Przeto wzywam was w imię Boga – bądźcie zgodni! Ty, Jaimie, zawsze prosz o przebaczenie swojego brata za grzechy popełnione przeciw niemu, a ty, Juanie, czyn podobnie i wtedy pojednani pracujcie dla tej samej sprawy, to znaczy zdobycia miasta i złotej góry z jej cudownym znakiem.

Wraz z tym listem przesyłam wam podarunki, dla każdego jeden. Te przedmioty zostały wykonane tym wspaniałym sposobem, jakiego nauczył mojego ojca przybysz ze Wschodu, przywieziony do Kordoby przez Maurów wiele lat temu, o którym wam opowiadałem. Niech łuski wrogości spadną z waszych oczu i pozwolą wam właściwie spojrzeć na te dary. A to, co zobaczycie, sprawi, że nazwisko de Vivero rozbrzmiewać będzie w chrześcijańskim świecie po wsze czasy.

Ludzie, którzy przywiozł wam tę przesyłkę, są Majami, ochrzczonymi przeze mnie potajemnie wbrew zakazowi króla. Nauczyłem ich mowy hiszpańskiej, by łatwiej było im was odszukać. Potraktujcie ich dobrze i wynagrodźcie, gdyż są

odważnymi, prawymi chrześcijanami i zasługują na dużą nagrodę za okazaną pomoc.

Idźcie z Bogiem, moi synowie, i nie obawiajcie się pułapek zastawionych przez wrogów w tym lesistym kraju. Pamiętajcie, co mówiłem wam o przymiotach dobrego żołnierza, pewnie zwyciężajcie w bitwach, pokonujcie niegodziwość pogan, a zdobędziecie ten kraj wraz z jego wspaniałościami i nazwisko de Vivero uczynicie wielkim na zawsze.

Być może nie będę już żył, gdy tego dokonacie. Król Majów starzeje się, a jego następca jest dla mnie o wiele mniej łaskawy, ponieważ ulega wpływom kapłanów Kukulkana. Ale módlcie się za mnie i za moją duszę, gdyż obawiam się, że oczekuje mnie długi pobyt w czyścicu za mą lękliwość i wahanie w nawracaniu tych ludzi na prawdziwą wiarę. Jestem tylko bojaźliwym śmiertelnikiem, módlcie się więc, moi synowie, za swego ojca i zamówcie msze za jego duszę.

Napisane w miesiącu kwietniu Roku Pańskiego 1539.

*Manuel de Vivero y
Castuera
Alkad w Hiszpanii
Przyjaciel Hernana
Corteza
i Francisca de Monteyo.*

Rozdział 11

Włożyłem odpis listu de Vivera do teczki i przez moment siedziałem, rozmyślając o tym dawno zmarłym człowieku, który spędził życie w niewoli. Co się z nim stało? Czy został złożony w ofierze, gdy umarł stary król? A może przy odrobinie pomysłowości udało mu się przechytryć Majów i pozwolili mu żyć?

Jakim dziwnym wydawał mi się człowiekiem, gdy myślałem o nim w naszych współczesnych kategoriach. Jego szacunek do Majów miał w sobie coś z respektu, jaki się czuje do lwa: „To zwierzę jest niebezpieczne, broni się, gdy je zaatakować”. Według mnie trąciło to hipokryzją, ale zdawałem sobie sprawę, że de Vivero został wychowany w duchu innych tradycji. Nie dostrzegał sprzeczności między nawracaniem pogan a jednoczesnym ograbianiem ich, dla niego było to czymś tak naturalnym jak oddychanie.

Niewątpliwie był odważnym i mocnym człowiekiem, miałem więc nadzieję, że doczekał śmierci, nie dręcząc się myślami o czyścicu i piekle.

W salonie panowała napięta atmosfera i gdy tam wszedłem, wiedziałem od razu, że ptaszki w małym gniazdku nie pogodziły się. Rzuciłem dokumenty na biurko i oznajmiłem:

— W porządku, przeczytałem.

— Jakie wyciągnął pan wnioski? — spytał Fallon.

— Był dobrym człowiekiem.

— To chyba nie wszystko?

— Doskonale pan wie, że to nie wszystko — powiedziałem bez zapalczywości. — Widzę problem wyraźnie. Czy mam rację, mówiąc, że to miasto Uax... Uax... Uaxna... — jąkałem się bezradnie.

— Łasz-łan-ok — powiedział niespodziewanie Fallon. — Tak się to wymawia.

— ...w każdym razie nie zostało ono jeszcze odkryte przez archeologów?

— Punkt dla pana — zgodził się Fallon. Postukał palcem w teczkę i dodał z naciskiem: — Według de Vivera Uaxuanoc było większe niż Chichón Itzá i Uxmal, a te miasta są rzeczywiście duże. Stanowiło centrum cywilizacji Majów, człowiek zatem, który je odnajdzie, zdobędzie cholerną sławę. Będzie mógł dać odpowiedź na wiele do tej pory retorycznych pytań.

— Zgadza się pan? — zwróciłem się do Halsteada. Popatrzył na mnie z błyskiem w oczach.

— Niech pan nie zadaje głupich pytań. Oczywiście, że się zgadzam. Jest to chyba jedyna sprawa, na której temat mamy z Fallonem takie samo zdanie.

— I rywalizujecie, wypruwając z siebie flaki, żeby dotrzeć tam przed przeciwnikiem. Mój Boże, jakież wspaniały komentarz do dziejów nauki!

— Chwileczkę — ostro przerwał Fallon — prawda jest trochę inna. W porządku, chcę tam być przed Halsteadem, ale tylko dlatego, że nie ufam mu w czymś tak ważnym jak to. Jest zbyt niecierpliwy, zbyt spragniony ważnego odkrycia. Będzie chciał szybko wyrobić sobie markę, znam go przecież nie od dzisiaj, a tak właśnie niszczy się wiele cennych znalezisk.

Wbrew moim oczekiwaniom Halstead nie podjął wyzwania. Spojrzał tylko na mnie z ironią.

— Oto ma pan świetny przykład etyki zawodowej — rzekł z sarkazmem. — Fallon jest gotów niszczyć reputację każdego, jeśli to tylko pomoże mu osiągnąć cel. — Pochylił się do przodu i zwrócił się bezpośrednio do Fallona. — Nie sędzę, abyś chciał zdobyć jeszcze większą sławę przez odkrycie Uaxuanoc?

— Nie muszę. Moja pozycja jest już ugruntowana — odpowiedział Fallon

łagodnie — jestem już na szczycie.

— I wciąż się boisz, że ktoś okaże się lepszy — wtrącił zjadliwie Halstead.

Miałem już serdecznie dosyć przysłuchiwania się tym słownym rozgrywkom i właśnie chciałem to powiedzieć, kiedy do rozmowy wtrąciła się Katherine Halstead.

— A profesor Fallon ma szczególne sposoby zabezpieczania swojej pozycji.

— Mogłaby to pani wyjaśnić? — zapytałem z ciekawości.

— Ukradł oryginał listu Vivera — uśmiechnęła się.

— A więc znów do tego wróciliśmy — odezwał się zdeglustowany

Fallon. — Przecież mówiłem, że kupiłem go od Gerrysona w Nowym Jorku i mogę to udowodnić.

— Skończcie już — przerwałem im. — Mam dosyć tych waszych wzajemnych oskarżeń, przejdźmy wreszcie do rzeczy. Jeżeli dobrze zrozumiałem, stary de Vivero przesłał list i podarunki swoim synom. Sądziacie, że tymi podarunkami były dwie złote tace, na których znajduje się wskazówka prowadząca do Uaxuanoc. Zgadza się?

Fallon skinął głową i zabrał dokumenty.

— W Uaxuanoc było diabelnie dużo złota, de Vivero wspomina o tym co chwila i zupełnie jasno mówi, że chce, by jego synowie przewodzili podziałowi tego bogactwa. Jedyną rzeczą, której nie zrobił, a którą, logicznie rozumując, powinien był zrobić, to wskazać im drogę do tego miasta. Zamiast tego przesłał im podarunki.

— Jestem pewien, że mogę to wytłumaczyć równie dobrze jak Fallon — Halstead przerwał mu. — Życie rodziny Viverów nie było zbyt szczęśliwe. Wygląda na to, że bracia nie pałali do siebie zbyt miłością, a ojciec, rzecz jasna, nie był z tego zadowolony. To chyba zupełnie logiczne, że w takiej sytuacji każdemu z nich dostała się tylko połowa informacji i dopiero po połączeniu obu części można było odczytać właściwy sens. Bracia musieliby pracować razem. — Rozłożył ramiona. — Informacji nie było w liście, musiały je więc zawierać dary, czyli tace.

— Doszedłem do takich samych wniosków — powiedział Fallon. — Wyruszyłem więc na poszukiwanie tac. Wiedziałem, że taca meksykańskich de Viverów istniała jeszcze w 1782 roku, gdyż wtedy właśnie pisał o niej Murville. Zacząłem więc ją tropić od tego momentu.

Halstead, słysząc to, zachichotał, a Fallon dodał rozdrażnionym głosem:

— W porządku, zrobiłem z siebie cholernego głupca. — Odwrócił się do mnie i powiedział z bladym uśmiechem. — Uganiałem się po całym Meksyku, aż w końcu znalazłem ją we własnym muzeum. Przez cały czas należała do mnie.

Halstead roześmiał się głośno.

— W tym cię pobiliem. Wcześniej od ciebie wiedziałem, że tam jest. — Uśmiech znikł z jego twarzy. — A potem wycofałeś ją z publicznej wystawy. — Z irytacją potrząsnął głową.

— Jak, u diabła, mógł pan mieć coś takiego i nie wiedzieć o tym? — dopytywałem się.

— Pana rodzina też miała tacę — zauważył Fallon rozsądnie — tyle że mój przypadek był nieco inny. Zawiązałem trust, który między innymi prowadzi muzeum. Nie jestem osobiście odpowiedzialny za każdy nowy nabytek ani też nie znam wszystkich pozycji w katalogu. Tak czy owak muzeum było w posiadaniu tacy.

— To jest jedna. A co z drugą?

— To okazało się trudniejsze, prawda, Paul? — spojrzał na Halsteda. — Manuel de Vivero miał dwóch synów, Jaime'a i Juana. Jaime pozostał w Meksyku i założył meksykańską gałąź rodziny de Viverów, o nich już wiesz. Ale Juan miał Ameryki powyżej uszu i wrócił do Hiszpanii. Zabrał ze sobą spory majątek i został alka-dem, tak jak jego ojciec. To rodzaj posiadacza ziemskiego, który sprawuje urząd sędziego pokoju. Jego syn, Miguel, był jeszcze zamożniejszym człowiekiem, który został

bogatym armatorem statków.

Doszło w tym samym czasie do konfliktu pomiędzy Hiszpanią a Anglią. Filip II Hiszpański postanowił go definitywnie zakończyć i przystąpić do budowania armady. Miguel de Vivero ofiarował statek, „San Juan de Huelva”, i sam został jego kapitanem. Okręt pożeglował wraz z armadą i nigdy już nie powrócił ani on, ani jego kapitan. Rodzinny interes nie zaginął jednak wraz z Miguelem, przechodził z pokolenia na pokolenie i przetrwał długi czas aż do końca osiemnastego wieku. Na szczęście rodzina de Viverów miała zwyczaj prowadzenia zapisków. Dzięki temu dotarłem do istotnej informacji. Miguel napisał list do swojej żony, prosząc, by przesłała mu tacę, „którą mój dziadek wykonał w Meksyku”. Taca znalazła się wraz z nim na okręcie, kiedy armada pożeglowała w stronę Anglii. Sądziłem wówczas, że cała sprawa jest już zakończona.

— Dotarłem do tego listu przed tobą — powiedział Halstead z widoczną satysfakcją.

— Brzmi to jak skrzyżowanie układanki z opowiadaniem detektywistycznym. — Wolałem już w zarodku *zażegnać* kolejną słowną utarczkę. — Co wtedy pan zrobił?

— Przyjechałem do Anglii — rzekł Fallon. — Nawet nie po to, by szukać tacy, myślałem, że leży gdzieś na dnie morza, ale po prostu na wakacje. Bawiłem u mojego kolegi w Oxfordzie i przypadkowo wspomniałem o swoich poszukiwaniach w Hiszpanii. Jeden z wykładowców, nudna jak flaki z olejem uczona postać, powiedział mi, że przypomina sobie coś niecoś na temat z korespondencji Herricka.

— Tego poety? — Zdumiony spojrzałem na Fallona.

— Zgadza się. Był proboszczem w Dean Prior, niedaleko stąd. Ktoś o nazwisku Goosan napisał do niego list. Goosan był miejscowym kupcem, szarym człowiekiem, i jego list nigdy by nie przetrwał, gdyby nie był adresowany do Herricka.

Halstead stał się czujny.

— Nie wiedziałem o tym — powiedział. — Mów dalej.

— Doprawdy, to już nie ma znaczenia — odezwał się zmęczonym głosem Fallon. — Wiem, gdzie taca jest teraz.

— Ale to bardzo ciekawe — zaprotestowałem.

Fallon wzruszył ramionami.

— Herrick był śmiertelnie znudzony wiejskim życiem, jednak musiał siedzieć w Dean Prior. Nie miał zbyt dużo roboty, więc przypuszczam, że bardziej zajmował się swoimi parafianami niż zwykły, ospały i gamoniowaty prowincjonalny księżulo. Z pewnością zainteresował się Goosanem i poprosił go, by przelał na papier to, co poprzednio opowiadał. Żeby zbytnio nie przedłużać, powiem wam od razu, że początkowo nazywał się Guzman, a jego dziadek był żeglarzem na „San Juanie”. Przeżył diabelnie ciężkie chwile podczas ataku na Anglię, gdy w następstwie całej serii nieszczęśliwych wypadków statek zatonął w czasie sztormu koło Start Point. Kapitan Miguel de Vivero umarł już wcześniej na gorączkę okrętową, to znaczy na tyfus, a kiedy Guzman wyszedł na brzeg, miał ze sobą tę cholerną tacę jako część swego osobistego majątku. Jego wnuk, właśnie ten Goosan, który był autorem listu, pokazywał ją nawet Herrickowi. Jak twoja rodzina weszła w jej posiadanie, tego już nie wiem.

— Dlatego byłeś taki rozbawiony, gdy wysłałem cię na rozmowę z Dave'em Goosanem — powiedziałem z uśmiechem.

— Był to dla mnie pewnego rodzaju szok — przyznał Fallon.

— Nic nie wiedziałem o Herricku — wtrącił Halstead. — Po prostu szedłem śladami armady, próbując odkryć miejsce zatonięcia „San Juana”. Byłem właśnie w Plymouth, kiedy zobaczyłem fotografię tacy w gazecie.

— Czysty przypadek — skomentował Fallon. Halstead popatrzył na niego

ironicznie.

— Ja jednak byłem tu pierwszy.

— Tak, byłeś — powiedziałem wolno. — I potem mój brat został zamordowany.

— Co chcesz, do diabła, przez to powiedzieć?! — wybuchnął.

— Po prostu wygłosiłem zgodną z prawdą uwagę. Znałeś Victora Niscemiego?

— Nie słyszałem o nim aż do chwili śledztwa. Nie sądzę, Wheale, aby podobał mi się tok twojego rozumowania.

— Ani mnie — poparłem go gorzko. — Zostawmy to. Na razie. Profesorze Fallon, poddał pan chyba swoją tacę wszechstronnym badaniom. Co pan znalazł?

Chrząknął.

— Nie jestem przygotowany, by dyskutować na ten temat w obecności Halsteada. Już wystarczająco dużo wyciągnęliście ze mnie. — Przez chwilę milczał, po czym westchnął. — W porządku, prawdę mówiąc, niczego nie odkryłem. Przypuszczam, że cokolwiek to jest, wyjdzie na jaw dopiero wtedy, gdy obejrzy się obie tace jednocześnie. Mam już tego chyba dosyć. — Powstał. — Niedawno zaproponował pan Halsteadowi, żeby się pogodził albo zamknął. Teraz ja proponuję to samo. Ile chce pan za tacę? Proszę wymienić cenę i zaraz wypiszę czek.

— Nie wystarczy panu pieniędzy, by zapłacić tyle, ile zażądam — odparłem tak zdecydowanie, że zaskoczony aż zamrugnął oczami. — Powiedziałem już, że należność niekoniecznie musi być w gotówce. A teraz proszę usiąść i słuchać, co ja mam do powiedzenia.

Fallon powoli usiadł, nie spuszczać ze mnie wzroku. Spojrzałem na Halsteada i jego żonę, prawie niewidocznych w gęstniejącym mroku.

— Stawiam trzy warunki i wszystkie muszą zostać spełnione, jeśli mam się rozstać z tacą. Czy to jest jasne?

Fallon mruknął, co uznałem za zgodę. Halstead popatrzył na mnie z napięciem, po czym sztywno skinął głową.

— Profesor Fallon ma dużo pieniędzy, które będą bardzo przydatne. Dlatego też finansuje koszty każdej ekspedycji zorganizowanej w celu odnalezienia miasta Uaxuanoc. Nie możesz mieć chyba żadnych obiekcji, Fallon, zrobiłbyś to i tak w każdym innym przypadku. Ale ja będę uczestniczył w wyprawie. Zgoda?

Fallon spojrzał na mnie z namysłem.

— Nie wiem, czy to wytrzymasz — powiedział nieco pogardliwie. — To nie to samo, co przejażdżka do Dartmoor.

— Nie daję ci wyboru, tylko ultimatum.

— W porządku, martw się sam o swoją skórę.

— Drugi warunek to wasze zobowiązanie się do udzielenia mi maksymalnej pomocy w dotarciu do prawdy o śmierci mojego brata.

— Czy nie będzie to kolidowało z twoją wycieczką na Jukatán? — zapytał.

— Nie sądzę. Myślę, że ktoś, kto pragnie tacy do tego stopnia, by wysłać po nią człowieka uzbrojonego w obrzynek, zna także jej tajemnicę. Możliwe więc, że spotkamy go na Jukatanie. Kto wie?

— Podejrzewam, że zwariowałeś. Ale pójdę na to. Zgadzam się.

— Dobrze — powiedziałem uprzejmie, przygotowując się do ugodzenia go harpunem. — Trzeci warunek, Halstead jedzie z nami. Fallon wyprostował się, jakby połknął kij, i ryknął:

— Diabli mnie porwą, jeśli zabiorę tego sukinsyna! Halstead poderwał się z krzesła.

— Już po raz drugi tak mnie dzisiaj nazwałeś. Powinienem cię zdzielić w ten...

— Spokój! — wrzasnąłem. Przerzywając nagłą ciszę, która nastąpiła, powiedziałem: — Niedobrze mi się robi na wasz widok. Całe popołudnie jeden

drugiego usiłuje załatwić. Jak dotychczas spisaliście się świetnie w swoich poszukiwaniach, dotarliście jednocześnie do tego samego punktu. Obaj wysunęliście w stosunku do siebie identyczne zarzuty, więc pod tym względem też jesteście zgodni.

Słowa moje nie przekonały Fallona, zwróciłem się więc do niego:

— Spójrz na to inaczej. Jeżeli obaj połączymy się, to wiesz, co się stanie. Halstead, tak czy inaczej, będzie plątał się gdzieś w pobliżu. Jest równie nieustępliwy jak ty i podąży naszym śladem, gdziekolwiek się udamy. Ale w zasadzie nie ma sprawy. Powiedziałem, że wszystkie trzy warunki muszą być spełnione i, na Boga, jeśli się na ten nie zgodzisz, dam swoją tacę Halsteadowi. Tym sposobem każdy z was będzie miał jedną i wystartujecie z tego samego punktu do następnej rundy w tej akademickiej wojnie podjazdowej. No więc, zgadzasz się czy nie?

Twarz Fallona odzwierciedlała wewnętrzną walkę, wreszcie ze smutkiem skinął głową i wyszeptał:

— Zgadzam się.

— Halstead?

— Ja również.

— Gdzie jest taca? — zapytali obaj równocześnie.

Rozdział 12

Mexico City pulsowało upalnym latem i entuzjazmem wywołanym igrzyskami olimpijskimi.

Hotele niemal pękały w szwach, ale na szczęście Fallon był właścicielem leżącego tuż pod miastem wiejskiego domu, który uczyniliśmy naszą główną kwaterą. Halsteadowie również posiadali dom w Mexico City, jednak najczęściej przebywali w posiadłości Fallona.

Muszę przyznać, że Fallon, gdy raz zdecydował się działać, robił to błyskawicznie. Niczym dobry generał dowodził swoją armią, balansując na granicy katastrofy. Wydał okrągłą sumkę na rozmowy telefoniczne, w rezultacie których nastąpiła koncentracja naszych sił w Mexico City.

Ja także zostałem zmuszony do podjęcia szybkiej decyzji. Miałem przecież dobrą pracę i nie chciałem z niej pochopnie zrezygnować, ale Fallon naglił. Zobaczyłem się ze swoim szefem i gdy powiedziałem mu o śmierci Boba, był na tyle łaskawy, że zgodził się na udzielenie mi półrocznego urlopu. Wbiłem mu do głowy, że chodzi o uporządkowanie spraw farmy, w czym trochę przesadziłem, choć wyjazd na Jukatan można było, przynajmniej według mnie, także potraktować jako pewnego rodzaju troskę o spadek po Bobie.

Fallon użył nawet takich środków, które są dostępne tylko za grube pieniądze.

— Wielkie korporacje mają duże problemy z ochroną tajemnic służbowych — powiedział. — Utrzymują więc własne służby bezpieczeństwa, równie dobre jak policja, a w większości wypadków nawet lepsze. Płaca jest wyższa. Kazałem sprawdzić Niscemiego własnymi siłami.

Słowa Fallona wprawiły mnie w osłupienie. Jak większość ludzi traktowałem milionerów jak właścicieli majątków, nigdy jednak nie przyszło mi do głowy spojrzeć na nich inaczej i pomyśleć o władzy i wpływach, które dają pieniądze. To, że człowiek może podnieść słuchawkę i uruchomić prywatne siły policyjne, otworzyło mi oczy na wiele spraw i zmusiło do zastanowienia.

Dom Fallona był duży i chłodny. Wybudowano go na czternastu akrach wypięszonego terenu. Spokojna i nie rzucająca się w oczy służba zaczynała działać natychmiast, gdy tylko właściciel przekroczył próg. Bezszelestnie pojawiała się i znikwała, jeśli przestawała być potrzebna. Muszę przyznać, że pogrążyłem się w tym sybaryckim luksusie bez skrupułów.

Taca Fallona, ku jego wielkiemu rozczarowaniu, nie nadeszła jeszcze z Nowego Jorku i masę czasu spędzał teraz z Halsteadem, sprzecząc się na tematy archeologiczne. Byłem zadowolony, że ich dyskusje nie przybierają już charakteru osobistego i ograniczają się do spraw zawodowych. Myślę, że było to zasługą Katherine Halstead, która utrzymywała swojego męża w ryzach.

Na drugi dzień po naszym przyjeździe pogrążyli się w dyskusji bez reszty.

— Według mnie stary cle Vivero był okropnym kłamcą — powiedział Halstead.

— Oczywiście, że tak — odparł Fallon ugodowo. — Ale nie o to teraz chodzi. Pisz, że zabrano go do Chichén Itzá...

— A ja twierdzę — wpadł mu w słowo Halstead — że to niemożliwe. Nowe imperium rozpadło się dużo wcześniej. Chichén Itzá zostało opuszczone, kiedy Hunac Celi wypędził Itzów. To było wymarłe miasto.

Fallon przerwał zniecierpliwiony. — Nie patrz na to ze swego punktu widzenia, spróbuj zobaczyć to tak jak Vivero. Napisał tylko, że został zabrany do Chichén Itzá. Masz tutaj do czynienia z szeregowym, prostym żołnierzem, pozbawionym możliwości perspektywicznego oglądania faktów i zdarzeń, którą my mamy. Mówi, że został

zabrany do Chichén Itzá. Zresztą wymienia nazwę. To jedna z dwóch nazw, jakie podaje w rękopisie. Nie interesuje go, czy ty pomyślisz, że Chichén Itzá było zamieszkane, czy nie, twierdził tylko, iż został tam zabrany — urwał. — Oczywiście, jeśli masz rację, oznacza to, że list Vivera jest współczesną blagą, a my wszyscy gonimy w piętkę.

— Nie sędzę, żeby to była blaga — zaproponował Halstead. — Po prostu wydaje mi się, że Vivero był skończonym kłamcą.

— Też tak myślę. Poza tym potwierdzono przecież autentyczność listu. — Fallon przeszedł przez pokój i otworzył szufladę biurka. — Oto raport w tej sprawie.

Podał jakieś papiery Halsteadowi, który przejrzał je dokładnie i odłożył na stolik. Sięgnąłem po nie i ujrzałem mnóstwo tabel i wykresów. Zasadnicza treść dokumentu znajdowała się na ostatniej stronie, pod nagłówkiem „Wnioski”. Przeczytałem je: „Dokument wydaje się autentyczny pod względem stylu. Pochodzenie hiszpańskie z początku szesnastego wieku. Stan bardzo zły. Pergamin słabej jakości, prawdopodobnie niewłaściwie wyprodukowany. Badanie metodą C14 wskazuje na datę 1534, z tolerancją plus minus piętnaście lat. Analiza składu chemicznego atramentu ujawniła pewne osobliwości, ale jak wykazał test węglem radioaktywnym, niewątpliwie pochodzi z tego samego okresu co pergamin. Natomiast dogłębna analiza lingwistyczna nie ujawniła żadnych odchyleń od języka szesnastowiecznej Hiszpanii. Wstrzymujemy się od oceny treści dokumentu, natomiast nie ma dowodów na to, iż rękopis ten nie jest autentyczny.”

Pomyślałem o Viverze, który musiał samodzielnie spreparować skórę zwierzęcą i zrobić atrament. Wszystko pasowało.

Katherine Halstead wyciągnęła rękę, więc podałem jej raport, a sam znowu zacząłem przysłuchiwać się dyskusji.

— Wydaje mi się, że jesteś w błędzie, Paul — mówił Fallon. — Chichén Itzá nigdy nie została całkowicie opuszczona, nastąpiło to dopiero znacznie później. Funkcjonowało jako ośrodek kultu religijnego, nawet po przybyciu Hiszpanów. A co było z zamachem na Ah Dzun Kiu w 1536 roku, nie mniej niż dziewięć lat po ujęciu Vivera?

— Kim on, u diabła, był? — zapytałem.

— Przywódcą Tutal Kiu. Zorganizował pielgrzymkę do Chichén Itzá, aby zjednać sobie bogów. Wszyscy pielgrzymi zostali zmasakrowani przez jego największego wroga, Ñachi Cocoma. To jednak nieistotne, ważne jest, że wiemy, kiedy dokonano zamachu, i że to potwierdza istnienie Chichén Itzá w czasach Vivera, chociaż Paul ma co do tego wątpliwości.

— No dobra, masz rację w tym wypadku — przyznał Halstead. — Ale w liście jest dużo więcej sprzecznych ze sobą faktów.

Pozostawiłem ich samych sobie i podszedłem do okna. Oślepiło mnie światło odbijające się od tafli basenu. Zerknąłem na Katherine Halstead.

— Nie nadaję się do takich logicznych łamigłówek — powiedziałem — to przerasta moje możliwości.

— Moje również — przyznała. — Nie jestem archeologiem, wiem tylko tyle, ile zdołam przejąć od Paula na zasadzie swoistej osmozy. Ponownie spojrzałem na basen, wyglądał bardzo zachęcająco.

— Może byśmy popływali? — zasugerowałem. — Mam trochę sprzętu, który muszę wypróbować, a przyjemniej mi będzie w pani towarzystwie.

— Świetny pomysł. — Rozpromieniła się. — Spotkamy się na dole za dziesięć minut.

Poszedłem na górę do swojego pokoju, przebrałem się w kąpielówki, rozpakowałem akwalung, po czym zaniósłem go na brzeg basenu. Przywiozłem go ze

sobą, bo pomyślałem, że może po drodze nadarzy się okazja, by popływać trochę na Karaibach, a nie zamierzałem jej przepuścić. Poprzednio tylko raz pływałem w czystej wodzie, w Morzu Śródziemnym.

Pani Halstead czekała już na mnie koło basenu i muszę przyznać, że w swoim jednoczęściowym kostiumie wyglądała prześlicznie. Rzuciłem na ziemię stalowe butle, przewody powietrza i podszedłem do niej. Nagle, jak spod ziemi, wyrósł lokaj w białym ubraniu i powiedział coś szybko po hiszpańsku. Bezradnie wzruszyłem ramionami i zwróciłem się do Katherine Halstead.

— Co on mówi?

— Pyta, czy napijemy się czegoś — odparła rozbawiona.

— To niezły pomysł. Coś w wysokich szklankach, zimnego, z alkoholem w środku.

— Doskonale. — Zatrąkotała coś do lokaja, a gdy już odszedł, ponownie spojrzała na mnie.

— Nie podziękowałam jeszcze za to, co pan zrobił dla Paula, panie Wheale. Wszystko zdarzyło się tak szybko, że nawet nie miałam czasu, by o tym pomyśleć.

— Nie ma za co dziękować. Pani mąż dostał tylko to, co mu się należało. — Powstrzymałem się, by nie powiedzieć, że w rzeczywistości wciągnąłem Halsteda w tę historię głównie po to, by go mieć stale na oku. Halstead nie zachwycał mnie specjalnie, zbyt łatwo rzucał oskarżenia i wpadał w gniew. Poza tym ktoś był z Niscemim w chwili, gdy zabito Boba i mimo że Halstead nie mógł tam być osobiście, nie oznaczało to jeszcze, że nie miał z tym nic wspólnego.

Uśmiechnąłem się miło do jego żony.

— Nie ma o czym mówić — powtórzyłem.

— Uważam, że to bardzo wspaniałomyślnie, wzięwszy pod uwagę jego zachowanie. — Spojrzała na mnie poważnie. — Proszę nie zwracać na niego uwagi, jeśli znów wpadnie w zły humor. Przeżył... przeżył rozczarowanie. To jego wielka szansa i dlatego jest taki rozdrażniony.

— Proszę się nie martwić — uspokoiłem ją. Osobiście byłem przekonany, że jeżeli Halstead znowu stanie się nieprzyjemny, szybko dostanie prztyczka w kinol. Gdybym ja mu nie dołożył, zrobi to Fallon mimo swojego wieku. Lepiej by jednak było, gdybym to ja — jako osoba neutralna — w razie konieczności uprzedził Fallona. Jeśli bowiem doszłoby między nimi do ostrzejszego konfliktu, ta szalona wyprawa mogłaby się rozlecieć.

Podano drinki — białawą miksturę w wysokich oszronionych szklankach z kostkami lodu dźwięczącymi jak małe srebrne dzwoneczki. Nie mam pojęcia, co to było, ale działało orzeźwiająco i kojąco. Pani Halstead zamyśliła się. Wypiła mały łyk i spytała od niechcienia:

— Jak pan myśli, kiedy pojedziecie na Jukatan?

— Proszę mnie o to nie pytać, wszystko zależy od tych ekspertów na górze — skinąłem głową w kierunku domu. — Ciągle jeszcze nie mamy pojęcia, dokąd pojedziemy.

— Sądzi pan, że tace rzeczywiście kryją w sobie jakąś tajemnicę i że uda się nam ją rozwiązać?

— Na pewno — powiedziałem zdawkowo. Nie przyznałem się, że prawdopodobnie znałem już rozwiązanie. Było mnóstwo rzeczy, o których nie mówiłem ani pani Halstead, ani komukolwiek innemu.

— A jaka, pana zdaniem, będzie reakcja Fallona, gdy mu zasugeruję, że chciałabym wziąć udział w waszej wyprawie?

— Nie ma pani szans, rozniosłoby go chyba ze złości. — Roześmiałem się rozbawiony.

Pochyliła się do przodu i powiedziała poważnie:

— Chyba lepiej by było, gdybym pojechała. Boję się o Paula.

— To znaczy? Zamachała rękami.

— Nie należę do tych fałszywych kobiet, które oczerniają mężów przed innymi mężczyznami. Paul nie jest zwykłym człowiekiem. Jest w nim wiele gwałtowności, której sam nie potrafi opanować. Jeżeli jestem z nim, mogę to załagodzić, sprawić, by spojrział na pewne rzeczy inaczej. Nie byłabym kulą u nogi, musi pan to zrozumieć, nieraz już zresztą brałam udział w wyprawach.

Mówiła tak, jakby Halstead był szaleńcem, który nieustannie potrzebuje opieki pielęgniarki. Zacząłem się zastanawiać nad stosunkami pomiędzy tą parą. W niektórych małżeństwach istnieją bardzo zabawne układy.

— Fallon zgodziłby się, gdyby pan wstawił się za mną — przerwała moje rozmyślenia. — Mógłby go pan zmusić do tego.

Skrzywiłem się.

— Już raz to zrobiłem i nie sądzę, bym mógł to uczynić ponownie. Fallon nie jest facetem, który lubi, gdy się nim rządzi.

Pociągnąłem drinka i poczułem w gardle przyjemny chłód.

— Pomyślę nad tym — obiecałem w końcu.

Ale już wtedy wiedziałem, że zaproponuję to Fallonowi i postaram się, by się zgodził. Było w Katherine Halstead coś, co mnie ujęło, coś, czego nie czułem do kobiety od wielu lat. Cokolwiek to było, wiedziałem dobrze, że trzeba to zdusić w sobie, nie był to bowiem najlepszy czas na flirt z mężatką, szczególnie jeśli jej mężem był ktoś taki jak Halstead.

— Zobaczmy, jaka woda — zaproponowałem. Wstałem i podszedłem do krawędzi basenu. Podążyła za mną.

— Po co pan to przywiózł? — spytała, wskazując na akwalung. Wy tłumaczyłem jej, po czym dodałem:

— Nie używałem go już od dawna, pomyślałem więc, że trzeba wszystko sprawdzić. Nurkowałam już pani kiedyś z akwalungiem?

— Wiele razy — odparła. — Spędziłam kiedyś lato na Bahamie i niemal każdego dnia byłam w wodzie. To doskonała zabawa.

Zgodziłem się z nią w zupełności i zająłem się sprawdzaniem zaworów. Wszystko było w porządku, założyłem więc szelki. Podczas gdy przemywałem maskę, Katherine Halstead wskoczyła do wody, po chwili wynurzyła się i opryskała mnie.

— No, dalej, do wody! — krzyknęła.

— Proszę tylko nie mówić, że woda jest wspaniała. — Usiadłem na krawędzi basenu i flopem wpadłem do wody. Nie wskakuje się przodem z butlami na plecach. Jak zwykle miałem kłopot ze złapaniem prawidłowego rytmu oddychania, wymaga to po prostu praktyki, której mi brakowało. Ponieważ zawór podający znajduje się w czasie pływania wyżej niż płuca, powstaje różnica ciśnień, którą trzeba pokonać, co w pierwszej chwili nie należy do przyjemności. Potem zaś trzeba tak wyregulować oddech, żeby powietrze zużywać ekonomicznie, a tej sztuki niektórzy nie potrafią sobie przyswoić. Szybko jednak to opanowałem i oddychałem nieregularnym rytmem, który przedtem wydawał mi się tak nienaturalny.

Opląnąłem basen i stwierdziłem, że muszę zmienić ciężar balastu, przybrałem bowiem nieco na wadze od czasu, kiedy ostatnio nurkowałem, a to miało przecież wpływ na utrzymanie pływalności zerowej. Spojrzałem w górę i ujrzałem nad sobą opalone ciało Katherine Halstead. Mocnym odepchnięciem płetw wystrzeliłem w kierunku powierzchni i chwyciłem ją za kostki. Gdy ją wciągnąłem pod wodę, zobaczyłem powietrze równomiernie wydobywające się z jej ust regularną linią bąbelków. Jeżeli nawet ją zaskoczyłem, to nie okazała tego. Miała wystarczająco dużo

rozsądku, by w zbędnej szamotaninie nie tracić resztek powietrza.

Nagle zgięła się wpół, chwyciła przewód powietrza i gwałtownym szarpnięciem wyrwała mi ustnik. Zachłysnąłem się wodą i zwolniłem uchwyt, puszczając jej stopy.

Gdy wypłynąłem na powierzchnię, krztusząc się i ciężko dysząc, zobaczyłem, że się ze mnie śmieje. Prychnąłem jeszcze kilka razy i spytałem trochę upokorzony:

— Gdzie się pani nauczyła tej sztuki?

— Plażowi chuligani na Wyspach Bahama nie patyczkują się — odpowiedziała. — Tam dziewczyna musi umieć radzić sobie sama.

— Schodzę jeszcze raz, wyszedłem z wprawy.

— W porządku. Gdy pan skończy, będzie już czekał następny drink.

Opadłem na dno basenu i przećwiczyłem cały mój skromny repertuar umiejętności. Wyjąłem ustnik, pozwalając, by wąż napełnił się wodą, a następnie oczyściłem go. Zdjąłem maskę i wykonałem istną ekwilibrystykę, zdejmując i zakładając z powrotem szelki. Nie była to jedynie głupia zabawa, może się przecież czasem zdarzyć, że trzeba w wodzie zrobić coś takiego, i wtedy brak podobnych umiejętności okazuje się zgubny. Woda nie jest naszym naturalnym środowiskiem na żadnej głębokości i uratuje się z niej tylko ten, kto potrafi poradzić sobie z wszelkimi trudnościami.

Byłem na dole już jakieś piętnaście minut, kiedy usłyszałem hałas. Spojrzałem w górę i zobaczyłem wzburzoną wodę, wypłynąłem więc na powierzchnię, by sprawdzić, co się dzieje. Pani Halstead uderzała dłonią w taflę wody. Za nią stał Fallon. Gdy już wyszedłem na brzeg, powiedział do mnie:

— Nadeszła moja taca, wreszcie możemy je porównać. Wypłatałem się z szelek i zdjąłem pas z ciężarkami.

— Zaraz przyjdę, muszę tylko najpierw wyschnąć.

— Potrafiłbyś posługiwać się tym na większych głębokościach? — Uważnie przyglądał się aparatowi do nurkowania.

— Zależy na jakich — odpowiedziałem ostrożnie. — Do tej pory najdalej zszedłem na głębokość czterdziestu metrów.

— To powinno wystarczyć — odparł. — Mimo wszystko może się na coś przydasz, Wheale. Przypuszczalnie będziemy musieli przeszukać cenote. — Raptem zmienił temat. — Przyjdź jak najszybciej.

Obok basenu znajdowała się przebieralnia. Wziąłem prysznic, wytarłem się i w welurowym kąpielowym płaszczu poszedłem na górę. Kiedy przechodziłem przez oszklone drzwi, usłyszałem Fallona:

— ...myślałem, że informacja jest ukryta w liściach winnej latorośli, oddałem więc tace kryptografowi. Mogła to być przecież liczba żyłek lub kąt nachylenia do szypułki, lub jakakolwiek inna tego typu kombinacja. Facet przebadał wszystko dokładnie, przepuścił dane przez komputer, ale nic z tego nie wynikło.

Był to niezły pomysł, tylko całkiem chybiony. Podeszedłem do grupy skupionej wokół stołu i spojrzałem na tacę.

— Teraz mamy obie tace, będziemy więc musieli powtórzyć całą tę analizę. Vivero mógł umieścić informacje na obydwu tacach — powiedział Fallon.

— Jakich tacach? — spytałem niedbale.

Halstead gwałtownie uniósł głowę, a Fallon odwrócił się i spojrzał na mnie z niesmakiem.

— No, na tych tutaj.

Popatrzyłem na stół.

— Nie widzę żadnych tac. Fallon zmieszał się i wyjąkał:

— Czy... czy oszalałeś? Jak sądzisz, co to jest? Latające talerze? Halstead spojrzał na mnie gniewnie.

— Przestań się wygłupiać. Murville nazwał to tacą. Juan de Vivero także, tak samo zresztą jak i Goosan w liście do Herricka.

— Niewiele mnie to obchodzi — powiedziałem szczerze. — Nawet gdyby wszyscy nazwali łódź podwodną samolotem, to i tak nie będzie latać. Stary Vivero wykonał to, ale wcale nie nazwał tego tacami. Nie powiedział: „Oto, chłopcy, przesyłam wam dwie śliczne tace”. Sprawdzimy, co rzeczywiście powiedział. Gdzie ten rękopis?

— Lepiej się dobrze postaraj! — Oczy Fallona rozbłysły, gdy podawał mi plik papierów, z którymi nigdy się nie rozstawał.

Przewertowałem kartki aż do ostatniej strony i odczytałem głośno: *Posyłam wam upominki wykonane w ten wspaniały sposób, jakiego mój ojciec nauczył się od przybysza ze Wschodu i dalej: Niech łuski wrogości spadną z waszych oczu i pozwolą wam właściwie spojrzeć na te dary.*

— Czy to wam coś mówi?

— Niewiele — odparł Halstead.

— To są lustra — oznajmiłem spokojnie. — A to, że wszyscy używali ich jako tac, nie zmienia tego faktu.

Halstead mruknął coś z rozdrażnieniem, natomiast Fallon pochylił się i uważnie im się przyglądał.

— Dno tej tacy — kontynuowałem — nie jest z miedzi, to jakiś polerowany metal o zwierciadlanej, lekko wypukłej powierzchni. Zmierzyłem to.

— Może masz rację — powiedział Fallon. — A więc to są lustra! Do czego nas to jednak prowadzi?

— Przyjrzyjcie im się dokładnie — poradziłem. Fallon uniósł jedno lustro, a Halstead drugie. Po chwili Halstead powiedział:

— Nic nie widzę z wyjątkiem odbicia własnej twarzy.

— Ja też niewiele więcej — przyznał Fallon. — Ta powierzchnia nie odbija obrazu zbyt wyraźnie.

— Nie wymagajcie za wiele od metalowego lustra, na które przez ostatnie czterysta lat nakładano różne rzeczy. To bardzo sprytna sztuczka, a wpadłem na nią przypadkowo. Jest tu jakiś ekran?

— Nawet więcej, mam salę projekcyjną. — Fallon uśmiechnął się.

No jasne, to było do przewidzenia. Przecież to drobnostka dla takiego milionera jak Fallon! Zaprowadził nas do części domu, w której jeszcze nie byłem, i zaprezentował miniaturowe kino na mniej więcej dwadzieścia miejsc.

— Przydaje się, gdy mam tu wykłady — wyjaśnił.

— Gdzie jest projektor do przeźroczy? — spytałem, rozglądając się po pomieszczeniu.

— W pokoju projekcyjnym, tam z tyłu.

— Chcę go mieć tutaj — zażądałem.

Spojrzał na mnie z namysłem i wzruszył ramionami.

— W porządku, każę go tu przynieść.

Nastąpiła chyba dziesięciominutowa przerwa, w czasie której dwaj służący przynieśli projektor i zainstalowali go zgodnie z moimi wskazówkami pośrodku pomieszczenia. Fallon był zaintrygowany. Halstead — znudzony, a jego żona promieniała urodą. Mrugnąłem do niej.

— Będziemy mieli niezłe przedstawienie. Przytrzyma mi pani to lustro, pani Halstead? — Pomajstrowałem trochę przy projektorze. — Użyję go zamiast silnego reflektora — wyjaśniłem. — Odbiję światło od lustra tak, aby padało na ekran. Powiecie mi, co zobaczycie.

Włączyłem projektor. W efekcie Fallon gwałtownie wciągnął powietrze, a Halstead pozbył się wyrazu znudzenia w takim pośpiechu, że prawie stanął na

baczność.

Odwróciłem się i przyjrzałem konturom widocznym na ekranie.

— Jak sądzicie, co to jest? — zapytałem. — Trochę niewyraźnie to wygląda, ale wydaje mi się, że to mapa.

— Co, u diabła? — wyszeptał Fallon. — Jak to...? Zresztą, mniejsza o to. Czy może pani to odrobinę obrócić, pani Halstead?

Świetliste kontury wykrzywiły się i rozplynęły, po czym znieruchomiały w nowym ustawieniu. Fallon aż mlasnął podekscytowany.

— Masz rację, to jest mapa. Jeśli to wycięcie u dołu po prawej stronie jest zatoką Chetumal, a kształt ma odpowiedni, to powyżej mamy zatoki Espiritu Santo i Ascension. Daje to zachodnie wybrzeże półwyspu Jukatan.

— Co to za koło pośrodku? — spytał Halstead.

— Dojdziemy do tego za chwilę — odpowiedziałem i wyłączyłem światło. Fallon pochylił się nad lustrem, ciągle jeszcze podtrzymywany przez panią Halstead i z niedowierzaniem kręcił głową. Spojrzał wreszcie pytająco w moim kierunku, więc wyjaśniłem:

— Odkryłem to przypadkowo. Robiłem fotografię swojej tacy, a raczej lustra, i przez nieuwagę dotknąłem wyzwalacza lampy, co spowodowało błysk flesza. Kiedy wywołałem zdjęcie, zorientowałem się, że mam w kadrze kawałek lustra, ale większa część fotografii objęła ścianę. Światło z flesza odbiło się od lustra i jego obraz na ścianie był tak cholernie zabawny, że postanowiłem zająć się tym dokładniej.

— To niemożliwe. — Halstead wziął lustro od żony. — Jak odbicie od gładkiej powierzchni może dawać selektywnie zmienny obraz? — Uniósł lustro i poruszał nim przed oczyma. — Niczego takiego nie widać.

— To nie jest płaskie lustro, tylko nieco wypukłe. Zmierzyłem nawet tę wypukłość, ma promień około trzech metrów. To taka chińska sztuczka.

— Chińska?

— Stary Vivero przecież napisał: *...przybysz ze Wschodu przywieziony do Kordoby przez Maurów*. Ów przybysz był Chińczykiem. Trochę mi to sprawiło kłopotów, bo co, u diabła, robił Chińczyk w Hiszpanii pod koniec piętnastego wieku? Ale jeśli się zastanowić, nie jest to wcale takie niezwykle. Imperium arabskie rozciągało się od Hiszpanii do Indii. Nietrudno sobie wyobrazić, że jakiś rzemieślnik z Chin mógł tam zawędrować. W końcu w tym czasie Europejczycy też bywali w Chinach.

Fallon skinął głową.

— To prawdopodobna teoria. — Postukał w lustro. — Ale jak, do licha, to zrobiono?

— Miałem szczęście — powiedziałem. — Poszedłem do Biblioteki Publicznej w Torquay i znalazłem wytłumaczenie w dziewiątym wydaniu *Encyklopedii Britdnnica*. Udało mi się, bo ta biblioteka jest nieco staroświecka i przechowuje sporo starych druków, a interesujące mnie hasło zostało pominięte w późniejszych wydaniach.

Wziąłem od Halsteda lustro i położyłem je płasko na stole. — Zobaczcie, jak to działa. Tylko nie zwracajcie uwagi na złote ozdoby, a skoncentrujcie się na samym lustrze. Wszystkie wczesne lustra chińskie były wykonywane z metali, zazwyczaj odlewane z brązu. Odlew metalu nie daje jednak dostatecznie gładkiej powierzchni zwierciadlanej, trzeba więc popracować nad nim, skrobać, polerować, aby uzyskać pożądany efekt. Zazwyczaj skrobano od środka ku krawędzi i nadawało to gotowym lustram lekką wypukłość.

Fallon wyjął z kieszeni pióro i przyłożył je do lustra, naśladując czynność skrobania. Skinął głową i powiedział:

— Mów dalej.

— Po jakimś czasie — kontynuowałem — zaczęto robić coraz bardziej wyrafinowane lustra. Wykonywanie ich było kunsztowne i rzemieślnicy prześcigali się w ich upiększaniu. Jednym ze sposobów było umieszczanie ornamentów na rewersie lustra. Zazwyczaj stanowiły je cytaty z Buddy, odlane wypukłymi literami. Zastanówmy się teraz, co mogło się stać, kiedy takie lustro było skrobane. Leżało rewersem na twardej powierzchni, ale tylko wypukłe litery stykały się z nią, pozostała zaś część zwierciadła nie miała żadnego oparcia. Pod naciskiem skrobaczki nie podtrzymywane części musiały się nieco poddać i w wyniku tego odrobinę więcej metalu usuwano nad tymi podpartymi.

— A niech mnie diabli! — zawołał Fallon. — I to właśnie daje aż taką różnicę.

— Generalnie rzecz biorąc — ciągnąłem — mamy przed sobą lustro z tendencją do rozpraszania odbitego światła. Ale gładkie powierzchnie, na których są litery, odbijają światło w liniach równoległych. Wypukłość jest tak minimalna, że nie można jej dostrzec gołym okiem, ale krótkie długości fal świetlnych ujawniają ją w odbiciu.

— Kiedy Chińczycy na to wpadli? — zapytał Fallon.

— W jedenastym wieku. Początkowo było to dziełem przypadku, ale później wykorzystywali już te właściwości świadomie. Wyprodukowali wówczas lustro złożone, którego rewers w dalszym ciągu zapisywali cytatami z Buddy, choć zwierciadła odbijały już coś zupełnie innego. Jeden taki egzemplarz znajduje się w Ashmdean w Oxfordzie, a jego rewers głosił: *Chwałę Buddzie Amidzie*, odbicie zaś pokazuje samego Buddę. Była to tylko kwestia podłożenia fałszywego rewersu pod lustro, tak jak to właśnie zrobił Vivero.

— A więc tu znajduje się mapa odlana w brązie? — Halstead odwrócił lustro i postukał w złoty spód.

— Otóż to. Sądzę raczej, że Vivero wynalazł ponownie lustro złożone, bo znane są tylko trzy egzemplarze: ten w Ashmdean, drugi w Muzeum Brytyjskim i jeszcze jeden gdzieś w Niemczech.

— Jak ściągniemy rewers?

— Wstrzymaj się z tym na razie — powiedziałem. — Nie chcę zniszczyć tego lustra. Jeżeli wetrze się w powierzchnię amalgamat rtęci, to czystość odbicia poprawi się o sto procent. Jednak lepszym sposobem będzie zrobienie zdjęcia rentgenowskiego.

— Załatwię to — rzekł Fallon stanowczo. — W tym czasie przyjrzyjmy się temu dokładniej. Włącz projektor.

Wcisnąłem przełącznik i zajęliśmy się skrupulatnym studiowaniem świetlistych linii widocznych na ekranie. Po chwili Fallon stwierdził:

— Wygląda to na wybrzeże Quintana Roo. Możemy zresztą porównać to z mapą.

— Czy tu, wokół obrzeża, nie ma jakiegoś napisu? — zapytała Katherine Halstead.

Wyteżyłem wzrok, ale obraz był tak zamazany, że niczego nie mogłem dostrzec.

— Być może — powiedziałem z rezerwą.

— A w środku jest okręt? — zauważył Halstead. — Co to może być?

— Sądzę, że to akurat wiem — powiedziałem. — Stary Vivero pragnął pojednać synów, więc dał po jednym lustrze każdemu. Zagadka może zostać rozwiązana tylko przy użyciu obu luster. To daje przypuszczalnie widok ogólny, który pozwala zlokalizować obszar, i stawiam dziesięć do jednego, że drugie lustro przedstawia przybliżony obraz tego, co tu znajduje się w tym małym kole. Te zwierciadła każde z osobna nie mogą dać rozwiązania.

— Sprawdźmy to — zaproponował Fallon. — Dajcie teraz moje lustro.

Po chwili na ekranie widniał nowy wzór. Niewiele nam on wyjaśnił, bo tak jak i

poprzedni był niewyraźny.

— Jest nieczytelny — poskarżył się Fallon. — Chyba oślepnę, jeżeli dłużej nad tym posiedzimy.

— Jest pościerane, ostatecznie trudno się spodziewać czegoś innego po czterystu latach — powiedziałem. — Ale zachował się wzór na rewersie. Myślę, że prześwietlenie da nam doskonały obraz.

— Każę to zrobić jak najszybciej.

Włączyłem światło i zobaczyłem, jak Fallon przeciera oczy chusteczką.

— Spłacasz uczciwie koszty swojej podróży, Wheale. Mogliśmy na to nigdy nie wpaść — powiedział z uśmiechem.

— Wpadlibyście — zaprotestowałem z przekonaniem. — Gdy tylko otrzymalibyście negatywną ocenę kryptografa, musielibyście się zacząć zastanawiać na przykład nad tym, co zostało ukryte pomiędzy powierzchniami ze złota i brązu. Dziwi mnie tylko, dlaczego synowie Vivera nic z tym nie zrobili?

Halstead powiedział z namysłem:

— Obie gałęzie rodziny uważały te rzeczy za tace, a nie lustra. Może niejasna wskazówka Vivera nie dotarła do nich. Może historię o chińskich zwierciadłach opowiadano im, gdy byli zbyt mali, aby ją zapamiętać i zrozumieć.

— Bardzo możliwe — zgodził się Fallon. — Mogło być również i tak, że konflikt między braćmi nie dał się tak łatwo zażegnać. W każdym razie nic z tym nie zrobiono. Hiszpańscy potomkowie utracili swoje lustro, a meksykańscy sprowadzili je do roli swego rodzaju legendy. — Zaborczo położył dłoń na lustrze. — Ale teraz mamy je my, a to dużo zmienia.

Rozdział 13

Gdy patrzę na to wszystko z perspektywy czasu, wydaje mi się, że w tym czasie Fallon przestał panować nad sytuacją. Pewnego dnia pojechał do miasta, a kiedy wrócił, był bardzo przygnębiony i zamyślony. Od tej chwili zdarzało się, że nagle milkł i coraz częściej był jakby nieobecny duchem. Przypisywałem to zmartwieniom milionera, ponieważ sądziłem, że może spadły ceny akcji czy coś w tym rodzaju. W sumie jednak niewiele się nad tym zastanawiałem.

Cokolwiek zresztą by to było, nie przeszkadzało mu w przygotowywaniu ekspedycji do Uaxuanoc, do czego zresztą przystąpił z demoniczną wprost energią. Wydawało mi się to nawet dziwne, że poświęcał temu cały swój czas. Milioner powinien przecież pilnować spraw finansowych, ale Fallon nie dbał o nic prócz Uaxuanoc i tej tajemniczej sprawy, która tak bardzo go gnębiła.

W tym też tygodniu poznałem Pata Harrisa. Nasze spotkanie zaaranżował Fallon, oznajmiając mi, że wypożyczył Pata od towarzystwa naftowego, którego był udziałowcem.

— Wypełniam swoją część umowy — oznajmił krótko. — Harris prowadził dochodzenie w sprawie Niscemiego.

Przyglądałem się Harrisowi z zainteresowaniem, choć był typem człowieka, który na pewno nie przyciągnąłby mojego wzroku na ulicy. Był przeciętny pod każdym względem: ani niski, ani wysoki, niezbyt muskularny i niezbyt mizerny. Nawet jego garnitur nie odbiegał od przeciętności. Harris po prostu wyglądał, jakby go wyciągnięto z tabeli statystycznej. Miał wprawdzie więcej niż przeciętny iloraz inteligencji, ale tego nie dostrzega się przecież na pierwszy rzut oka.

— Miło mi pana poznać, panie Wheale — powiedział bezbarwnym głosem, wyciągając do mnie rękę.

— Powiedz Wheale'owi, czego się dowiedziałaś — zażądał Fallon.

Harris splótł ręce na swoim przeciętnym amerykańskim brzuszku.

— Victor Niscemi, drobny śmieć — rzucił zwięźle. — Niewiele można o nim powiedzieć. Nigdy nie znaczył zbyt wiele i nie dokonał niczego nadzwyczajnego poza tym, że dał się wykończyć w Anglii. *Zaliczył* zreformowaną szkołę, która otwierała drogę do większych *rzeczy*, ale niewiele większych. Siedział za obrabianie pijaczków, lecz to było dawno. Nie mamy przeciwko niemu niczego już od czterech lat, to znaczy nie pojawia się w tym czasie w rejestrach policyjnych. Według akt policyjnych czysty jak łąza.

— Jeśli dobrze zrozumiałem, to dane oficjalne. A co z nieoficjalnymi?

Harris spojrzał na mnie z uznaniem.

— No, oczywiście, to zupełnie inna sprawa — zgodził się. — Przez jakiś czas pracował w obstawie pewnego bukmachera, potem przeszedł do kombinacji z totalizatorem, początkowo w obstawie inkasenta, później sam jako inkasent. Ot, taka kariera na małą skalę. Wreszcie przyjechał do Anglii i dał się zastrzelić. Koniec Niscemiego.

— I to wszystko?

— Jeszcze cholernie daleko do końca — powiedział Fallon gwałtownie. — Mów dalej, Harris.

Harris pokręcił się przez chwilę na krześle i nagle odprężył się.

— Jeżeli chodzi o takich facetów jak Niscemi, trzeba zawsze pamiętać o jednym, że mają przyjaciół. Spójrzmy na jego akta: szkoła zreformowana, drobny napad i tak dalej. Po czym nagle przez cztery lata brak zapisów w rejestrach policyjnych. Ciągłe był przestępcą i ciągle płótką, ale już nie miał kłopotów. Zyskał opiekunów.

— Kim byli...?

— Panie Wheale, jest pan Anglikiem i być może nie macie takich problemów, z jakimi my borykamy się w Stanach, więc to, co powiem, pewnie wyda się panu niezwykle. Musi pan uwierzyć mi na słowo, w porządku?

— Od spotkania pana Fallona niewiele *rzeczy* jest w stanie mnie zdziwić — odparłem z uśmiechem.

— No dobrze. Interesuje mnie broń, z której Niscemi zabił pańskiego brata. Może pan ją opisać?

— To był obrzynek — powiedziałem.

— Miał krótką obciętą kolbę, tak? Skinąłem głową.

— To była lupara, to włoska nazwa. Zresztą Niscemi pochodził z Włoch, a ściślej mówiąc, z Sycylii. Około czterech lat temu wciągnięto Niscemiego do Organizacji. A musi pan wiedzieć, że zorganizowana przestępczość jest jednym z najgorszych zjawisk w życiu Stanów Zjednoczonych i w większości kierują nią Amerykanie włoskiego pochodzenia. Występują pod wieloma nazwami: Organizacja, Syndykat, Cosa Nostra, mafia, chociaż na przykład słowo mafia powinno być zarezerwowane wyłącznie do określenia ojczyźnianej organizacji sycylijskiej.

Spojrzałem niepewnie na Harrisa.

— Usiłuje mi pan wmówić, że mafia... mafia, na litość boską, zabiła mego brata?

— Niezupełnie. Sądzę, że w Anglii Niscemiemu powinęła się noga. I to na pewno, skoro pozwolił się zabić. Ale lepiej opiszę panu, co dzieje się z takimi śmieciami jak Niscemi, gdy zostaną wciągnięci do Organizacji. Pierwsze polecenie, które otrzymują, to być czystym. Muszą schodzić glinom z drogi i robić tylko to, czego zażąda capo, czyli szef. To ważne i wyjaśnia, dlaczego Niscemi przestał figurować w kartotekach policyjnych — Harris wymierzył we mnie palec. — Ale można też tę regułę odwrócić. Jeśli więc Niscemi miał złe zamiary w stosunku do pańskiego brata, oznacza to, że działał z czyjegoes polecenia. Mafia nie toleruje ludzi, którzy robią coś na własną rękę i własny rachunek.

— Został więc nasłany?

— Jestem pewien w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach, że tak.

To już przekraczało moje możliwości zrozumienia tej całej historii. Nie mogłem w nią uwierzyć. Zwróciłem się do Fallona:

— O ile się nie mylę, twierdził pan, że Harris jest pracownikiem towarzystwa naftowego. Jakie więc ma kwalifikacje do wysuwania takich przypuszczeń?

— Harris był w FBI — wyjaśnił Fallon.

— Przez piętnaście lat — dodał Harris. — Miałem rację, gdy mówiłem, że to wyda się panu trochę niezwykle.

— Bo i jest — odparłem krótko i przez chwilę zastanowiłem się nad tym. — Skąd uzyskał pan informacje o Niscemim?

— Od policji w Detroit, na tym terenie działał.

— Scotland Yard interesuje się tą sprawą. Czy amerykańska policja współpracuje z nimi?

Harris uśmiechnął się pobłaźliwie.

— Wbrew wszelkim sensacyjnym pogłoskom na temat Interpolu w takiej jak ta historii niewiele można zrobić. Komu mogę to przypiąć? Amerykańskie władze sądowe są szczęśliwe, że mają Niscemiego z głowy. Poza tym był przecież tylko płotką. — Uśmiechnął się i nieoczekiwanie sparodiował znane powiedzenie: — Miało to miejsce w innym kraju, a poza tym gość nie żyje.

— Harris jeszcze nie skończył — rzekł Fallon. — Ta sprawa sięga o wiele głębiej.

— A więc — powiedział — dochodzimy do pytania, kto wysłał Niscemiego do Anglii i po co? Jego capo był Jack Gatt, ale równie dobrze mógł on wyświadczyć

przysługę komuś innemu. Jednak nie wydaje mi się to zbyt prawdopodobne.

— Gatt! — Nie wytrzymałem. — On był w Anglii w tym samym czasie, kiedy zginął mój brat! Harris potrząsnął głową:

— Nie, nie było go, sprawdziłem to dokładnie. W dniu, w którym zginął pański brat, Gatt był w Nowym Jorku.

— Ale chciał coś kupić od Boba — powiedziałem. — Złożył mu jakąś ofertę i mam na to świadków. On był w Anglii.

— Podróże powietrzne to wspaniała sprawa — powiedział Harris. — Można wylecieć z Londynu o dziewiątej rano i już o jedenastej trzydzięci czasu lokalnego być w Nowym Jorku. Gatt z pewnością nie zabił pańskiego brata. — Zaciśnął usta, po czym dodał: — Przynajmniej nie osobiście.

— Kim on właściwie jest?

— Szefem całej bandy w Detroit — odparł natychmiast Harris. — Jego wpływy obejmują cały Michigan i spory kawał Ohio. Oryginalne nazwisko Giacomo Gattini zostało zamerykanizowane na Jack Gatt. Nie zajmuje zbyt wysokiej pozycji w Organizacji, ale jest capo, a to daje mu pewną pozycję.

— Mógłby mi pan to bliżej wyjaśnić?

— Organizacja kontroluje świat przestępczy, lecz nie jest to przedsiębiorstwo tak scentralizowane jak, powiedzmy, General Motors. W rzeczywistości powiązania są bardzo luźne i czasami poszczególne grupy popadają w konflikty między sobą. Są to tak zwane wojny gangów. Wpływają one jednak źle na ogólne interesy i zbyt przyciągają uwagę policji, więc raz na jakiś czas wszyscy capo zbierają się na naradę, takie swego rodzaju posiedzenie zarządu, aby wspólnie załatwić swoje problemy. Wyznaczają wtedy obszary działania, dają po nosie zbyt zapalczywym i decydują, kiedy i jak wymuszać poszanowanie postanowień.

Ten surowy i brutalny świat, o którym teraz słuchałem, wdarł się przemocą na farmę Hay Tree w dalekim Devonie.

— Jak to wygląda w praktyce? — spytałem. Harris wzruszył ramionami.

— Przypuszczam, że capo, taki jak Gatt, postanowił zlekceważyć wielkich szefów i działać na własną rękę. Wkrótce potem jakiś młody śmieć typu Niscemiego wpadłby do miasta, sprzątnął Gatta i zwiął. Jeśliby mu się nie powiodło, próbowałby następny, aż wreszcie któremuś z nich by się udało. Gatt o tym dobrze wie, przestrzega więc pewnych zasad. I dopóki jest, w tym rozumieniu, praworządny, dopóty jest capo, królem swojego terytorium.

— Rozumiem. Ale dlaczego Gatt miałby jechać do Anglii?

— No właśnie — powiedział Harris. — Dochodzimy wreszcie do sedna sprawy. Przyjrzyjmy się lepiej Jackowi Gattowi. Jest amerykańskim mafioso trzeciej generacji. To nie nowo przybyły sycylijski chłop, który nie zna angielskiego, ani też niedouczonego, pozbawionego skrupułów darmozjad, taki jak Capone. Jack jest cywilizowany. Jack jest kulturalny. Jego córka kończy szkołę w Szwajcarii, jeden z synów pobiera nauki w renomowanym college'u na wschodzie, a drugi prowadzi swój własny interes, w dodatku zgodny z prawem. Jack jest stałym bywalcem opery i baletu. Słyszałem nawet, że prawie sam jeden wspiera finansowo pewną grupę baletową. Zbiera obrazy i kiedy mówię zbiera, to nie mam na myśli tego, że je kradnie. Bierze udział w licytacji w Galerii Parke'a Berneta w Nowym Jorku jak każdy inny milioner, to samo zresztą robi u Sotheby'ego i Christie's w Anglii. Ma piękną żonę, okazały dom, bywa w najlepszym towarzystwie i gra pierwsze skrzypce wśród wytwornych ludzi, z których żaden nie wie, iż Gatt jest kimś innym niż solidnym biznesmenem. Oczywiście jest nim również, nie byłbym nawet zaskoczony, gdyby okazał się jednym z pańskich najpoważniejszych akcjonariuszy, panie Fallon.

— Sprawdź to — powiedział Fallon cierpko. — A skąd czerpie swoje zasadnicze

dochody? Tę nieprawą część?

— Hazard, narkotyki, prostytutka, stręczycielstwo, protekcja — wyliczył Harris bez zająknięcia. — A także wszelkie możliwe kombinacje i permutacje. Jack ma na swoim koncie kilka prawdziwych majstersztyków.

— Mój Boże! — westchnął Fallon.

— To tylko przypuszczenie — rzekłem z rezerwą. — Ale w jaki sposób Niscemi znalazł się nagle na farmie? Fotografia tacy ukazała się w prasie zaledwie kilka dni wcześniej. Jak więc Gatt dotarł do tego tak szybko?

Harris zawahał się i spojrzał pytająco na Fallona, który odezwał się posepnym głosem:

— Możesz właściwie poznać całą historię. Byłem zdenerwowany oskarżeniem Halsteada, jakobym ukraść mu list Vivera, więc zleciłem Harrisowi, aby to sprawdził. — Skinął na Harrisa.

— Ludzie Gatta śledzili pana Fallona, a zapewne również Halsteada. Oto jak do tego doszło. Halstead rzeczywiście był w posiadaniu listu przed panem Fallonem. Kupił go tutaj, w Meksyku, za dwieście dolarów. Potem zabrał go ze sobą do Stanów, mieszkał wówczas w Virginii, ale jego dom został obrabowany. List był jedną z tych rzeczy, które ukradziono. — Złożył dłonie. — Według mnie list został zabrany przez czysty przypadek. Po prostu znajdował się w zamkniętej walizce, którą wtedy ukradziono wraz z innymi rzeczami.

— Co jeszcze zginęło? — spytałem.

— Sprzęty domowe: telewizor, radio, zegarek, trochę ubrań i niewiele pieniędzy.

Fallon spojrzał na mnie z ironią.

— Czy możesz sobie wyobrazić mnie zainteresowanego używaną odzieżą?

— Wydaje mi się, że to była robota drobnego złodziejzka — powiedział Harris.

— Szybko można się pozbyć rzeczy łatwych do sprzedania, jest wielu pozbawionych skrupułów kupców, którzy by to wzięli. Śmiem twierdzić, że złodziej był rozczarowany zawartością walizeczki.

— List jednak dotarł do właściwego człowieka, Gerrysona — wtrąciłem. — Jak to się stało?

— Sam się nad tym zastanawiałem — skrzywił się Harris — i gruntownie sprawdziłem Gerrysona. Nie ma najlepszej reputacji. Gliniarze z Nowego Jorku określają go jako pasera wysokiej klasy. Wyszła na jaw jedna szczególna rzecz: jest zaprzyjaźniony z Jackiem Gattem. Kiedy przyjeżdża do Detroit, zatrzymuje się nawet u niego w domu. — Pochylił się. — To, co teraz powiem, to czysto hipotetyczna rekonstrukcja. Włamywacz, który obrobił dom Halsteada, znalazł się w posiadaniu listu Vivera. Nie miał z niego żadnego pożytku, bo nawet jeśli zdawał sobie sprawę, że ma on jakąś wartość, to nie wiedział jednak jaką i gdzie mógłby go bezpiecznie sprzedać. Można tu snuć różne domysły. Przypuszczalnie list wędrował krętymi drogami, zanim trafił do kogoś, kto właściwie ocenił jego wartość. A któż to mógł być, jeśli nie Jack Gatt, kulturalny zbir, właściciel małego muzeum. Nie znam treści listu, ale myślę, że Gatta ona zainteresowała, skoro sprawdził wszystko aż do źródła, do Halsteada.

— A co z Gerrysonem?

— Być może Gatt chciał w ten sposób zasięgnąć jeszcze jednej opinii — powiedział uprzejmie Harris. — Rozmawialiśmy z panem Fallonem na ten temat i doszliśmy do identycznych wniosków.

Fallon wyglądał na zakłopotanego.

— Eee, no więc, tak... ja... ja zapłaciłem Gerrysonowi za ten list dwa tysiące dolarów.

— No i co? — spytałem.

— Zdawałem sobie sprawę z tego — mówił, unikając mego wzroku — że cena jest niska. On jest wart dużo więcej.

— Domyśliłeś się, że może być... — Uśmiechnąłem się. — Panie Harris, czy „trefny” to właściwe słowo?

— Wydaje mi się, że tak. — Harris mrugnął porozumiewawczo.

— Nie — zaprotestował Fallon porywczo. — Sądziłem, że Gerryson się pomylił. Jeżeli handlarz popełnia błąd, to jego sprawa. I tak obskubują nas, kolekcjonerów, wystarczająco często. Myślałem więc, że tym razem, dla odmiany, ja nabrałem Gerrysona.

— Jednak od tego czasu zmienił pan zdanie.

— Według mnie pan Fallon dał się nabrać. Gatt podsunął mu ten list przez Gerrysona, aby zobaczyć, co z nim zrobi. Ostatecznie mógł nie brać poważnie Halsteada, który jest zaledwie jednym z wielu młodych i niedoświadczonych archeologów, ale pan Fallon to już autorytet w tej dziedzinie. Kiedy więc zobaczył, że pan Fallon również zaczął ganiać tymi samym ścieżkami co Halstead, nabrał pewności, że jest na dobrym tropie.

— Wszystko to możliwe, ale cholernie nieprawdopodobne — powiedziałem.

— Czyżby? Jack Gatt nie jest głupkiem — rzekł Harris z powagą. — Jest bardzo inteligentny i na tyle wykształcony, aby dostrzec zysk w rzeczach, których nie doceniają inne zbiry. I jeżeli jest w tym jakaś forsa, Gatt będzie chciał ją zagarnąć.

Pomyślałem o złotych rynnach, o dachach Uaxuanoc i o królewskim pałacu wyłożonym złotem wewnątrz i na zewnątrz. Pomyślałem o górze złota i płonącym złotym znaku, który opisał Vivero. Tak, Harris mógł mieć rację!

— Sądzę, że śledzono Halsteada i pana Fallona, gdziekolwiek się udali — kontynuował Harris — i że między innymi robił to Niscemi. Tłumaczyłoby to przynajmniej fakt jego obecności w miejscu, w którym odkryto pańską tacę. Powiadomił o tym natychmiast Gatta, a ten przeleciał przez Atlantyk, by złożyć ofertę pańskiemu bratu. Prześledziłem jego ruchy w tym czasie i wszystko pasuje. Kiedy zaś pański brat stanowczo odmówił, kazał Niscemiemu zdobyć tacę siłą. Nie była to sprawa, którą Jack Gatt by się przejął, w każdym razie zadbał o to, aby nie przebywać w Anglii wtedy, gdy wykonywano robotę. Na koniec zaś Niscemi i ktoś, kto tam z nim był, spartaczyli robotę, a Niscemi dał się zabić.

— A pewien prosty farmer z Devonshire, Hannaford, tak bardzo polubił Gatta. Jak możemy się dostać do tego drania? — spytałem.

— Dysponujemy tylko poszlakami, a nie dowodami — westchnął Harris. — Przegramy w sądzie.

— A może przesadziliśmy trochę — powiedziałem z powątpiewaniem. — Może to wszystko wygląda inaczej? Harris uśmiechnął się blado.

— W tej chwili ludzie Gatta obserwują ten dom oraz dom Halsteada w śródmieściu. Mogę panu pokazać facetów, którzy nie spuszczaają z was oczu.

Słyszając to, zerwałem się na równe nogi i spojrzałem na Fallona, który skinął głową.

— Harris kazał ich śledzić.

— To stawia sprawę w innym świetle. Czy to na pewno są ludzie Gatta?

— Trudno stwierdzić — Harris nachmurzył się — powiedzmy, że ktoś z Meksyku wyświadcza Gattowi przysługę. Tak właśnie działa Organizacja. Współpraca jest na porządku dziennym.

— Będę musiał coś z nim zrobić — postanowił Fallon.

— Na przykład co? — spytał z zaciekawieniem Harris.

— Puszczę w ruch duży ciężar, wart sto milionów dolarów — oznajmił Fallon bojowo. — Po prostu przygniotę go tym.

— Tego bym nie robił — Harris wpadł w popłoch — a już na pewno nie w stosunku do Gatta. Może pan tak postępować ze zwykłą konkurencją w interesach, ale nie z nim. On nie zniesie presji.

— I co mógłby mi zrobić? — spytał Fallon pogardliwie.

— To proste, mógłby wyłączyć pana z interesów, i to na stałe. Kula ma większą siłę przebicia niż sto milionów dolarów, panie Fallon.

Fallon nagle jak gdyby zmałał. Po raz pierwszy znalazł się w sytuacji, gdzie nie znaczyło jego bogactwo, nie mógł bowiem kupić tego, co chciał. Trochę wcześniej zaaplikowałem mu małą dawkę identycznego lekarstwa, ale było to niczym w porównaniu z szokiem, jaki spowodowały słowa Harrisa. Fallon nie był złym człowiekiem, lecz miał już pieniądze od tak dawna, że wyrobiły w nim skłonność do posługiwania się nimi z pewną bezwzględnością. Nauczył się uderzać, aby dostać wszystko to, czego chciał. A teraz trafił na faceta jeszcze bardziej bezwzględnego, który zupełnie nie przejmował się jedyną bronią, jaką dysponował Fallon. To go chyba lekko zbiło z tropu.

Zrobiło mi się go trochę żal, ale była to raczej litość niż współczucie. Zacząłem rozmawiać z Harrisem, by dać Fallonowi czas na dojście do siebie.

— Chyba musi się pan dowiedzieć wreszcie, co jest stawką w tej grze. Wówczas może będzie pan w stanie przewidzieć postępowanie Gatta. Ale to długa historia.

— Wcale nie jestem pewien, czy chciałbym to wiedzieć — rzekł Harris kwaśno. — Jeżeli ta sprawa jest wystarczająco duża, by wyciągnąć Gatta z Detroit, musi to być dynamit.

— Wyjechał z Detroit?

— Nie tylko wyjechał, ale jest tu, w Mexico City. — Harris rozłożył szeroko ręce. — Twierdzi, że przyjechał na Igrzyska Olimpijskie, jakżeby inaczej! — dorzucił cynicznie.

Rozdział 14

Gdy ubierałem się nazajutrz rano, snułem refleksje o tym, jak dziwne zwroty mogą nastąpić w życiu człowieka. Przed czterema tygodniami byłem londyńskim księgowym, jednym z brygady ludzi w melonikach, a teraz przebywałem w egzotycznym Meksyku i przygotowywałem się do skoku w jeszcze bardziej egzotyczne tereny. Z tego, co udało mi się wywnioskować z opowiadań Fallona, tajemniczo nazwana Quintana Roo była czymś w rodzaju dziury do piekieł. Na miłość boską, po co się tam wybieram? By szukać zaginionego miasta? Gdyby miesiąc temu ktoś przepowiedział mi coś takiego, uważałbym go za murowanego pacjenta domu wariatów.

Zawiązałem krawat i uważnie przyjrzałem się facetowi w lustrze: Jemmy Wheale z nowej epoki elżbietańskiej, wielki poszukiwacz przygód, tylko jeszcze strzelba do ręki i hajda w drogę. Uśmiechnąłem się na tę myśl, a człowiek w lustrze odpowiedział mi szyderczym skrzywieniem ust. Nie miałem strzelby i wątpię nawet, czy potrafiłbym zrobić z niej użytek. Gdyby na moim miejscu był ktoś w stylu Jamesa Bonda, już dawno rozpakowałby swój przenośny helikopter i poleciał za Jackiem Gattem, oczywiście wracając z jego skalpem i kilkoma z jego najurodziwszych blondynek u boku. Do diabła, nie wyglądałem nawet jak Sean Connery.

Cóż więc mogłem zrobić Jackowi Gattowi? Z tego, co mówił Pat Harris, Gatt miał z punktu widzenia prawa nie zagrożoną pozycję, mimo że przypuszczalnie zlecił coś Niscemiemu. Nie można było wnieść żadnego oskarżenia, bo brakowało na to dowodów. A zabieranie się ostro do Gatta jego własnymi metodami byłoby niewyobrażalną głupotą. Analogicznie wyglądałoby jednoczesne wypowiedzenie przez Monaco wojny Związkowi Radzieckiemu i Stanom Zjednoczonym.

A właściwie cóż, u diabła, robiłem w Meksyku? Pomyślałem o swoim nietypowym postępowaniu w ostatnim okresie i doszedłem do wniosku, że wiele moich posunięć zainspirowały ironiczne słowa tej głupiej małej dziwki — Sheili. Wielu ludzi zostało w przeszłości zamordowanych, ale ich bracia nie biegali dookoła świata, łaknąc zemsty. Lekceważące słowa Sheili zraniły moją dumę i wszystko, co uczyniłem od tego czasu, miało mnie samemu udowodnić, że to, co powiedziała, nie było prawdą. Wykazało jednak, że byłem niedojrzały i chyba lekko stuknięty.

Mimo to podjąłem działanie i teraz musiałem się liczyć z pewnymi konsekwencjami. Gdybym zrezygnował i wrócił do Anglii, to najprawdopodobniej żałowałbym tego kroku do końca życia. Zawsze już czułbym, że w obawie o własną skórę w jakiś sposób zdradziłem samego siebie, a wiedziałem, że świadomość tego zatrułaby mi życie. Zastanawiałem się też, ilu już ludzi tak bezsensownie ryzykowałoby z powodu pozornego zagrożenia utraty szacunku dla siebie samego.

Przez pewien krótki czas byłem bardzo dumny, że wymusiłem na milionerze to, czego chciałem. Ale stało się tak jedynie dlatego, że dysponowałem lustrem de Vivera, atutem handlowym, który dawał mi przewagę. Teraz Fallon miał lustro i jego tajemnicę, a ja znów byłem zdany na własną pomysłowość. Nie podejrzewałem, by nie chciał dotrzymać obietnic, ale nic nie mógłbym zrobić, gdyby się z nich wycofał. Mały szary człowieczek był wciąż blisko. Buńczucznie obnosił teraz krzykliwe, kiepsko dopasowane stroje, ale w duchu prosił Boga, by mieć na sobie znów swój niezniszczalny garnitur, melonik i zwinięty parasol pod pachą zamiast tej idiotycznej lancy. Z kwaśną miną popatrzyłem na faceta w lustrze — Jemmy Wheale, jagnię w wilczej skórze.

Gdy opuszczałem pokój, miały mną sprzeczne uczucia.

Pata Harrisa znalazłem na dole. Na szyi miał zawieszony stetoskop, a w rękach

trzymał małą czarną skrzyneczkę, z której wystawała połyskująca, składana antena.

Energicznie pomachał w moją stronę i przyłożył palec do ust, dając mi na migi do zrozumienia, że powinienem milczeć. Kręcił się po pokoju niczym pies, gdy obwąchuje nie znany sobie teren. Poruszał się na krzyż, do tyłu i do przodu. Stopniowo jego uwaga skoncentrowała się na dużym stole z masywnego hiszpańskiego dębu, przy którym jadalśmy. W pewnym momencie na czworakach wsunął się pod stół, stając się jeszcze bardziej podobny do psa. Widziałem tylko tył jego spodni i podeszwy butów. Spodnie miał w porządku, ale buty wymagały reperacji.

Po chwili wylazł, uśmiechnął się do mnie i ponownie nakazał milczenie. Przykucnąłem więc. Czuję się trochę głupio. Harris pstryknął przełącznikiem i wąski promień światła wystrzelił z małej latarki, którą trzymał w ręce. Przez moment błędził po spodzie stołu, wreszcie znieruchomiał. Wskazał mi coś palcem i zobaczyłem małe, szare metalowe pudełeczko, na wpół ukryte za poprzeczną belką.

Wykonał kciukiem ruch do tyłu i wypełzliśmy w końcu spod stołu.

Szybko opuściliśmy pokój i przeszliśmy korytarzem w dół, do pustego gabinetu Fallona.

— Byliśmy podsłuchiwani — oznajmił. Zatkano mnie.

— Chcesz powiedzieć, że ta rzecz to...

— ...nadajnik radiowy. — Zdjął stetoskop i westchnął jak lekarz, który musi oznajmić złą nowinę. — Ta zabawka to wykrywacz podsłuchu. Przeszukuję częstotliwości i jeśli w pobliżu znajduje się nadajnik, w słuchawkach słychać wycie. Wtedy, żeby go zlokalizować, wystarczy tylko śledzić wskazania licznika.

— Może lepiej, żebyś przestał o tym gadać — zaproponowałem, rozglądając się nerwowo po gabinecie. — To miejsce...

— Jest czyste — powiedział szorstko. — Sprawdziłem już.

— Dobry Boże! Skąd ci w ogóle przyszło do głowy, że tu może być coś takiego?

— Mam już taki wstrętny, podejrzliwy charakter i trochę wiedzy o ludzkiej naturze. Po prostu zastanawiałem się, co sam bym zrobił na miejscu Jacka Gatta, gdybym chciał wiedzieć, co się dzieje w tym domu. Zresztą to standardowa procedura w moim zawodzie. — Potarł brodę. — Czy mówiono w tamtym pokoju o czymś istotnym?

— Czy orientujesz się, co mamy zamiar zrobić? — zapytałem ostrożnie.

— Wszystko w porządku. Fallon wprowadził mnie w szczegóły. Siedzieliśmy wczoraj do późnej nocy. — Oczy mu rozblęskły. — Co za cholerna historia, o ile jest prawdziwa!

Cofnąłem się myślą wstecz.

— Staliśmy wszyscy wokół stołu i rozmawialiśmy o tacach. Właśnie wtedy uświadomiłem ich, że to lustra.

— No, to niedobrze — powiedział Harris.

— Ale później poszliśmy do sali projekcyjnej, gdzie demonstrowałem, co się stanie, gdy światło odbije się od powierzchni lustra. Tam też powiedziałem resztę.

— Pokaż mi tę salę — zażądał Harris.

Zaprowadziłem go. Ponownie założył stetoskop i spędził kilka minut na manipulowaniu pokrętłami instrumentu. W końcu zdjął słuchawki.

— Nic tu nie ma — powiedział.

— Istnieje więc szansa, że Gatt wie tylko, iż są to lustra, ale nie ma pojęcia o ich szczególnych właściwościach.

Wróciliśmy do gabinetu, gdzie Fallon i Halstead już na nas czekali. Fallon otwierał właśnie dużą kopertę, ale zamarł w bezruchu, gdy usłyszał nowiny Harrisa.

— A to podstępny drań — rzekł zdumiony. — Zerwij natychmiast to świństwo.

— Do diabła, nie! — zaprotestował Harris. — Chcę, żeby ten nadajnik został na swoim miejscu, jeszcze się przyda. — Spojrzał na nas i uśmiechnął się lekko. — Dżentelmeni, czy któryś z was miałby ochotę zabawić się w aktora radiowego? Myślę, że możemy dostarczyć Gattowi niemało wzruszeń. Musicie tylko pamiętać, żeby nie mówić w tamtym pokoju o niczym ważnym.

— Ty też jesteś niezłym spryciarzem, Harris — roześmiał się Fallon.

— To mój zawód — odparował Harris. — Sądzę, że nie ma co ryzykować przedstawienia na żywo, zbyt duża byłaby szansa na jakąś wpadkę. Bezpieczniej będzie spreparować odpowiednią taśmę, którą puścimy do tego mikrofonu. — Zamilkł na chwilę. — Będę miał na oku tamten pokój, ktoś musi przecież zmieniać baterie, nie będą działały wiecznie.

— Ciekaw jestem, gdzie jest odbiornik? — zastanawiał się głośno Halstead.

— Zapewne w samochodzie zaparkowanym nie opodal. Ci dwaj faceci sterczą tam już od kilku dni. Mają zapewne odbiornik podłączony do magnetofonu. Nie ma co ich niepokoić, dopóki nie kupią spreparowanej przez nas historyjki, a może i później damy im spokój. W takiej grze dobrze jest znać karty przeciwnika, a jeszcze lepiej, gdy on sobie z tego nie zdaje sprawy. Radzę udawać niewiniątka. W zasadzie nie powinniśmy nawet wiedzieć o tym, że Jack Gatt w ogóle istnieje.

Fallon dobrze określił Harrisa. Był to najpodstępniejszy facet, jakiego spotkałem, a przecież mydlenie oczu nie jest obce księgowym. Kiedy już poznałem go lepiej, obdarzyłem go takim zaufaniem, że mógłbym powierzyć mu swoje życie, ale nigdy nie miałem pewności, czy nie wie przypadkiem o mnie więcej niż ja sam. Jego zawód polegał na zbieraniu informacji i robił to nie tylko w godzinach pracy. Miał umysł jak dobrze zaprogramowana pamięć komputera, ale w odróżnieniu od niego miał zdolność sprytnego wykorzystywania swojej wiedzy.

Fallon rozdarł wreszcie kopertę.

— Przejdźmy do interesów. To są zdjęcia rentgenowskie obu lusterek w naturalnej wielkości. — Posegregował je i wręczył każdemu z nas po dwie odbitki.

Były bardzo wyraźne, zdumiewały przejrzystością szczegółów, ledwie zaznaczonych w odbiciu na ekranie.

— Pani Halstead miała rację, na obrzeżu są rzeczywiście jakieś słowa — powiedziałem i przyjrzałem się dokładniej. — Niestety, nie znam hiszpańskiego.

Fallon wziął lupę i przez chwilę mruczał coś do siebie.

— O ile potrafię to dobrze odczytać, to na twoim lustrze jest napisane: *Ścieżka do prawdziwej chwały wiedzie przez wrota śmierci, a na moim: Życie wieczne znajduje się poza grobem.*

— Chorobliwa perwersja — skomentował Harris.

— Niezbyt to precyzyjne instrukcje — dodał ironicznie Halstead.

— A jednak może to coś oznaczać — powiedział Fallon z powątpiewaniem. — Ale i tak jedna rzecz jest pewna, to jest wybrzeże Quintana Roo. — Przesunął nad odbitką szkło powiększające. — I, na Boga, zaznaczone są miasta. Widzicie te kwadratowe znaczki podobne do zamków?

Atmosfera stawała się coraz gorętsza.

— Te dwa, z góry, to muszą być Coba i Tulum — powiedział z przejęciem Halstead. — I Chichón Itzá na zachodzie...

— A to Ichpastuun nad zatoką Chetumal. A co to może być tu, na południu od Tulum? Może Chunyaxche? — Fallon uniósł głowę i wpatrzył się w jakiś punkt przed sobą. — Niedawno odkryto tam miasto, istnieje nawet przypuszczenie, że było to centrum handlu morskiego na tym wybrzeżu. — Dłoń Halsteada przesunęła się niżej. — Obok niego, w głębi lądu, jest zaznaczone następne, a tu jeszcze inne. — Głos mu drżał. — Tu znowu. Jeżeli ta mapa jest dokładna, będziemy odkrywali zaginione

miasta na pęczki.

— Uspokój się — powiedział Fallon i odłożył na bok zdjęcie. — Przyjrzyjmy się lepiej Uaxuanoc. — Sięgnął po drugą odbitkę i zapatrzył się w nią. — Jeżeli to odpowiada tamtemu kołu na mapie o większej skali, to powinniśmy poradzić sobie z dokładnym określeniem jego położenia.

Spojrzałem na swoją kopię. Zaznaczono na niej wzgórze, ale nie było skali, która pozwalałaby zorientować się w ich wysokości. Po wzgórzach rozrzucono nieudolne symbole budynków. Pamiętałem fragment listu Vivera, w którym pisał, że miasto było zbudowane na grzbiecie wzgórza biegnącego od wschodu na zachód.

— Układem przypomina połączenie Chichón Itzá i Coba — powiedział Halstead — ale to miasto jest większe od każdego z nich. Dużo większe.

— Tu jest cenote — wskazał Fallon. — A zatem to mogłaby być świątynia Yum Chaca, jeżeli wierzyć Viverze. Zastanawiam się, który z tych symboli oznacza pałac królewski.

Odwrócił się i sięgnął po dużą tekturową tubę, z której wyciągnął mapę.

— Nad tą mapą spędziłem trochę czasu — powiedział. — Niemal całe życie.

Rozwinął ją i rozłożył na stole, przyciskając książkami zawijające się rogi.

— Tutaj zaznaczone jest wszystko, co Majowie kiedykolwiek zbudowali. Widzisz tu, Wheale, coś niezwykłego?

Przez chwilę przyglądałem się mapie i wreszcie powiedziałem:

— Jest zagęszczona na południu.

— To Peten, stare imperium, które upadło już w jedenastym wieku. Itzowie wtargnęli i później nowa krew była dla Majów uzdrawiająca jak transfuzja. Zasiadlili ponownie kilka dawnych miast, między innymi Chichón Itzá i Coba, ale też wybudowali dużo nowych, na przykład Mayapan. Zostawmy jednak w spokoju południe i skoncentrujmy się lepiej na samym Jukatanie. Nic cię tu nie dziwi?

— Ta pusta przestrzeń na zachodzie... Dlaczego tam nic nie budowali?

— Kto mówi, że nie? — uśmiechnął się Fallon. — To właśnie Quintana Roo. Tamtejsi mieszkańcy mają głęboko zakorzenioną niechęć do archeologów. — Wskazał jakiś punkt na mapie. — Tu właśnie zabili jednego, a jego szkielet wmurowali w nadbrzeżną skałę jako swoistą dekorację i przestrożę dla innych — uśmiechnął się do mnie. — Wciąż jeszcze chcesz jechać z nami?

Szary człowieczek, który siedział we mnie, pisnął ze strachu, ale w odpowiedzi posłałem mu beztrudny uśmiech.

— Pojadę tam, gdzie ty. Skinął głową.

— Od tamtego wydarzenia upłynęło już trochę czasu. Teraz Indianie nie są tacy wojowniczy. Jednak wciąż jeszcze nie jest to zbyt bezpieczna wycieczka. Mieszkańcy są raczej wrogo nastawieni, zarówno chicleros, jak i Indianie Chan Santa Rosa, ale najgorszy jest sam kraj. Oto przyczyna tej pustej przestrzeni, a Uaxuanoc znajduje się dokładnie pośrodku niej. — Pochylił się nad mapą i porównał ją z odbitką. — Umieściłbym je gdzieś tutaj, z tolerancją jakichś dwudziestu mil.

Vivero nie korzystał z dobrodziejstw pomiarów trygonometrycznych przy wykonywaniu tych gryzmołów, dlatego też nie można na nich zbyt wiele polegać.

— Zapowiada się piekielna robota — Halstead pokręcił głową.

Uśmiechnąłem się z niedowierzaniem, nie rozumiejąc, co w tym wszystkim mogło być takie trudne. Szperałem w bibliotece Fallona i przyglądałem się fotografiom majańskich miast. Były tam piramidy wielkości waszyngtońskiego Pentagonu, więc nie przewidywałem kłopotów z dostrzeżeniem czegoś takiego.

Halstead powiedział chłodno:

— Zatoczmy koło o promieniu dwudziestu mil, co daje ponad trzysta mil kwadratowych do przeszukania. Można przejść o trzy metry od budowli Majów i jej

nie zauważyć. — Rozciągnął usta w smutnym uśmiechu. — Możesz nawet przejść po niej i wcale o tym nie wiedzieć. Przekonasz się.

Wzruszyłem ramionami, puszczając tę naukę mimo uszu. Nie wierzyłem, aby mogło być aż tak źle.

— Nie rozumiem tylko, dlaczego Gatt tak interesuje się tą sprawą — powiedział Fallon zmartwionym głosem. — Nie widzę żadnych poważniejszych powodów, dla których miałby się w to mieszać.

Zdumiony popatrzyłem na Fallona i powiedziałem gwałtownie:

— Złoto, to chyba oczywiste? Gatt jest poszukiwaczem skarbów. Fallon miał zakłopotaną minę.

— Jakie złoto? — zapytał cicho. Teraz z kolei ja poczułem zmieszanie.

— Do licha, czytałeś przecież list Vivera! Czy nie opisuje on pałacu królewskiego wyłożonego złotem? Czy nie pisze w kółko o złocie? Wspomina nawet jakąś złotą górę!

Halstead ryknął śmiechem, a Fallon spojrział na mnie jak na szaleńca.

— Skąd Majowie wzięliby złoto do pokrycia budynku? Wheale, wykaż trochę zdrowego rozsądku.

Przez chwilę wydawało mi się, że naprawdę oszalałem. Halstead zrywał boki ze śmiechu. Fallon popatrzył na mnie z prawdziwą troską. Odwróciłem się do Harrisa, ale ten tylko wzruszył ramionami i bezradnie rozłożył ręce.

— Też nic z tego nie rozumiem.

Halstead ciągle jeszcze miał trudności z opanowaniem się. Po raz pierwszy widziałem go tak szczerze ubawionego.

— Nie wiem, co widzicie w tym takiego zabawnego — powiedziałem kwaśno.

— Nie wiesz? — zapytał i otarł zakławione oczy. Znowu zachichotał. — To najzabawniejsza rzecz, jaką usłyszałem od lat. Wytlumacz mu, Fallon.

— Naprawdę sądzisz, że Uaxuanoc aż kapie od złota albo że kiedykolwiek tak było? — zapytał Fallon. Mówiąc to, także się uśmiechał, jakby śmiech Halsteada był zaraźliwy.

— Vivero tak napisał, prawda? — Zaczęła mnie ogarniać złość. Wziąłem odbitki listu i podstawilem je Fallonowi pod nos. — Wierzysz w to, prawda? Vivero umiejscowił miasta tam, gdzie są rzeczywiście, i z tym się zgadzasz. Cóż więc jest tak cholernie zabawnego w reszcie tej historii?

— Vivero był największym łgarzem na półkuli zachodniej — wyjaśnił Fallon. Popatrzył na mnie ze zdumieniem. — Myślałem, że dotarło to do ciebie. Powiedziałem ci przecież, że był kłamcą. Słyszałeś, jak nad tym dyskutowaliśmy.

Opanowałem się, po czym wolno spytałem:

— Czy mógłbyś mi to jeszcze raz wytłumaczyć, ale jednosylabowymi słowami? — Kątem oka dojrzałem Harrisa, którego twarz wyrażała podobne zdumienie. — Jestem pewien, że pan Harris także chciałby zrozumieć ten żart.

— No, teraz wszystko jasne — westchnął Fallon. — Po prostu przyjął pan list zbyt dosłownie.

Halstead znów ryknął śmiechem. Zaczynało mnie to coraz bardziej męczyć.

— Weźmy kilka punktów tego listu — kontynuował Fallon. — Vivero twierdził, że jego rodzina ma stary rodowód i że zostali pobici przez Maurów, w wyniku czego przepadł ich majątek. Łgał jak z nut. Jego ojciec był złotnikiem, to się akurat zgadza, ale dziadek był jeszcze chłopem, który wywodził się z długiej linii najzwyczajniejszych chłopów. Nazwisko ojca brzmiało Vivero i dopiero sam Manuel dodał sobie arystokratyczny tytuł, zmieniając je na de Vivero. Zrobił to w Meksyku, w Hiszpanii nigdy by mu to nie uszło na sucho. W czasie kiedy Murville odwiedził meksykańską gałąź tej rodziny, mit o arystokratycznym pochodzeniu zakorzenił się już na dobre. Oto dlaczego nie mógł uwierzyć, że jakiś de Vivero sam wykonał tę tacę.

— Łgał więc pod tym względem. Wielu ludzi kłamie, gdy chodzi o ich rodziny lub o nich samych. Ale skąd wiesz, że kłaniał także o złocie? I po co właściwie miałby opisywać takie niestworzone historie?

— Całe złoto, które kiedykolwiek było w posiadaniu Majów, zostało sprowadzone — powiedział Fallon. — Z Meksyku, z Panamy i z Wysp Karaibskich. To byli ludzie na poziomie neolitu, nie wytwarzali niczego z metalu. Przypomnij sobie opis ich broni z listu Vivera: drewniane miecze z kamiennymi krawędziami. Co do drewna miał akurat rację, natomiast tym kamieniem był obsydian.

— Ale przecież Majowie mieli złoto — zaprotestowałem. — Pamiętam dobrze opis znalezisk z cenote w Chichón Itzá, czytałem o tym.

— A cóż takiego tam znaleziono? Mnóstwo przedmiotów ze złota, ale wszystkie były sprowadzane. Chichén Itzá funkcjonowało jako znany ośrodek religijny, a cenote była święta. Na całym świecie można znaleźć święte studnie, do których wrzuca się ofiarne przedmioty, a cenote mają szczególne znaczenie na Jukatanie, gdyż woda jest tam wyjątkowo cenna. Na przestrzeni setek lat nieustannie ciągnęły tam pielgrzymki.

— Nawet w Nowym Jorku — wtrącił Harris — nie ma takiej fontanny, do której ludzie nie wrzucaliby monet.

— Właśnie — potwierdził Fallon zadowolonym głosem. — Pod tym względem woda zdaje się mieć jakąś pierwotną siłę przyciągania. „Trzy monety w fontannie” i tym podobne rzeczy. Ale Majowie na pewno nie mieli swojego złota.

Zmieszałem się.

— W takim razie po diabła Vivero to powypisywał?

— Początkowo też byłem zaskoczony, ale przedyskutowaliśmy tę sprawę z Halsteadem i doszliśmy do pewnych wniosków.

— Miło mi będzie je usłyszeć — zakomunikowałem kwaśno.

— Vivero coś odkrył, co do tego nie ma wątpliwości. Nie mamy jednak pojęcia, co to było. Jest pod tym względem bardzo tajemniczy, gdyż nie chciał, by jego sekret poznał ktoś, komu list wpadłby w ręce przypadkowo. Jediną rzeczą, którą jasno określił, było to, że pragnął zarezerwować zaszczyt dokonania znaleziska dla swoich synów, dla rodziny Vivero. Jeżeli więc nie mógł otwarcie zdradzić synom tej tajemnicy, musiał znaleźć inny sposób zainteresowania ich tą sprawą. A co mogło ich bardziej zaintrygować niż złoto?

Opadłem na krzesło zniechęcony.

— Ale jak Hiszpanie mogli spodziewać się znaleźć złoto tam, gdzie go nie było? Mam już zupełny mętlik w głowie — przyznałem.

— To dosyć proste. Hiszpanie przybyli do Meksyku w poszukiwaniu łupów i znaleźli je. Zdobyli państwo Azteków i odkryli mnóstwo złota, gdy splądrowali skarbcę świątyni i pałac Montezumy. Nie zdawali sobie jedynie sprawy z tego, że dopływ kruszcu nie jest stały. Ci Hiszpanie byli tylko prostymi ludźmi i nie zastanawiali się nad tym, że złote skarby, z których ograbili Azteków, gromadzone były przez wieki, powoli, rok po roku. Sądziли, że gdzieś musi być jakieś główne źródło, może ogromna kopalnia. Nadali nawet temu nazwę, Eldorado, i nigdy nie przestali go szukać. A ono nie istniało. Weźmy na przykład hiszpańskich żołnierzy. Gdy ograbili Azteków, Cortez podzielił łupy. Zabrał swoją część, oszukując oficerów, a kiedy ci z kolei położyli swoje lepkie łapy na reszcie, to dla zwykłych żołnierzy pozostało raczej niewiele. Może jakiś złoty łańcuch lub czarka na wino. Ci ludzie byli jednak żołnierzami, a nie osadnikami i za każdym następnym wzgórzem wypatrywali swojego upragnionego Eldorado. Zaatakowali więc Majów, myśląc, że to może wreszcie obiecana kraina, a później, pod wodzą Pizarra, peruwiańskich Inków. Doprowadzili do upadku całej cywilizacji, gdyż nie byli przygotowani na to, by własnoręcznie wydobywać złoto z ziemi. A złoto było tam wprawdzie, ale przywożone spoza terenu

Jukataniu. Majowie, podobnie jak Aztekowie, posiadali mnóstwo złota, nie w takich jednak ilościach, by pokrywać nim budynki lub robić z niego rynny. Dostojnicy nosili drobną złotą biżuterię, a kapłani używali w świątyniach złotych sprzętów obrzędowych, i to wszystko.

— A więc te opowieści Vivera o złocie miały jedynie zachęcić chłopów do działania? — zapytał Harris.

— Przypuszczalnie tak — powiedział Fallon. — Śmiem twierdzić, że rzeczywiście zaskoczył Majów, przetapiając złoto i robiąc odlewy. Majowie nie znali wcześniej tej technologii. Pokażę wam oryginalny wyrób Majów i zobaczycie sami, co mam na myśli.

Podszedł do sejfu, otworzył go i wyjął mały złoty dysk.

— To jest talerz, który należał zapewne do jakiegoś dostojnika. Zobaczcie, jak pięknie jest ozdobiony.

Był bardzo cienki, wydawał się kruchy i delikatny. Wyrity na nim rysunek przedstawiał wojownika trzymającego włócznię i tarczę oraz inne postacie dźwigające przedmioty o dziwacznych kształtach.

— Jego historia — objaśnił Fallon — zaczęła się prawdopodobnie od samorodka znalezionego w górskim potoku, gdzieś daleko od Jukataniu. Majowie wyklepali go na płasko i wyrzeźbili na nim rysunek kamiennymi narzędziami.

— A co z tą górą złota? — zapytałem. — Czy to kolejne kłamstwo Vivera? Czy nie mogło tam być kopalni?

— W żadnym wypadku — odparł zdecydowanie Fallon. — Geologia wyklucza taką możliwość. Półwysep Jukatański jest wapienną pokrywą, bez nawet śladowych złóż złota. Brak tam również jakichkolwiek innych metali, z tego zresztą powodu Majowie nigdy nie wyszli poza epokę kamienną mimo swych niewątpliwych zdolności.

Westchnąłem z rezygnacją.

— W porządku. Przyjmuję do wiadomości. Nie ma złota.

— Powracamy w ten sposób do Gatta — powiedział Fallon. — O co mu właściwie chodzi?

— O złoto — potwierdziłem swój poprzedni sąd.

— Przecież przed chwilą wytłumaczyłem ci, że go tam nie ma. — Fallon popatrzył na mnie z irytacją.

— Zgadza się, przekonałeś mnie i Harrisa również. — Odwróciłem się do Harrisa i spytałem: — Czy zanim usłyszałeś te wyjaśnienia, wierzyłeś, że na Jukatanie jest złoto?

— Myślałem, że właśnie o to chodziło — przytaknął. — O zakopane w ruinach miasta skarby.

— No proszę — powiedziałem. — Dlaczego sądzisz, że Gatt uważa inaczej? Może być wykształconym człowiekiem, ale nie musi być jednocześnie ekspertem w dziedzinie archeologii. Sam nie jestem analfabetą, a uwierzyłem w te ukryte skarby. Nie posiadałem fachowej wiedzy, aby przypuszczać, że Vivero kłamał, dlatego więc Gatt miałby się tego domyślać? Oczywiście, że chodzi mu o złoto. Ma taką samą mentalność jak konkwistadorzy, po prostu kolejny gangster, który nie lubi tyrać w pocie czoła, a chce mieć pieniądze. — Moje słowa zaskoczyły Fallona.

— Oczywiście. Nie wziąłem pod uwagę oceny laika. Trzeba mu będzie powiedzieć prawdę.

Harris uśmiechnął się krzywo.

— Sądzisz, że ci uwierzy? Po przeczytaniu listu Vivera nie ma o tym mowy. Do diabła, sam ciągle widzę pałac królewski lśniący w słońcu, nawet teraz, kiedy już wiem, że to nieprawda. Miałby pan nie lada robotę, żeby przekonać Gatta.

— W takim razie musi być głupcem! — wykrzyknął Fallon.

— Nie, Gatt wcale nie jest głupcem — zaprotestował Harris. — Po prostu uważa, że ludzie, którzy poświęcają jakiejś sprawie tyle czasu i którzy są gotowi przez dłuższy okres przebywać w dżungli, poszukując czegoś, chcą znaleźć coś bardzo wartościowego. Gatt nie uwierzyłby, że to wiedza może być tak cenna, więc po prostu węszy forsę. Przykłada do pana własną miarę, to wszystko.

— Niech Bóg broni! — zaprzeczył Fallon żarliwie.

— Będzie pan miał z nim kłopoty — ostrzegwał Harris. — On nie poddaje się łatwo. — Skinął głową w stronę odbitek leżących na stole. — Gdzie pan kazał je zrobić?

— Mam akcje towarzystwa inżynierskiego w Tampico. Użyto aparatury do prześwietlania metali.

— Lepiej bym to sprawdził — zaproponował Harris. — Gatt mógł się do tego obrać.

— Przecież ja mam negatywy.

Harris popatrzył na niego z politowaniem.

— Na jakiej podstawie sądzi pan, że są to jedyne negatywy? Wątpię, czy ta robota udała się im za pierwszym razem, mogli przecież dać panu najlepsze z serii. Chcę wiedzieć, co stało się z pozostałymi i zniszczyć je, zanim Gatt zacznie dawać łapówki pańskim kiepsko opłacanym technikom.

Harris był profesjonalistą i nigdy nie dawał za wygraną, a cechowała go absolutna niewiara w uczciwość.

Rozdział 15

Gdy Fallon organizował jakąś ekspedycję archeologiczną, traktował ją jak operację wojskową. Coś na taką samą skalę, jak lądowanie w Normandii. Nie był to biedny naukowiec, który musi szarpać się w ramach przyznanej mu dotacji i naciągać każdego dolara, by starczył za dwa. Fallon był multimilionerem znikającym na punkcie archeologii. Mógł i wydawał pieniądze w takim tempie, jakby posiadał prywatny taśmociąg do Fortu Knox. Pieniądzy, które wydał, aby odnaleźć Uaxuanoc, wystarczyłoby na zbudowanie tego przeklętego miasta.

Początkowo planował podróż morską, ale wybrzeże Quintana Roo aż jeży się od wysepek i mielizn, których nie oznaczono na mapie. Zrezygnował więc z tego pomysłu. Nie kłopotał się tym długo i, jakby to było najzwyczajszą rzeczą pod słońcem, wynajął małą eskadrę samolotów transportowych, by drogą powietrzną przywieźć wszystkie zapasy. Żeby to zrobić, musiał wyekspediować wcześniej ekipę budowlaną i we własnym zakresie wybudować pas startowy u wejścia do zatoki Ascension. W efekcie powstał obóz-baza.

Gdy tylko pas startowy nadawał się do użytku, wysłał tam samolot w celu przeprowadzenia zwiadu powietrznego. Załoga samolotu wykonała nie tylko plan obszaru, na którym prawdopodobnie miało znajdować się Uaxuanoc, ale również całych prowincji Quintana Roo i Jukatana.

Działania te wydawały się mi nieco ekstrawaganckie, zapytałem więc o ich sens. Odpowiedź była prosta — okazało się, że Fallon kooperował z rządem meksykańskim. Prawdopodobnie Departament Kartograficzny Urzędu Miernictwa cierpiał na brak informacji o tych terenach, więc Fallon, w zamian za pewne przywileje, zgodził się wzbogacić ich dokumentację.

— Jediną osobą, która kiedykolwiek wykonała zdjęcia lotnicze Quintana Roo, był Lindbergh — wyjaśnił. — Ale było to dawno temu. Cały ten materiał bardzo przyda się specjalistom.

Przy użyciu helikopterów z zatoki Ascension założono obóz II w interiorze. Fallon i Halstead spędzili mnóstwo czasu, dyskutując nad jego lokalizacją. Wymierzili zdjęcia rentgenowskie luster co do milimetra, a wyniki pomiarów nanieśli na dużą mapę Fallona i w końcu podjęli decyzję. Teoretycznie obóz II powinien być założony na samym szczycie świątyni Yum Chaca w Uaxuanoc, ale nie był, co zresztą nikogo nie zaskoczyło.

Halstead zaszczycił mnie jednym ze swoich rzadkich uśmiechów, ale prawdę mówiąc, niewiele było w nim prawdziwego humoru.

— Ekspedycja w teren to jak pobyt na poligonie — powiedział. — Możesz używać jakich chcesz maszyn i urządzeń, ale robota musi być wykonana przez facetów poruszających się na własnych nogach. Jeszcze pożałujesz, Wheale, że wybrałeś się na wycieczkę.

Miałem przemożne wrażenie, że czekał, abym zarył nosem w ziemię, gdy tylko znajdziemy się w terenie. Był typem człowieka, który śmieje się głupkowato, gdy ktoś poślizgnie się na skórcie banana i złamie nogę. Miał dość prymitywne poczucie humoru, a do tego wszystkiego niezbyt mnie lubił.

Przebywaliśmy nadal w posiadłości Fallona, na przedmieściu Mexico City. Halsteadowie porzucili swoje lokum i przeprowadzili się do nas. Również Pat Harris kręcił się w pobliżu. Czasem wyjeżdżał bez uprzedzenia w nieznanym kierunku i powracał również niespodziewanie. Przypuszczam, że składał raporty Fallonowi, ale nas nie informował o niczym z tej prostej przyczyny, że wszyscy byliśmy zbyt zajęci, by o cokolwiek pytać.

Pewnego dnia przyszedł do mnie Fallon i zapytał:

– A co z twoimi umiejętnościami pletwonurka? Mówiłeś o tym poważnie?

– Oczywiście. Nurkowałem już wielokrotnie.

– Dobra. Kiedy znajdziemy Uaxuanoc, będziemy chcieli zbadać cenote.

– Będę potrzebował więcej sprzętu – powiedziałem. – To, co mam, wystarczy amatorowi w cywilizowanym świecie, ale nie pośrodku Quintana Roo.

– Co to za sprzęt?

– Jedną z najważniejszych pozycji jest kompresor powietrza do ładowania butli. – Przerwałem na moment. – No i jeżeli trzeba będzie schodzić poniżej pięćdziesięciu metrów, chciałbym również mieć w pogotowiu komorę dekompresyjną na wypadek, gdyby ktoś znalazł się w opałach.

– W porządku – skinął głową. – Załatw sobie ten sprzęt. Odwrócił się, a ja zapytałem łagodnie:

– Czego mam użyć zamiast pieniędzy?

– Ach, tak – zatrzymał się. – Poproszę mojego sekretarza, żeby to wszystko zorganizował. Wpadnij do niego.

– Kto pojedzie ze mną?

– Potrzebujesz kogoś jeszcze? – zapytał zaskoczony.

– Pierwsza i najważniejsza zasada brzmi: nie nurkuj sam! Zbyt wiele może się zdarzyć pod wodą, szczególnie w mrocznych głębinach dziury w ziemi.

– Więc wynajmij kogoś – powiedział poirytowany. Była to tylko drobna cząstka problemu i z wielką ochotą by się już jej pozbył.

Poszedłem więc po zakupy i wydałem moc pieniędzy na wspaniałą drogi sprzęt. Udało mi się kupić prawie wszystko na miejscu, miałem tylko kłopot z komorą dekompresyjną. Zwróciłem się z tym do sekretarza i kilka telefonów do Stanów Zjednoczonych spowodowało niewielkie poruszenie w szeroko rozrzuconym imperium Fallona. Spowodowało również i to, że przysłano mi komorę pierwszym samolotem transportowym. Być może ten zakup był przesadą, ale wolałem się zabezpieczyć. Co innego nabawić się choroby kesonowej w Anglii, gdzie szpitale portowe są wyposażone w odpowiedni sprzęt i gdzie marynarka może udzielić pomocy w nagłym wypadku, a zupełnie inną sprawą jest mieć bulgocący jak szampan azot we krwi w samym sercu przeklętej puszczy. Zresztą Fallon mógł sobie pozwolić na te wydatki.

Zgromadziłem wreszcie tyle sprzętu, że wystarczyłoby go do wyposażenia przeciętnego klubu pletwonurków i właściwie powinna przepelniać mnie radość, że będę miał okazję używać wszystkich tych sprawnych, doskonale zaprojektowanych urządzeń do pracy pod wodą. Ale tak nie było. Wszystko poszło zbyt łatwo. Nie były to rzeczy, na które musiałem się napracować, na których kupno oszczędzałem. Zacząłem rozumieć bogatych ludzi, których wszystko tak szybko nudziło i oddawali się ekscentrycznym rozrywkom. Może akurat Fallon wykraczał poza ramy tego schematu, trzeba mu oddać sprawiedliwość, był przede wszystkim archeologiem, i to w każdym calu.

Odszukałem Katherine Halstead i sprowadziłem ją na dół, do basenu.

– No, dobra – powiedziałem. – Proszę mi pokazać.

– Nie bardzo wiem co? – Spojrzała na mnie zaskoczona.

Wskazałem na aparat nurkowy, który przyniosłem ze sobą.

– Proszę mi udowodnić, że potrafi się pani tym posługiwać.

Obserwowałem ją, jak go zakładała i nie rwałem się do pomocy. Zresztą знаła się na tym. Starannie dobrała ciężarki balastowe, a kiedy weszła do wody, uczyniła to tak jak trzeba – bezszelestnie.

Założyłem także swój sprzęt i podążyłem za nią. Okrążyliśmy parę razy dno

basenu. W tym czasie sprawdziłem jej znajomość międzynarodowej sygnalizacji i okazało się, że rozumiała. Kiedy już wyszliśmy na brzeg, powiedziałem:

— W porządku, jest pani zaangażowana.

— Można wiedzieć do czego? — zapytała zdumiona.

— Jako drugi nurek na wyprawę do Uaxuanoc.

— Mówi pan poważnie? — Twarz jej rozjaśniła się.

— Fallon zlecił mi zaangażowanie kogoś do pomocy, a jako pasażerka nie może pani z nami pojechać. Zaraz przekażę mu tę niezbyt dla niego radosną nowinę.

Zareagował oczywiście tak, jak się spodziewałem, ale przekonałem go, mówiąc, że Katherine wie przynajmniej coś niecoś o archeologii, a trudno było znaleźć nurka-archeologa poza obszarem śródziemnomorskim.

Katherine Halstead z kolei musiała nieźle popracować nad mężem, by nie protestował, przyłapałem go jedynie na tym, że przyglądał mi się badawczo. Myślę, że właśnie wtedy zaczął go toczyć kornik zazdrości i wezbrało w nim podejrzenie co do moich zamiarów. Niewiele się tym przejmowałem. Byłem zbyt pochłonięty szkoleniem jego żony w rutynowym obsługiwaniu kompresora powietrza i komory. Bardzo się w tym czasie zaprzyjaźniliśmy i wkrótce już mówiliśmy sobie po imieniu. Do tej pory zawsze nazywałem ją panią Halstead, trudno było jednak trzymać się tej sztywnej formy wówczas, gdy raz po raz nurkowaliśmy razem w basenie. Nigdy jednak nie tknąłem jej nawet palcem.

Halstead niezmiennie zwracał się do mnie per Wheale.

Rozdział 16

Lubiłem Pata Harrisa. W kontaktach towarzyskich sprawiał wrażenie faceta powolnego i beztroskiego, natomiast gdy pracował, stawał się bardzo nieufny i przebiegły. Na krótko przed naszym wyjazdem do Quintana Roo spędzał wiele czasu w domu i właśnie wtedy wprowadziliśmy zwyczaj wspólnego wypijania późnym wieczorem po kuflu piwa. Pewnego razu zapytałem go:

— Na czym właściwie polega twoja praca, Pat? W zamyśleniu przesunął palcem po ścianie kufła.

— Sądzę, że można to określić jako wykrywanie i usuwanie problemów Fallona. Gdybyś miał tyle forsy co on, okazałoby się, że wielu ludzi chciałoby cię od niej oddzielić, sprawdzam więc takich gości i pilnuję, czy wszystko idzie do przodu.

— Mnie też sprawdziłeś? Uśmiechnął się lekko i powiedział:

— Jasne! Wiem o tobie więcej niż twoja rodzona matka. — Pociągnął łyk zimnego piwa. — Albo, na przykład, któraś z jego spółek ma kłopoty z zapewnieniem bezpieczeństwa, wtedy jadę tam i węszę.

— Wywiad przemysłowy? — spytałem z rezerwą.

— Można to i tak nazwać — zgodził się. — Ale tylko pod kątem ochrony. Fallon nie prowadzi brudnych interesów, więc ograniczam się wyłącznie do kontrwywiadu.

— Jeżeli sprawdzałeś mnie, to musiałeś zrobić to samo z Halsteadem. On jest jakiś dziwny.

Pat pochylił się nad kuflem, by ukryć nieco ironiczny uśmiech.

— Nie musisz mi tego mówić. To człowiek, który myślał, że jest geniuszem, a teraz zorientował się, że wszystko, czym dysponuje, to tylko talent. Wiecznie zajmuje drugorzędną pozycję i to go rozczarowuje. Cały kłopot Halsteada polega na tym, że sam nie bardzo potrafi sobie z tym poradzić. Musiało go to niezle rąbnąć.

— Mógłbyś to dokładniej wyjaśnić?

— No więc sprawa wygląda tak — Pat westchnął. — Halstead zaczął jako cudowne dziecko, uznano go za absolwenta, który ma największe szansę na zrobienie kariery i tym podobne brednie. Wiesz, to zabawne, jak często ludzie myślą się co do innych. Każda spółka aż pęka w szwach od facetów, po których dużo się spodziewano, a którzy w rzeczywistości odwalają drugorzędną robotę. Ci, co są na szczycie i posiadają autentyczną wiedzę, wspięli się tam stromą dróżką, drapiąc się pod górę pazurami i dzierżąc w garści ostry nóż. Jest całe mnóstwo prezesów korporacji, którzy nigdzie nie studiowali. Albo takich jak Fallon — tacy już od początku byli na szczycie.

— W interesach — wtrąciłem — ale nie w archeologii.

— Jedno ci powiem, Fallon osiągnąłby sukces we wszystkim, do czego przyłożyłby rękę. Ale Halstead to drugi gatunek. Wie już o tym, nie może tego przelknąć, ale nigdy się do tego nie przyzna, nawet przed samym sobą. Zżera go ambicja i dlatego przegrał. Chciał sam załatwić sprawę Uaxuanoc. Dałoby mu to pozycję i uratowało szacunek dla samego siebie. A ty mu w tym przeszkodziłeś, bo zmusiłeś go do współpracy z Fallonem. To mu się nie podoba. Nie chce się z nikim dzielić sławą.

Zastanawiałem się nad tym przez chwilę, po czym ostrożnie powiedziałem:

— Zarówno Fallon, jak i Halstead obrzucali się wzajemnie oskarżeniami. Halstead oskarżył Fallona o kradzież listu Vivera. Tę sprawę już chyba wyjaśniliśmy i Fallon został oczyszczony z podejrzeń. Ale co z zarzutem Fallona w stosunku do Halsteada? Miał mu podobno ukraść dokumenty dotyczące Vivera?

— Według mnie Halstead to zrobił — rzekł Pat szczerze.

— Przypomnij sobie rozwój wydarzeń. Fallon, powodowany zainteresowaniem,

gromadzi materiały związane z sekretem Vivera. Halstead wiedział o tym od Fallona. Fallon zresztą tego nie ukrywał, bo nie przypuszczał, że stanie się to takie ważne. Obaj wrócili do cywilizowanego świata po zakończeniu wykopalisk i wtedy Halstead znalazł list Vivera. Kupił go w Durango za dwieście dolarów od jakiegoś starego gościa, który nie znał jego wartości. Znał ją za to Halstead. Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że może to być klucz do tajemnicy Vivera, jakkolwiek by ona była. Poza tym był to archeologiczny dynamit, miasto, o którym nikt nawet nie słyszał. — Harris sięgnął po następną butelkę piwa i otworzył ją. — Sprawdziłem datę zakupu tego listu. Miesiąc później Halstead pokłócił się z Fallonem i obrażony odszedł, a dokumentacja Fallona dotycząca Vivera zniknęła. Wtedy jeszcze Fallon nie zwrócił na to zbyt dużej uwagi. Tak jak mówiłem, akta Vivera nie wydawały mu się zbyt ważne i sądził, że Halstead zapewne przez omyłkę zabrał te papiery ze swoimi. Przypuszczalnie nie chciał też sobie zawracać tym głowy i jeszcze bardziej rozjątrzać sprawę. Teraz zmienił zdanie.

— Wszystko to brzmi bardzo enigmatycznie — powiedziałem.

— Większość dowodów jest taka — westchnął Pat. — Przestępstwo popełnia się zazwyczaj bez świadków. Inna sprawa, że w moim oskarżeniu dużą rolę odgrywa zawodowa reputacja Halsteada.

— Aż taka zszargana?

— Powiedzmy, nieco śmierdzi. Jest podejrzany o sfałszowanie niektórych wyników swojej pracy. Niby historie nie do udowodnienia, nie wystarczyły nawet do odsunięcia go od publikowania w fachowych czasopismach, ale jestem przekonany, że wszystko, co w przyszłości zechce opublikować, będzie sprawdzone z największą skrupulatnością. Oczywiście nie ma w tym nic nowego, robiono to już wcześniej. Mielicie zresztą podobny przypadek w Anglii, prawda?

— Tak, tylko że chodziło wtedy o antropologię — powiedziałem. — Człowiek z Piltdown. Wszyscy zastanawiali się, dlaczego nie pasuje do ogólnej teorii rozwoju, dlatego też próbowano tak naginać teorię, by wszystko grało. Dopiero gdy opracowano metodę określania wieku wykopalisk węglem radioaktywnym, okazało się, że to było oszustwo.

— Niektórzy robią takie rzeczy — powiedział Pat, skinąwszy głową. — Jeśli nie mogą zdobyć pozycji w prosty sposób, próbują kręactwa. I zazwyczaj są to podobne do Halsteada miernoty, pragnące szybko zdobyć sławę.

— Wciąż są to tylko poszlaki — powiedziałem z uporem. Jakoś nie chciałem pogodzić się z faktami. Ciągle jeszcze nauka była dla mnie równoznaczna z prawdą i nie mogłem uwierzyć, by jakiś naukowiec mógł zniżyć się do oszustwa. A może po prostu nie chciałem przyjąć do wiadomości, że Katherine Halstead mogła poślubić tego typu człowieka.

— Nikt go jeszcze nie złapał na gorącym uczynku — przyznał Pat — ale według mnie to tylko kwestia czasu.

— Jak długo są małżeństwem? — zapytałem.

— Trzy lata. — Dłoń trzymająca szklankę nagle zatrzymała się w połowie drogi do ust. — Domyślam się, co ci chodzi po głowie, i dam ci dobrą radę: daj sobie spokój! Wiem, że jest niezłą sztuką, ale trzymaj lepiej od niej ręce z daleka. Fallonowi by się to nie spodobało.

— Proszę, jaki z ciebie jasnowidz — zaśmiałem się ironicznie. — Pani Halstead nic nie grozi z mojej strony, zapewniam cię. — Zaledwie to powiedziałem, zastanowiłem się, ile w tym prawdy. Śmieszył mnie też sposób, w jaki Harris to ujął: „Fallonowi by się to nie spodobało”... Pat był lojalny przede wszystkim wobec własnego szefa i zupełnie nie obchodziło go, jak Halstead mógłby zareagować. — Sądzisz, że ona zdaje sobie sprawę z nie najlepszej reputacji swojego męża?

— Pewnie nie — odparł Harris. — Jakoś trudno mi sobie wyobrazić kogoś, kto

idzie do niej i mówi: „Pani Halstead, muszę pani powiedzieć, że mąż ma parszywą reputację”. Ona będzie ostatnią osobą, która się o tym dowie. — Spojrzał na mnie z zainteresowaniem. — Co cię skłoniło, by wepchnąć ją Fallonowi do tego nurkowania? Już dwukrotnie zmusiłeś szefa, aby ci ustąpił. Kredyt szybko ci się wyczerpuje.

— Potrafi kontrolować swojego męża wtedy, gdy inni nie mogą sobie z nim poradzić — odpowiedziałem powoli. — Nie mam zamiaru spędzać czasu w Quintana Roo na ustawicznym powstrzymywaniu tej dwójki od kłótni. Będę potrzebował pomocy.

Pat przekrzywił głowę, po czym energicznie przytaknął.

— Może nawet masz rację. Fallon nie spowoduje komplikacji, ale Halstead może coś namieszać. Nie twierdzę, że jest wariatem, lecz jest mocno niezrównoważony. Wiesz, co myślę? Jeżeli znajdzie się pod nieznacznie większą presją, przytrafi się jedno z dwojga: albo rozbije się jak zgniłe jajko, albo wybuchnie jak bomba. A jeśli ty będziesz wtedy w pobliżu, każda z tych ewentualności źle się dla ciebie skończy. Nie polegałbym na nim w trudnych chwilach, już prędzej zaufałbym sobie, że mogę podrzucić Empire State Building.

— Niezła rekomendacja. Wolałbym, żebyś raczej nie wypisywał mi żadnych referencji.

— Twoje mogłyby być nieco lepsze — rzekł z uśmiechem. — Jedyne, co musisz zrobić, Jeremy, aby osiągnąć maksymalny wynik, to przestać być tak cholernie neutralny. Wiem, że wy, Anglicy, macie opinię spokojnych ludzi, ale ty przesadzasz. Czy masz coś przeciwko temu, żebym mówił szczerze?

— A mam szansę cię powstrzymać?

— Chyba nie — parsknął śmiechem i uniósł szklanekę. — Jestem już wystarczająco wcięty, żeby mówić otwarcie. Ta moja słabość przysporzyła mi w przeszłości już kilka siniaków pod oczami.

— No, jazda, gadaj wszystko, co najgorsze. Przyrzekam, że ci nie przyłożę.

— W porządku. Musisz mieć gdzieś w sobie żelazną siłę, bo gdyby tak nie było, nigdy nie zmusiłbyś Fallona do czegokolwiek. Trudno nim kierować. Ale co zdołałeś od tego czasu? Teraz Fallon z Halsteadem rządzą wszystkim, a ty siedzisz z boku. Jeszcze raz przydusiłeś szefa z powodu pani Halstead, drobiazg bez znaczenia, ale on to sobie zapamięta. A w ogóle to co, u diabła, robisz na tej wycieczce?

— Miałem idiotyczne złudzenia, że może odkryję coś w sprawie brata.

— Możesz to sobie wybić z głowy — przerwał Pat.

— Już się zorientowałem — przyznałem z przygnębieniem.

— Miło mi, że zdajesz sobie z tego sprawę — powiedział. — Gatt pacnąłby cię jak natrętną muchę i wcale by się tym nie przejął. Dlaczego więc nie zrezygnujesz i nie wrócisz do domu, Jemmy, na swoją małą, spokojną farmę? Już wiesz, że nie ma żadnych skarbów do znalezienia, a nie dasz przecież nawet dwóch centów za wszystkie zagubione miasta Ameryki Środkowej, prawda? Po co się tu kręcisz?

— Będę tutaj tak długo, jak Gatt — odparłem. — Może w końcu odsłoni się na tyle, bym mógł się do niego dobrać.

— No to poczekasz, aż piekło zamarznie. Posłuchaj, Jemmy, wokół niego kręci się piętnastu moich wywiadowców i wcale nie wiem więcej o jego planach niż wtedy, gdy zaczynałem. To spryciarz, który nie ma zwyczaju popełniać błędów. W każdym razie nie takich. Przez cały czas ma obstawę, to już jest u niego odruch.

— Zgadzasz się, że będzie go interesowało to, co zamierzamy robić w Quintana Roo?

— Tak sądzę — powiedział Pat. — Z pewnością ma na oku tę operację.

— W takim razie pojedzie za nami. W Mexico City nic przecież nie zdoła. Jeśli go tak cholernie interesują hipotetyczne skarby Uaxuanoc, będzie musiał tam

pojechać, żeby zabrać łup. Zgadzasz się z tym?

— Chyba tak — powiedział Pat. — Nie wyobrażam sobie, by Jack na tyle komuś zaufał, aby go tam wysłać. Nie przy takiej stawce, jaką spodziewa się zgarnąć.

— Nie będzie tam na swoim terenie, Gatt jest kulturalnym mieszczuchem i prędko straci grunt pod nogami. Z tego, co się dowiedziałem, to Quintana Roo jest równie niepodobna do Nowego Jorku jak Mars. I wtedy może popełnić błąd.

Pat spojrział na mnie ze zdumieniem.

— A dlaczego sądzisz, że jest inny? Przyznaję, że Gatt jest mieszczuchem, ale kulturalny to on nie jest. Podczas gdy ty jesteś mieszczuchem, a w dodatku kulturalnym. Jemmy, jesteś londyńskim księgowym i będziesz się czuł w Quintana Roo równie zagubiony jak Gatt.

— No właśnie — powiedziałem. — Będziemy wreszcie mieli równe szansę, a to już o wiele więcej niż teraz.

Harris opróżnił szklankę i odstawił ją z trzaskiem.

— Myślę, że zwariowałaś — westchnął zdegustowany. — Pozornie mówisz z sensem, ale w dalszym ciągu twierdzę, że ci się poprzestawiały klepki. Zupełnie jak u Halsteada. — Uniósł wzrok. — Powiedz, umiesz obchodzić się z bronią?

— Nigdy dotąd nie próbowałem, więc sam nie wiem.

— Na miłość boską! Cóż zatem zamierzasz zrobić, jeśli spotkasz się z Gattem mając, jak ty to opowiadasz, równe szansę? Zacałujesz go na śmierć?

— Nie mam jeszcze pojęcia, zobaczę, gdy przyjdzie czas. Wierzę w rozwiązywanie takich problemów, kiedy zaistnieją.

Rozbawiony przesunął ręką po twarzy i przez dłuższy czas patrzył na mnie w milczeniu. Wreszcie wziął głęboki wdech.

— Pozwól mi nakreślić hipotetyczną sytuację — powiedział łagodnie. — Załóżmy, że udało ci się odseparować Jacka od jego goryli, mimo że to już samo w sobie jest głupim przypuszczeniem. No i przypuśćmy, że stoicie naprzeciw siebie, para miłych mieszczuchów, dzieciątka w lesie. — Wymierzył we mnie palec. — Pierwszą i ostatnią rzeczą, którą zobaczysz, będzie to, jak Jack dokłada ci z łupary, a wówczas nie będziesz w stanie poradzić sobie z jakimkolwiek problemem.

— Czy Gatt zabił kogoś osobiście? — spytałem.

— Pewnie tak. Przeszedł przecież przez wszystkie szczeble Organizacji. Można powiedzieć, że zaliczył praktykę. Zapewne zabił w młodości raz czy dwa.

— To dawno temu — zauważyłem. — Może wyszedł z wprawy?

— Nie... z tobą się nie da rozmawiać — powiedział zduszonym głosem Pat. — Jeśli masz choć trochę rozumu, zmykaj stąd, skąd przyjechałeś. Ja muszę tkwić w pobliżu, ale przynajmniej zdaję sobie sprawę ze stawki i ostatecznie płacę mi za to. Ale ty jesteś typem, o którym Kipling napisał: „Jeśli potrafisz zachować głowę, podczas gdy wszyscy wokół ją tracą, to być może nie wiesz, co się, u diabła, dzieje?”

— Masz niezły talent parodystyczny — roześmiałem się.

— I tak nie dorównuję Fallonowi — powiedział przygnębiony. — Przekształcił sprawę bezpieczeństwa operacji w parodię. Użyłem podsłuchu, który założył Gatt, żeby go zbajerować, a co robi Fallon?

Urządza spektakl telewizyjny. Na miłość boską! Nie byłbym zbyt zaskoczony, gdybyście przylatując na ten pas startowy, który wybudował, zastali tam kamery CBS, przekazujące już transmisję na całe Stany, oraz stado sprawozdawców z Radio City dla zwiększenia zainteresowania. Każdy wieśniak w Meksyku wie, co się dzieje. Gatt wcale nie musi nas podsłuchiwać, żeby wiedzieć, co robimy, może spytać ludzi na najbliższym skrzyżowaniu.

— Życie jest ciężkie — powiedziałem ze współczuciem. — Czy Fallon zawsze się tak zachowuje? Harris potrząsnął głową.

— Nie mam pojęcia, co w niego wstąpiło. Przekazał kontrolę nad swoimi sprawami bratu, dając mu pełnomocnictwo. Jego brat to nawet miły facet, ale nie ufałbym nikomu aż tak, gdy chodzi o sto milionów dolarów. Fallon nie myśli już o niczym innym, tylko o odnalezieniu tego miasta.

— Nie byłbym tego taki pewien — powiedziałem z namysłem. — Nieraz wydaje mi się, że coś go gryzie. Chwilami jest zupełnie nieobecny duchem.

— Ja też to zauważyłem. Coś go martwi, ale nie zwierzał mi się. — Harris wydawał się dotknięty tym, że coś przed nim zostało zatajone. Wstał i przeciągnął się. — Idę do łóżka, mam jutro kupę roboty.

Rozdział 17

A więc znów to wróciło!

Najpierw Sheila, a teraz Pat Harris. Nie sformułował tego tak otwarcie jak Sheila, ale jednak powiedział. Najwyraźniej mój zewnętrzny wygląd i manieri żywo przypominają Caspara Milquetoasta¹, będącego symbolem przeciętnego urzędasia. Cały mój problem polegał na tym, że wcale nie byłem pewien, czy stan ducha nie odpowiada przypadkiem wyglądowi zewnętrznemu.

Gatt, sądząc z opisu Pata, był przeciwnikiem śmiertelnie niebezpiecznym. Być może nie zastrzeliby kogoś tylko po to, by przekonać się, w którą stronę upadnie, ale z pewnością zrobiliby to, choćby dla dolarowego tylko zysku. Zaczynałem odczuwać mdłości na samą myśl o spotkaniu z nim, ale wiedziałem jednocześnie, że teraz nie mogę się już wycofać.

Opinia Pata o Halsteadzie też była bardzo interesująca, zastanawiałem się tylko, co z tego wszystkiego wiedziała Katherine. Sądzę, że go kochała, byłem nawet tego pewien. W przeciwnym wypadku żadna kobieta przy zdrowych zmysłach nie mogłaby tolerować przy sobie takiego człowieka. A może byłem uprzedzony? W każdym razie stawała konsekwentnie po jego stronie we wszystkich sporach z Fallonem. Przykładowy obraz wiernej żony.

Usnąłem zatopiony w myślach o niej.

¹ Caspar Milquetoast – postać z angielskiego komiksu M. Webstera, ktoś przesadnie bojaźliwy, nieśmiały.

Rozdział 18

Do obozu I przenieśliśmy się latającym biurem Fallona — dyrektorskim odrzutowcem typu Lear. Poleciliśmy tam tylko we czworo. Pat Harris pozostał bowiem w Mexico City, mając za zadanie obserwowanie Gatta. W czasie podróży Fallon i Halstead pograżyli się w kolejnej nie kończącej się dyskusji zawodowej, a Katherine czytała jakieś czasopismo. Halstead tak manewrował przy wsiadaniu do samolotu, bym siedział jak najdalej od jego żony. Nie mogłem więc z nią rozmawiać bez przekrzykiwania fachowej dysputy, toteż skierowałem uwagę na ziemię.

Quintana Roo, widziana z góry, przypominała kawałek spleśniałego sera. Zwarte obszary roślinności tylko gdzieniegdzie były poprzerywane polanami, które wyglądały jak szarawe plamy wśród soczystej zieleni drzew. Nie dostrzegłem żadnej sieci wodnej ani rzeki, ani nawet strumienia i w duchu zgodziłem się z poglądami Halsteada na temat trudności w przeprowadzaniu badań archeologicznych w tropiku.

W pewnej chwili Fallon przerwał dyskusję, aby wydać jakieś polecenie pilotowi przez interkom. Samolot wolno zatoczył koło i zaczął schodzić niżej. Fallon odwrócił się do mnie i powiedział:

— Obejrzyjmy sobie obóz II.

Nawet z wysokości trzystu metrów widać było, iż las jest tak gęsty, że można by spacerować po koronach drzew i nie dotykać ziemi. Pod tym morzem zieleni mogłoby się znajdować miasto o powierzchni Londynu, a my nigdy byśmy go nie dostrzegli. Postanowiłem na przyszłość nie być już tak cholernie pewny siebie w sprawach, o których nie miałem pojęcia. Być może Halstead był blagierem, jeśli to, co powiedział Harris, było prawdą, ale też blagier musi być fachowcem w swej branży. Miał rację mówiąc, że czeka nas ciężka praca.

Przelecieliśmy nad obozem II zbyt szybko, bym mógł przyjrzeć mu się dokładniej. Samolot przechylił się, zawrócił i okrążyliśmy teren leżąc na jednym skrzydle. Niewiele zresztą było do oglądania — jeszcze jedna polana z kilkoma barakami i parą miniaturowych postaci wymachujących rękami. Odrzutowiec nie mógł tu wylądować. Zresztą nie mieliśmy tego w planie. Wyrównaliśmy kurs i wznieśliśmy się ponownie, kierując się w stronę wybrzeża i obozu I.

Po upływie około dwudziestu minut i pokonaniu jakichś osiemdziesięciu mil znaleźliśmy się nad morzem. Nawracając ponad białymi grzywami fal oraz błyszczącymi w słońcu plażami zeszliśmy do lądowania na pasie startowym w obozie I. Turbulencja przybrzeżna spowodowała, że odrzutowcem trochę rzuciło, ale już po chwili wylądował łagodnie. Potoczył się na koniec pasa, nawrócił i pokołował z powrotem, zatrzymując się przed hangarem. Gdy wyszedłem z komfortowo klimatyzowanego wnętrza, poczułem upał jak nagłe uderzenie młotem.

Na Fallonie ten skwar nie zrobił chyba żadnego wrażenia. W trakcie długich lat włączenia się po tej części świata wyparowały już z niego wszystkie soki, dzięki czemu zaaklimatyzował się całkowicie. Ruszył żwawym krokiem wzdłuż pasa, a za nim równie szybko podążył Halstead. Jemu też upał najwyraźniej nie przeszkadzał. Wraz z Katherine poszliśmy za nimi nieco wolniej. Gdy wreszcie dotarliśmy do baraku, w którym zniknął Fallon, Katherine wyglądała, jakby całkiem opadła z sił, a ja sam czułem się niezłe podsmażony.

— Mój Boże! — westchnąłem. — Czy tu jest tak zawsze? Halstead odwrócił się i posłał mi uśmiech, który miał wszelkie znamiona szyderstwa.

— Mexico City rozpieściło cię — powiedział. — Dzięki wysokości, na której leży, klimat tam jest łagodniejszy. Tu, na wybrzeżu, nie jest jeszcze naprawdę gorąco. Poczekaj, aż pojedziemy do obozu II.

Jego ton sugerował, iż będę gorzko żałował, że się tu wybrałem.

W baraku było dużo chłodniej, ponieważ działała aparatura klimatyzacyjna. Fallon przedstawił nam wielkiego, krzepkiego mężczyznę.

— To jest Joe Rudetsky, szef obozu I. Rudetsky wyciągnął pulchną dłoń.

— Miło mi pana poznać, panie Wheale — huknął.

Później dowiedziałem się, w jaki sposób Fallonowi udało się zorganizować całą operację w takim tempie. Po prostu ściągnął grupę logistyczną jednej z drużyn prowadzących eksploatację ropy. Ci chłopcy przywykli już do działania w trudnych warunkach tropikalnych i praca ta niewiele się różniła od wielu innych, które wykonywali wcześniej w Afryce Północnej, Arabii Saudyjskiej czy Wenezueli. Kiedy już zapoznałem się z obozem, podziwiałem doskonale funkcjonowanie całości. Umieeli zapewnić sobie komfort, z mrożeniem coca-coli włącznie.

Spędziliśmy w obozie I całą dobę. Fallon i Halstead sprowadzili górę sprzętu, który, jak sądzili, będzie im potrzebny, a ja z Katherine zrobiliśmy to samo z aparatami do nurkowania. Nie zamierzaliśmy ich zabierać do obozu II. Byłoby to bezcelowe, jako że obóz II miał być jedynie punktem wypadowym do dalszych poszukiwań. W momencie odkrycia Uaxuanoc opuścilibyśmy go, zakładając na terenie miasta obóz III.

Pracowaliśmy do lunchu. Potem zrobiliśmy przerwę na posiłek. Nie byłem zbyt głodny ze względu na upał, ale rozkoszowałem się butelką zimnego niemieckiego piwa, którą Rudetsky wetknął mi do ręki. Mógłbym przysiąc, że aż zasyczało w moim nagrzanym przełyku.

Katherine i ja zakończyliśmy przegląd. Nic nie zginęło ani się nie zepsuło, ale Fallon i Halstead mieli jeszcze sporo do zrobienia. Zaoferowałem im swoją pomoc, lecz Fallon pokręcił przecząco głową.

— Teraz to już tylko sprawdzenie instrumentów — powiedział. — Nie wiedziałbyś, jak to robić. — Jego spojrzenie powędrowało gdzieś ponad moim ramieniem. — Jeśli się odwrócisz, zobaczysz swoich pierwszych Majów.

Odwrociłem się na krzesło i popatrzyłem na drugą stronę pasa. Po przeciwnej stronie wyrównanego terenu w bezpiecznej odległości stało dwóch mężczyzn. Ubrani byli w dość luźne spodnie i białe koszule, z daleka wyglądali jak nieruchome posągi. Znajdowaliśmy się zbyt daleko, bym mógł dostrzec rysy ich twarzy.

— Nie wiedzą, co o nas sądzić. To bezprecedensowa inwazja. — Fallon przeniósł wzrok na Rudetsky'ego. — Sprawili ci jakieś kłopoty, Joe?

— Krajowcy? Absolutnie żadnych, Fallon. Ci faceci są z wybrzeża powyżej, mają plantację orzechów kokosowych.

— Kokosy... — powtórzył Fallon w zamyśleniu. — Ci ludzie żyją w zupełnej izolacji, odcięci od wszystkiego. Morze z jednej strony, las z drugiej. To musi być jedna rodzina, taka plantacja nie wyżywiłaby dwóch, tym bardziej że są przecież zdani wyłącznie na własne siły.

Brzmiało to bardzo przygnębiająco.

— Czym oni się żywią? — zapytałem. Fallon wzruszył ramionami.

— Ryby, żółwie morskie, żółwie jaja. Czasami mają szczęście i ustrzelą dziką świnię. Poza tym dwa razy do roku sprzedają koprę, co daje im trochę gotówki na zakup odzieży, igieł i kilku naboí.

— Czy to właśnie są ci indios sublevados, o których mówiłeś? Fallon roześmiał się.

— Ci chłopcy nie są buntownikami, nie wiedzieliby nawet, jak się do tego zabrać. Indios sublevados i chicleros spotkamy w głębi łądu. — Zwrócił się ponownie do Rudetsky'ego. — Mielście tu jakiegoś chicleros w pobliżu?

Rudetsky ponuro skinął głową.

— Odpędziliśmy tych drani. Rozkradliby nas. — Zerknął na Katherine, zajęta właśnie rozmową z mężem, i dodał ściszym głosem: — W ubiegłym tygodniu zamordowali krajowca, znaleźliśmy ciało na plaży.

Fallon nie przejął się tą wiadomością. Najzwyczajniej w świecie wziął fajkę i powiedział:

— Lepiej dobrze pilnujcie obozu i nie wpuszczajcie ich pod żadnym pozorem. A ludzi trzymaj w obozie, żeby nie włóczyli się po okolicy. Rudetsky roześmiał się.

— A gdzie tu można pójść?

Zastanowił mnie ten kraj, w którym tak niefrasobliwie traktowano morderstwo.

— Kim lub czym są właściwie chicleros? — zapytałem z wahaniem.

— Rezultatem dziwnego systemu karnego, jaki tu stosują — wyjaśnił Fallon, robiąc przy tym kwaśną minę. — W tym lesie rośnie drzewo sączyniec. Można je spotkać tylko tutaj, w Gwatemali i Hondurasie Brytyjskim. Drzewo nacina się w celu uzyskania soku mlecznego, zwanego chicle, podstawowego składnika do wyrobu gumy do żucia. Żaden człowiek przy zdrowych zmysłach nie pójdzie do puszczy, aby zbierać chicle. Z całą pewnością nie Majowie, którzy są zbyt inteligentni, by ryzykować życie. A więc rząd przysłał więźniów, żeby to robili. Sezon trwa sześć miesięcy, ale wielu chicleros pozostaje tu przez cały rok. Są oni lokalną plagą. Zazwyczaj zabijają się nawzajem, ale czasem też wykończą jakiegoś przybysza lub Indianina. — Zaciągnął się fajką. — Ludzkie życie jest niewiele warte w Quintana Roo.

Przemyślałem to wszystko. Jeśli dobrze zrozumiałem Fallona, to ten las był zabójczy. Jeżeli nawet Majowie, dla których był to przecież kraj ojczysty, nie chcieli pracować w lesie, w takim razie musiało w nim tkwić śmiertelne niebezpieczeństwo.

— Dlaczego, u diabła, nie uprawia się tych drzew na plantacjach? — spytałem.

Twarz Fallona wykrzywiła się w wymuszonym uśmiechu.

— Przyczyną tego jest ten sam argument, którego zawsze używali zwolennicy niewolnictwa, od kiedy jeden człowiek nałożył drugiemu jarzmo. Taniej jest w dalszym ciągu wykorzystywać więźniów, niż zakładać plantacje. Gdyby ludzie, którzy żują gumę, wiedzieli, jak ją wyprodukowano, każdy kawałek przypawiłby ich o mdłości. — Skierował cybuch fajki w moją stronę. — Jeżeli kiedykolwiek spotkasz chicleros, nic nie rób. Trzymaj ręce przy sobie, nie wykonuj gwałtownych ruchów, a być może zostawią cię w spokoju. Ale nie bądź tego do końca pewny.

Zaczyznałem pomału wątpić, czy ciągle jeszcze znajduję się w dwudziestym wieku.

— A gdzie w to wchodzi zbuntowani Indianie?

— To głupia historia — powiedział Fallon. — Hiszpanom podbicie Majów zajęło dwieście lat, ale nigdy nie pokonali plemienia Lakondon. Majowie dawali sobą rządzić do 1847 roku, kiedy to wznieśli rebelię tutaj, w Quintana Roo. W tamtych czasach te tereny były bardziej zaludnione i Majowie spuścili Meksykanom potężne lanie w tak zwanej wojnie kast. Pomimo usilnych starań Meksykanom nigdy już nie udało się tu powrócić. W 1915 roku Majowie proklamowali wolne państwo. Prowadzili układy z Hondurasem Brytyjskim i zawarli nawet kilka kontraktów handlowych z angielskimi firmami. Przywódcą Majów był wówczas generał Mayo. To był doprawdy szczyt, ale Meksykanie wykorzystali jego próżność. Podpisali z nim traktat w 1935 roku, uczynili go generałem armii meksykańskiej i zaprosili do Mexico City. Tam już do końca życia pozostał niewolnikiem zdobywcy cywilizacji. Umarł w 1952 roku. Po jego wyjeździe Majowie jakby stracili serce do walki. Po wojnie kast nadeszły ciężkie czasy i kraj zaczął się wyludniać. W okresie klęski głodu, która ich bardzo dotknęła, Meksykanie zaczęli ściągać osadników do Chan Santa Cruz. Obecnie nie zostało tu już więcej niż kilka tysięcy indios sublevados, a mimo to oni właśnie rządzą na tym terenie. — Uśmiechnął się. — Meksykańskim poborcom wstęp wzbroniony.

— Nie przepadają także za archeologami — zauważył Halstead, przerywając rozmowę z żoną.

— No, ale nie jest już tak źle jak dawniej — powiedział Fallon wyrozumiale. — W początkowym okresie sprawowania władzy przez generała Mayo każdy obcokrajowiec, który przybył do Quintana Roo, stawał się nieboszczykiem. Pamiętasz historię o archeologu, którego kości wmurowano w ścianę? Kiedyś ci to opowiadałem. Ale od tego czasu stracili werwę. Jeśli zostawić ich w spokoju, to zachowują się bez zarzutu. W każdym razie sprawiają mniej kłopotów niż chicleros.

— No co, Wheale, wciąż cieszysz się, że przyjechałeś tu z nami? — Na twarzy Halsteda igrał cień uśmiechu. Zignorowałem jego ironiczne pytanie.

— Dlaczego nie podaje się tych faktów do publicznej wiadomości? — spytałem Fallona. — Rząd, który wprowadza nowy rodzaj niewolnictwa, prawie całkowicie wyniszczając ludność, to chyba aż się prosi o jakieś komentarze?

Fallon wytrząsał popiół z fajki, postukując nią o nogę stołu.

— Afryka jest popularnie zwana Czarnym Łądem — powiedział. — Ale w Ameryce Środkowej i Południowej jest kilka zakamarków czarniejszych niż dno piekła. Wasi popularni dziennikarze z Londynu czy Nowego Jorku mają bardzo ograniczone horyzonty. Jeden z drugim nie jest w stanie sięgnąć wzrokiem tak daleko, nie chce im się nawet ruszyć z biura. — Schował fajkę do kieszeni. — Ale coś ci powiem. Problemem Quintana Roo nie są Indianie ani chicleros, to przecież ludzie i zawsze się można z nimi dogadać. — Wyciągnął rękę i wskazał na coś. — Prawdziwym problemem jest to.

Popatrzyłem w tym kierunku i nie zobaczyłem niczego niezwykłego, jedynie drzewa po drugiej stronie pasa.

— Ciągłe jeszcze nie rozumiesz? — spytał i zwrócił się do Rudetsky'ego. — Powiedz mu, jaką mieliście pracę przy oczyszczaniu tego terenu.

— To była najgorsza harówa, jaką kiedykolwiek wykonałem — westchnął Rudetsky. — Pracowałem już kiedyś w dżungli, byłem inżynierem w armii w czasie wojny, ale to było gorsze od piekła.

— No właśnie — powiedział Fallon bezbarwnym głosem. — Czy wiesz, jak klasyfikuje się tutaj las? Określają las jako sześciometrowy, trzymetrowy lub metrowy. Las metrowy jest już bardzo zły, oznacza to, że widoczność w nim sięga jednego metra. Są miejsca jeszcze gorsze. Dodaj do tego choroby, węże, brak wody, a zrozumiesz, dlaczego chicleros należą do najtwardszych ludzi świata. Las jest wrogiem w Quintana Roo i będziemy musieli z nim walczyć, żeby odnaleźć Uaxuanoc.

Rozdział 19

Do obozu II przenieśliśmy się helikopterem, którego stosunkowo wolny i niezbyt wysoki lot umożliwił obserwację. Patrzyłem w dół na przesuwane się pod nami zielone fale i myślałem o rozmowie z Patem Harrisem na temat Jacka Gatta i naszej hipotetycznej potyczki w Quintana Roo. Gdy wówczas starałem się wyobrazić sobie coś gorszego niż las Epping, nie przypuszczałem, że może to aż tak źle wyglądać.

Fallon wyjaśnił mi specyfikę tych terenów zupełnie prosto. Powiedział:

— Mówiłem ci, że powodem, dla którego na Jukatanie nie ma rodzimego złota, jest budowa geologiczna tego obszaru. Półwysep pokrywa tylko wapienna powłoka. Tłumaczy to także istnienie tego lasu i fakt, że jest gorszy niż każdy inny.

— Niewiele mi to mówi — przyznałem się — ale widocznie jestem szczególnie tępy.

— Nie, po prostu nie jesteś fachowcem w tej dziedzinie — powiedział. — A więc posłuchaj. Opady są dość spore, ale gdy pada deszcz, woda wsiąka w ziemię, dopóki nie napotka warstwy nieprzepuszczalnej. Pod Jukataniem znajduje się zatem ogromny zbiornik wody, ale nie ma jej na powierzchni, ponieważ brakuje rzek. Ta woda jest zupełnie blisko powierzchni, można wykopać dziurę na plaży w odległości metra od morza i dotrzeć do świeżej wody. W głębi lądu wapienna powłoka czasami zapada się, odsłaniając podziemny zbiornik, i to są właśnie cenoty. Ale rzecz w tym, że drzewa swoimi korzeniami zawsze sięgają do wody. W każdym innym lesie równikowym, na przykład w Kongo, większość wody spływa do rzek. A w Quintana Roo jest ona dostępna jedynie dla drzew, które w pełni to wykorzystują.

Spojrzałem w dół, na las, i przez moment zastanawiałem się, jaki otrzymałby stopień w klasyfikacji Fallona. Jakikolwiek zresztą by on był, nie mogłem dostrzec ziemi, mimo że lecieliśmy na wysokości nie większej niż sto pięćdziesiąt metrów. Jeżeli Jack Gatt miał choć trochę rozsądku, nie powinien się nawet zbliżać do Quintana Roo.

Obóz II okazał się o wiele skromniejszy niż obóz I. Był tam prowizoryczny hangar na helikopter, konstrukcja bez ścian, przypominająca raczej holenderską stodołę, pomieszczenie na stołówko-świetlicę, magazyn na sprzęt i cztery baraki sypialne. Wszystkie zostały wykonane z prefabrykatów przetransportowanych helikopterem. Obóz był wprawdzie dużo skromniejszy, ale nie brakowało w nim podstawowych wygód. Każdy barak wyposażono w urządzenia klimatyzacyjne, a lodówka była pełna piwa. Fallon nie był zwolennikiem życia w spartańskich warunkach, chyba że zmuszała go do tego sytuacja.

Oprócz naszej czwórki w obozie był jeszcze kucharz ze swoim pomocnikiem i pilot helikoptera. Nie miałem pojęcia, co robił ten ostatni poza wożeniem nas tam i z powrotem pomiędzy obozem. W poszukiwaniu Uaxuanoc helikopter był nam tak samo przydatny jak wymię bykowi.

Wokół rozpościerał się las, zielony i pozornie nie do przebycia. Poszedłem na skraj polany i spróbowałem go oszacować według wskaźników podanych mi przez Fallona. Ocenilem go na pięciometrowy, czyli raczej rzadki jak na tutejsze warunki. Wysokie drzewa rozpychały się w niepohamowanym współzawodnictwie o światło, same jednocześnie oplatanie i duszone przez zdumiewająco zróżnicowane pasożyty roślinne. Poza czysto ludzkimi odgłosami, dochodzącymi z baraków, panowała tutaj głucha cisza.

Odwróciłem się i zobaczyłem Katherine.

— Właśnie przyglądam się wrogowi — powiedziałem. — Byłaś już tu kiedyś, w Quintana Roo?

— Nie. Tutaj nie. Byłam kiedyś z Paulem na wykopaliskach w Campeche i w Gwatemali. Ale nigdy przedtem nie widziałam czegoś podobnego.

— Ja również. Prowadziłem dotąd raczej bezpieczny tryb życia. Gdyby wówczas, w Anglii, Fallon zadał sobie trud wytłumaczenia mi tych rzeczy, tak jak to zrobił w obozie I, wątpię, czy w ogóle bym tu był. To mi za bardzo przypomina szukanie igły w stogu siana.

— Wydaje mi się, że nie doceniasz Fallona... i Paula — zaprzeczyła. — Myślisz, że nie znajdziemy Uaxuanoc?

— W tym? — zapytałem, wskazując kciukiem ścianę zieleni. — Wątpię, czy znaleźlibyśmy wieżę Eiffla, gdyby ktoś ją tu podrzucił.

— To dlatego, że nie wiesz, jak ani gdzie szukać — powiedziała. — Ale nie zapominaj, że zarówno Paul, jak i Fallon są zawodowcami i robili to już przedtem.

— Tak, każdy zawód ma swoje metody — przyznałem. — Wiem, że w moim jest ich mnóstwo, ale nie widzę tu zajęcia dla księgowego. Czuję się nieswojo, jak Hotentot na przyjęciu w Pałacu Buckingham. — Spojrzałem w las. — Mówi się czasem, że nie można zobaczyć lasu, bo zasłaniają go drzewa. Ciekawe, jak nasi eksperci sobie z tym poradzą.

Wkrótce się dowiedziałem, gdyż Fallon zwołał konferencję w dużym baraku. Potężna fotomozaika była przypięta do korkowej tablicy na ścianie, a stół pokrywały mapy. Zdziwiło mnie, że w dyskusji uczestniczył pilot helikoptera, Teksaszczyk o nazwisku Harry Rider, ale wkrótce i to się wyjaśniło.

Fallon otworzył lodówkę i rozdał wszystkim piwo, po czym rzekł zwięźle:

— Kluczem do tego problemu są cenote.

Wziął wskaźnik i podszedł do fotomozaiki, przykładając strzałkę do punktu leżącego pośrodku mapy.

— Jesteśmy tutaj, obok bardzo małej cenote na skraju polany. — Zwrócił się w moją stronę. — Jeśli chcesz zobaczyć swoją pierwszą budowlę Majów, znajdziesz ją właśnie obok tej studni.

— Nie zamierzasz jej zbadać? — spytałem zaskoczony.

— Nie jest tego warta, nie dowiedzieliśmy się z niej niczego nowego. — Zatoczył wskaźnikiem duże koło. — W promieniu dziesięciu mil od naszego obozu znajduje się piętnaście cenotes o różnej wielkości, a wokół jednej z nich może być usytuowane Uaxuanoc.

Ciągle usiłowałem ogarnąć rozmiar problemu.

— Jaki obszar, według ciebie, zajmuje to miasto? — zapytałem, wciąż usiłując ogarnąć rozmiar problemu.

— Większy niż Chichón Itzá, jeśli wierzyć mapie Vivera — odpowiedział mi Halstead.

— To mi niewiele mówi.

— Centrum Copanu ma ponad siedemdziesiąt pięć akrów — wyjaśnił Fallon. — Ale nie możesz ocenić miasta Majów na podstawie znanych ci miast. Kamienne budowle, których szukamy, stanowiły centrum religijne i administracyjne oraz przypuszczalnie plac targowy. Wokół niego na kilkunastu milach kwadratowych żyli Majowie. Nie mieszkali w schludnych małych domkach, ustawionych wzdłuż ulic, takich jak my, ale w rozległym systemie wydzielonych skrawków ziemi. Każda rodzina miała własną farmę, a jej zabudowania niezbyt różniły się od tych, które Majowie budują obecnie, choć były nieco obszerniejsze. W każdym razie chaty Majów są idealnie dostosowane do klimatu.

— A jaka mogła być liczba mieszkańców?

— Według Morleya Chichón Itzá liczyła około dwustu tysięcy mieszkańców — wyjaśnił Halstead. — Uaxuanoc mogło mieć zatem około ćwierci miliona.

— To diabelnie dużo ludzi! — zawołałem zdumiony.

— Aby wznieść potężne budowle, potrzebnych było wiele rąk — powiedział Fallon. — Pamiętaj, że to byli ludzie na poziomie techniki neolitu, którzy do cięcia kamienia używali także kamiennych narzędzi. Spodziewam się, że centrum Uaxuanoc będzie miało jakieś sto akrów, jeśli możemy polegać na mapie Vivera, a zatem miasto zewnętrzne musiało zamieszkiwać więcej ludzi niż obecnie w całej Quintana Roo. Ale po peryferyjnej części miasta nie będzie już nawet śladu, drewniane budynki nie mają szans przetrwania w tym klimacie.

Postukał ponownie wskaźnikiem.

— Kontynuujemy. Mamy więc do zbadania piętnaście cenotes i jeśli nie znajdziemy tego, czego szukamy, będziemy musieli przenieść się dalej w teren. Bardzo by nam to utrudniło pracę, ponieważ w promieniu dwudziestu mil znajduje się kolejne czterdzieści dziewięć cenotes, a ich sprawdzenie zajęłoby mnóstwo czasu. — Wskazał na pilota. — Na szczęście mamy Harry'ego Ridera i jego helikopter, możemy więc to zrobić w miarę komfortowo. Jestem zbyt stary, żeby przedzierać się przez ten las.

— Zdążyłem już rzucić okiem na kilka z tych kałuż, panie Fallon — powiedział Rider. — Wokół większości z nich nie ma miejsca na lądowanie nawet dla mojego helikoptera. To prawdziwy gąszcz.

— Wiem — przytaknął Fallon, skinąwszy głową. — Byłem już tutaj i mam pojęcie, jak to wygląda. Przeprowadzimy wstępne rozpoznanie fotograficzne. Może kolorowy film ukaże różnice w roślinności, spowodowane leżącymi pod nią budowlami, ewentualnie wyjaśni nam coś podczerwień. Chciałbym również przeprowadzić kilka lotów wczesnym rankiem i pod wieczór, może na podstawie cieni uda nam się coś wywnioskować. — Odwrócił się i popatrzył na fotomozaikę. — Jak widzicie, po zastanowieniu się ponumerowałem cenotes. Znalezienie czegoś przy niektórych z nich jest bardziej prawdopodobne niż przy innych. Vivero napisał, że przez Uaxuanoc biegnie grzbiet ze świątynią na szczycie i cenote u podnóża. Wszystko wskazuje na to, że cenotes i grzbiety są połączone na tym obszarze, co jest dla nas niezbyt korzystne, ale i tak redukuje nam ich liczbę wyjściową do jedenastu. Myślę, że możemy pominąć chwilowo numery: cztery, siedem, osiem i trzynaście. — Zwrócił się do Ridera: — Kiedy możemy rozpocząć?

— Możemy startować nawet w tej chwili, zbiorniki są pełne — odpowiedział pilot. Fallon zerknął na zegarek.

— Przygotujemy kamery i wyruszymy zaraz po lunchu.

Pomogłem załadować kamery do helikoptera. Nie był to sprzęt amatorski, lecz wysokiej klasy kamery do wykonywania zdjęć lotniczych i, jak zauważyłem, helikopter został wyposażony we wszelkie potrzebne do ich zamontowania statywy. Moje uznanie dla organizacyjnych zdolności Fallona wzrosło jeszcze bardziej. Wziąwszy po uwagę fakt, że miał więcej pieniędzy do roztrwonienia, niż wymagała tego przyzwoitość, wiedział przynajmniej, jak to z sensem wykorzystać. Nie był playboyem, który rozbija się odrzutowcem i zasila swoimi milionami kieszeń jakiegoś właściciela kasyna.

Po krótkim lunchu Fallon i Halstead skierowali się do helikoptera.

— A ja co mam zrobić? — zapytałem.

— Nie sądzę, żeby było coś dla ciebie do roboty — powiedział Fallon, pocierając z zakłopotaniem policzki, a ponad jego ramieniem Halstead posłał mi szeroki uśmiech. — Lepiej odpocznij po południu. Unikaj słońca, dopóki nie przyzwyczaisz się do upału. Wrócimy za kilka godzin.

Obserwowałem, jak helikopter wzniósł się i zniknął ponad drzewami. Czuję się potrzebny jak piąte koło u wozu. Nigdzie nie widziałem Katherine, pomyślałem więc,

że poszła zapewne do baraku, który dzieliła z mężem, aby rozpakować bagaże. Przez chwilę zastanawiałem się, co robić, i ponownie powlokłem się na skraj polany, by obejrzeć budowlę Majów, o której wspominał Fallon.

Cenote miała chyba dziewięć metrów średnicy, a woda znajdowała się w prawie pięciometrowym dole. Jego krawędzie były niemal pionowe, ale ktoś wyciął w nich nierówne stopnie, aby można się było dostać do wody. Nagle przestraszył mnie hałaśliwy warkot silnika, który musiał znajdować się gdzieś w pobliżu. Gdy rozejrzałem się, znalazłem małą pompę na benzynę, która widocznie włączyła się automatycznie. Przeprowadzała wodę z cenote do obozu — kolejna próba talentów Fallona.

Nie zauważyłem żadnej budowli, chociaż bardzo dokładnie spenetrowałem okoliczny teren. Po półgodzinie bezowocnych poszukiwań zrezygnowałem w końcu. Miałem właśnie wracać do obozu, kiedy zobaczyłem po drugiej stronie cenote dwóch mężczyzn uparcie wpatrujących się we mnie. Wszystko, co mieli na sobie, to podarte białe spodnie. Stali nieruchomo jak posągi. Byli niscy, muskularni, ich skóra miała brązowy odcień, a zabłąkany promień słońca, przenikający przez liście, odbijał się miedzianym blaskiem od nagiej klatki piersiowej mężczyzny, który stał bliżej.

Przyglądali mi się uważnie jakieś pół minuty, po czym odwrócili się i zniknęli w lesie.

Rozdział 20

Po powrocie Fallon wysypał na stół w dużym baraku ładunek szpul filmowych.

— Znasz się na wywoływaniu filmów? — spytał.

— Kiedyś robiłem to w czysto amatorski sposób.

— Aha! To może nie wystarczyć. Ale zrobimy, co się da. Chodź ze mną. — Zaprowadził mnie do innego baraku i pokazał pracownię fotograficzną. — Poradzisz sobie z tym — powiedział. — To niezbyt skomplikowane.

Fallon nie bawił się w wywoływanie filmów w kuwetach. Miał najlepiej wyposażony zestaw do wywoływania, jaki kiedykolwiek widziałem, i wcale nie potrzebował ciemni.

Obserwowałem go, jak demonstrował mi jego działanie. Była to skrzynka z przesuwanymi światłoszczelnymi drzwiczkami z jednej strony i szczeliną z drugiej. Rozsunął drzwiczki, włożył szpulę nie wywołanego filmu do odbieralnika, początek zakładając na zębach kółka. Następnie zamknął skrzynkę i nacisnął przycisk. Piętnaście minut później wywołany kolorowy film wysunął się przez szczelinę suchy i gotowy do wyświetlenia.

Zdjął pokrywę z pudełka i pokazał mi jego wnętrze — układ wolno kręcących się rolek, pojemnik z chemikaliami i suszarnię na końcu. Wyjaśnił mi również, gdzie i jakie odczynniki dodawać.

— Jak sądzisz, dasz sobie z tym radę? Zaoszczędzi nam to czasu, jeśli będziemy mieli kogoś, kto potrafi wywoływać filmy na poczekaniu.

— Czemu nie — powiedziałem.

— Dobra. W takim razie baw się tym dalej. Jest coś, co muszę omówić z Pauliem. — Uśmiechnął się. — Helikopter tak hałasuje, że nie można w nim normalnie porozmawiać. — Uniósł jedną ze szpul. — Ta zawiera pary stereoskopowe. Pokażę ci, jak je ciąć i wkładać do ramek, kiedy już są gotowe.

Zabrałem się ochoczo do wywoływania filmów, zadowolony, że wreszcie się na coś przydam. Wymagało to tylko czasu, bo sama praca była tak prosta, że nawet dziecko by sobie z nią poradziło. Wywołałem ostatnią szpulę stereoskopową i zaniósłem ją Fallonowi, aby pokazał mi sposób wkładania obrazów do podwójnych ramek. Ta robota także okazała się niezbyt skomplikowana, choć wymagała cierpliwości.

Tego wieczoru mieliśmy projekcję na prymitywnym sprzęcie w dużym baraku. Fallon założył szpulę filmu do projektora, włączył go i na ekranie pojawiła się zielona plama.

— Zdaje się, że nastawiłem złą ostrość — zaśmiał się.

Następna klatka była już dużo lepsza. Wyraźnie zobaczyliśmy wycinek lasu i cenote odbijającą błękit nieba. Dla mnie był to taki sam kawałek lasu, jak każdy inny, ale Fallon i Halstead dyskutowali nad nim przez dobrą chwilę, zanim przeszli do następnej fotografii.

Wyświetlanie zdjęć trwało bite dwie godziny, ale mnie przestało to interesować dużo wcześniej, tym bardziej że, jak mi się wydawało, ta cenote okazała się niewypałem.

— Przyjrzyjmy się teraz zdjęciom stereoskopowym — zaproponował wreszcie Fallon.

Zmienił projektor i wręczył mi parę szkieł polaroidowych. Zdjęcia stereoskopowe zdumiewały trójwymiarowością. Miałem wrażenie, że wystarczy tylko pochylić się do przodu, by zerwać liść z czubka drzewa. Jako fotografie lotnicze dawały również oszałamiające uczucie zawrotu głowy. Fallon przejrzał je, lecz nie

znalazł na nich nic interesującego.

— Myślę, że tę studnię możemy już skreślić z naszej listy — powiedział. — Chodźmy lepiej spać, bo jutro czeka nas ciężki dzień.

Ziewnąłem z aprobatą dla tej propozycji, przeciągnąłem się i dopiero wtedy przypomniałem sobie o swojej przygodzie.

— Widziałem dwóch mężczyzn w pobliżu cenote.

— Chicleros? — spytał Fallon ostro.

— Nie, chyba że chicleros to niscy brązowi mężczyźni o dużych nosach.

— W takim razie to musieli być Majowie — zdecydował. — Będą się teraz zastanawiać, co my tu, u diabła, robimy.

— Dlaczego nie zapytasz ich o Uaxuanoc? W końcu to ich przodkowie wybudowali to miasto.

— Nie wiedzieliby o tym, a nawet gdyby, to i tak nic by nam nie powiedzieli. Współcześni Majowie są odcięci od swojej historii. Wierzą, że ruiny dawnych miast są dziełem jakichś karłów lub może olbrzymów i obchodzą je z daleka. Dla nich to zaklęte miejsca, do których człowiek nie powinien się zbliżać. Co sądzisz o tej budowli obok cenote?

— Nie mogłem jej znaleźć.

Halstead, słysząc to, wydał z siebie stłumione parsknięcie, a Fallon roześmiał się.

— Ona wcale nie jest tak bardzo ukryta, zauważyłem ją od razu. Jutro ci ją pokażę, da ci to wyobrażenie o rozmiarach czekającego nas zadania.

Rozdział 21

Wypracowaliśmy schemat. Fallon i Halstead wykonywali dziennie trzy, niekiedy cztery loty. Po każdym z nich dostarczali mi filmy, które natychmiast wywoływałem, a wieczorami wyświetlałem je. Jak dotychczas rezultatów nie mieliśmy żadnych, nie licząc stałej eliminacji możliwości.

Fallon, zgodnie z obietnicą, zabrał mnie na cenote i pokazał budowlę Majów. Okazało się, że przechodziłem obok niej kilkakrotnie, niczego nie dostrzegając. Znajdowała się tuż przy brzegu studni i była tak gęsto pokryta roślinnością, że kiedy Fallon wskazał ją i powiedział: — Oto ona — nie zobaczyłem nic poza skrawkiem lasu.

— Podejdź bliżej — zaproponował z uśmiechem.

Podszedłem więc na sam skraj polany, ale ujrzałem jedynie oślepiający pstrokaty konglomerat promieni słonecznych, liści i cieni. Odwróciłem się i bezradnie wzruszyłem ramionami.

— Wepchnij rękę w liście! — zawołał Fallon. Zrobiłem to i niespodziewanie uderzyłem dłonią o kamień.

— A teraz odejdź kilka kroków i spójrz jeszcze raz — powiedział Fallon.

Odszedłem więc i rozcierając obtarte kostki raz jeszcze popatrzyłem spod przymkniętych powiek na ścianę zieleni. Zabawne, w jednym momencie jej tam nie było, a ułamek sekundy później pojawiła się znowu jak przedziwne złudzenie optyczne, ale nawet wówczas wydawała się tylko widmowym konturem budowli, złożonym z zarysów cieni.

Uniosłem rękę i niepewnie powiedziałem:

— Zaczyna się tam, a tam... kończy?

Gapiałem się w ruiny z obawą, że znowu znikną. Gdyby którakolwiek armia na świecie chciała doszkolić swoje oddziały w sztuce kamuflażu, gorąco polecałbym kurs w Quintana Roo. Te naturalne barwy ochronne były niemal idealne.

— Jak sądzisz, co to było? — spytałem.

— Może świątynia Chaca, boga deszczu, często towarzyszyły one cenotes. Jeśli chcesz, to usuń z niej roślinność. Może znajdziemy coś ciekawego. Tylko uważaj na węże.

— Chętnie to zrobię, jeżeli oczywiście uda mi się ją ponownie odnaleźć.

Fallon był rozbawiony.

— Musisz przyzwycząć swój wzrok do tego rodzaju rzeczy, jeśli myślisz o poszukiwaniach archeologicznych w tych stronach. Jeżeli ci się to nie uda, przejdiesz przez miasto, nie wiedząc, że jest pod twoimi nogami.

Uwierzyłem mu bez zastrzeżeń. Spojrzał na zegarek.

— Paul czeka już na mnie. Za parę godzin wrócimy z nowymi filmami.

Wzajemne stosunki pomiędzy naszą czwórką ułożyły się w dziwny sposób. Czulem, że pozostawiono mnie na uboczu, ponieważ tak naprawdę to nie wiedziałem, co się dzieje. Drobiazgowość poszukiwań przechodziła moje pojęcie i nie rozumiałem nawet dziesiątej części tego, o czym mówili Fallon z Halsteadem, gdy dyskutowali o sprawach związanych z wykopaliskami, które zresztą były jedyną płaszczyzną ich kontaktów.

Fallon twardo ograniczył stosunki z Halsteadem do spraw bieżących i nie przekraczał tej granicy choćby o krok. Było dla mnie oczywiste, że nie przepadał za swym współpracownikiem ani też nie ufał mu zbyt. Tak zresztą jak i ja, szczególnie od czasu pamiętnej rozmowy z Patem Harrisonem. Fallon z pewnością otrzymał od Harrisa jeszcze bardziej drobiazgowy raport o Halsteadzie, rozumiałem więc jego powściągliwość.

Ze mną sprawa miała się inaczej. Odnosił się do mojej ignorancji w sprawach archeologii z dobroduszną wyrozumiałością, ale też nie próbował nakarmić mnie swą wiedzą. Cierpliwie odpowiadał na moje pytania, które, jak przypuszczam, niejednokrotnie musiały mu się wydawać bardzo naiwne, a nawet absurdalne. Przywykliśmy już siadywać razem wieczorami i rozmawiać na najróżniejsze tematy. Okazał się człowiekiem bardzo czytany, o wielkiej erudycji. Udało mi się zainteresować go problemem zastosowania komputerów do prowadzenia farmy i opowiedziałem mu dokładnie o swoich poczynaniach w Hay Tree. Miał jakieś duże rancho w Arizonie i natychmiast dostrzegł nowe możliwości. Po chwili jednak potrzęsął z poirytowaniem głową.

— Przekażę to mojemu bratu — powiedział. — On się teraz tym wszystkim zajmuje. — Popatrzył gdzieś przed siebie nie widzącymi oczyma. — Człowiek ma tak mało czasu, by robić to, co naprawdę chce.

Wkrótce potem tak pogrążył się we własnych myślach, że przeprosiłem go i poszedłem do łóżka.

Halstead miał skłonność do ponuractwa i zamykania się w sobie. Ignorował mnie niemal całkowicie i zauważał dopiero wtedy, gdy było to absolutnie konieczne. Kiedy wtrącał coś samorzutnie, łączyło się to zazwyczaj ze źle skrywanym szyderstwem z mojej bezdennej ignorancji w zakresie archeologii. Często miałem ochotę dać mu w ucho, ale hamowałem się w imię ogólnego spokoju. Wieczorami, po projekcji i dyskusji, znikał wraz z żoną w swoim baraku.

Pozostaje jeszcze Katherine Halstead. Zaczynała się stawać coraz bardziej dręczącą mnie tajemnicą. Trzeba przyznać, że wywiązywała się sumiennie ze swoich zobowiązań i utrzymywała nad mężem ścisłą kontrolę. Często byłem świadkiem, gdy już, już tracił panowanie nad sobą, oczywiście nie w stosunku do mnie, ponieważ nie byłem godzien jego uwagi, ale względem Fallona. Wystarczyło wówczas jedno spojrzenie albo słowo Katherine, by Halstead, przynajmniej połowicznie, opanował się. Wydawało mi się, że rozumiałem motywy, które nim powodowały, ale niech mnie diabli, jeśli rozumiałem ją!

Mężczyzna często widzi w kobiecie jakąś tajemnicę, podczas gdy jest to tylko bezdenne pustka, sprytny kamuflaż, fasada, za którą nie kryje się nic wartościowego. Ale na Katherine trudno było patrzeć w takich kategoriach. Była wesoła, inteligentna i wszechstronnie utalentowana. Potrafiła rysować na wyższym niż amatorski poziomie, dobrze gotowała, urozmaicając naszą konserwową dietę, wiedziała dużo więcej o archeologii niż ja, choć przyznawała, że w tych sprawach była tylko nowicjuską. Ale nigdy nie rozmawiała na temat swojego męża, co jest cechą, z którą przedtem nie spotkałem się u mężatek.

Te, które znałem — a było ich niemało — zawsze miały coś do powiedzenia o swoich mężach albo in plus, albo in minus. Większość trzymała stronę swoich partnerów, wtrącała do rozmowy tolerancyjne słówka o ich słabostkach, inne chwaliły ich nieustannie i nie chciały słyszeć niczego złego o ukochanym mężczyźnie, a niektóre, naprawdę godne pożałowania dziwki, sączyły jad scenicznym szeptem, przeznaczonym niby dla jednej pary uszu, lecz słyszany przez wszystkich. Katherine natomiast nawet nie pisnęła słówka. Po prostu w ogóle nie mówiła o Halsteadzie. To było nienaturalne.

Ponieważ Fallon i Halstead większość dnia spędzali poza obozem, byliśmy siłą rzeczy skazani na siebie. Kucharz obozowy i jego pomocnik nie narzucali się nam. Gotowali coś do zjedzenia, myli naczynia, naprawiali generator, kiedy się zepsuł, a resztę czasu spędzali tracąc swoje zarobki na wzajemnym ogrywaniu się w remika. Tak więc Katherine i ja stanowiliśmy dla siebie w ciągu tych długich gorących dni jedyne towarzystwo. Wkrótce doszedłem do wprawy w wywoływaniu filmów i

dysponowałem mnóstwem czasu, zasugerowałem zatem, abyśmy zrobili coś z budowlą Majów.

— Możemy dokonać epokowego odkrycia — powiedziałem żartobliwie. — Przetrzepiemy ją. Fallon powiedział, że to nawet niezła myśl.

Katherine wprawdzie uśmiechnęła się, słysząc moje przypuszczenia, że moglibyśmy odnaleźć coś ważnego, ale zgodziła się, że byłoby to w miarę pożyteczne zajęcie. Uzbroiliśmy się więc w maczety i poszliśmy nad cenote wycinać roślinność.

Zaskoczył mnie doskonały stan budowli, kiedy już obnażyliśmy ją z pokrywy ochronnej. Wapienne bloki, z których była zbudowana, okazały się należycie przycięte, wyprofilowane i dopasowane w fachowy sposób. W ścianie położonej najbliżej cenote znaleźliśmy drzwi umieszczone na wspornikach łuku. Zajrzeliśmy do środka, ale wewnątrz panowała ciemność, a jedynym odgłosem, jaki do nas dochodził, było brzęczenie rozdrażnionych os, którym zakłóciliśmy spokój.

— Wydaje mi się niewskazane, żebyśmy mieli tam wejść już teraz, obecnym mieszkańcom mogłoby się to nie spodobać — powiedziałem.

Wycofaliśmy się z powrotem na polanę i wówczas spojrzałem na siebie. Oczyszczanie budynku z pnączy było ciężką pracą, a grudki ziemi na moich piersiach obfity pot zamienił w błoto. Jednym słowem byłem upaprany.

— Popływam w cenote. Muszę się umyć.

— Dobra myśl — podchwyciła Katherine. — Zaraz włożę kostium.

— Ja go nie potrzebuję — uśmiechnąłem się — wystarczą mi szorty.

Wróciła do baraków, a ja podszedłem do cenote i spojrzałem w dół, na ciemną tafłę wody. Nie mogłem dojrzeć dna studni, a studnia mogła mieć każdą głębokość: od dwudziestu centymetrów do dwudziestu metrów. Pomyślałem więc, że skok do niej nie jest najlepszym pomysłem. Zszedłem po stopniach do poziomi wody i zanurzyłem się ostrożnie w przyjemnym chłodzie. Przez chwilę pluskałem się z rozkoszą i nie poczułem zimna. Zanurkowałem więc, by odnaleźć dno. Zszedłem chyba na jakieś dziesięć metrów, ale wciąż go nie było. Panowała za to absolutna ciemność, co dało mi wyobrażenie warunków, w jakich miałem pracować dla Fallona. Powoli zacząłem wynurzać się, wypuszczając banieczki powietrza z ust, aż wreszcie wydostałem się na słońce.

— Zastanawiałam się już, gdzie jesteś — zawołała na mój widok Katherine. Uniosłem głowę i pięć metrów nad sobą, na skraju cenote, zobaczyłem jej sylwetkę na tle słońca. — Czy jest wystarczająco głęboka, by skoczyć?

— Nawet za bardzo — odparłem. — Nie mogłem znaleźć dna.

— Dobrze — powiedziała i czysto wskoczyła do wody. Wolno okrążyłem cenote i zaczynałem się już niepokoić jej nieobecnością, gdy nagle złapała mnie za kostki i wciągnęła w głąb. Wynurzyliśmy się ze śmiechem, a Katherine oznajmiła:

— To za wciągnięcie mnie pod wodę w basenie Fallona. — Ochlapała mnie dłonią i przez parę minut pryskaliśmy się beztrudnie jak para dzieci, do utraty tchu. Popływaliśmy jeszcze trochę, rozkoszując się różnicą pomiędzy chłodem wody a żarem słońca.

— Jak tam jest na dole? — leniwie zapytała.

— Gdzie na dole?

— Na dnie tego stawu.

— Nie znalazłem go. Nie zszedłem dostatecznie głęboko, bo było trochę zimno.

— Nie bałeś się spotkać Chaca?

— Czy on mieszka tam na dnie?

— Ma pałac w głębi każdej cenote. Majowie mieli zwyczaj wrzucania do nich dziewcząt, a one szły na dno, aby się z nim spotkać. Niektóre wracały i opowiadały potem cudowne historie.

- A co z tymi, które nie wróciły?
- Chac zatrzymywał je dla siebie. Niekiedy nawet wszystkie, i wtedy Majowie, żeby go ukarać za zbyt wielką zachłanność, wrzucali do cenote kamienie i chłostali ją gałęziami. Ale nigdy żadna dziewczyna dzięki temu nie wróciła.
- W takim razie lepiej bądź ostrożna.
- Nie jestem już nastolatką – odparła, pryskając na mnie wodą. Podpłynąłem do stopni.
- Wkrótce powinien wrócić helikopter. Następna partia filmów do wywołania.
- Wszedłem do połowy schodów i zatrzymałem się, żeby podać jej rękę. Na górze chciała mi pożyczyć ręcznik, ale odmówiłem.
- Wysznę na słońcu dość szybko.
- Jak chcesz – powiedziała – ale to niezdrowe dla włosów. – Rozpostarła ręcznik na ziemi, usiadła na nim, a drugim zaczęła energicznie wycierać włosy.
- Kucnąłem obok i zająłem się wrzucaniem kamyków do cenote.
- Co ty tak naprawdę tutaj robisz, Jeremy? – spytała.
- Nie mam zielonego pojęcia – przyznałem. – Kiedyś ten wyjazd wydawał mi się dobrym pomysłem. Uśmiechnęła się.
- Niezła odmiana od twojego Devonu, prawda? Nie chciałbyś być teraz na swojej farmie Hay Tree? Á propos, czy w Devonie zawsze robicie siano z drzew¹?
- To ma inne znaczenie, niż sądzisz. To takie wyrażenie gwarowe oznaczające żywopłot lub ogrodzenie. – Cisnąłem kolejny kamień do zbiornika. – Jak ci się wydaje, czy to nie irytuje Chaca?
- Możliwe, nie robiłabym tego na twoim miejscu zbyt często, jeśli masz zamiar nurkować w cenote. Do licha! Nie mam papierosów. Wstałem i odnalazłem swoje. Przez moment paliliśmy w milczeniu.
- Już od lat nie bawiłam się tak w wodzie – powiedziała.
- Pewnie od czasów beztroskich dni na Wyspach Bahama?
- Właśnie.
- Czy to tam spotkałaś Paula?
- Chwilę milczała, zanim zdobyła się na odpowiedź.
- Nie. Paula poznałam w Nowym Jorku. – Lekko uśmiechnęła się. – On nie jest typem człowieka, którego znajdziesz na plaży na Wyspach Bahama.
- W duchu jej przytaknąłem. Było absurdem skojarzenie Halsteada z jednym z tych ogłoszeń biura podróży, które oferują beztroskie wakacje: wyszczerzone w uśmiechu zęby, okulary słoneczne i brązowa opalenizna. Spróbowałem więc dowiedzieć się czegoś więcej, ale okrężną drogą.
- A co robiłaś, zanim go spotkałaś? Wydmuchnęła obłok dymu.
- Nic specjalnego. Pracowałam w małym college'u w Virginii.
- Nauczycielka – powiedziałem zaskoczony.
- Nie – roześmiała się – jedynie sekretarka. Mój ojciec uczy w tym samym college'u.
- No tak, nie wyglądasz na belfra. A co wykłada twój ojciec? Może archeologię?
- Uczy historii. Nie wyobrażaj sobie, że cały swój czas spędzałam na Wyspach Bahama. Był to bardzo krótki epizod, na więcej nie można sobie pozwolić z pensji sekretarki. Oszczędzałam na te wakacje dość długo.
- Czy poznałaś Paula przed czy po rozpoczęciu poszukiwań dotyczących Vivera?
- Przed. Byłam już z nim, kiedy znalazł ten list.
- Byliście już wtedy małżeństwem?
- Tak, to wydarzyło się podczas naszego miodowego miesiąca – powiedziała

¹ Hay Tree – sienne drzewo

lekko. — Zresztą dla Paula był to raczej miesiąc intensywnej pracy.

— Wiele dowiedziałaś się od niego o archeologii? Wzruszyła ramionami.

— Nie jest zbyt dobrym nauczycielem, ale rzeczywiście przyswoiłam sobie sporo. Próbowałam mu pomagać w pracy, myślę, że żona powinna pomagać mężowi.

— Co sądzisz o całej tej sprawie związanej z Viverem? Po chwili milczenia przyznała szczerze:

— Nie podoba mi się to, Jemmy. Nic mi się w tym nie podoba. Ta historia stała się obsesją Paula i nie tylko jego. Spójrz na Fallona. Mój Boże, sobie się też możesz dobrze przypatrzeć!

— A co masz do mnie?

Wyrzuciła na wół wypalonego papierosa.

— Nie wydaje ci się absurdem to, że zostałam wyrwany ze swego spokojnego życia w Anglii i rzucony w tę puszcę tylko z powodu tego, co jakiś Hiszpan napisał czterysta lat temu? Zbyt wielu ludziom powikłało to życie, Jemmy.

— Chyba jednak nie mam na tym punkcie obsesji — powiedziałem ostrożnie. — Nie obchodzi mnie ani Vivero, ani Uaxuanoc. Motywy mojego postępowania są inne. Ale Paul, jak twierdzisz, ma na tym tle obsesję. Czym się to przejawia?

Nerwowo skubała ręcznik.

— Sam przecież widzisz. Nie potrafi już myśleć ani mówić o czym innym. To go zmieniło, nie jest już tym człowiekiem, którego znałam, kiedy się pobieraliśmy. W dodatku nie walczy jedynie z Quintana Roo, walczy z Fallonem.

— Gdyby nie Fallon, nie byłoby go tutaj — powiedziałem krótko.

— I to jest częścią tego, z czym się boryka — odparła zapalczywie. — Jak może się mierzyć ze sławą Fallona, z jego pieniędzmi i środkami? To doprowadza go do szaleństwa.

— Nie zdawałem sobie sprawy, że jest to swojego rodzaju rywalizacja. Sądzisz, że Fallon odmówi mu należnych zasług?

— Zrobił to już dawniej, dlaczego więc nie miałby tego powtórzyć. To naprawdę wina Fallona, że Paul jest aż w tak złym stanie.

Westchnąłem. Pat Harris miał zupełną rację. Katherine nie wiedziała nic o nadszarpniętej reputacji zawodowej swojego męża. Chłopcy od reklamy trafnie to określili: „Nawet najlepszy przyjaciel nie powiedziałby jej”. Przez chwilę zastanawiałem się, czy wspomnieć coś o dochodzeniu Harrisa, ale szybko porzuciłem tę myśl. Powiedzieć kobiecie, że jej mąż był kłamcą i szalbierzem, z pewnością nie byłoby najwłaściwszym sposobem na utrwalenie przyjaźni i wywieranie wpływu na ludzi. Zapewne jeszcze bardziej by się dręczyła i powtórzyła wszystko Halsteadowi, a to, co mógłby on zrobić w obecnym stanie umysłu, mogło okazać się bardzo niebezpieczne.

— Posłuchaj, Katherine, jeżeli Paul ma obsesję, to nie ma to nic wspólnego z Fallonem. Według mnie Fallon jest w absolutnym porządku i z pewnością przyzna Paulowi należną mu sławę. Wybacz, ale taka jest przynajmniej moja opinia.

— Nie wiesz, co ten człowiek zrobił Paulowi — powiedziała z przygnębieniem.

— Może twój mąż sam to sprowokował — rzekłem brutalnie. — Nikomu nie ułatwia pracy ze sobą. Ja na przykład mam spore zastrzeżenia co do sposobu, w jaki się do mnie odnosi, i jeśli będzie dalej tak postępował, to spuchnie mu ucho.

— To nie fair tak mówić — wybuchnęła.

— Cóż w tym, u diabła, widzisz nie fair? Sama prosiłaś, żeby cię zabrać na tę wyprawę, byś mogła kontrolować męża. Więc trzymaj się tego albo ja go skontroluję po swoim.

Zerwała się na równe nogi.

— Ty też jesteś przeciwko niemu. Trzymasz stronę Fallona.

— Nie trzymam niczyjej strony — zaprzeczyłem zmęczonym głosem. — Po prostu niedobrze mi się robi, gdy widzę, jak praca naukowa traktowana jest na zasadzie sportowego współzawodnictwa lub nawet wojny. Mogę cię jednak zapewnić, że takie nastawienie jest jednostronne i na pewno nie pochodzi od Fallona.

— Bo on nie musi — powiedziała Katherine zjadliwie. — On i tak jest na szczycie.

— Na miłość boską, na szczycie czego? Zarówno Fallon, jak i Paul są tu, bo mają do wykonania pewną określoną pracę, ale dlaczego Paul nie zgadza się z tym i nie oczekuje na wynik, tego już nie potrafię pojąć.

— Bo Fallon... — zamilkła. — Zresztą nie ma o czym mówić, i tak byś nie zrozumiał.

— Zgadza się — powiedziałem z ironią. — Jestem do tego stopnia głupi i ograniczony, że nie umiem zliczyć do trzech. Nie bądź tak cholernie protekcyjna.

Mówi się czasem, że gniew dodaje urody niektórym kobietom, ale według mnie jest to mit rozprowadany przez szczególnie gwałtowne przedstawicielki tej płci. Katherine była właśnie wściekła i wyglądała wstrętnie. W ułamku sekundy uniosła rękę i mocno mnie uderzyła. Musiała kiedyś sporo grać w tenisa, gdyż to uderzenie z forhendu wstrząsnęło mną.

— Oczywiście, to rozwiązuje sporo problemów — powiedziałem spokojnie, spoglądając na nią. — Katherine, podziwiam twoją małżeńską lojalność, ale ty nie jesteś już tylko lojalna, ty przeszłaś pranie mózgu.

W powietrzu rozległ się nagle warkot, a potem huk, gdy helikopter ukazał się nad drzewami i przeleciał nad naszymi głowami. Spojrzałem w górę i zobaczyłem, jak Halstead odwraca się, by móc nas obserwować.

Rozdział 22

Co trzy dni duży helikopter dowoził z obozu I beczki z paliwem do dieslowskich generatorów i pełne butle gazu do kuchni obozowej, jeśli były potrzebne. Przywoził także pocztę, którą dostarczano z Mexico City odrzutowcem Fallona, mogłem więc dzięki temu pozostać w kontakcie z Anglią. Mount napisał mi, że sprawy spadkowe załatwia bez większych problemów, a Jack Edgcombe zapalił się w końcu do nowego planu poprowadzenia farmy, wyrażając się o nim entuzjastycznie. Twardo obstaje przy nim, pomimo zjadliwych komentarzy sąsiadów, i jest pewien tego, że nasze założenia są dobre.

Czytając ten list z Devonu na cuchnącej, upalnej polanie pośrodku Quintana Roo, poczułem tak silną tęsknotę za domem, że ponownie zacząłem się zastanawiać nad powrotem. W zasadzie nie miałem z tą sprawą nic wspólnego, a teraz czułem się outsiderem bardziej niż kiedykolwiek, zapanował bowiem wyraźny chłód pomiędzy mną a Katherine.

W dniu naszej kłótni z baraku Halsteadów do późnej nocy dochodziły podniesione głosy, a kiedy nazajutrz zobaczyłem Katherine, nosiła bluzkę z podniesionym kołnierzem. Nie był on jednak dostatecznie wysoki, by ukryć siniaki w okolicy gardła i na ten widok poczułem, że jakoś mnie coś dziwnie ścisnęło w dołku. Ale to, jak Halsteadowie układają swoje życie małżeńskie, nie powinno mnie obchodzić, więc się nie wtrącałem. Katherine ze swojej strony niedwuznacznie mnie ignorowała, za to zachowanie Paula pozostało bez zmian, w dalszym ciągu postępował po swojemu — jak ostatni drań.

Właśnie miałem wychodzić, gdy Fallon pokazał mi list od Pata Harrisa z nowymi wiadomościami na temat Gatta. *Jack jeździ po Jukatanie* — pisał. — *Był w Merida Valladolid i Vigio Chico, a teraz jest na Felipe Carillo Puerto. Sprawia wrażenie, jakby szukał czegoś lub kogoś — domyślam się raczej, że to drugie, gdyż rozmawia z najdziwniejszymi typami. Ponieważ Jack woli spędzać wakacje w Miami i Las Vegas, wydaje mi się, że jest to podróż w interesach, z pewnością jednak to jakaś dziwna sprawa. To niepodobne do niego, by pocić się bez potrzeby, więc cokolwiek nim powoduje, musi być wielkiej wagi.*

— Felipe Carillo Puerto to dawne Chan Santa Cruz — powiedział Fallon. — Było to centrum majańskiej rewolty, stolica indios sublevados. Meksykanie zmienili nazwę miasta, gdy stłumili rebelię w 1935 roku. To niedaleko stąd, niecałe pięćdziesiąt mil.

— Jest całkiem jasne, że Gatt coś kombinuje — oznajmiłem.

— Tak — zgodził się Fallon w zadumie. — Ale co? Nie mogę zrozumieć motywów, które nim kierują.

— Ja za to mogę — powiedziałem i wyłożyłem je Fallonowi. — Złoto, złoto i jeszcze raz złoto. To, czy tam jest jakieś złoto, czy nie, nie jest istotne, dopóki Gatt w to wierzy. — Coś jeszcze przyszło mi do głowy. — Kiedyś pokazywałeś mi talerz wykonany przez Majów. Jaka może być wartość zawartego w nim złota?

— Niewielka — odrzekł Fallon drwiąco. — Może pięćdziesiąt, może sześćdziesiąt dolarów.

— A jaka byłaby cena takiego talerza na aukcji?

— Trudno powiedzieć. Większość tych rzeczy jest w muzeach i nie wchodzi na otwarty rynek. Poza tym rząd meksykański jest bardzo rygorystyczny, jeśli chodzi o eksport spuścizny Majów.

— Spróbuj to jednak określić — nalegałem.

— Te rzeczy są bezcenne — oznajmił poirytowany. — Nikt nawet nie próbował ich oszacować. Każde unikatowe dzieło sztuki jest warte tyle, ile ktoś chce za nie

zapłacić.

— Ile ty zapłaciłeś za swój talerz?

— Nic, znalazłem go.

— A za ile byś go sprzedał?

— Nigdy bym tego nie zrobił — powiedział zdecydowanie. Teraz z kolei ja się zdenerwowałem.

— Na miłość boską! Ile mógłbyś zapłacić za ten talerz, gdybyś go nie miał? Jesteś bogatym człowiekiem i kolekcjonerem. Wzruszył ramionami.

— Może dałbym dwadzieścia tysięcy dolarów, może więcej, gdyby mnie naciągnięto.

— Gattowi to wystarczy, nawet jeśli zdaje sobie sprawę z ułudy złota, w co zresztą wątpię. Spodziewałeś się znaleźć podobne przedmioty w Uaxuanoc?

— Zupełnie możliwe — przyznał Fallon. — Myślę, że lepiej będzie, jeśli porozmawiam o tym z Joem Rudetskim.

— Jak wygląda obecna sytuacja? — spytałem.

— Nic więcej nie możemy uzyskać z powietrznego rekonesansu. Musimy już zejść pod ziemię. — Wskazał na fotomozaikę. — Zredukowaliśmy możliwości do czterech. — Uniósł głowę. — O, jest Paul!

Halstead wszedł do baraku jak zwykle nachmurzony. Rzucił na stół dwa pasy wraz z maczetami w pochwach.

— Oto, czego będziemy teraz potrzebowali — powiedział, a jego ton sugerował: A mówiłem ci!

— Właśnie o tym rozmawialiśmy — rzekł Fallon. — Mógłbyś poprosić tu Ridera?

— Awansowałem na chłopca na posyłki? — spytał Halstead z goryczą.

Oczy Fallona zwięzły się. Pospiesznie zaproponowałem:

— Sprowadzę go. Nikomu nie przyniosłoby pożytku doprowadzanie atmosfery do stanu wrzenia, a ja nawet chętnie zostałbym gońcem, są ostatecznie gorsze zawody.

Zastałem Ridera w trakcie polerowania swojego ukochanego helikoptera.

— Fallon zwołuje konferencję — oznajmiłem. — Jesteś proszony.

— Zaraz — jeszcze raz musnął go szmatką. Gdy szedł ze mną do baraku, zapytał: — Co jest z tym facetem, Halsteadem?

— A o co chodzi?

— Próbował posługiwać się mną, więc mu powiedziałem, że pracuję dla pana Fallona, a on zaczął się z tego powodu rzucać.

— Taki już jest. Na twoim miejscu nie przejmowałbym się tym.

— Wcale się nie przejmuję — powiedział Rider z zamierzoną niefrasobliwością. — On lepiej niech się martwi. Ma duże szansę zarobić w dziób.

Położyłem rękę na ramieniu Ridera.

— Spokojnie, zaczekaj na swoją kolej.

— A więc to tak? — Uśmiechnął się. — W porządku, panie Wheale, stoję w ogonku zaraz za panem. Tylko proszę z tym zbyt nie zwlekać.

Kiedy weszliśmy z Riderem do baraku, wyczuliśmy, że napięcie między Fallonem a Halsteadem było prawie namacalne. Pomyślałem, że może Fallon wściekł się na Halsteada za jego niechętną postawę, był przecież człowiekiem, który lubił mówić prosto z mostu, tym bardziej że Halstead wyglądał na bardziej rozjuszonego niż zwykle. Ale nie odezwał się ani słowem, gdy Fallon oznajmił:

— Przejdźmy do następnego etapu.

— Która idzie na pierwszy ogień?

— To oczywiście — powiedział Fallon. — Mamy wprawdzie cztery możliwe, ale tylko jedną studnię, do której możemy opuścić się z helikoptera. Tę właśnie zbadamy

jako pierwszą.

— Jak dostaniecie się do pozostałych?

— W takich sytuacjach spuszcza kogoś na linie — wyjaśnił Fallon. — Robiłem to już przedtem.

Może kiedyś mógł to robić, ale z dnia na dzień stawał się coraz starszy.

— Może ja bym się tym zajął — zaproponowałem.

— W jakim niby celu? — Halstead aż prychnął. — Jak sądzisz, co mógłbyś zdziałać na ziemi? Tam będzie potrzebny człowiek z oczami w głowie.

Pomijając mało delikatny sposób, w jaki to ujął, Halstead miał rację. Przekonałem się już, jak trudno mi było wypatrzyć budowlę Majów, którą Fallon dostrzegał z taką łatwością. Było bardzo prawdopodobne, że mógłbym przeoczyć coś naprawdę ważnego.

Fallon wykonał pospieszny gest.

— Ja zjedę lub Paul. A najprawdopodobniej obaj.

— Co będzie z numerem dwa, tam jest wyjątkowo trudno — wtrącił Rider z wahaniem.

— Zastanowimy się nad tym, jeżeli okaże się to konieczne — odrzekł Fallon. — Zostawmy to na koniec. Kiedy będziesz gotowy do odlotu?

— Nawet w tej chwili, panie Fallon.

— W takim razie ruszamy. Chodź, Paul.

Fallon i Rider wyszli i miałem właśnie pójść za nimi, kiedy zatrzymał mnie Halstead.

— Chwileczkę, Wheale, chcę z tobą pogadać. Odwróciłem się. W jego głosie było coś, co zjeżyło mi moje krótkie włosy. Halstead zapinał właśnie pas i poprawiał maczetę u boku.

— O co chodzi? — zapytałem.

— Tylko tyle — powiedział ostro. — Trzymaj się z daleka od mojej żony. -

— Co, do diabła, chcesz przez to powiedzieć?

— Dokładnie to, co usłyszałeś. Włoczyłeś się za nią jak pies za podnieconą suką. Widziałem was dobrze.

W jego głęboko osadzonych oczach czaił się obłęd, a ręce lekko drżały.

— To ty wybrałeś określenie, ty nazwałeś ją suką, nie ja.

Dłoń Halsteda konwulsyjnie złapała rękojęć maczety, więc powiedziałem ostro:

— A teraz posłuchaj mnie, nie tknąłem Katherine ani nie miałem takiego zamiaru, zresztą i tak nie pozwoliłaby mi na nic. Wszystko, co zaszło między nami, nie wykracza poza ogólne normy i ogranicza się do rozmów na koleżeńskim stopie. A muszę przyznać, że obecnie nie jesteśmy zbyt zaprzyjaźnieni.

— Nie wciskaj mi ciemnoty — zawołał z wściekłością. — Co robiliście przy zbiorniku trzy dni temu?

— Jeśli już chcesz koniecznie wiedzieć, to namiętnie się kłóciliśmy. Ale dlaczego jej nie zapytasz?

Nic na to nie odpowiedział, tylko w dalszym ciągu przyglądał mi się z nienawiścią.

— Ależ naturalnie, pytałeś ją, prawda? Zapytałeś ją pięścią. Dlaczego ze mną nie spróbujesz w ten sposób, Halstead? Pięciami albo tym rzeźnickim nożem, który tu masz. Ale uważaj, bo możesz się skaleczyć.

Przez moment myślałem, że wyciągnie maczetę, by rozplatać mi czaszkę, i zacisnąłem palce na jednym z kamieni, których Fallon używał jako przycisków do mapy na stole. W końcu jednak wypuścił powietrze ze świstem i schował do pochwy te dwa centymetry ostrza, które wyciągnął.

— Trzymaj się od niej z daleka — powtórzył ochryple. — To wszystko.

Przepchnął się obok mnie i wypadł z baraku, po czym zniknął w oślepiającym słonecznym blasku. Po chwili dobiegł mnie rytmiczny warkot startującego helikoptera. Odgłos ten jednak przycichł, gdy śmigłowiec wzleciał ponad drzewa.

Oparłem się o stół i poczułem, że pot wystąpił mi na czoło i kark. Spojrzałem na swoje ręce. Nie mogłem opanować ich drżenia, a kiedy je odwróciłem, zobaczyłem, że dłonie są wilgotne. Co, do wszystkich diabłów, robiłem w tym całym układzie? I co mnie napadło, aby tak przycisnąć Halsteada? Ten człowiek miał przecież luzy pod czaszką i najzwyczajniej mógł mnie pociąć tą cholerną maczetą. Nagle poczułem, że ta cała sytuacja doprowadza mnie do takiego szaleństwa, jakie najwyraźniej dotknęło już jego.

Oderwałem się od stołu i wyszedłem na zewnątrz. Było pusto. Szybkim krokiem poszedłem do baraku Halsteada i zapukałem do drzwi. Nie było odpowiedzi, więc zastukałem jeszcze raz. Po chwili Katherine zawołała:

— Kto tam?

— A kogo się spodziewałaś? To Jemmy, do licha.

— Nie chcę z tobą rozmawiać.

— Nie musisz — odparłem. — Wszystko, co masz zrobić, to słuchać. Otwórz drzwi.

Nastąpiła dłuższa przerwa, po czym drzwi otworzyły się niezbyt szeroko. Katherine nie wyglądała za dobrze, a pod oczami miała ciemne smugi. Naparłem na drzwi i pchnięciem otworzyłem je szerzej.

— Powiedziałaś, że potrafisz kontrolować swojego męża. Lepiej więc zacznij ściągać lejce, gdyż jest przekonany, że mamy ze sobą płomienny romans.

— Wiem — odparła bezbarwnie.

— Oczywiście, że wiesz — skinąłem głową. — Zastanawiam się, jakim sposobem mógł odnieść takie wrażenie? Może mu to nawet jakoś zasugerowałaś, niektóre kobiety tak robią.

— To podłe z twojej strony! — wybuchnęła.

— Możliwe. Nie jestem w nastroju do subtelności. Niecałe pięć minut temu niemal pobiliśmy się z twoim zwariowanym mężem.

— Gdzie on jest? — Wyglądała na zatrwożoną.

— A jak ci się wydaje? Odleciał helikopterem razem z Fallonem. Posłuchaj, Katherine, nie jestem pewien, czy Paul nie powinien zostać usunięty z tej wyprawy.

— Och, nie — zaprzeczyła szybko. — Nie możesz tego zrobić.

— Mogę i zrobię, jeśli nie zacnie się porządnie zachowywać. Nawet Rider już grozi, że go pobije. Wiesz, że twój mąż jest tu tylko dlatego, że ja tak chciałem i wepchnąłem go Fallonowi w ramiona na siłę. Jedno moje słowo, a Fallon z największą przyjemnością wyrzuci go na zbity pysk.

— Och, proszę cię, Jemmy, nie rób tego — złapała mnie za rękę.

— Powstań z klęczek. Czemu, do licha, miałabyś błagać o niego. Już dawno temu, w Anglii, powiedziałem ci, że nie możesz przeproszać za kogoś, nawet jeśli jest twoim mężem.

Wyglądała na bardzo zasmuconą, więc dodałem:

— W porządku, nie usunę go, ale dopilnuj, żeby odczepił się ode mnie.

— Spróbuję, naprawdę spróbuję. Dziękuję, Jemmy. Wydałem policzki.

— Jeśli już jestem oskarżony i mam się z tego powodu wdawać w bójkę, to muszę ci powiedzieć, że ten płomienny romans wcale nie jest takim złym pomysłem. Przynajmniej oberwę za coś, co rzeczywiście zrobiłem.

Zesztywniała.

— Nie sądzę, żeby to było zabawne.

— Ja również — powiedziałem zmęczonym głosem. — Dziewczyna także musi tego pragnąć, a nie mogę powiedzieć, bym czuł twój gorący oddech na karku. Zapomnij o tym. Przypuśćmy, że się dostawiałem i dostałem kosza. Ale, Katherine, doprawdy nie wiem, jak możesz znosić tego typu.

— Może jest to coś, czego nie potrafiłbyś zrozumieć?

— Miłość? — wzruszyłem ramionami. — Albo źle ulokowana lojalność? Ale gdybym był kobietą, dzięki Bogu, że nie jestem, a mężczyzna uderzyłby mnie, natychmiast bym odszedł.

— Nie wiem, o czym mówisz! — Czerwone plamy pojawiły się na jej policzkach.

— Przypuszczam, że tego siniaka nabiłaś sobie, przechodząc przez drzwi.

— Nie twój cholerny interes, w jaki sposób nabijam sobie siniaki — powiedziała zapalczywie.

Drzwi zatrzasnęła mi przed nosem.

Jakiś czas kontemplowałem wypalone słońcem drewno, po czym westchnąłem i przeszedłem do głównego baraku. Otworzyłem lodówkę, z namysłem przyglądając się równym rzędom puszek wspaniale zamrożonego piwa. Nie było tu jednak tego, czego szukałem. Udałem się więc do baraku Fallona, gdzie skonfiskowałem butelkę jego najlepszej whisky Glenlivet. Wyraźnie potrzebowałem czegoś mocniejszego niż piwo.

W godzinę później usłyszałem powracający helikopter. Wylądował i pokołował do hangaru. Z miejsca, gdzie siedziałem, mogłem dostrzec Ridera uzupełniającego paliwo i słyszeć rytmiczny szcęk ręcznej pompy. Właściwie powinienem pójść mu pomóc, ale nie czułem się na siłach pomagać komukolwiek, tym bardziej że po trzech porządnych szklankach whisky myśl o wyjściu na słońce wydała mi się zdecydowanie nierozsądna.

Wkrótce Rider przyszedł do baraku.

— Gorąco! — powiedział. Nie było to raczej epokowe odkrycie.

— Gdzie są eksperci? — zapytałem, unosząc leniwie głowę.

— Zostawiłem ich na miejscu. Polecę tam za cztery godziny i zabiorę z powrotem. — Usiadł, a ja podsunąłem mu butelkę whisky. Potrząsnął głową. — To dla mnie za mocne o tej porze dnia. Wezmę sobie piwo. Gdzie pani Halstead? — spytał, trzymając już puszkę w dłoni.

— Dąsa się w swoim namiocie.

Słyszac to, nachmurzył się, ale w miarę popijania piwa twarz mu się rozjaśniła.

— Ach, ach, ale dobre! — usiadł. — Powiedz, co zaszło między tobą a Halsteadem? Kiedy wszedł do helikoptera, wyglądał tak, jakby mu ktoś wsadził kółek w dupę.

— Powiedzmy, że wynikła drobna sprzeczka.

— Ooo! — Wyciągnął talię kart z kieszeni koszuli i przetasował je. — Może partyjkę dla zabicia czasu?

— Co proponujesz? — spytałem kwaśno. — Flirt towarzyski?

— Grasz w oko? — spytał z uśmiechem. Przegrałem z kretesem.

Rozdział 23

Nic nie odkryli. Po powrocie Fallon wyglądał na zmęczonego i zmizerowanego, a ja pomyślałem, że jego wiek daje o sobie znać. Dżungla Quintana Roo nie była odpowiednim miejscem dla człowieka po sześćdziesiątce ani nawet dla człowieka po trzydziestce, jak zdążyłem się niedawno przekonać. Wziąłem bowiem maczetę i udałem się na rekonesans. Już po dziesięciu minutach drogi od polany zupełnie się zgubiłem. I jedynie dzięki temu, że miałem dosyć rozsądku, by wziąć ze sobą kompas i nacinać znaki na drzewach, udało mi się powrócić.

Podąłem Fallonowi szklanekę jego własnej whisky, którą zresztą przyjął z uznaniem. Miał podarte ubranie i podrapane ręce. Zaproponowałem:

— Przyniosę apteczkę i przemyję ci to.

Ze znużeniem skinął głową. Gdy dezynfekowałem zadrapania, powiedziałem:

— Powinieneś zostawić brudną robotę Halsteadowi.

— I tak pracuje dość ciężko — odrzekł Fallon. — Zrobił dziś więcej niż ja.

— A gdzie jest teraz?

— Jest opatrywany. Przypuszczam, że Katherine robi z nim to samo, co ty ze mną. — Wyglądził plaster. — Jakoś lepiej, kiedy robi to kobieta. Pamiętam, jak często bandażowała mnie żona.

— Nie wiedziałem, że jesteś żonaty.

— Byłem. Nawet bardzo szczęśliwie. To było wiele lat temu. — Popatrzył na mnie. — Co zaszło między tobą a Halsteadem dziś rano?

— Drobną różnicą zdań.

— To się często zdarza, pomiędzy młodymi ludźmi, ale zazwyczaj dotyczy spraw zawodowych. Tu jednak chodziło o coś innego, prawda?

— Zgadza się. Dotyczyło spraw osobistych. Zorientował się, że nie chciałem o tym mówić, więc przestał pytać.

— To poważna historia, jeśli ktoś miesza się pomiędzy męża a żonę — zauważył. Zakorkowałem butelkę ze środkiem odkażającym.

— Nie wtrącam się w ich sprawy, jedynie Halsteadowi wydaje się, że tak jest.

— Mam na to twoje słowo?

— Tak, co jednak wcale nie *znaczy*, że to twój interes. — Ledwie z tym wyskoczyłem, zrobiło mi się przykro. — To nie tak. Oczywiście, że cię to wszystko musi obchodzić. Nie chcesz, żeby ta wyprawa rozpadła się.

— Akurat coś innego miałem na myśli. Przynajmniej w stosunku do ciebie. Zaczynam, się martwić o Paula, jest bardzo uciążliwym współpracownikiem. Zastanawiałem się, czy mógłbym cię prosić o zwolnienie z obietnicy. Zależy to tylko od ciebie.

Wbiłem korek jeszcze głębiej. Właśnie obiecałem Katherine, że Halstead nie zostanie wyrzucony i nie mogłem tego cofnąć.

— Nie. Padły już inne obietnice.

— Rozumiem. A przynajmniej wydaje mi się, że rozumiem. — Popatrzył na mnie. — Nie zrób z siebie głupca, Jemmy.

Ta rada przysłała nieco za późno. Uśmiechnąłem się i odstawiłem butelkę.

— Wszystko w porządku, nie jestem niszczycielem domowego ogniska. Ale Halstead lepiej niech na siebie uważa, bo może mieć spore kłopoty.

— Nalej mi jeszcze whisky — powiedział Fallon. Podniósł butelkę wody utlenionej i dodał łagodniej: — Będziemy mieli problem z wyciągnięciem tego korka.

Tej nocy Halsteadowie zaliczyli następną kłótnię. Żadne z nich nie pokazało się na kolacji, a po zapadnięciu zmroku nasłuchiwałem podniesionych głosów

dochodzących z ich baraku. To głośniejszych, to cichszych, ale nigdy nie tak wyraźnych, by można je było zrozumieć. Po prostu gniewny szmer płynący z ciemności.

Spodziewałem się, że Halstead wpadnie do mojego baraku i wyzwie mnie na pojedynek, a gdy tak się nie stało, pomyślałem, że pewnie

Katherine wyperswadowała mu ten pomysł. Bardziej prawdopodobne było jednak to, że argument, którego użyłem, miał duży ciężar gatunkowy. Halstead nie mógł sobie pozwolić, by go usunięto z wyprawy na tym etapie. Może warto by przekazać Katherine stanowisko Fallona, by upewnić Halsteada w tym, że tylko ja mogłem temu zapobiec.

Gdy już zasypiałem, pomyślałem sobie, że jeżeli znajdziemy Uaxuanoc, będę musiał mieć się na baczności.

Rozdział 24

Cztery dni później do zbadania pozostało już tylko jedno miejsce. Czternaście z piętnastu na liście Fallona okazało się nie tym, czego szukaliśmy. Jeśli nie wypaliłoby także i to ostatnie, musielibyśmy powiększyć zasięg naszych poszukiwań, włączając kolejne czterdzieści siedem miejsc. Delikatnie mówiąc, załatwiłoby to nas na dobre.

Wczesnym rankiem Fallon zwołał konferencję przed przystąpieniem do sprawdzenia ostatniego miejsca i nikt nie był z tego powodu zadowolony. Interesująca nas cenote leżała poniżej podłużnego grzbietu wzgórza, gęsto porośniętego drzewami. Rider obawiał się zejścia nad nią i jednoczesnej walki z prądami powietrznymi. Co gorsza, nie było tam również odpowiedniego miejsca do opuszczenia kogoś na wyciągu. Gęsta roślinność sięgała samego skraju cenote.

Fallon przestudiował fotografie i rzeki przygnębiony:

— Nigdy nie widziałem czegoś gorszego. Nie wydaje mi się, żebyśmy mieli jakiegokolwiek szansę dostać się tam z góry. A co ty o tym sądzisz, Rider?

— Możemy opuścić człowieka, ale najprawdopodobniej skręci kark. Te drzewa mają do pięćdziesięciu metrów i są splątane jak diabli. Nie wydaje mi się, aby można było sięgnąć ziemi.

— Dziewiczy las — skomentowałem.

— Nie — zaprzeczył Fallon. — Gdyby tak było, nasza praca byłaby lżejsza. Cała ta ziemia była kiedyś uprawiana. To, z czym mamy do czynienia tutaj, to drugi porost. Dlatego jest tak cholernie gęsty. — Wyłączył projektor i podszedł do fotomozajki. — Puszcza jest bardzo gęsta na dużym obszarze wokół cenote, co ze względów archeologicznych jest wprawdzie obiecujące, ale w niczym nam nie ułatwia dostania się tam. — Wskazał jedną z fotografii. — Mógłbyś nas tu wysadzić, Rider?

Rider obejrzał dokładnie na zdjęciu punkt wskazany przez Fallona, najpierw gołym okiem, a następnie przez szkło powiększające.

— To możliwe — powiedział wreszcie. Fallon sprawdził odległość.

— Trzy mile od cenote. W tym terenie nie ujdziemy więcej niż pół mili na godzinę, a prawdopodobnie nawet mniej. Powiedzmy, cały dzień na dotarcie do cenote. Cóż, jeśli trzeba, zrobimy tak. — Nie brzmiało to jednak zbyt entuzjastycznie.

— Możemy teraz użyć Wheale'a — zaproponował Halstead. — Dobrze sobie radzisz z maczetą, Wheale? — Jak zwykle nie mógł się wyzbyć uszczypliwości w stosunku do mnie.

— Wcale nie muszę — odparłem. — Czasem wystarczy tylko ruszyć głową. Dajcie mi jeszcze raz przyjrzeć się tym fotografiom.

Fallon włączył projektor i obejrzelśmy je ponownie. Zatrzymałem się na tej, która najdokładniej pokazywała cenote i otaczający ją las.

— Możesz opuścić się bezpośrednio nad wodą? — spytałem Ridera.

— Chyba tak, ale nie na długo. Od studni jest już cholernie blisko do zbocza wzgórza.

— W jaki sposób zrobiliście tę polanę, na której jesteście? — zwróciłem się z pytaniem do Fallona.

— Spuściliśmy ludzi z piłami mechanicznymi i miotaczami ognia. Wypalili poszycie i ścieli drzewa, a następnie wysadzili pniaki w powietrze nitrogliceryną.

Wpatrywałem się w fotografię i oceniałem wysokość od powierzchni wody do krawędzi studni. Mogła wynosić około dziesięciu metrów.

— Jeżeli Rider może opuścić mnie do wody, dopłynę do krawędzi i wdrapię się na nią.

— I co z tego? — zapytał Halstead. — Co wtedy zrobisz? Zakręcisz młynka

palcami?

— Wówczas Rider nadleci ponownie i spuści mi na wyciągu piłę łańcuchową i miotacz ognia.

Rider gwałtownie pokręcił głową.

— Nie dam rady opuścić tego w pobliżu ciebie. Te drzewa wokół cenote są zbyt wysokie. Jezu, gdyby kabel wyciągu zaplątał się w nie, rozbiłbym się na pewno.

— A gdybym wziął ze sobą do wody cienki, nylonowy przewód długości, powiedzmy, kilkuset metrów, przywiązany jednym końcem do kabla wyciągu? Wtedy wypuszczam go pomału, w miarę jak płynę do brzegu, a ty systematycznie popuszczasz kabel. Potem wzbijasz się do góry, by uniknąć kłopotów, ja natomiast wypuszczam jeszcze trochę linki. Kiedy opuścisz się znowu nad cenote z tymi rzeczami wiszącymi na końcu wyciągu, będę mógł je już zwyczajnie podciągnąć do brzegu. Czy to jest możliwe?

Rider wyglądał na jeszcze bardziej zmartwionego.

— Przeciąganie dużego ciężaru w jednym kierunku będzie miało cholerny wpływ na stabilność. Ale wydaje mi się, że mógłbym to zrobić.

— A co zrobisz, jeśli już znajdziesz się na dole? — spytał Fallon.

— Jeśli Rider powie mi, ile potrzebuje wolnej przestrzeni do posadzenia helikoptera, to gwarantuję, że mu ją oczyszczę. Może zostanie kilka pniaków, ale będzie przecież lądował pionowo, więc nie powinny mu specjalnie przeszkadzać. Zrobię to, chyba że ktoś inny zgłosi się na ochotnika. Może pan, doktorze Halstead?

— Na pewno nie — zaprzeczył natychmiast. Po raz pierwszy od chwili, kiedy go poznałem, wyglądał na nieco zawstydzonego. — Nie umiem pływać.

— W takim razie zostałem wybrany — powiedziałem wesoło, choć sam nie wiedziałem, z czego tak się cieszę. Myślę, że było to spowodowane możliwością włączenia się bezpośrednio w pracę ekspedycji. Rola piątego koła u wozu trochę już mnie zmęczyła.

Sprawdziłem działanie piły oraz miotacza ognia i upewniłem się, że miały pełne zbiorniki paliwa. Miotacz dawał wystarczający strumień dymiącego płomienia, by skutecznie poradzić sobie z poszyciem.

— Nie spowoduję chyba pożaru lasu, prawda? — spytałem.

— Nie obawiaj się — uspokoił mnie Fallon. — To las deszczowy, a nie iglaste lasy północy.

Halstead leciał ze mną. Helikopter był tak obciążony, że mógł zabrać tylko dwóch pasażerów, a skoro szykowała się praca dla osiłka, trzeba było przecież zamocować sprzęt do wyciągu i spuścić go z helikoptera, więc Halstead nadawał się do tego bardziej niż Fallon.

Nie byłem zbyt zachwycony. Powiedziałem do Ridera:

— Wiem, że będziesz zajęty pilotowaniem w krytycznym momencie, ale byłbym zobowiązany, gdybyś rzucił czasem okiem na Halsteada. Bez trudu zrozumiał, o co mi chodziło.

— Ja obsługuję wyciąg. Zjedziesz na dół bezpiecznie.

Wystartowaliśmy wreszcie i po kilku minutach byliśmy już na miejscu. Zatoczyłem ręką koło, dając Riderowi sygnał, by okrążył cenote na bezpiecznej wysokości, co umożliwiłoby mi rozejrzenie się w sytuacji. Co innego oglądać zdjęcia, gdy się ma stały grunt pod nogami, a zupełnie co innego widzieć to wszystko na żywo, mając w perspektywie zwisanie ponad tym na linie przez najbliższe pięć minut.

W końcu byłem usatysfakcjonowany, bo znalazłem miejsce, które chciałem spenetrować, gdy już będę w wodzie. Sprawdziłem nylonową linkę, od której zależało

powodzenie całej operacji. Zapiąłem płócienną uprząż na końcu kabla. Rider ostrożnie zszedł niżej. Wychyliłem się przez otwarte drzwi i po chwili zawisłem na wyciągu.

Dostrzegłem jeszcze rękę Ridera pociągającą dźwignię, po czym zacząłem opadać poniżej helikoptera, kręcąc się jak bąk. Za każdym obrotem widziałem, jak przybliży się na niebezpieczną odległość zbocze wzgórza za cenote i że ramiona rotora wbijają się w wystające gałęzie.

Byłem już tak nisko, jak tylko pozwalał na to kabel wyciągu, a szybkość, z jaką obracałem się, zmalała. Rider łagodnie wszedł w komin utworzony przez otaczające cenote drzewa i dotknąłem wreszcie wody. Uderzyłem w guzik wyzwalacza, uprząż odpadła i mogłem już swobodnie płynąć. Zachowując ciągle pionową pozycję, sklarowałem nylonową linkę, a następnie skierowałem się w stronę krawędzi, wypuszczając za sobą linkę tak długo, dopóki nie schwyciłem korzenia drzewa na poziomie wody.

Brzezi cenote okazały się bardziej strome, niż przypuszczałem, i pokryte poplątanymi pnączami. Nie wiem, ile czasu zajęło mi pokonanie tych dziesięciu metrów do szczytu, ale z pewnością dużo więcej, niż początkowo zakładałem. A Riderowi, który musiał latać teraz bardzo ostrożnie, musiało się to wydawać wiecznością. W końcu jednak udało się. Krwawiłem z wielu zadrapań na ramionach i piersiach, jednak w rękach wciąż trzymałem cenny przewód.

Pomachałem do Ridera i helikopter zaczął się wznosić, wolno wciągając kabel. Popuszczałem linkę i wreszcie, kiedy helikopter znalazł się na bezpiecznej wysokości, pięćdziesiąt metrów linki zawisło w powietrzu pełnym wdzięku łukiem.

Podczas gdy Halstead bez wątpienia wyteżał siły, by zamocować ładunek na końcu kabla wyciągowego, ja odpoczywałem i przygotowywałem się do kolejnego wysiłku.

Przeciągnięcie dwadzieścia metrów w bok ładunku ważącego ponad pięćdziesiąt kilogramów nie było łatwym zadaniem. Zdjąłem opasujący mnie brezentowy pas i owinąłem go wokół młodego drzewa; był wyposażony w łatwo odpinający się karabinek. Gęsta roślinność wokół cenote utrudniała poruszanie się. Rosło tam jedno około trzydziestometrowe drzewo, którego gałęzie wystawały na powierzchnię przy samej krawędzi. Wziąłem maczetę i zacząłem oczyszczać teren z poszycia, by uzyskać trochę wolnej przestrzeni.

Silnik helikoptera zmienił ton. Był to wcześniej uzgodniony sygnał, który oznaczał, że Rider jest już gotów do następnego etapu operacji.

Helikopter powoli opuścił się, przybliżając do mnie bryłę ładunku zawieszoną na kablu wyciągowym. Pospiesznie zacząłem wybierać i zwijać przewód, dopóki bezkształtny toból na końcu kabla nie znalazł się na moim poziomie, jakieś dwadzieścia metrów w bok i dziesięć metrów nad powierzchnią wody w cenote.

Trzykrotnie okręciłem przewód wokół drzewa, aby służyło jako hamulec cierny, i zacząłem przyciągać ładunek. Początkowo szło to nawet dość łatwo, ale im był bliżej, tym bardziej rósł opór. Rider zszedł nieco w dół, co trochę ułatwiło mi tę mozolną pracę. W pewnym momencie helikopter zachwiał się niebezpiecznie, lecz Riderowi na szczęście udało się nad nim zapanować, a ja mogłem kontynuować wciąganie.

Byłem bardzo zadowolony, gdy mogłem już wychylić się, by zaczepić hak brezentowego pasa na końcu kabla. Uderzenie w zatrask zwalniający i ładunek ciężko spadł na ziemię. Spojrzałem w górę na helikopter i puściłem kabel, który zakołysał się szerokim łukiem nad cenote. Przez chwilę myślałem, że zapłacze się w gałęzie drzew po drugiej stronie, ale Rider już go szybko zwijał, a śmigłowiec unosił się jak winda ekspresowa. Znieruchomiał na moment na bezpiecznej wysokości, po czym zatoczył trzy koła i odleciał w kierunku obozu II.

Przez prawie piętnaście minut siedziałem na skraju studni i odpoczywałem, zanim wziąłem się do jakiegokolwiek roboty. Byłem cały obolały i czułem się jak po walce wręcz z niedźwiedziem. W końcu zacząłem rozpakowywać sprzęt. Nałożyłem koszulę, spodnie i długie buty z cholewami, zapaliłem papierosa i udałem się na rekonesans.

Najpierw ciąłem maczetą, gdyż bak miotacza ognia nie był zbyt pojemny, a urządzenie to nie oszczędzało paliwa. Pragnąłem więc zachować ogień na najgorsze poszycie. Gdy wycinałem drogę w plataninie liści, zastanowiłem się, jak, u diabła, Fallon mógł się spodziewać, że w takich warunkach będą w stanie pokonywać pół mili na godzinę. Przy mojej szybkości nie zrobiłbym nawet dwustu metrów. Na szczęście nie musiałem. Moje zadanie polegało na oczyszczeniu wystarczająco dużego obszaru, by mógł wylądować helikopter.

Młóciłem maczetą, gdy w pewnym momencie ostrze z piekielnym brzękiem o coś uderzyło, a siła uderzenia szarpnęła moim ramieniem do góry. Popatrzyłem na ostrze i zauważyłem, że się stępiło. Zdumiałem się, w co, do licha, mogłem stuknąć. Machnąłem jeszcze parę razy, by usunąć szerokie liście, i nagle ujrzałem wpatrującą się we mnie szeroką, indiańską twarz, z dużym nosem i lekko skośnymi oczami.

Pół godziny energicznej pracy odsłoniło kolumnę, w którą wkomponowana była swego rodzaju statua, przedstawiająca mężczyznę ubranego w długą, przepasaną tunikę, którego głowę zdobiła wymyślna fryzura. Reszta kolumny została pokryta zawiłymi wzorami roślinnymi i czymś, co wyglądało na potężnych rozmiarów robaki.

Zapaliłem papierosa i przez dłuższy czas jej się przyglądałem. Mogło się wydawać, że może właśnie odnaleźliśmy Uaxuanoc, chociaż jako laik nie mogłem mieć pewności. Tak czy inaczej nikt nie wykonał przecież tej rzeźby jedynie po to, by ozdobiła las.

Z drugiej strony było mi trochę szkoda, bo musiałem iść wycinać dalej lądowisko dla helikoptera, nie mógł on przecież wylądować na głowie tego skośnookiego typu, mającego prawie trzy metry wysokości.

Wróciłem na skraj cenote i zacząłem wycinać nową ścieżkę, wyznaczającą granice obszaru, który chciałem oczyścić, a w trakcie kilku wypadów na chybił trafił w bok na szczęście nie natknąłem się na inne kolumny. Wziąłem się więc do roboty.

Tak jak się spodziewałem, paliwo w miotaczu ognia wyczerpało się na długo przed ukończeniem pracy, ale przynajmniej miałem świadomość, że maksymalnie je wykorzystałem. Wziąłem się więc za piłę łańcuchową. Jej zęby ze zgrzytem wbijały się w pnie, ścinając drzewa tuż nad ziemią.

Zaden pień nie był specjalnie gruby, najgrubszy mógł mieć jakieś osiemdziesiąt centymetrów średnicy, drzewa jednak były wysokie i to sprawiało mi najwięcej kłopotów. Nie byłem przecież drwalem, dlatego popełniałem błędy. Pierwsze drzewo, padając, niemal wtrąciło mnie do cenote, po czym upadło w złą stronę, co spowodowało straszliwe zamieszanie. Zajęło mi sporo czasu, zanim się z tym uporałem. Czegoś mnie to jednak nauczyło, jako że do zapadnięcia zmroku zwałem szesnaście drzew.

Tej nocy spałem w śpiworze, który nieprzyjemnie cuchnął benzyną, gdyż piła, wokół której był owinięty, miała niewielki przeciek w zbiorniku paliwa. Nie miałem nawet nic przeciwko temu, łudząc się, że ten zapach odstraszy moskity. Niestety jednak nie odstraszył.

Zjadłem na zimno kurczaka z puszki, popijając go whisky z butelki, w którą przezornie zaopatrzył mnie Fallon. Rozcieńczyłem ją ciepłą wodą z manierki. Siedziałem tak w ciemnościach, rozmyślając o niskich, brązowych ludziach z dużymi nosami, którzy wyrzeźbili tę wielką kolumnę i być może wybudowali w tym miejscu miasto. Po chwili zasnąłem.

Poranek przywitał mnie natarczywym warkotem helikoptera, znajdującego się tuż nad moją głową, i widokiem człowieka, który zwisał jak pajak na kablu wyciągowym. Wciąż jeszcze nie oczyściłem wystarczająco dużej powierzchni, by Rider zdołał wylądować, ale teraz miał już przynajmniej dostatecznie duże pole do manewru, by opuścić kogoś na kablu. Tym kimś okazał się Halstead. Opadł ciężko na ziemię na skraju cenote i ruchem ręki odprawił Ridera. Helikopter posłusznie wzniósł się i zaczął wolno krążyć nad nami.

Halstead podszedł do mnie, rozglądając się wokół uważnie.

— To nie w tym miejscu miałaś zamiar oczyścić teren. Skąd ta zmiana?

— Było trochę kłopotów — wyjaśniłem. Pozbawiony humoru uśmiech wykrzywił mu twarz.

— Tak też myślałem — powiedział z satysfakcją i patrząc na pniaki, dodał: — Nie poszło ci zbyt dobrze, co? Mógłbyś to zrobić staranniej.

Machnąłem zachęcająco ręką.

— Chylę czoło przed głębszą wiedzą. Czuj się tu jak u siebie, zaraz możesz się zabrać do poprawiania tej sytuacji.

Mruknął coś, ale nie skorzystał z propozycji. Zamiast tego zdjął podłużne pudełko, które miał przymocowane do ramienia, i rozciągnął antenę.

— Przysłano nam kilka krótkofalówek z obozu I, możemy więc porozumiewać się z Riderem. Czego potrzebujesz, żeby ukończyć pracę?

— Paliwa do piły i miotacza, dynamit na pniaki i człowieka, który potrafi się nim posługiwać, chyba że ty masz wprawę. Nigdy w życiu nie używałem materiałów wybuchowych.

— Znam się na tym — oznajmił sucho i zaczął rozmawiać z Riderem. Po kilku minutach helikopter ponownie zszedł niżej i spuszczone nam parę kanistrów z paliwem. Potem odleciał, a my wzięliśmy się do roboty.

Trzeba przyznać, że Halstead pracował jak demon. Dodatkowa para rąk też miała znaczenie i zrobiliśmy sporo, zanim helikopter wrócił. Tym razem w dół zjechała skrzynka z nitrogliceryną, a za nią opuścił się Fallon z kieszeniami pełnymi detonatorów. Przekazał je Halsteadowi i spojrzał na mnie z błyskiem rozbawienia w oczach.

— Wyglądasz, jakby ciągnięto cię na brzuchu przez krzaki. — Popatrzył wokół. — Dobrze się spisalesz.

— Mam ci coś do pokazania — powiedziałem i poprowadziłem go wąską ścieżką, którą wyciąłem poprzedniego dnia. — Natknąłem się tu wczoraj na Skośnookiego i to on opóźnił nieco robotę.

Fallon wydał z siebie kilka entuzjastycznych okrzyków i niemal przytulił Skośnookiego do piersi.

— Stare Imperium! — wyjaśnił z szacunkiem i pieszczotliwie przesunął dłoń po kamieniu.

— Co to jest?

— To stela, kamień kalendarza Majów. Majowie wznosili stele co katun, to znaczy mniej więcej raz na dwadzieścia lat. — Popatrzył w kierunku ścieżki biegnącej w stronę cenote. — Powinno tu być ich więcej, mogą nawet otaczać studnię.

Zaczął zrywać pnącza i zorientowałem się szybko, że nie można już liczyć na jego pomoc. Powiedziałem:

— Zostawiam was, żebyście się ze sobą zapoznali, a sam idę do Halsteada. Pomogę mu wysadzić się w powietrze.

— W porządku — zgodził się Fallon z roztargnieniem i odwrócił się: — To wspaniale znaleźdźskio. Pomoże nam od razu określić wiek miasta.

— Miasta? — wskazałem na mroczne chaszczce. — Czy to ma być Uaxuanoc?

— Nie mam co do tego wątpliwości. — Fallon spojrział ponownie na kolumnę. — Stele o tym charakterze znajdowano tylko w miastach. Tak, myślę, że znaleźliśmy Uaxuanoc.

Rozdział 25

Mieliśmy wielki kłopot z oderwaniem Fallona od jego ukochanej kolumny i zabranieniem do obozu II. Rozmarzył się jak kochanek, który odnalazł właśnie wybrankę swego serca i gwałtownie wypełniał notes zawilgconymi rysunkami oraz długimi kolumnami trudnych do rozszyfrowania gryzmołów. Późnym popołudniem musieliśmy go prawie zanieść do helikoptera, który niepewnie wylądował na skraju cenote, ale i tak przez całą drogę powrotną mamrotał coś do siebie.

Byłem bardzo zmęczony, lecz gorąca kąpiel przywróciła mnie do życia. Poczulem się lżejszy na ciele i duszy, w każdym razie na tyle lekki, by zamiast ułożyć się do snu, dołączyć do innych w baraku--świątlicy. Zastałem tam Fallona i Halsteda rozpalonych w pędzie do wiedzy oraz Katherine, która przysłuchiwała się sporowi i od czasu do czasu uspokajała męża.

Słuchałem ich przez chwilę, niewiele zresztą rozumiejąc z tego, o czym mówili, i byłem bardzo zaskoczony, gdyż tym razem Halstead zachowywał większy spokój. Sądząc po wszystkich jego wyskokach w ciągu ostatnich tygodni, spodziewałem się raczej, że teraz, kiedy już odkryliśmy Uaxuanoc, do reszty pomiesza mu się w głowie, ale zachował rozwagę, a jego dyskusja z Fallonem miała charakter czysto intelektualny. Wykazał taką obojętność, jakby na ulicy znalazł sześć pensów, a nie miasto, dla odnalezienia którego nieomal wychodził ze skóry.

To Fallon wrzał z podekscytowania. Był wzburzony jak świeżo otwarta butelka szampana i ledwo mógł ustać spokojnie, gdy podsuwał Halsteadowi pod nos swoje szkice.

— Z całą pewnością Stare Imperium — upierał się. — Popatrz na glify.

Zaczął pleść jakieś koszałki-opałki, które wydawały mi się obcym językiem. Powiedziałem więc:

— Przyhamuj, na litość boską! Może i mnie dopuścisz do tej tajemnicy?

Zamilkł i spojrzał na mnie ze zdumieniem.

— Przecież właśnie ci mówię.

— Bądź jednak uprzejmy ująć to tak, abym mógł cokolwiek zrozumieć.

Rozparł się na krześle i smutnie pokręcił głową.

— Omówienie kalendarza Majów zajęłoby więcej czasu, niż mogę na to poświęcić, więc wiele rzeczy będziesz musiał przyjąć na słowo. Popatrz tutaj. — Podsunął mi plik papierów, pokrytych swoimi gryzmołami, które przypominały robaki wyrzeźbione na kolumnie. — To jest data steli, napisano tu: 9 Cykli, 12 Katun, 10 Tun, 12 Kin, 4 Eb, 10 Yax. Daje to w sumie 1 386 112 dni lub 3797 lat. Ponieważ momentem, od którego Majowie zaczęli pomiar czasu, jest 3113 r. p.n.e., ta data tutaj oznacza zatem 684 r. n.e. — Uniósł papier. — Można jeszcze trochę do tego dodać. Majowie bowiem byli dokładni i przekazali, że tę kolumnę ukończyli 18 dni po nowiu, w pierwszym cyklu sześciolletnim.

Powiedział to wszystko bardzo szybko i poczułem się nieco oszołomiony.

— Wierzę ci na słowo — poddałem się. — Czy oznacza to, że Uaxuanoc ma niemal tysiąc trzysta lat?

— Tyle ma stela — sprostował. — Miasto jest najprawdopodobniej starsze.

— To na długo przed przybyciem Vivera — powiedziałem w zamyśleniu. — Czy mogło być przez tyle lat zamieszkane?

— Mieszasz pojęcia — westchnął Fallon. — Stare Imperium to nie Nowe. Stare upadło około 800 r. n.e., a jego miasta zostały opuszczone. Jednak ponad sto lat później nastąpiła inwazja Tolteków-Itzasów i niektóre miasta, na przykład Chichén Itzá, zostały odbudowane. Uaxuanoc było prawdopodobnie jednym z nich. —

Uśmiechnął się. — Vivero często wspominał o świątyni Kukulkana w Uaxuanoc. Mamy powody, aby wierzyć, że Kukulkan był postacią historyczną. Tym, który poprowadził Tolteków na Jukatan, podobnie jak Mojżesz Izraelitów do Ziemi Obiecanej. Z pewnością majańsko-toltecka cywilizacja Nowego Imperium zachowała duże podobieństwo do Imperium Azteków w Meksyku, różniąc się raczej zdecydowanie od kultury Starego Imperium. Rozpowszechniła się na przykład tradycja składania ofiar z ludzi. Stary Vivero nie mylił się co do tego.

— A więc Uaxuanoc było zamieszkane w jego czasach? Nie chodzi mi o to, co napisał Vivero, tylko co mówią źródła historyczne.

— O tak. Ale nie zrozum mnie źle, kiedy mówię o imperium. Nowe Imperium upadło wtedy, kiedy przybyli Hiszpanie. Potem było tam tylko wiele mniejszych państw i wojujących ze sobą prowincji, które łączyły się w różne, nie zawsze najszcześniejsze sojusze, by odeprzeć Hiszpanów. Być może właśnie Hiszpanie zadali ostateczny cios upadającemu Imperium, ale ten system i tak nie miał szans przetrwania.

Halstead przysłuchiwał się tym objaśnieniom ze znudzonym wyrazem twarzy. Były to dla niego znane sprawy i zaczynał się już niecierpliwić.

— Kiedy się do tego zabierzemy? — zapytał. Fallon pomyślał chwilę.

— Będziemy musieli mieć tam, na miejscu, porządną bazę. Oczyszczenie lasu wymaga pracy wielu ludzi.

Nie mylił się. Trzy dni zajęło naszej trójce wykarczowanie powierzchni dostatecznie dużej, by mógł na niej wylądować helikopter kierowany przez wytrawnego pilota. Oczyszczenie stu akrów ze zwykłą, archeologiczną skrupulatnością, wymagało sporej gromady ludzi i mnóstwa czasu.

— Myślę, że wycofamy się teraz do obozu I — powiedział Fallon. — Zlecę Joemu Rudetsky'emu założenie tu, na miejscu, obozu III. Teraz, gdy już można się tam dostać helikopterem, nie powinno się to okazać zbyt trudne. Myślę, że na początek będziemy potrzebowali kwatery dla dwudziestu ludzi. Przeprowadzka zajmie co najmniej dwa tygodnie.

— Po co czekać tak długo? — zaproponował Halstead niecierpliwie. — Mogę w tym czasie odwalić masę roboty. Zbliża się już pora deszczowa.

— Najpierw zabezpieczymy transport i zaplecze — rzucił ostro Fallon. — Na dłuższą metę zaoszczędzi nam to czasu.

— Do diabła z tym! Tak czy inaczej pojedę tam i porozglądam się. A ty zajmuj się tą swoją cholerną organizacją. — Pochylił się do przodu. — Czy nie widzisz, że tam wszystko jest w zasięgu ręki? Nawet Wheale potknął się o coś ważnego, tyle że był zbyt głupi, by zorientować się, co to jest.

— To wszystko stoi tam od tysiąca trzystu lat — powiedział Fallon. — I na pewno nie rozleci się w ciągu najbliższych trzech tygodni, które są nam potrzebne, by zorganizować pracę we właściwy sposób.

— Dobrze, ale ja zamierzam zrobić wstępne rozpoznanie — oznajmił Halstead z uporem.

— Nie, nie zrobisz — stanowczym głosem powiedział Fallon. — I powiem ci dlaczego. Nikt cię tam nie zawiezie, dopilnuję tego. Chyba że chcesz pójść spacerkiem przez las.

— Niech cię diabli! — krzyknął Halstead z wściekłością i odwrócił się do żony. — Nie uwierzyłaś mi, byłaś zahipnotyzowana tym, co mówił ci Wheale. Nie widzisz, że chce to zatrzymać dla siebie, że chce pierwszy opublikować wyniki poszukiwań?

— Gwizdź na to — oznajmił Fallon energicznie. — Wszystko, na czym mi zależy, to żeby ta praca została należycie wykonana. I nie pozwolę, byś rozpoczął wykopaliska w tym mieście w stylu hieny cmentarnej.

Coraz bardziej podnosili głosy, więc się włączyłem.

— Czy nie można by załatwić tego nieco spokojniej? Halstead gwałtownie odwrócił się do mnie i powiedział załamującym się głosem:

— Trzymaj się z daleka. I tak wyrządziłeś mi dość dużo szkód, podkradając się do mojej żony za moimi plecami i nastawiając ją przeciwko mnie. Wszyscy zresztą jesteście przeciwko mnie, wszyscy.

— Nikt nie jest przeciwko tobie — powiedział Fallon. — Gdyby tak było, w ogóle byś się tutaj nie znalazł.

— Jeszcze trochę tych cholernych nonsensów — dodałem szybko — i wylecisz natychmiast. Nie widzę powodów, dla których musielibyśmy użerać się z tobą, więc zatkaj się i zachowuj jak człowiek.

Już myślałem, że mnie uderzy. Krzesło wywróciło się z trzaskiem, gdy wstał.

— Na miłość boską! — zawołał z furią i wypadł z baraku.

— Przepraszam — powiedziała Katherine.

— To nie twoja wina — uspokoił ją Fallon. Popatrzył na mnie. — Nie jestem psychiatrą, ale wygląda mi to na paranoję. Ten człowiek cierpi na potężnych rozmiarów manię prześladowczą.

— Mnie się też tak wydaje.

— Ponownie proszę cię o zwolnienie z tamtej obietnicy. Katherine wyglądała na bardzo nieszczęśliwą i zmieszaną. Wolno odparłem:

— Mówiłem ci przecież, że dałem już inną obietnicę.

— Być może — zgodził się Fallon. — Ale Paul w obecnym stanie stanowi zagrożenie dla nas wszystkich. To nie najlepsza okolica, by doprowadzać do takich konfliktów.

— Jeżeli potrafisz przemówić Paulowi do rozsądku — zwróciłem się do Katherine — by przyszedł tutaj i przeprosił, to będzie mógł zostać. W przeciwnym wypadku definitywnie wylatuje, mówię serio. Teraz ta sprawa zależy już tylko od ciebie, rozumiesz?

— Rozumiem — potwierdziła cicho. Wyszła, a Fallon spojrzał na mnie z wyrzutem.

— Myślę, że popełniasz błąd. On nie jest tego wart. — Wyciągnął fajkę i powoli zaczął ją nabijać. Po chwili dodał cichym głosem. — Ani ona.

— Nie zakochałem się w niej — powiedziałem. — Tyle że jest mi jej cholernie żal. Gdybyśmy usunęli teraz Halsteada, jej życie zamieniłoby się w piekło.

Fallon zapalił zapalną i popatrzył na płomień.

— Niektórzy ludzie — wyszeptał niewyraźnie — nie potrafią odróżnić współczucia od miłości.

Rozdział 26

Następnego ranka poleciliśmy na wybrzeże. Halstead przespał część lotu, gdyż małżeńska kłótnia trwała do późnej nocy. Katherine najwyraźniej wygrała, ponieważ zdobył się na przeprosiny. Nie były one zbyt przekonujące. Wydukał je z takim trudem, jak gdyby ktoś mu te słowa wyrwał z gardła gorącymi szczypcami. Mimo to doszedłem do wniosku, że rozsądniej będzie je zaakceptować. Ostatecznie z tego, co wiedziałem, był to pierwszy przypadek w jego życiu, gdy za coś przeproszał, więc może to wahanie wypływało z braku wprawy. W każdym razie było to nasze, swego rodzaju, zwycięstwo.

Wylądowaliśmy w obozie I, który rozrósł się nieco podczas naszej nieobecności. Przybyło kilka nowych baraków. Joe Rudetsky, który nas powitał, stracił trochę swojej swobody bycia i sprawiał wrażenie zgnębionego. Kiedy Fallon zapytał go, o co chodzi, wybuchnął, wygłaszając gorącą tyradę:

— To przez tych cholernych białych nędzników, przez tych bydlaków chicleros! To największa banda złodziei, jaką kiedykolwiek widziałem. Tracimy sprzęt szybciej, niż możemy go przywozić.

— Rozstawiłeś warty?

— Oczywiście, ale moi chłopcy nie są zbyt szczęśliwi z tego powodu. Zaskoczysz takiego chiclero, to zaraz do ciebie strzela. Bardzo chętnie sięgają po broń, a moim chłopcom się to nie podoba. Twierdzą, że nie za taką pracę im się płaci.

Fallon zasepił się.

— Skontaktuj się z Patem Harrisem i powiedz mu, żeby przysłał paru strażników. Największych twardzieli, jakich znajdziesz.

— Oczywiście, panie Fallon, zrobię to. — Rudetsky'emu najwyraźniej ulżyło, że ktoś podjął decyzję za niego. — A poza tym nie wiedziałem, czy wolno nam strzelać. Baliśmy się, że to może zaszkodzić pańskim interesom, gdy wejdziemy tutaj w konflikt z prawem.

— Nie ma w tej okolicy zbyt wielu strażników tego prawa — odparł Fallon. — Jeśli ktoś do was strzela, macie także natychmiast odpowiedzieć ogniem.

— Tak jest. I jeszcze jedno. Pan Harris powiedział, że przyjedzie tu dziś albo jutro.

— Doprawdy? — zdziwił się Fallon. — Zastanawiam się dlaczego. Uniosłem głowę, gdyż w powietrzu rozległ się warkot.

— To chyba samolot, może to on. Rudetsky spojrzał w górę.

— Nie, to samolot, który już od tygodnia lata wzdłuż wybrzeża. Przez cały czas się tu kręci. O, zobaczcie, jest tam.

Mały, dwusilnikowy samolot ukazał się nad morzem i przechylił na bok, by zawrócić nad pasem startowym. Zszedł bardzo nisko i przeleciał nad nami z głośnym łoskotem małych silników na dużych obrotach. Instynktownie schyliliśmy się.

— Zrobił to po raz pierwszy — powiedział Rudetsky.

— Domyślasz się, kto to może być? — spytał Fallon, obserwując samolot.

— Nie — powiedział Rudetsky. — Ale myślę, że niedługo się dowiemy. Wygląda na to, że chce lądować.

Samolot nawrócił nad morzem i teraz ponownie nadlatywał prosto na pas startowy. Wylądował, lekko podskakując podkołował i zatrzymał się na równi z nami. Ktoś wysiadł. Skierował się w naszą stronę i gdy się zbliżył, zauważyłem, że nosi nienagannie czyste, wyprasowane, białe ubranie tropikalne, niezbyt pasujące do naszych ubiorów, na których było widać ślady tygodni pobytu w obozie II. Podszedł i uniósł kapelusz z szerokim rondem.

— Profesor Fallon? — zapytał.
— To ja. — Fallon wysunął się do przodu.
— Miło mi pana poznać, profesorze — mężczyzna z entuzjazmem potrzęsął jego ręką. — Byłem w tych stronach i pomyślałem, że się na pana natknę. Nazywam się Gatt, Jack Gatt.

Rozdział 27

Gatt miał około pięćdziesięciu pięciu lat i niewielką nadwagę. W sposobie bycia był gładki jak jedwab i posiadał charakterystyczną umiejętność polityków, którzy dużo mówiąc, nie mówią nic. Twierdził, że od dawna uwielbia profesora Fallona i żałował, że do tej pory nie miał okazji spotkać go osobiście. Był w Meksyku na Igrzyskach Olimpijskich i skorzystał z możliwości odbycia wycieczki na Jukatan, aby zobaczyć wielkie miasta Majów. Zwiedził już Uxmal, Chichón Itzá i Coba, a słysząc, że sławny profesor Fallon pracuje w tych okolicach, naturalnie wpadł, by przekazać mu wyrazy szacunku i usiąść u stóp geniusza. Jak z rękawa sypał nazwiskami, najwyraźniej znając wszystkich ważniejszych ludzi w Stanach Zjednoczonych, i wkrótce okazało się, że mają z Fallonem wspólnych przyjaciół.

Wszystko to brzmiało bardzo prawdopodobnie i gdy tak rozstrzykał słowną zasłonę dymną, zacząłem się obawiać, by Fallon nie zaczął być z nim zbyt szczery.

Ale Fallon nie był głupcem i doskonale grał rolę ograniczonego umysłowo archeologa. Zaprosił Gatta na lunch, które to zaproszenie Gatt przyjął z ochotą, i wszyscy pograżyliśmy się w przyjemnej pogawędce.

Gdy przysłuchiwałem się wypowiedziom tego niewątpliwie kulturalnego człowieka, zrozumiałem, że gdyby nie to, czego dowiedziałem się od Pata Harrisa, z pewnością dałbym się nabrać na jego gładkie słówka. Nie do pogodzenia wydało mi się zestawienie świata narkotyków, prostytucji i zdzierstw z przyjemnie mówiącym panem Jackiem Gattem, który entuzjastycznie rozprawiał o teatrze i balecie, a nawet naciągnął Fallona na datek w wysokości tysiąca dolarów na fundusz dla upośledzonych dzieci.

Fallon wypisał czek, nawet się nie uśmiechnąwszy — pełne uznanie dla jego zdolności aktorskich, lecz jeszcze więcej komplementów dla oszukańczego wizerunku stworzonego przez Gatta.

Myślę, że ta mieszanina sprzecznych uczuć powstrzymała mnie wówczas od ostrego ataku na niego. Był to przecież człowiek, który spowodował śmierć mojego brata i powinienem był zabrać się ostro za niego, ale narastało we mnie przekonanie, że ktoś tu popełnił pomyłkę, że to nie może być bandyta kontrolujący spory kawałek amerykańskiego świata przestępczego. Powinienem być być mądrzejszy. Szkoda, że nie pamiętałem, jaką ogromną sympatią darzył dzieci Himmler, że można się uśmiechać, będąc jednocześnie łotrem. Nie zareagowałem więc w żaden sposób, a szkoda.

Jeszcze jedno zaskoczyło mnie u Gatta i było głównym powodem mojego niezdecydowania. Właściwie nie mogłem pojąć, o co mu chodzi. Sądziłem, że jego odwiedziny były spowodowane chęcią dowiedzenia się, czy odkryliśmy Uaxuanoc, ale w ogóle o tym nie wspomniał. Otarł się jedynie o ten temat, pytając Fallona:

— A jaki jest przedmiot pańskich ostatnich poszukiwań, profesorze?

— Nic szczególnego — powiedział wymijająco Fallon. — Usiłuję jedynie uporządkować kilka zagmatwanych problemów. Jest trochę rozbieżności w literaturze na temat wieku paru budowli w tych okolicach.

— Tak, żmudna praca naukowa — stwierdził obłudnie Gatt. — Nigdy nie ma

końca.

Natychmiast zmienił temat i opowiadał o tym, jakie wielkie wrażenie wywarła na nim imponująca architektura Chichén Itzá.

— Interesuję się planowaniem przestrzennym miast i ich zagospodarowaniem — wyjaśnił. — Majowie z pewnością wiedzieli wszystko o budowie placów publicznych, nigdy nie widziałem ciekawszych rozwiązań.

Później dowiedziałem się, że te zainteresowania ograniczały się do wyludzania od zarządów miejskich odszkodowań z tytułu zagospodarowania terenów w slumsach, których był właścicielem. Był to jeden z bardziej lukratywnych kierunków jego działalności.

Nie koncentrował się wyłącznie na Fallonie. Z Halsteadem przedyskutował, z dużą znajomością przedmiotu, parę problemów Indian Pueblo z New México, a ze mną porozmawiał o Anglii.

— Byłem ostatnio w Anglii — powiedział. — To wspaniały kraj. Z jakiej części pan pochodzi?

— Z Devonu — odparłem krótko.

— Przepiękne strony — stwierdził z uznaniem. — Pamiętam, że kiedy odwiedziłem Plymouth, stałem dokładnie w tym samym miejscu, z którego Pilgrim Fathers¹ wypłynęli wiele lat temu, by kłaść podwaliny pod budowę naszego państwa. Bardzo mnie to poruszyło. Pomyślałem, że to było szyte zbyt grubymi niemi jak na kogoś, kto rozpoczął życie jako Giacomo Gattini.

— Tak, ja też lubię Plymouth — powiedziałem zdawkowo, po czym zarzuciłem haczyk. — A był pan może kiedyś w Totnes? Oczy mu zabłyśły, ale dość gładko odpowiedział:

— Nigdy nie miałem tej przyjemności.

Wpatrywałem się w niego uważnie, ale odwrócił się i ponownie wciągnął do rozmowy Fallona.

Odleciał wkrótce po lunchu, a kiedy już samolot wystartował i skierował się na północ, popatrzyłem na Fallona bez wyrazu i spytałem:

— Co, u diabła, o tym sądzisz?

— Sam nie wiem. Spodziewałem się, że zada więcej pytań, niż to zrobił.

— Ja też. Gdybyśmy nie wiedzieli, że coś knuje, pomyślałbym, że była to zupełnie niewinna wizyta. Jednak wiemy, że tak nie jest, przyleciał w jakimś celu. Ale o co mu chodziło? I czy to osiągnął?

— Też chciałbym to wiedzieć — powiedział Fallon w zamyśleniu.

¹ Pilgrim Fathers – angielscy purytanie, którzy w 1620r. założyli Plymouth w stanie Massachusetts

Rozdział 28

Pat Harris przyleciał odrzutowcem po południu. Nie zaskoczyła go wiadomość o odwiedzinach Gatta. Wzruszył tylko ramionami i odszedł, aby na osobności porozmawiać z Fallonem, ale kiedy wrócił, był wzburzony i poirytowany.

— Co się stało staremu? — zapytał.

— Nic, o czym bym wiedział. Jest taki sam jak zawsze.

— Ale nie według mnie. Mam inne zdanie na ten temat — powiedział ponuro Pat. — Nie mogę go nakłonić do wysłuchania tego, z czym przyjechałem. Jedyne, co go obchodzi, to poganianie Rudetsky'ego, a całą resztę ma w nosie.

Uśmiechnąłem się.

— Właśnie dokonał największego odkrycia w swoim życiu. Jest podekscytowany i tyle. Chce zacząć działać jak najszybciej, by zdążyć przed deszczem. Co cię trapi, Pat?

— A jak myślisz? — spytał, wpatrując się we mnie. — Gatt mnie trapi, ot co! Zaszły się w Merida i zebrał największą bandę oprychów od czasów Pancha Villa. Sprowadził kilku swoich chłopców z Detroit oraz wypożyczył paru od łączników w Mexico City i Tampico. Rozmawiał też z chicleros. Według mnie oznacza to, że wybiera się do lasu, bo tam właśnie musi mieć ich do pomocy. A teraz pomyśl, jeśli planuje wyprawę do lasu, to gdzie?

— Obóz III — odrzekłem bezzwłocznie. — Uaxuanoc. Ale tam nie znajdzie niczego ciekawego, jedynie dużo ruin.

— Możliwe — zgodził się Pat. — Ale jemu najwyraźniej wydaje się inaczej. Denerwuje mnie, że nie mogę nakłonić Fallona do jakiegoś działania, a to zupełnie niepodobne do niego.

— Czy sam nie możesz niczego zrobić? A co z władzami? Policją? Może powiadomić ich, że w Merida zgromadziło się wielu znanych kryminalistów?

Pat popatrzył na mnie z politowaniem.

— Kłopot polega na czym innym — wyjaśnił cierpliwie, jakby tłumaczył małemu dziecku. — Czujność miejscowych przedstawicieli prawa została uśpiona.

— Zostali przekupieni?

— Na miłość boską, dorośnij wreszcie! — krzyknął. — Ci lokalni gliniarze nie są tak praworzadni, jak twoi londyńscy „bobbies”. Zrobiłem, co mogłem, i wiesz, co się stało? Wsadzono mnie do pudła pod fałszywym zarzutem! Wyszedłem dopiero wczoraj, bo posmarowałem łapę jakiemuś niższemu rangą gliniarzowi, który nie został naoliwiony przez zwierzchników. W tej części świata prawo możesz spisać na straty.

Wziąłem głęboki oddech.

— No i czego, do cholery, spodziewasz się po Fallonie?

— Ma powiązania z osobami wysoko postawionymi w rządzie, jest bardzo ceniony w pewnych kołach i może tak pokierować sprawą, by lokalne władze zostały wyłączone. Ale to są powiązania osobiste i dlatego musi to załatwić sam. Ja sam nie mam tej siły przebicia i nie sięgnę tak wysoko.

— Czy pomogłoby, gdybym z nim porozmawiał? — spytałem. Pat wzruszył ramionami.

— Może. — Pokręcił z przygnębieniem głową. — Nie wiem doprawdy, co go napadło. Zazwyczaj ma lepsze rozeznanie w sytuacji.

Porozmawiałem więc z Fallonem, ale pozbył się mnie szybko. Właśnie rozmawiał z Rudetskim o przeniesieniu wszystkiego do obozu III i całą swoją uwagę skupił na tej

kwestii.

— Jeżeli znajdziecie coś przy wstępnym oczyszczaniu, nie ruszajcie tego — ostrzegął Rudetsky'ego. — Po prostu zostawcie i oczyszczajcie wokół.

— Nie będę się bawił żadnymi kamieniami — zapewnił go Rudetsky.

Fallon robił wrażenie bardziej zmęczonego i chudsze niż zazwyczaj, jak gdyby trawiący go ogień wypalił mu ciało do szpiku kości. Wszystkie jego myśli koncentrowały się wokół jednego problemu: odkopania Uaxuanoc i nic więcej nie miało najmniejszego nawet znaczenia. Wysłuchał mnie cierpliwie i przerwał w pół zdania:

— To wszystko robota Harrisa — powiedział krótko. — Zostaw to jemu.

— Ale Harris twierdził, że nie poradzi sobie z tym.

— W takim razie nie jest wart pieniędzy, jakie mu płacę — zagrzmiał Fallon i odszedł, ignorując mnie, by pograć się w wirze przygotowań do przeprowadzki.

Nie powiedziałem Halsteadom nic na ten temat, gdyż nie miało sensu napędzać im stracha, ale pogadałem znowu z Patem Harrisem, zanim odleciał, prosząc go, by dalej śledził Gatta. Powiedziałem mu o fiasku mojej próby pobudzenia Fallona do działania. Ponurym uśmiechem skwitował wieść o komentarzu Fallona na swój temat, ale dał temu spokój.

— Jedna rzecz mnie zastanawia. Skąd, u diabła, Gatt wiedział, w którym momencie się tu zjawić? Zabawne, że przybył, kiedy tylko odkryliście to miasto.

— Zbieg okoliczności — zasugerowałem.

Pat nie był co do tego przekonany. Kazał mi powtórzyć wszystko, co zostało powiedziane w czasie lunchu, i był zdumiony tak jak i ja pozornym brakiem zainteresowania ze strony Gatta sprawą, o którą, jak wiedzieliśmy, chodziło mu najbardziej.

— Czy Gatt miał okazję pogadać z kimś na osobności? — zapytał. Zastanowiłem się i potrząsnąłem przecząco głową.

— Przez cały czas był z nami. Nie pozwoliliśmy mu włączyć się samemu, jeśli o to ci chodzi.

— Nie został z kimś sam, choćby na minutę? — nalegał Pat. Zawahałem się.

— Zanim wszedł do samolotu, podawał wszystkim rękę. — Zmarszczyłem brwi.

— Halstead włókł się z tyłu i Gatt zawrócił, by się z nim pożegnać. Nie trwało to jednak dłużej niż piętnaście sekund.

— Halstead, na Boga! — wykrzyknął Harris. — Pozwól, że ci coś powiem. Można przekazać cholernie dużo informacji podczas zwykłego podania ręki. Zapamiętaj to sobie, Jemmy.

Rzuciwszy tę tajemniczą uwagę, odszedł, a ja zacząłem sobie przypominać wszystko, co wiedziałem o Halsteadzie. Ale niedorzecznością było przecież przypuszczać, że mógł mieć coś wspólnego z Gattem. Nie, to po prostu śmieszne.

Rozdział 29

Przez kilka następných dni Harry Rider był bardzo zajęty. Poleciał z Rudetskim i kilkoma jego ludźmi do obozu III w Uaxuanoc, wysadził ich i wrócił po sprzęt. Rudetsky ze swoją ekipą wyrąbali spory kawał lasu pod lądowisko dla dużego helikoptera transportowego, więc później poszło już szybko. Przypominało to dobrze zaplanowaną operację opanowania przyczółka.

Wszyscy byliby wielce rozczarowani, gdyby okazało się, że to nie Uaxuanoc, ale Fallon nie miał cienia wątpliwości. Przynaglał wciąż Rudetsky'ego do nowych, większych wysiłków i z zadowoleniem obserwował przylatujące i odlatujące helikoptery. Koszt utrzymania helikoptera w powietrzu jest bająco wysoki, więc chociaż wiedziałem, że Fallon mógł sobie na to pozwolić, nie mogłem powstrzymać się, by nie zrobić uwagi na ten temat.

Fallon wyciągnął z ust fajkę i roześmiał się.

— Do licha, jesteś księgowym, Jemmy. Zastanów się, przecież to kosztowałyby o wiele więcej, gdybym nie używał helikopterów. Muszę i tak sporo zapłacić ludziom za oczyszczenie terenu dla wstępnych badań, ale niech mnie diabli wezmą, gdybym miał im jeszcze płacić za wyrąbanie drogi przez dżunglę, żeby dostać się na miejsce. Tak jest taniej.

Kiedy przeprowadziłem pobieżną analizę efektywności kosztów, okazało się, że miał rację. W tym wypadku Fallon nie marnował pieniędzy, chociaż niektórzy ludzie mogli sądzić, że samo odgrzebywanie dawno wymarłego miasta jest wyrzuceniem ich w błoto.

Do naszej grupy przybyło jeszcze czterech młodych, pełnych entuzjazmu archeologów. Dla trzech z nich były to pierwsze wielkie wykopaliska i niemal czołem bili przed Fallonem, ale jak zauważyłem, cała czwórka starała się z daleka omijać Halsteda. Jeśli jego wątpliwa sława dotarła już do najniższych rangą w tym zawodzie, to znajdował się rzeczywiście w kiepskiej sytuacji. Byłem zaskoczony, że Katherine nie dostrzegała tego i kładła tę rezerwę na karb uszczypliwego charakteru swojego męża. Dziwiło mnie też, jak mogła żyć z taką świadomością!

Dziesięć dni po podjęciu przez Fallona brzemiennej w skutki decyzji poleciliśmy do obozu III i zobaczyłem zupełnie inną scenerię niż ta, którą widziałem, kołuszając się na końcu kabla. W dole znajdowała się mała wioska, baraki stały w równych rzędach, a po drugiej stronie widniało lotnisko z hangarami lotniczymi. Cały ten obszar został wykarczowany w gęstym lesie w nieco ponad tydzień. Rudetsky musiał mieć w sobie coś z poganiacza niewolników.

Wylądowaliśmy wreszcie, a gdy rotor przestał się obracać, usłyszałem nie opodal wycie pił mechanicznych, które wciąż wytrwale atakowały las. Było gorąco, jeszcze goręcej niż w obozie II. Słońce oświetlało pozbawioną osłony drzew polanę mosiężnym blaskiem, więc zanim schroniłem się pod dachem baraku, dosłownie kapalo ze mnie.

Fallon nie marnował ani chwili.

— Nie jest to zbyt komfortowe miejsce — powiedział. — Równie dobrze możemy więc od razu przystąpić do pracy. Naszym pierwszym celem będzie zorientowanie się z grubsza, co tutaj jest. Detale muszą poczekać na następne lata. Obecnie nie zamierzam prowadzić prac wykopaliskowych przy jakichś szczególnych budowlach. Teraz praca będzie polegała na określeniu obszaru, identyfikacji zabudowań i oczyszczeniu terenu dla naszych następców.

Halstead poruszył się i dostrzegłem, że nie zachwyciły go te plany, ale nic nie powiedział.

— Joe Rudetsky spędził tu niemal dwa tygodnie — przypomniał Fallon. — Czy znalazłeś coś, Joe?

— Tak, jeszcze osiem takich kolumn z rzeźbami. Zrobiłem tak, jak pan kazał, oczyściłem je tylko wokół, bez żadnych małych figli. — Wstał i podszedł do mapy wiszącej na ścianie. Większa jej część była pusta, ale wokół cenote widniały jakieś znaki.

— Oto one — wskazał Joe. — Zaznaczyłem je wszystkie.

— Rzucę na nie okiem — oznajmił Fallon. — Panowie, pan Rudetsky nie jest archeologiem, ale wykwalifikowanym geometrą, i będzie naszym kartografem. — Skinął ręką. — W miarę jak nasze prace będą postępowały, mam nadzieję, że ta mapa zapełni się i przestanie być terra incognita. A teraz zabieramy się do roboty.

Wyznaczył pięć drużyn, kierowanych przez archeologów, i każdej z nich przydzielił osobny rejon. Miał przerysowaną z lustra mapę Vivera i posłużył się nią jako ogólnym przewodnikiem. Następnie zwrócił się do mnie:

— Ty masz wyjątkowe zadanie, Jemmy — zakomunikował. — Wprawdzie obecnie nie zamierzam prowadzić szczegółowych badań, ale sądzę, że cenote może dostarczyć kilku interesujących znalezisk. To twój teren działania — uśmiechnął się. — Myślę, że masz wielkie szczęście, mogąc się całymi dniami pluskać w chłodnej wodzie, podczas gdy reszta będzie się prażyła w tym upale.

Ja również sądziłem, że to dobry pomysł, i mrugnąłem do Katherine. Halstead zauważył to i zaszczyił mnie lodowatym spojrzeniem, po czym zwrócił się do Fallona:

— Dragowanie byłoby szybsze, tak jak Thompson zrobił w Chichén Itzá.

— To było dawno temu — powiedział Fallon łagodnie. — Stosowana przez niego metoda często niszczy ceramikę. Szkoda byłoby nie wykorzystać udoskonalonej techniki nurkowania, którą rozwinięto od czasów Thompsona.

Z archeologicznego punktu widzenia było to na tyle przekonywające, że Halstead nie mógł zgłaszać dalszych obiekcji, nie robiąc z siebie skończonego głupca. Przestał się więc sprzeciwiać. Ale cicho powiedział coś do Katherine i poparł to gwałtowną gestykulacją. Domyśliłem się, co mógł jej powiedzieć, lecz nie przerywałem. Wkrótce i tak miałem się przekonać o słuszności moich domysłów.

Dyskusja trwała jeszcze pół godziny, a po jej zakończeniu wyszedłem razem z Rudetskim, który miał mi pokazać, gdzie złożono sprzęt do nurkowania. Zaprowadził mnie do baraku wzniesionego na samej krawędzi cenote.

— Pomyślałem, że będziesz chciał mieć to wszystko pod ręką — powiedział.

Połowę baraku zajmowała przeznaczona dla mnie część mieszkalna, składająca się z łóżka z moskitierą, stołu, krzesła oraz małego biurka. Drugą część wypełniał sprzęt. Spojrzałem na niego i podrapałem się po głowie.

— Chętnie bym stąd usunął ten kompresor powietrza i wszystkie duże butle. Możesz wybudować jakąś małą budkę przy ścianie baraku?

— Jasne, to żaden kłopot. Jutro będzie gotowa.

Wyszliśmy na zewnątrz i przyjrzałem się cenote. Jej kształt zbliżony był do koła o średnicy około trzydziestu metrów. Znajdujący się za nią grzbiet wznosił się ostro, tworząc niemal klif, ale bliżej szczytu, w miejscu, gdzie Vivero zlokalizował świątynię Chaca, stawał się łagodniejszy. Zastanawiałem się nad głębokością studni.

— Chciałbym jeszcze mieć tratwę — powiedziałem. — Moglibyśmy z niej spuścić linę i zakotwiczyć ją do dna, jeśli oczywiście sięgniemy tak głęboko. Ale z tym można poczekać, aż będę po wstępnym nurkowaniu.

— Powiedz tylko, czego potrzebujesz, a ja to załatwię — uspokoił mnie Rudetsky. — Po to tutaj jestem. Złota Rączka we własnej osobie.

Odszedł, a ja wrzuciłem kamyk do ciemnego basenu. Plusnął pośrodku nieruchomej tafli wody, tworząc kręgi fal, które zniknęły, chlupocząc o brzeg dziesięć

metrów niżej. Jeśli to, co mi opowiadano, było prawdą, wielu ludzi zostało ofiarowanych w tej cenote. Zastanawiałem się więc, co znajdę na dnie.

Wróciłem do baraku i zastałem w nim oczekującą mnie Katherine. Patrzyła niepewnie na górę sprzętu i miałem wrażenie, że jego ilość ją przeraża.

— Nie jest znowu tak źle — pocieszyłem ją. — Wkrótce to posortujemy. Jesteś gotowa do pracy? Skinęła głową.

— Wszystkie butle z tlenem są pełne, dopilnowałem tego w obozie I. Nie widzę powodu, dla którego nie mielibyśmy ponurkować teraz, a sortowanie zostawić na później. Kąpiel dobrze nam zrobi w tym upale.

— W porządku — przytaknęła, rozpinając bluzkę. — Jak sądzisz, ile tu jest metrów?

— Skąd mogę wiedzieć, to właśnie musimy ustalić. Jaka największą głębokość zaliczyłaś dotychczas?

— Około dwudziestu metrów.

— Tu może być głębiej. Kiedy będziemy już wiedzieć, jak głęboko, zrobię tabelę dekompresyjną. Trzymaj się jej, a wszystko będzie w porządku. — Wskazałem kciukiem w stronę komory. — Nie chcę tego używać, chyba że będę musiał. Sprawdziłem ją. Elektrycy Rudetsky'ego podłączyli komorę do prądnicy obozowej i pracowała dobrze. Po napompowaniu do poziomu ciśnienia testowego dziesięciu atmosfer wskazówka stała nieruchomo. Nie sądzę jednak, żebyśmy kiedykolwiek musieli z niej korzystać przy ciśnieniu wyższym niż pięć atmosfer.

Kiedy nurkuje się w nie znanej dziurze w ziemi, okazuje się, że potrzebne są ogromne ilości sprzętu pomocniczego. Założyłem więc butlę z uprzężą, maskę i płetwy, wodoszczelny zegarek i kompas na przegub lewej ręki. Przewidywałem bowiem, że tam na dole może być ciemno i kompas pomoże mi zorientować się w kierunkach. Na prawej zaś ręce miałem głębokościomierz oraz przyrząd do pomiaru dekompresji. Nóż powędrował za pas, a latarkę zamocowałem na głowie. Kiedy już cały ekwipunek mieliśmy na sobie, wyglądaliśmy jak para astronautów.

Sprawdziliśmy nawzajem swój sprzęt i ciężko poczłapaliśmy po stopniach, które Rudetsky wykuł w stromej ścianie cenote aż do poziomu wody. Zanurzyłem maskę w wodzie i powiedziałem:

— Płyn za mną i miej przez cały czas zapalone światło. Gdybyś miała jakieś kłopoty i nie była w stanie dać mi o tym znać, wypływaj na powierzchnię, ale spróbuj, jeśli będziesz mogła, pozostać choć kilka minut na głębokości trzech metrów. Nie martw się, będę uważał na ciebie.

— Nie martwię się — uspokoiła mnie Katherine. — Robiłam to już przedtem.

— Nie w takich warunkach. To nie pływanie na Wyspach Bahama. Bądź ostrożna, dobrze?

— Będę trzymała się blisko. Jeszcze raz przemyłem maskę.

— Paul nie był tym zachwycony. Dlaczego chciał drągować? Westchnęła z irytacją.

— Wciąż mu chodzą po głowie jakieś głupie pomysły na nasz temat. To po prostu śmieszne.

— Oczywiście — potwierdziłem bezbarwnie. Niespodziewanie roześmiała się i z rozbawieniem wskazała na sprzęt, którym byliśmy obwieszani.

— Nie da rady, prawda?

Zakładając maskę uśmiechnąłem się na myśl o podwodnym cudzołóstwie.

— Chodźmy z wizytą do Chaca — powiedziałem, nim zagryzłem ustnik.

Zsunęliśmy się do wody i popłynęliśmy wolno na środek cenote. Woda była czysta, lecz ze względu na swoją głębokość — ciemna. Zanurzyłem głowę, by popatrzeć w dół, ale niczego nie udało mi się dostrzec. Ponownie wypłynąłem na powierzchnię i

gestem zapytałem Katherine, czy wszystko jest w porządku. Odpowiedziała, że tak, więc dałem jej znak, żeby zeszła w dół. Po chwili zniknęła pod powierzchnią, a ja podążyłem za nią. Tuż przed zanurzeniem zobaczyłem Halsteada stojącego na skraju cenote i wpatrującego się we mnie. Mogłem się zresztą pomylić, bo maska ociekała mi wodą, ale chyba się nie myliłem.

Początkowo wszystko szło dobrze. Woda była przejrzysta, a światło przesączało się z powierzchni, lecz gdy zeszliśmy niżej, światło nagle zanikło. Często zdarzało mi się nurkować u wybrzeży Anglii, a tam jest całkiem jasno na głębokości szesnastu metrów. Ale nurkowanie w stosunkowo niewielkim otworze to jednak coś zupełnie innego. Strome ściany cenote nie dopuszczały tu promieni słonecznych, które wpadały pod pewnym kątem i dlatego ogólne naświetlenie gwałtownie malało.

Zatrzymałem się na poziomie szesnastu metrów i pływałem wkoło, sprawdzając działanie kompasu. Katherine trzymała się blisko mnie, jej płetwy falowały leniwie, a strumień bąbelków, wydobywający się z maski, połyskiwał w świetle lamp jak fajerwerki sztucznych ogni. Na razie wszystko było w porządku. Ponownie więc odbiłem się płetwami i powoli zszedłem w dół, od czasu do czasu oglądając się, czy Katherine podąża za mną.

Dotarliśmy do dna na głębokości dwudziestu jeden metrów, ale był to szczyt zbocza, które opadało w mroku, pod kątem około dwudziestu stopni. Dno pokrywał śliski muł, który gdy go dotknąłem, wzbił się, tworząc jak gdyby zasłonę dymną. Zobaczyłem światełko Katherine ledwie widoczne we mgle i pomyślałem, jak to utrudni nam poszukiwanie.

Było też zimno. Słońce ogrzewało jedynie powierzchnię cenote, a ponieważ ciepła woda była mniej gęsta, zatrzymywała się na górze zbiornika. Natomiast woda na dnie wypływała z licznych szczelin w wapieniu i nigdy nie była wystawiona na działanie promieni słonecznych. Dosłownie więc z sekundy na sekundę czułem, jak ogarnia mnie przejmujący chłód.

Dałem znak Katherine i ostrożnie popłynęliśmy w dół stoku. Po chwili dotarliśmy do litej ściany skalnej. Było to najgłębsze miejsce cenote, głębokościomierz wskazywał trzydzieści metrów. Pokręciliśmy się trochę, badając stok. Był gładki, równy, bez uskoków. Pokrywający go muł był wynikiem akumulowania się przez setki lat szczątków opadłych liści. Pomyślałem, że jeśli będziemy chcieli coś tam znaleźć, trzeba będzie kopać.

Wreszcie zasygnalizowałem Katherine powrót i odbiliśmy się od dna stoku przy pionowej wapiennej ścianie. Po przebyciu może dziesięciu metrów odkryłem w niej jakiś otwór – rodzaj jaskini w litej skale. Zasługiwała na dokładniejsze zbadanie, ale wówczas nie czułem się na siłach, by to zrobić. Było mi tak zimno, że jedyne, czego pragnąłem, to wygrzać kości na słońcu.

Przebywaliśmy pod wodą przez pół godziny, na głębokości ponad trzydziestu metrów, a więc w drodze na powierzchnię musieliśmy stopniowo zmniejszyć ciśnienie. Oznaczało to w praktyce pięciominutowy pobyt na poziomie sześciu metrów i taką samą przerwę trzy metry wyżej. Gdybyśmy chcieli nurkować na serio, musielibyśmy się postarać o linę, której moglibyśmy się przytrzymać na tych stopniach dekompresyjnych, jednak w obecnej sytuacji musieliśmy krążyć w wodzie, a ja ponadto kontrolowałem wskazania przyrządu do pomiaru dekompresji.

Wypłynęliśmy na powierzchnię, z radością witając słońce, i skierowaliśmy się do brzegu. Wydostałem się z wody i pomogłem Katherine, a następnie wyplułem ustnik i zdjąłem maskę. Zamykając zawór butli, spytałem:

– Co o tym sądzisz? Katherine wzdygnęła się:

– Miałaś rację, to nie Wyspy Bahama. Nie przypuszczałam, że będzie mi tak zimno w Quintana Roo.

Zdjąłem uprząż i poczułem na plecach gorące uderzenie słońca.

— Brzmi to cholernie głupio, ale będziemy musieli mieć na sobie skafandry termiczne, w przeciwnym razie zamarzniemy na śmierć. Co jeszcze cię tu uderzyło?

— Ten muł na dole to kiepska sprawa — odparła po chwili namysłu. — Jest tam i tak wystarczająco ciemno, nawet jeśli nie trzeba grzebać w tym paskudztwie, które przy każdym dotknięciu wzbija się do góry.

Skinąłem głową.

— Przyda się nam pompa ssąca. Umieści się ją na powierzchni, a muł wypompujemy na brzeg. Tylko musimy założyć jakiś filtr, który wyłapie wszystkie małe przedmioty. Tak, to poprawi widoczność na dole. — Teraz, kiedy poznaliśmy warunki, w których przyjdzie nam pracować, pomysły przychodziły jeden po drugim. — Możemy spuścić linę z tratwy i zakotwiczyć ją na dnie dużym głazem. Będą więc dwie liny, bo jedną trzeba będzie codziennie wyciągać.

— Dlaczego? — Zmarszczyła brwi.

— Chodź do baraku, to ci wytłumaczę.

W baraku zastaliśmy Rudetsky'ego i kilku jego robotników, którzy stawiali przybudówkę przy jednej ze ścian.

— Cześć! — powiedział na nasz widok. — Mieliście przyjemną kąpiel?

— Całkiem niezłą. Potrzebowałbym tę tratwę już teraz, jeśli możesz to zrobić.

— Jakie mają być rozmiary?

— Powiedzmy trzy metry kwadratowe.

— Nie ma sprawy — zgodził się natychmiast. — Z czterech pustych beczek po oleju i kilku bali, które wycinamy, zmajstrujemy śliczną tratwę. Będziecie jej potrzebowali wieczorami?

— Mało prawdopodobne.

— W takim razie nie masz chyba nic przeciwko temu, żeby chłopcy sobie z niej poskakali. Miło tak sobie popływać i ochłodzić głowę przed nocą.

— Umowa stoi — uśmiechnąłem się.

— Czy tu będzie dobre miejsce dla niego? — Wskazał na kompresor powietrza.

— W porządku. Zobacz jeszcze, czy możesz odprowadzić tę rurę wydechową dalej na bok, jak najdalej od wlotu pompy powietrza. Tlenek węgla nie pomaga w nurkowaniu.

Skinąłem głową.

— Wezmę jeszcze kawałek węża i odprowadzę ją na drugą stronę baraku.

Wszedłem za Katherine do baraku i wygrzebałem postrzępioną kopię tabel nurkowych admiralicji.

— Wytłumaczę ci teraz, do czego będą nam potrzebne te dwie liny. — Usiadłem przy stole, a Katherine dołączyła do mnie, wycierając ręcznikiem włosy. — Schodzimy w dół około trzydziestu metrów i chcemy przebywać na dnie tak długo, jak to możliwe. Zgadza się?

— No, tak.

— Powiedzmy, że przebywamy dwie godziny na dnie. Oznacza to kilka postojów dekompresyjnych w drodze na powierzchnię. Pięć minut na szesnastu metrach, dziesięć na trzynastu, trzydzieści na dziesięciu, czterdzieści na siedmiu i pięćdziesiąt na trzech metrach... w sumie daje nam to... eee... sto trzydzieści pięć minut, czyli dwie godziny i kwadrans. Takie siedzenie na różnych poziomach będzie dla nas trochę uciążliwe, ale konieczne. Oprócz obciążonej liny z tratwy będziemy mieli drugą z deseczkami przymocowanymi na różnych poziomach, by móc na nich usiąść, i dołączonymi butlami, gdyż nasze własne nigdy na tyle nie wystarczą. Całość będzie się codziennie wyciągało, by uzupełniać butle.

— Nigdy przedtem nie robiłam czegoś takiego. Nigdy nie nurkowałam tak

głęboko ani tak długo. Nie pomyślałam o dekompresji.

— To lepiej zacznij myśleć — powiedziałem twardo. — Jedna pomyłka i masz chorobę kesonową. Widziałaś już coś takiego?

— Nie.

— Musująca krew nie wychodzi na zdrowie. Pomijając już towarzyszący jej okropny ból, gdy tylko zator azotowy dociera do serca, stuka się do świętego Piotra.

— Ale to będzie strasznie długo trwało — poskarżyła się. — Co ty robisz, gdy tak siedzisz na głębokości trzech metrów przez prawie godzinę?

— Nie robiłem tego zbyt często — wyznałem. — Na ogół takie momenty wykorzystywałem na układanie sprośnych wierszyków. — Spojrzałem na komorę dekompresyjną. — Wolałbym to mieć bliżej miejsca ewentualnego wypadku, może na tratwie. Zobaczę, co Rudetsky potrafi zrobić.

Rozdział 30

Prace posuwały się naprzód tydzień po tygodniu i prawie zapomniałem o Gacie. Byliśmy w kontakcie radiowym z obozem I, z którego przekazywano nam wiadomości od Pata Harrisa i wyglądało na to, że wszystko przebiega normalnie. Gatt wrócił do Mexico City, gdzie żył w dostatku i zdawał się nie troszczyć o nic, chociaż banda jego zbirów wciąż kwaterowała w Meridzie. Nie wiedziałem, co o tym sądzić, ale prawdę mówiąc, nie zastanawiałem się nad tym zbyt, gdyż nurkowanie wypełniało cały mój czas. Obserwowałem za to Halsteada i okazało się, że pracuje nawet solidniej niż ja, co bardzo cieszyło Fallona.

Każdego dnia dokonywano odkryć — zdumiewających odkryć. To było rzeczywiście Uaxuanoc. Drużyny Fallona wydobywały spod ziemi budynek po budynku, pałace, świątynie, place gier i kilka nie rozpoznanych budowli, z których jedna, według Fallona, mieściła obserwatorium astronomiczne. Wokół cenote znajdował się krąg kolumn, w sumie było ich dwadzieścia cztery, a cały ich szereg ciągnął się przez samo centrum miasta. Pstrykając zdjęcia i pracowicie notując, Fallon wypełniał danymi zeszyt po zeszyt.

Chociaż nikt nie należał do związków zawodowych, jeden dzień w tygodniu był dniem wypoczynku, w którym badacze zabierali się do nadrabiania papierkowej roboty, a ludzie Rudetsky'ego swawolili w cenote. W tych warunkach bezpieczne nurkowanie było niemożliwe, więc wykorzystywałem wolny dzień na wypoczynek i wypicie nieco większej ilości piwa, niż mogłem sobie na to pozwolić w tygodniu pracy.

W czasie jednego z takich dni Fallon oprowadził mnie po okolicy, pokazując dotychczasowe odkrycia. Wskazał na niskie wzgórze, które zostało ogołoczone z roślinności.

— To właśnie tutaj Vivero o mały włos nie dokonał swego żywota — powiedział.
— To świątynia Kukulkana. Tam, jak widzisz, odkopujemy teraz schody frontowe.
— Całe to wzgórze? — Trochę trudno było mi w to uwierzyć.
— Tak. To jeden wielki budynek. Szczerze mówiąc, stoimy właśnie na jednej z jego części.

Spojrzałem w dół i rozgrzebałem nogą ziemię. Niczym nie różniła się od reszty terenu, była tam tylko cienka warstwa próchnicy.

— Majowie mieli zwyczaj budowania na platformach — wyjaśnił Fallon. — Stawiali chaty na platformach, nad ziemią, a kiedy wznosili większe budowle, stosowali tę samą technikę. Teraz też stoimy na takiej platformie. Nawet nie zdajesz sobie sprawy, jaka jest duża.

— Jak duża? — spytałem, spoglądając na teren płasko rozciągający się u stóp wzniesienia, które było świątynią Kukulkana. Fallon uśmiechnął się wesoło.

— Rudetsky obszedł to wokół z teodolitem i tachymetrem. Twierdzi, że platforma ma jakieś piętnaście akrów powierzchni i średnio czterdzieści pięć metrów wysokości. To sztuczny akropol: ponad trzy miliony metrów sześciennych, zawierających około sześć i pół miliona ton materiału. — Wyciągnął fajkę. — Podobna, choć nieco mniejsza platforma znajduje się w Copan.

— Jasny gwint! Nie miałem pojęcia, że to może być coś takiego. Fallon zapalił fajkę.

— Majowie... — pyk... pyk... — byli... — pyk... — pracowitym ludem. — Krytycznie przyjrzał się cybuchowi. — Chodź i przyjrzyj się świątyni z bliska.

Podeszliśmy do wzgórza i spojrzeliśmy w górę na częściowo odkopane schody. Miały one około szesnastu metrów szerokości. Fallon wskazał w górę trzonkiem fajki.

— Spodziewałem się znaleźć coś na szczycie, więc trochę pogrzebałem i udało mi

się. Może cię to zainteresuje.

Wspinaczka na strome wzgórze kosztowała mnie sporo wysiłku. Przypominało ono egipską piramidę pokrytą cienką warstwą ziemi. Fallon pomimo swojego wieku nie zmęczył się zbytnio i na szczycie od razu wskazał mi jakieś miejsce.

— Zakończenie schodów wypadnie tutaj, i w tym właśnie miejscu kazałem kopać.

Zbliżyłem się do dołu oddzielonego zwałami ziemi i zobaczyłem w nim przerażającą głowę z rozchylonymi w grymasie gniewu, ustami, z których wyzierały ostre kły.

— Pierzasty Wąż — Fallon czule przedstawił mi potwora. —

Symbol Kukulkana. — Wskazał na ścianę ziemi za nim. — A oto sama świątynia, w której składano ofiary.

Popatrzyłem na nią i pomyślałem o Viverze przywiezionym w to miejsce, postawionym przed obliczem kapłanów i drżącym ze strachu, że wyrwą mu serce. Było to ponure skojarzenie.

Rozmyślenia przerwał mi Fallon, mówiąc:

— Mam nadzieję, że strop się nie zawalił. Chciałbym, żeby był nie naruszony.

Usiadłem na pobliskim pieńku i rozejrzałem się po terenie miasta. Według Fallona mniej więcej jedna piąta była już oczyszczona, ale tylko z roślinności. Wznosiły się tu teraz wielkie kopce, podobne do tego, na którym staliśmy. Wszystkie czekały na odkopanie.

— Ile czasu to jeszcze zajmie? — spytałem. — Kiedy wreszcie zobaczymy, jak to naprawdę wygląda?

— Wróc tu za dwadzieścia lat. Wtedy będziesz miał jasny obraz.

— Tak długo?

— Nie można się spieszyć z czymś takim. Poza tym nie będziemy odgrzebywali wszystkiego. Musimy coś zostawić dla następnej generacji, mogą mieć już lepsze metody i znajdą rzeczy, które my moglibyśmy przeoczyć. Nie mam zamiaru odkopywać więcej niż połowę tego miasta.

Spojrzałem w zadumie na Fallona. Oto miałem przed sobą sześćdziesięcioletniego człowieka, który z ochotą rozpoczynał pracę, choć wiedział, że nie będzie w stanie doprowadzić jej do końca. Być może działa się tak dlatego, że nauczył się myśleć kategoriami nie lat, ale wieków i tysiącleci. Dzięki temu osiągnął niejako kosmiczny punkt widzenia. Był zupełnie inny niż Halstead.

Nieco smutno dodał:

— Życie ludzkie trwa bardzo krótko, ale wytwory ludzkiej myśli przechodzą z pokolenia na pokolenie, są trwalsze od swego twórcy. Shelley wiedział o tym i o marności człowieka mówiąc: *Nazywam się Ozymandias, król królów: Spójrzcie na moje dzieła, wy, wielcy, i rozpaczajcie.* — Szerokim gestem wskazał na miasto. — Ale czy rozpaczamy, widząc coś takiego? W każdym razie nie ja. Dla mnie to jest największy powód do chwały człowieka, którego życie trwa tak krótko. — Wyciągnął przed siebie ręce, drżące, wykrzywione i poznaczone niebieskimi żyłami. — Wielka szkoda, że to ciało wkrótce zgnije.

— Czy wiadomo już, gdzie jest pałac królewski? — Jak na mój gust, rozmowa stawała się zbyt makabryczna, zmieniłem więc temat. Uśmiechnął się.

— Ciągłe pewnie masz nadzieję na ściany wykładane złotem? — Potrząsnął głową. — Vivero jak zwykle coś pokręcił. Majowie nie mieli królów, przynajmniej w naszym rozumieniu. Rządził nimi dziedziczny przywódca, zwany Halach Uinic, którego jak przypuszczam, Vivero nazwał królem. Następny w hierarchii był nacom, wódz wojskowy wybierany co trzy lata. Urzędy kapłańskie również dziedziczono. Wątpię, czy Halach Uinic miał pałac, ale znaleźliśmy coś, co jak sądzimy, było jednym

z budynków administracyjnych. — Wskazał na jeden z kopców. — Oto on.

Kopiec był niewątpliwie duży, ale nie spełnił moich oczekiwań. Dla mnie był to po prostu kolejny pagórek i dopatrzenie się w nim jakiegokolwiek budowli przekraczało moją wyobraźnię.

— To nie jest łatwe, wiem — ze zrozumieniem powiedział Fallon. — Dostrzeżenie tego budynku wymaga trochę większego doświadczenia niż twoje. Ale jest prawdopodobne, że właśnie tam Halach Uinic sprawował sąd nad Viverem. Był on także najwyższym kapłanem, lecz o tym już Vivero nie mógł wiedzieć, nie czytał bowiem *Złotej gałęzi* Frazera.

Ja też tego nie czytałem, więc byłem tak samo mądry jak Vivero.

— Następnym krokiem będzie usunięcie tych pni — powiedział Fallon. Trącił nogą ten, na którym siedziałem.

— Jak to zrobicie? Wyszczepicie je?

— Mój Boże, nie! — Moje pytanie najwyraźniej go zaskoczyło. — Wypalimy korzenie i całą resztę. Na szczęście w dżungli tropikalnej drzewa są płytko zakorzenione. Widzisz sam, że spora część korzeni na tej platformie znajduje się ponad ziemią. Wydrążyły one w budowlu dziury, które po ich usunięciu będziemy musieli wypełnić cementem, aby ponownie scalić budynek. Szkoda by było, żeby zwałił nam się na tym etapie zaawansowania prac.

— Natrafiliście na tę rzecz, która tak podekscytowała Viverę? Ten złocisty znak czy coś podobnego? Pokręcił z wątpliwością głową.

— Nie i przypuszczalnie nigdy tego nie znajdziemy. Myślę, że po dwunastu latach niewoli Viverze pomieszało się już trochę w głowie. Wiesz, mania religijna. Mógł mieć jakieś halucynacje.

— Według dzisiejszych kryteriów każdy Hiszpan w szesnastym wieku był maniakiem religijnym. Likwidowanie całych cywilizacji jedynie z powodu różnic religijnych nie jest oznaką normalnego stanu psychicznego.

Fallon zerknął na mnie spod oka.

— A więc sądzisz, że takie stany można porównywać? Może masz rację. Może na nasze współczesne wojny będzie się w przyszłości patrzyło jak na oznaki wypaczenia umysłów. Z pewnością perspektywa wojny atomowej nie świadczy o zdrowym rozsądku.

Pomyślałem o Viverze, którego dręczyły wyrzuty sumienia spowodowane strachem przed karą, która mu groziła za nienawracanie pogan na wiarę chrześcijańską. A jednocześnie nie wahał się doradzać swoim synom najskuteczniejszych metod zabijania niewiernych, choć przyznawał, że nie są one chrześcijańskie. Postawa Viverę przypominała mi Puckla, wynalazcę pierwszego karabinu maszynowego, który został tak skonstruowany, by strzelać okrągłymi kulami do chrześcijan i kwadratowymi do Turków.

— Skąd Vivero wziął złoto potrzebne do zrobienia lustra? — zapytałem. — Powiedziałeś przecież, że tu było mało tego kruszcu.

— Tego nie powiedziałem — zaproponował Fallon. — Mówiłem ci, że złoto gromadzono przez wieki. Tak czy owak, było go tutaj z pewnością sporo, no a złotnik w ciągu dwunastu lat znajdzie niejedną okazję, by ukraść trochę złota. Poza tym te lustra nie są z czystego złota, tylko z tombaku, to znaczy stopu złota, srebra i miedzi, której jest w nim dość dużo. Hiszpanie zawsze mówili o czerwonym złocie Indian, a to właśnie miedź dawała ten odcień.

Wytrząsnął popiół z fajki.

— Lepiej wróć już do mapy Rudetsky'ego i ustalę plan pracy na następny tydzień. — Zamilkł na chwilę. — A propos, Rudetsky twierdzi, że widział w dżungli kilku chicleros. Wydałem już instrukcje, by nikt nie oddalał się poza teren obozu.

Dotyczy to również ciebie.

Z hukiem sprowadziło mnie to ponownie w XX wiek. Wróciłem do obozu i wysłałem za pośrednictwem radiostacji w obozie I depeszę do Pata Harrisa z informacją o ostatnim odkryciu. To wszystko, co mogłem zrobić.

Rozdział 31

Fallon był nieco rozczarowany moim programem nurkowania.

— Tylko dwie godziny dziennie? — zapytał zdęgotowany. Musiałem więc zrobić mu błyskawiczny wykład z biofizyki w odniesieniu do nurkowania.

— Oczywiście, głównym problemem jest azot. Nurkujemy na głębokości trzydziestu metrów, gdzie ciśnienie wynosi cztery atmosfery, czyli około dziesięciu kilogramów na centymetr kwadratowy. Nie sprawia to żadnego kłopotu przy oddychaniu, gdyż automat dopuszcza do płuc powietrze pod tym samym ciśnieniem, jakie ma otaczająca woda. Nie ma więc niebezpieczeństwa, że zostanie się zgniecionym z powodu różnicy ciśnienia.

Problem bierze się z faktu, że z każdym oddechem pobiera się czterokrotnie więcej wszystkich składników powietrza. Organizm bez trudu radzi sobie z nadmiarem tlenu, ale dodatkowy azot rozpuszcza się w krwi i gromadzi w tkankach. W momencie gdy ciśnienie nagle powraca do normalnego poziomu, azot zostaje uwolniony w postaci banieczek, krew wtedy dosłownie wrze i od tej chwili to już tylko jeden krok do grobu.

Dlatego też należy redukować ciśnienie powoli, wychodząc na powierzchnię ostrożnie i z wieloma przystankami. Wszystko to jest starannie wyliczone przez lekarzy z admiralicji, tak aby zgromadzony azot był wyzwalany w kontrolowanych i bezpiecznych ilościach.

— W porządku — przerwał mi niecierpliwie Fallon. — Rozumiem już. Ale jeżeli spędzicie dwie godziny na dnie i mniej więcej tyle samo czasu zajmie wam wypłynięcie na powierzchnię, to jest dopiero połowa dnia pracy. Będziecie więc mogli nurkować raz przed południem i raz po południu.

— To niemożliwe — powiedziałem. — Kiedy wychodzi się z wody, ciało jest ciągle jeszcze nasycone azotem pod normalnym ciśnieniem atmosferycznym i trzeba co najmniej sześciu godzin, by go całkowicie wyeliminować z organizmu. Przykro mi, ale możemy nurkować tylko jeden raz w ciągu dnia.

Musiał się tym zadowolić.

Tratwa, którą zrobił Rudetsky, okazała się wybawieniem. Odstąpiliśmy od mojego pierwszego planu zawieszenia butli tlenowych na każdym poziomie dekompresyjnym, a zamiast tego spuściliśmy przewód zasilany z dużych butli na tratwie, który można było podłączyć bezpośrednio do automatu oddechowego przy uprząży. Zbadałem też jaskinię w ścianie cenote na głębokości dwudziestu trzech metrów. Była całkiem spora i przypominała kształtem odwrócony worek. Przyszło mi na myśl, by wypełnić ją powietrzem i wypchnąć z niej wodę. Wąż spuszczonej z pompy na tratwie wkrótce dokonał dzieła. Było to dziwne uczucie, że znajdując się tak głęboko pod powierzchnią można było zdjąć maskę i swobodnie oddychać. Oczywiście powietrze w jaskini miało takie samo ciśnienie, jak woda na tej głębokości, więc nie pomagało nam to w dekompresji, ale w razie jakichkolwiek kłopotów jaskinia mogła być tymczasowym schronieniem z odpowiednim zapasem powietrza. Zawiesiłem przed wejściem do niej zapaloną latarkę, a drugą umieściłem wewnątrz.

Fallon przestał narzekać, gdy zobaczył, co zaczęliśmy wydobywać. Musieliśmy wprawdzie usunąć najpierw ogromne ilości mułu, ale zrobiliśmy to za pomocą pompy ssącej. Pierwszym odkryciem, makabrycznym zresztą, była ludzka czaszka.

W ciągu następnych dni wysłaliśmy na górę wiele przedmiotów: maski z miedzi i złota, kubki, dzwonki, biżuterię, taką jak: wisiory, bransolety, pierścienie, zausznice, naszyjniki z paciorków oraz pokryte ornamentami guziki ze złota i jadeitu. Były tam także rytualne topory z kamienia i obsydianu, drewniane włócznie, które zachowały

się dzięki grubej warstwie mułu, oraz co najmniej osiemnaście talerzy, podobnych do pokazywanego mi przez Fallona w Mexico City.

Ozdobą całej tej kolekcji była mała, piętnastocentymetrowa złota statuetka, przedstawiająca młodą dziewczynę. Fallon wyczyścił figurkę starannie, postawił na swoim biurku i przyglądał się jej ze zdumieniem.

— Ten przedmiot jest majański — powiedział. — Ale z pewnością nie Majowie go wykonali. To nie ich styl. A z drugiej strony, popatrzcie na jej profil, to na pewno dziewczyna Majów.

Katherine wzięła ją do ręki.

— Jest piękna, prawda? — Zawahała się. — A może to jest ta figurka zrobiona przez Vivera, która tak zachwyciła kapłanów.

— Dobry Boże! — powiedział Fallon ze zdumieniem. — To nawet prawdopodobne, ale byłyby to niesamowity zbieg okoliczności.

— A dlaczego by nie? — spytałem, wskazując jednocześnie na bogactwo skarbów złożone na półkach. — Przecież to wszystko są ofiary, prawda? Majowie dawali Chacowi to, co mieli najcenniejszego. Całkiem więc możliwe, że i figurkę Vivera spotkał taki właśnie los.

Fallon przyjrzał się jej ponownie.

— Została odlana — przyznał. — A Majowie nie znali tej techniki. Może to być wyrób Vivera, ale nie musi to być figurka, o której pisał. Z pewnością wykonał ich więcej.

— Wolę myśleć, że to ta pierwsza — powiedziała Katherine. Spojrzałem na rzędy połyskujących na półkach przedmiotów.

— Ile to wszystko jest warte? — zapytałem Fallona. — Ile można za to uzyskać na rynku?

— Te rzeczy nie będą wystawione na sprzedaż — powiedział Fallon zawzięcie. — Zarówno rząd meksykański, jak i ja mamy coś w tej sprawie do powiedzenia.

— Ale przyjmując, że pojawiły się na rynku, ile mogłyby być warte? Fallon pomyślał chwilę.

— Musiałyby najpierw zostać przeschumowane z kraju i oddane w ręce nieuczciwego handlarza, człowieka takiego jak na przykład Gerryson. On rozprowadziłby je za jakiś czas, powiedzmy za półtora miliona dolarów.

Wstrzymałem oddech. Jeszcze nie przeszukaliśmy nawet połowy cenote i ciągle było w niej wiele do znalezienia, każdego dnia wydobywaliśmy więcej przedmiotów, a tempo odkryć wzrastało w miarę, jak zagłębialiśmy się w muł. Według obliczeń Fallona wartość znalezisk mogła dojść do czterech, może nawet pięciu milionów dolarów.

Pomyślałem o tym wszystkim i powiedziałem:

— Nic dziwnego, że Gatt zainteresowany jest tą sprawą. A ty, na miłość boską, zastanawiałeś się, o co mu może chodzić.

— Brałem po prostu pod uwagę znaleziska przy normalnym przebiegu wykopalisk. Złote przedmioty, które znajdowały się na powierzchni, zniknęły już dawno temu i niewiele tam znajdziemy. Myślałem też, że Gatt dał się nabrać na te bzdury z listu Vivera. Z pewnością nie przypuszczałem, że w cenote znajduje się aż taki skarb. — Zaczął bębnić palcami na blacie biurka. — Myślałem, że Gatt interesuje się złotem dla samego złota jak zwykły poszukiwacz skarbów. — Machnął ręką w stronę półek. — Wartość złota zawartego w tym wszystkim nie przekracza piętnastu, może dwudziestu tysięcy dolarów.

— Ale wiemy przecież, że Gatt nie jest taki. Jak go nazwał Harris? Wykształcony zbir. On nie jest typem głupiego złodzieja, który najprawdopodobniej przetopiłby to wszystko. Gatt zna wartość antykwaryczną tych *rzeczy* i będzie wiedział, jak się ich

pozbyć. Harris natrafił już na ślad powiązań między Gattem a Gerrysonem, sam zaś przed chwilą przyznał, że Gerryson potrafiłby to dyskretnie opchnąć. Według mnie trzeba to wywieźć stąd jak najprędzej i zamknąć w największym sejfie bankowym, jaki znajdziesz w Mexico City.

— Oczywiście, masz rację — rzekł krótko Fallon. — Załatwię to. Musimy też powiadomić władze meksykańskie o wielkości naszych odkryć tutaj.

Rozdział 32

Sezon zbliżał się do końca. Wkrótce miały spaść deszcze i praca w terenie stałaby się niemożliwa. Śmiem twierdzić, że nie wpłynęłoby to na moją robotę w cenote, bo i tak nie mógłbym już bardziej nasiąknąć wodą, ale wszyscy wiedzieliśmy, że w porze deszczowej polana zmieni się w grząskie morze błota. Któregoś dnia Fallon, aczkolwiek niechętnie, dał hasło do odwrotu.

Oznaczało to masową ewakuację do obozu I. Rudetsky spoglądał zmartwiony na cały sprzęt, który miał zostać przetransportowany, ale Fallon był dziwnie niefrasobliwy w tej sprawie.

— Zostaw to tutaj — powiedział beztrzesko. — Będziemy go potrzebowali w przyszłym sezonie.

Rudetsky opowiedział mi o tym, trzęsąc się z gniewu.

— Do przyszłego sezonu nie ocaleje tu ani jedna rzecz — stwierdził z pasją. — Te sępy chicleros rozkradną wszystko do najmniejszej śrubki.

— Nie martwiłbym się tym — uspokajałem go. — Fallona stać na skompletowanie całego sprzętu od nowa.

Rudetsky był jednak zbyt oszczędny, by to zaakceptować, więc zadał sobie wiele trudu, aby osłonić generatory i pompy przed kaprysmi pogody, łudząc się jednocześnie, że może chicleros nie splądrują obozu.

— Marnuję tylko czas — powiedział zgnębiony, gdy wydawał polecenia zabicia deskami okien baraków. — Ale, do diabła, muszę udawać, że coś się robi.

Ewakuowaliśmy więc Uaxuanoc. Duży helikopter latał tam i z powrotem zabierając ze sobą ludzi, którzy odkopali miasto. Czterech młodych archeologów pożegnało się z Fallonem i wyjechało. Kipieli wprost entuzjazmem i gorliwie przyrzekali powrócić w przyszłym sezonie, w którym miała się rozpocząć prawdziwa praca przy odkopywaniu budynków. Fallon, jak przystało na dobrego opiekuna, uśmiechał się do nich życzliwie, machał im długo ręką na pożegnanie, po czym wrócił do swoich zajęć z dziwnie grobowym wyrazem twarzy. Nie brał jakiegokolwiek udziału w pracach przy ewakuacji i odmówił podejmowania wszelkich decyzji, więc Rudetsky zaczął się po nie zwracać do mnie. Robiłem, co uważałem za słuszne, zastanawiając się jednocześnie nad postępowaniem Fallona. Przez cały czas tkwił w baraku, gdzie na półkach ustawione były znaleziska, i spędzał dni na starannym ich czyszczeniu oraz robieniu obszernych notatek. Zastrzegł sobie prawo do absolutnego spokoju, a przy tym nie chciał nawet słyszeć o wysłaniu tych cennych przedmiotów.

— Pojadą razem ze mną — zakomunikował. — Zajmijcie się całą resztą, a mnie zostawcie samego.

W końcu nadszedł dzień naszego wyjazdu. Obóz został zlikwidowany, z wyjątkiem trzech lub czterech baraków, a wszystko, co pozostało, akurat pomieściłoby się w dwóch helikopterach. Szedłem właśnie do Fallona, by mu to oznajmić, kiedy dogonił mnie zdyszany Rudetsky.

— Chodź natychmiast do radiostacji — wysapał. — W obozie I dzieje się coś dziwnego.

Poszedłem za nim i wysłuchałem opowiadania o łańcuchu nieszczęść. Mieli pożar, w wyniku którego helikopter spłonął doszczętnie.

— Jest ktoś ranny? — warknął Rudetsky.

Głos o metalicznym brzmieniu, który to zanikał, to znów pojawiał się w głośniku, oznajmił, że skończyło się na kilku niegroźnych oparzeniach. Ale helikopter można było spisać na straty.

— Jak to się, u diabła, stało?

Dochodzący falami głos na moment zamilkł, po czym wrócił nieco mocniejszy.

- ...nie wiem... po prostu stało się...
- Po prostu stało się — powtórzył Rudetsky zde gustowany.
- Co się dzieje z tym nadajnikiem? — spytałem. — Wydaje się, że zupełnie nie ma mocy.
- Podładuj trochę baterię — powiedział Rudetsky do mikrofonu.
- Odbieram cię czysto i wyraźnie — wyszeptał głos. — Nie słyszysz mnie?
- Nie, do cholery! — krzyknął Rudetsky. — Zrób z tym coś. Sygnał wzmocnił się nieco.
- Wyekspediowaliśmy stąd wszystkich z powrotem do Mexico City. Zostało nas tutaj tylko trzech, ale pan Harris mówi, że coś się stało z odrzutowcem.

Poczułem mrowienie na karku i pochyliłem się ponad ramieniem Rudetsky'ego, by spytać:

- Co się z nim stało?
- ...nie wiem... uziemiony... zła rejestracja... nie może przylecieć, dopóki... — sygnał ponownie stał się słabszy i trudno było cokolwiek zrozumieć. Nagle zanikł zupełnie i nie było sły chać nawet zakłóceń na fali zasadniczej.

Rudetsky długo jeszcze manipulował odbiornikiem, ale nie złapał już obozu I. Odwrócił się do mnie i powiedział:

- W ogóle przestali nadawać.
- Spróbuj złapać Mexico City.
- Spróbuję — skrzywił się. — Ale szansę są diabelnie nikłe. Ta skrzynka nie ma odpowiedniej mocy.

Zaczął manipulować pokrętłami, a ja zastanawiałem się nad tym, co się stało. Duży helikopter transportowy był zniszczony, odrzutowiec utknął w Mexico City z jakichś tajemniczych powodów, a obóz I przestał nadawać. Wszystko składało się w jedną całość pod nazwą — izolacja. Nie podobało mi się to zupełnie. W zamyśleniu spoglądałem w stronę hangaru, gdzie Rider jak zwykle polerował swój helikopter. Mieliśmy przynajmniej ten. W końcu Rudetsky zrezygnował.

- Nic z tego nie będzie — powiedział i spojrział na zegarek. — To i tak ostatnia na dzisiaj transmisja z obozu I. Jeśli naprawią nadajnik, będą nadawać jak zwykle jutro o ósmej rano. Do tego czasu nic nie możemy zrobić.

Nie wyglądał na zbyt zmartwionego, ale przecież w przeciwieństwie do mnie nie miał pojęcia o Jacku Gacie.

- W porządku, poczekamy do jutra. Powiem Fallonowi o tym, co się stało — powiedziałem.

Okazało się to trudniejsze, niż przewidywałem. Fallon tkwił po uszy w swojej pracy, zastanawiając się nad złotym talerzem Majów i próbując określić jego wiek, mamrotał do siebie jakieś majańskie liczby. Usiłowałem powiedzieć mu o naszych kłopotach, ale przerwał mi z irytacją:

- Nie przejmowałbym się tym. Jutro będą nadawać i wszystko się wyjaśni. A teraz idź już i nie zwracaj mi głowy.

Odszedłem więc i sam też zacząłem się zastanawiać. Chciałem początkowo pogadać o tym z Halsteadem, ale wspomnienie słów Pata Harrisa powstrzymało mnie przed zbytnią szczerością. Nie powiedziałem też o niczym Katherine, bo nie chciałem jej przestraszyć, a poza tym bałem się, że mogłaby coś powtórzyć mężowi. W końcu podszedłem do Ridera:

- Czy twój helikopter jest gotów do pracy? — spytałem. Zauważyłem, że moje słowa go zaskoczyły i jakby nieco uraziły.
- Zawsze jest gotów — powiedział krótko.
- Jutro możemy go potrzebować. Przygotuj się do wczesnego startu.

Rozdział 33

Tej nocy my mieliśmy pożar. W baraku radiowym! Obudziłem się, słysząc dochodzące z oddali krzyki, a następnie już bliżej tupot kroków po twardym gruncie, gdy ktoś przebiegł przed moim barakiem. Wstałem, by zobaczyć, co się dzieje, i zastałem w baraku Rudetsky'ego, który gasił ostatnie płomienie. Pociągnąłem nosem.

— Trzymałeś tu benzynę?

— Nie! — mruknął. — Mieliśmy gości. Dostało się tu paru tych przeklętych chicleros. — Spojrzał na zwęglone resztki nadajnika. — Ale nie rozumiem, dlaczego, do cholery, mieliby chcieć to zniszczyć?

Mogłem mu to wyjaśnić, ale nie zrobiłem tego. Ten pożar przekonał mnie, że chodzi o to, by nas odizolować.

— Czy odkryłeś jeszcze jakąś próbę sabotażu?

— Nic o tym nie wiem.

Do świtu pozostała jeszcze godzina.

— Lecę do obozu I — oznajmiłem. — Chcę zobaczyć, co tam się stało.

Rudetsky przyjrzał mi się uważnie.

— Spodziewasz się jakichś komplikacji? — zatoczył ręką koło. — Czegoś w tym rodzaju?

— Możliwe — przyznałem. — Tu zresztą też może się coś jeszcze wydarzyć. Gdy mnie nie będzie, trzymaj wszystkich w obozie. I nie pozwól na żadne impertynencje ze strony Halsteda, jeśli będą z nim jakieś problemy, wiesz chyba, jak to załatwić.

— Z największą przyjemnością — powiedział czule Rudetsky. — Jak sądzę, nie zechcesz mi wyjaśnić, co się tu naprawdę dzieje?

— Zapytaj Fallona. To długa historia, a ja teraz nie mam czasu na tłumaczenie. Muszę wyciągnąć Ridera z łóżka.

Przegryzłem coś w pośpiechu, po czym przekonałem Ridera o konieczności lotu do obozu I. Wahał się trochę, ale skoro Fallon zrezygnował z wszelkiej odpowiedzialności, a mnie popierał Rudetsky, więc w końcu przestał stawiać opór i byliśmy gotowi do startu o wschodzie słońca. Katherine przyszła zobaczyć, jak odlatuję. Wychyliłem się do niej i zawołałem:

— Nie oddalaj się od obozu. Niedługo wrócę.

— W porządku — przyrzekła.

Halstead wychylił się zza helikoptera i stanął obok niej.

— Odstawiasz bohatera? — zapytał z sarkazmem.

Badał świątynię Yum Chaca, znajdującą się nad cenote, i gorączkował się, by rozpocząć na jej terenie zwykłe prace wykopaliskowe zamiast powierzchniowego oczyszczenia, ale Fallon nie zezwolił mu na to. Znaleziska, których dokonaliśmy wspólnie z Katherine w cenote, utarły mu nosa. Drażniło go to, że amatorzy najwyraźniej wybrali pulę¹, by użyć kiepskiego kalamburu. Był tym do tego stopnia poirytowany, że wszczynął kłótnie z żoną. Siłą odciągnął ją od helikoptera, a Rider spojrział na mnie i wrzucił ramionami.

— W zasadzie moglibyśmy lecieć — powiedział. Skinąłem głową. Pomanipulowałem drążkiem sterowym i wznieśliśmy się do góry.

Odezwałem się do Ridera, ale w odpowiedzi uśmiechnął się tylko, wskazując na słuchawki interkomu. Założyłem je i powiedziałem do mikrofonu:

— Polataj przez chwilę nad polaną, dobrze? Chcę popatrzeć na to z góry.

— Dobrze — zgodził się i zatoczyliśmy szeroki łuk ponad Uaxuanoc.

¹ Gra słów polegająca na podwójnym znaczeniu słowa „pool” – sadzawka lub pula karciana.

Obecnie przypominało to już miasto, przynajmniej ta część, która była oczyszczona. Zupełnie wyraźnie odcinała się potężna platforma, stanowiąca podstawę świątyni Kukulkana i budynek, który Fallon żartobliwie określił jako „ratusz miejski”. Był tam również zarys czegoś, co wyglądało na kolejną potężną platformę, rozłożoną na wschód wzdłuż grzbietu, ale była ona odkryta tylko częściowo. Na wzgórzu, ponad cenote, widać było efekty solidnej pracy Halsteada — świątynia Yum Chaca przestała wreszcie przypominać jedynie kopiec ziemi, ukazując swój pierwotny kształt stożkowatej piramidy kamiennej ze zwieńczającym ją, wspartym na kolumnach gmachem. Trzykrotnie przelecieliśmy nad miastem, po czym powiedziałem:

— Dzięki, Harry, wystarczy, lećmy do obozu I. Czy mógłbyś trzymać się nisko, chciałbym poobserwować las?

— Nie mam nic przeciwko temu, byle tylko nie za nisko. Polecę powoli, żebyś mógł rzeczywiście coś zobaczyć.

Skierowaliśmy się na wschód, lecąc na wysokości około stu metrów z szybkością nie większą niż dziewięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Poniżej rozciągała się dżungla, zielona puszcza z koronami drzew, które zwyciężając w walce o światło, sięgały pięćdziesięciu i więcej metrów ponad ziemię. Te korony tworzyły wyspy rozrzucone pośród ścielącej się niżej zbitej masy zieleni. Nigdzie jednak nie było widać ziemi.

— Zdecydowanie wolę tędy lecieć, niż iść — powiedziałem. Harry roześmiał się.

— Chybabym tam umarł ze strachu. Słyszałeś te przekłete wyjce ubiegłej nocy? Brzmiało to tak, jakby jakiemuś nieszczęśnikowi powolutku podrzynano gardło.

— Wyjce by mnie nie przestraszyły. Hałasują tylko, choć działa to na nerwy. Bardziej obawiałbym się pum i węży.

— I chicleros — dodał Harry. — Słyszałem parę wielce zabawnych historyjek o tych facetach. Z tego, co wiem, dla nich zabicie człowieka to tyle, co splunąć. — Spojrzał w dół na dżunglę. — Chryste, co za miejsce do pracy! Trudno się dziwić, że chicleros to twardzi ludzie. Gdybym pracował tam na dole, to też bym pewnie niewiele dbał o to, czy żyję, czy nie. Nie przejmowałbym się tym zupełnie.

— Co tu się stało? — Spytałem, gdy przecięliśmy część lasu, która nieco różniła się od reszty.

— Nie wiem — powiedział Harry. Był nie mniej zaskoczony ode mnie. — To drzewo wygląda na obumarłe. Przyjrzyjmy mu się z bliska.

Pomanipulował drążkiem sterowniczym. Helikopter zwolnił i okrążył wierzchołek drzewa. Był to jeden z tych leśnych olbrzymów, którego korona wyrosła ponad inne drzewa, rozpościerając się bujnie w wyższych partiach, lecz z pewnością była ona bezlistna i uschnięta. Wszędzie dookoła stały takie same martwe drzewa.

— Myślę, że już rozumiem. Z pewnością przeszło tędy tornado — powiedział Harry. — Drzewa zostały wyrwane z korzeniami, ale są tak ciasno stłoczone, że nie mogły upaść, uschły więc w pionowej pozycji. Co za piekielne miejsce, gdzie umiera się na stojąco.

Wznieśliśmy się i wróciliśmy na właściwy kurs. Harry powtórzył:

— To musiało być tornado, obumarłe drzewa stoją w pozycji prostej, tworząc pas, po którym ono przeszło. Jak na huragan zasięg jest zbyt ograniczony, inaczej drzewa byłyby powyrywane na większym obszarze.

— Tutaj zdarzają się huragany?

— Jasne. Chryste! Właśnie w tej chwili jeden z nich pustoszy Karaiby. Śledziłem prognozy pogody na wypadek, gdyby zdecydował się „zawitać” w te okolice. Jest to jednak mało prawdopodobne.

Zaklął, bo helikopter nieoczekiwanie przechylił się na bok.

— Co się stało? — spytałem.

— Nie mam pojęcia. — Gwałtownie sprawdził instrumenty. Po chwili dodał: — Wygląda, że wszystko jest w porządku.

Jeszcze nie skończył, kiedy rozległ się niesamowity trzask od strony ogona, a cały kadłub okręcił się wokół swojej osi. Siła odśrodkowa rzuciła mnie na ścianę kabiny, przy której pozostałem unieruchomiony, podczas gdy Harry rozpaczliwie szarpał przyrządami.

Cały świat wirował w zawrotnym korkociągu, horyzont unosił się i opadał, a las przybliżał się strasznie szybko — zbyt szybko!

— Trzymaj się — krzyknął Harry i trzasnął w przełącznik na tablicy kontrolnej.

Wycie silnika nagle zamilkło, ale kręciliśmy się w dalszym ciągu. Zobaczyłem jeszcze wierzchołek drzewa, wyłaniający się na drodze naszego upadku, i już wiedziałem, że się rozbijemy. Następną i ostatnią *rzeczą*, którą usłyszałem, był straszliwy trzask zakończony potężnym uderzeniem. Rzuciło mnie do przodu, w wyniku czego grzmotnąłem głową w metalowy drążek.

To było wszystko, co zapamiętałem.

Rozdział 34

Głowa bolała mnie jak diabli. Początkowo było to lekkie pulsowanie, nie gorsze niż przy solidnym kacu, ale jego intensywność wzrastała, aż w końcu miałem uczucie, jakby ktoś używał mojej czaszki w charakterze bębna. Kiedy się poruszyłem, wydało mi się, że w środku coś eksplodowało i wszystko ponownie zgasło.

Gdy znowu odzyskałem przytomność, było nieco lepiej, ale niewiele. Tym razem mogłem już unieść głowę, lecz nic nie widziałem. Jedynie mnóstwo czerwonych plamek roztańczonych przed oczami. Odchyliłem się do tyłu, potarłem je i wówczas uprzytomniłem sobie, że ktoś jęczy. Upłynęło jeszcze trochę czasu, zanim potrafiłem cokolwiek dojrzeć, czerwone migotanie zastąpiła oślepiająca zieleń — ruchome, zielone coś, widoczne poprzez przezroczystą obudowę kabiny.

Ponownie usłyszałem jęk i odwróciłem się. Zobaczyłem Harry'ego Ridera, który osunął się do przodu w swoim siedzeniu. Z kącika ust sączyła mu się strużka krwi. Byłem bardzo słaby i wydawało mi się, że nie zdołam się ruszyć. Poza tym moje szare komórki chyba w ogóle przestały funkcjonować, bo nie potrafiłem nawet połączyć w całość dwóch kolejnych myśli. Wszystko, na co było mnie stać, to przechylenie głowy na drugą stronę i spojrzenie nieruchomym wzrokiem przez okno.

Zobaczyłem żabę! Siedziała na szerokim liściu, wpatrując się we mnie paciorkowatymi, nieruchomymi oczami, zupełny bezruch zakłócało jedynie szybko pulsujące podgardle.

Przez dłuższy czas wpatrywaliśmy się w siebie. Trwało to wystarczająco długo, bym dwukrotnie zdążył powtórzyć sobie wierszyk o żabie spełniającej życzenie: *Hej! Ho! Mówi Rowley*. Wreszcie mrugnąłem oczami i czar prysnął.

Odwróciłem się, by spojrzeć na Harry'ego. Drgnął lekko i poruszył głową. Twarz miał bladą, a strużka krwi z ust niepokoiła mnie, gdyż wskazywała na obrażenia wewnętrzne. Znowu spróbowałem się poruszyć, ale ogarnęła mnie cholerna słabość. „Dalej — poganiałem się w myślach. — Nie bądź taki szary i wyblakły. Rusz się, Wheale. Zachowuj się jak mężczyzna, który wie, do czego zmierza.”

Udało mi się w końcu usiąść. Gdy to uczyniłem, cały szkielet kabiny zadrżał złowrogo i zakolysał się jak mała łódka na falach.

— Chryste! — powiedziałem głośno. — Do czego właściwie zmierzam? — Spojrzałem na żabę. Wciąż jeszcze tam była, ale liść, na którym siedziała, kołysał się. Najwyraźniej nie przejęła się tym, a w każdym razie nic na ten temat nie powiedziała.

Odezwałem się ponownie, gdyż dźwięk głosu dodawał mi otuchy:

— Zgłupiałeś już do cna. Spodziewałeś się, że żaba będzie z tobą rozmawiać? Wheale, jesteś nieźle rąbnięty!

— C...Co... — wymamrotał Harry.

— Obudź się, Harry! Obudź się, chłopcze, na miłość boską! Jestem cholernie samotny.

— wo...wo — Harry jęknął i otworzył oczy. Pochyliłem się i przyłożyłem ucho do jego ust.

— O co chodzi Harry?

— Wo... dy — stęknął. — Woda za siedzeniem.

Odwróciłem się, starając się wymacać ją ręką, a helikopter znowu zadrżał i zadygotał. Znalazłem butelkę i przyłożyłem ją do ust pilota, choć nie miałem wcale pewności, czy dobrze robię, bo gdyby miał rozwalony brzuch, woda mogłaby mu zaszkodzić.

Ale wszystko było we względnym porządku. Wypił łyk, sporo zresztą przy tym rozlewając, a różowo zabarwiona strużka pociekła mu po brodzie. Szybko zaczął

dochodzić do siebie, dużo szybciej niż ja. Napilem się także i poczułem się znacznie lepiej. Oddałem butelkę Harry'emu, który przepłukał usta i splunął. Dwa wybite zęby odbiły się ze stukiem od tablicy rozdzielczej.

— Cholera! Całe usta mam posiekane — wymamrotał niewyraźnie.

— Ciesz się, chłopcze, że tylko tyle. Myślałem już, że żebra przebiły ci płuca.

— Co u diabła? — Uniósł się i znieruchomiał, gdy poczuł kołysanie helikoptera.

Wreszcie uświadomiłem sobie, gdzie byliśmy.

— Spokojnie — powiedziałem napiętym głosem. — Wydaje mi się, że do ziemi mamy jeszcze spory kawałek. To przypadek typu: *Kołysz się, dziecię, na wierzchołku drzewa*. — Zamilkłem, gdyż zakończenie wierszyka nie przypadło mi do gustu.

Nagle Harry zastygł w bezruchu i wciągnął powietrze.

— Czuję gaz. Niezbyt mi się to podoba. Chyba zgubiliśmy tylny rotor — wyjaśnił.

— Gdy to nastąpiło, kadłub zaczął się obracać w kierunku przeciwnym do głównego rotora. Dzięki Bogu, że zdążyłem wszystko wyłączyć.

— Drzewa musiały zamortyzować nasz upadek — powiedziałem. — Gdybyśmy spadli na twardy grunt, helikopter pękłby jak skorupka jajka. A tak wyszliśmy z tego prawie bez szwanku.

— Nic nie rozumiem. Dlaczego odpadł tylny rotor?

— Może metal był już nadwerżony?

— To nowa maszyna. Metal nie miał czasu się zmęczyć.

— Może pogadamy o tym kiedy indziej? Zabierajmy się stąd w diabły. Ciekawe, na jakiej wysokości wisimy? — Poruszyłem się ostrożnie. — W razie czego uważaj!

Ostrożnie nacisnąłem klamkę bocznych drzwi i usłyszałem trzask zwalnającego się zamku. Lekko popchnięte drzwi odchyliły się o jakieś dwadzieścia centymetrów, po czym coś je zablokowało. Szpara była jednak na tyle duża, że mogłem popatrzeć w dół. Dokładnie pod nami znajdowała się gałąź, niżej płatanina liści i ani śladu ziemi.

Fallon włóczył się po tej dżungli przez wiele lat i chociaż nie był botanikiem, sporo o niej wiedział. Parę razy rozmawiał o tym ze mną. Na podstawie tego, co mi powiedział, i tego, co widziałem przed sobą, mogłem stwierdzić, że znajdujemy się na wysokości jakichś dwudziestu pięciu metrów. Ogólnie rzecz biorąc, las deszczowy zbudowany jest z trzech poziomów, które specjaliści nazywają galeriami. My przebiliśmy najwyższy i zawisliśmy na gęstszym — środkowym.

— Masz jakąś linkę? — zapytałem Harry'ego.

— Jest kabel wyciągowy.

— Potrafisz go rozwinąć, nie kręcąc się zbytnio?

— Mogę spróbować.

Na bębnie wyciągowym znajdował się zaczep, którym Harry mógł operować ręcznie. Pomagałem mu odwinąć gruby kabel, zwijając go tak ściśle, jak tylko potrafiłem, i odkładając zwoje na przednie siedzenie, żeby nie przeszkadzały.

— Wiesz, gdzie jesteśmy? — spytałem.

— Jasne! — Wyciągnął podkładkę, do której była przymocowana mapa. — Jesteśmy gdzieś tutaj. Nie oddaliliśmy się od polany dalej niż o jakieś dziesięć minut drogi, nie lecąc zbyt szybko. Jesteśmy około piętnastu kilometrów od obozu. Czeka nas niezła przechadzka.

— Masz jakiś sprzęt na wypadek katastrofy?

— Parę maczet, apteczkę, dwie butelki wody i kilka innych drobiazgów.

Podniosłem butelkę leżącą pomiędzy siedzeniami i potrząsałem nią na próbę.

— Ta jest w połowie pusta albo na pół pełna, zależy od punktu widzenia. Lepiej nie szastajmy wodą.

— Zabiorę resztę rzeczy — powiedział Harry i odwrócił się na siedzeniu. Jednocześnie helikopter przekrzywił się i usłyszeliśmy zgrzyt rozdieranego metalu.

Harry natychmiast znieruchomiał, spoglądając na mnie z lękiem w oczach. Nad górną wargą miał kropelki potu. Gdy jednak nic się nie stało, delikatnie pochylił się i wyciągnął rękę po maczety.

Zebrałiśmy już z przodu wszystkie potrzebne rzeczy, kiedy przypomniałem sobie.

— Radio! Czy ono działa?

Harry wysunął rękę w stronę przełącznika, ale zaraz cofnął ją.

— Nie wiem, czy można spróbować — powiedział nerwowo. — Nie czujesz gazu? Jeśli w nadajniku nastąpiło przebicie, jedna iskra wyśle nas do nieba. — Przez chwilę patrzyliśmy na siebie w milczeniu, aż wreszcie uśmiechnąłem się słabo.

— W porządku, ryzykujemy.

Przesunął w dół przełącznik i nasłuchiwał w słuchawkach.

— Nie działa! W ogóle brak sygnału.

— W takim razie nie musimy się już o nie martwić.

Otworzyłem drzwi tak szeroko, jak tylko mogłem, i przyjrzałem się gałęzi pod nami. Miała jakieś dwadzieścia centymetrów grubości i wyglądała bardzo solidnie.

— Wychodzę. Rzuć mi kabel, kiedy zawołam.

Prześciśnięcie się na zewnątrz nie było dla mnie wielkim problemem, gdyż jestem raczej szczupły. Ostrożnie opuściłem się. Nawet gdy wisiałem na wyciągniętych rękach, palce stóp kołysały się w powietrzu, kilkanaście centymetrów od konara. Musiałem więc skakać. Puściłem się, uderzając stopami prosto w gałąź, po czym straciłem równowagę i poleciałem do przodu, obejmując konar ramionami jak człowiek, który wspina się po natłuszczonym słupie. Gdy udało mi się w końcu usiąść na gałęzi okrakiem, ciężko dyszałem.

— W porządku, rzuć kabel.

Lina opadła w dół, więc złapałem ją. Harry przymocował do zaczepu na jej końcu butelki z wodą i maczety. Były tam dość bezpieczne, dlatego tylko okręciłem zaczep wokół gałęzi.

— Możesz już wyjść! — krzyknąłem.

Najpierw wysunęło się jeszcze trochę kabla, a po chwili ukazał się

Harry. Wokół pasa miał zamocowaną pętlę i zamiast zejść w dół, na gałąź, zaczął wspinać się na czubek obudowy kabiny helikoptera.

— Co, do diabła, robisz?! — zawołałem zniecierpliwiony.

— Chcę zobaczyć część ogonową — powiedział, dysząc ciężko.

— Na miłość boską! Zrzucisz mi na głowę cały ten cholerny złom.

Zignorował moje ostrzeżenie i przesunął się na czworakach do tyłu. Na tyle, na ile zdążyłem się zorientować, w dotychczasowej pozycji przytrzymało helikopter jedynie koło, które zaklinowało się w rozwidleniu utworzonym przez gałąź i pień drzewa. Zauważyłem, że minimalnie, lecz systematycznie, wysuwa się z tego rozwidlenia.

Kiedy spojrzałem ponownie w górę, Harry zniknął gdzieś za zasłoną liści.

— Spada! — wrzasnąłem. — Wracaj!

Odpowiedziała mi cisza. Helikopter przechylił się przy wtórze łamanych gałęzi i kilka liści poszybowało w dół. Spojrzałem na koło — znów przesunęło się do przodu. Jeszcze pięć centymetrów, a cały helikopter wysunie się z podpory.

Zobaczyłem Harry'ego ześlizgującego się w stronę kabiny głową do przodu. Zszedł sprawnie i wreszcie zeskoczył na gałąź. Ugięła się, gdy uderzył w nią butami, a ja pospiesznie złapałem go wpół. Jeszcze kilka manewrów i po chwili już siedział na niej okrakiem, twarzą do mnie. W cyrku tworzylibyśmy zgrany duet.

Wskazałem na koło, które miało do przebycia jeszcze tylko trzy centymetry. Twarz mu się naprężyła.

— Wynośmy się stąd.

Odczepiliśmy maczety i butelki z wodą, założyliśmy szelki na ramiona, a następnie wyciągnęliśmy resztę kabla z helikoptera.

— Jaką on ma długość?

— Trzydzieści metrów.

— Powinien wystarczyć.

Opuściłem się pierwszy, posuwając się centymetr po centymetrze. Nie sprawiło mi to nawet większych trudności, gdyż w dole było wiele gałęzi, które okazały się bardzo pomocne. Kilkakrotnie musiałem się zatrzymywać, by odplątać zaczepiony kabel. Na jednym z takich postojów zaczekałem na Harry'ego, który zszedł i zasapany wyczywał na gałęzi.

— Wyobraź sobie mnie w roli Tarzana! — wystękał, a spazm bólu wykrzywił mu rysy.

— Co się stało?

— Chyba jednak złamałem parę żeber. Nic mi nie będzie. — Potarł klatkę piersiową.

Wyciągnąłem częściowo opróżnioną butelkę wody.

— Pociągnij sobie porządnie. Pijemy po połowie.

— Wydawało mi się — wziął ją niepewnie — że coś mówiłeś o oszczędzaniu wody.

— Tam jest jeszcze trochę. — Wskazałem kciukiem na pokrytą kożuchem kałużę we wgłębieniu butwiejącego drzewa. — Nie wiem, czy jest dobra, więc nie chcę jej mieszać z tą w butelce. Poza tym lepsza woda w żołądku niż w butelce. To moja najnowsza teoria.

Skinął potakująco głową i łączywie zaczął pić. Jego grdyka rytmicznie poruszała się w górę i w dół. Gdy oddał mi butelkę, zanurzyłem ją w ciemnej kałuży. Kijanki błyskawicznie rozpierzchły się pod powierzchnią. Żaby drzewne rozmnażały się tutaj, w galeriach wysokiego lasu, żyły tu i zdychały, nigdy nie widząc ziemi. Zatkąłem butelkę korkiem i powiedziałem:

— Musiałbym być naprawdę spragniony, żeby to wypić. Jesteś gotowy?

Skinął głową, więc ponownie chwyciłem kabel i rozpocząłem dalszą wędrówkę w dół. W pewnym momencie przestraszyłem się cholernie, gdy spłoszona przeze mnie szerokonosa małpa z gatunku Cebidae pisnęła gwałtownie i wykonała sześciometrowy skok na pobliskie drzewo. Potem odwróciła się i zaczęła gniewnie wymyślać pod moim adresem. Trzeba przyznać, że czuła się w tym lesie o wiele bardziej swojsko niż ja, ale ona wszak była stworzona do tego typu życia.

W końcu osiągnęliśmy cel i stanęliśmy na twardym gruncie, pośród wilgotnej zieleni. Popatrzyłem na zwisający z drzewa kabel.

Być może jakiś Maja lub chiclero, przechodząc tędy, zdziwi się na jego widok, a potem zrobi z niego jakiś użytek. A może nigdy już nie ujrzą go ludzkie oczy.

— To był idiotyczny popis, tam na górze. Co, do diabła, robiłeś? — powiedziałem, przerywając te rozmyślenia. Harry spojrział do góry.

— Wynośmy się lepiej spod tego helikoptera. Tu nie jest zbyt bezpiecznie.

— Gdzie mamy iść?

— Wszystko jedno — odparł sucho. — Po prostu wynieśmy się spod niego i tyle. — Wyciągnął maczetę i ze złością machnął nią w poszycie, wybijając przez nie przejście.

Las nie był zbyt gęsty. Fallon nazwałby go pewnie sześciometrowym, więc nie musieliśmy napracować się zbyt wiele.

Po przejściu kilkudziesięciu metrów Harry zatrzymał się i odwrócił do mnie.

— Helikopter został celowo uszkodzony — powiedział bezbarwnie.

— Co?

— Tak, tak. Dobrze słyście. To był sabotaż. Chciałbym dostać w swoje ręce drania, który to zrobił. Wbiłem maczetę pionowo w ziemię.

— Skąd możesz mieć pewność?

— Osobiście robiłem codzienny przegląd i znałem każdy centymetr tej maszyny. Wiesz, na jakiej zasadzie funkcjonuje helikopter?

— Tylko ogólnie.

Przykucnął i narysował gałązką schemat na ziemi.

— Tu, na górze, jest duży rotor, który powoduje wznoszenie. Prawo Newtona mówi, że każdej akcji odpowiada reakcja skierowana w przeciwnym kierunku, więc gdyby temu nie przeciwdziałać, cały kadłub obracałby się w kierunku przeciwnym do rotora. Zadanie to spełnia małe śmigło z tyłu, które popycha w bok. Zrozumiałeś?

— Tak.

— Nasz helikopter miał jeden silnik napędzający oba rotory. Tylny był napędzany przez długi wał, który biegł wzdłuż całego ogona, a w tym miejscu jest uniwersalny przegub. Pamiętasz ten trzask, który usłyszeliśmy tuż przed katastrofą? Myślałem wtedy, że odleciał tylny rotor, ale to nie było to. Puścił właśnie ten przegub, w wyniku czego wał rozwalił poszycie ogona. Oczywiście, w takiej sytuacji rotor z tyłu zatrzymał się, a my zaczęliśmy kręcić się w kółko.

Poklepałem się po kieszeniach i znalazłem na wpół opróżnioną paczkę papierosów. Harry wziął jednego i mówił dalej:

— Przyjrzałem się temu przegubowi, śruby mocujące zostały wyjęte.

— Jesteś tego pewien? Nie mogły się złamać?

— Jasne, że jestem zupełnie pewien — spojrzał na mnie zdeglustowany.

— Kiedy ostatni raz oglądałeś ten przegub?

— Dwa dni temu. Ale jeszcze wczoraj latałem, czyli sabotażu dokonano później. Mój Boże, mieliśmy dużo szczęścia, lecąc te dziesięć minut bez śrub.

Gdzieś za nami rozległ się hałas, przytłumiony odgłos wybuchu ponad ziemią, i przez liście dostrześliśmy jaskrawoczerwony błysk.

— Właśnie spadł — powiedział Harry. — A my mamy cholerne szczęście, że nie spadliśmy razem z nim.

Rozdział 35

— Piętnaście kilometrów — oznajmił Harry. — To długa droga w tym lesie. Ile mamy wody?

— Litr dobrej i litr śmierdziuchy.

— To niewiele dla dwóch ludzi w takim upale, tym bardziej że nie możemy iść nocą. — Rozpostarł mapę na ziemi i wyciągnął z kieszeni mały kompas. — Zajmie nam to dwa dni, ale nie damy rady, mając tylko dwa litry wody. — Naznaczył palcem linię na mapie. — Tu jest jakaś mała cenote, o tutaj, ze cztery kilometry od naszej trasy. Będziemy musieli nadłożyć trochę drogi.

— Jak to daleko stąd? Przyłożył palce do mapy, oceniając odległość.

— Około siedmiu kilometrów.

— No tak — westchnąłem. — Szykuje nam się wędrówka na cały dzień. Która teraz jest godzina?

— Jedenasta trzydzieści. Lepiej ruszajmy, chciałbym tam dotrzeć przed zmierzchem.

Na resztę dnia złożyły się insekty, pot i obolałe plecy. Ból w klatce piersiowej Harry'ego nasilał się, aż w końcu przy każdym uniesieniu ramienia pilot krzywił się z bólu. W tej sytuacji sam musiałem przez nieomal cały czas torować drogę maczetą. Harry niósł za to obie butelki z wodą i zapasową maczetę, co zapewniało mi swobodę ruchów.

Początkowo nie było tak źle. Z rzadka tylko musieliśmy szamotać się z poszyciem, więc droga przypominała raczej przechadzkę przez porębę. Harry na podstawie wskazań kompasu podawał mi kierunek i rażno posuwaliśmy się do przodu. W ciągu pierwszej godziny zrobiliśmy prawie trzy kilometry i nastrój zdecydowanie się poprawił. W takim tempie doszlibyśmy do cenote około drugiej po południu.

Ale raptem las się zrobił bardzo gęsty i musieliśmy przebijać się przez ciasną płataninę krzewów. Nie wiem, czemu to przypisać, być może przyczyną był inny rodzaj gleby, bardziej sprzyjający rozrostowi. Zwolnienie tempa odczuliśmy dotkliwie. Ból sprawiała nam nie tylko świadomość, że nie dotrzemy do wody tak szybko, jak się tego spodziewaliśmy, ale też dolegliwości czysto fizyczne. Wkrótce krwawiłem z co najmniej tuzina ran i zadrapań na ramionach. Mimo usilnych starań nie byłem w stanie tego uniknąć, otaczający las stawał się coraz bardziej drapieżny, pulsował swoim własnym wrogim życiem.

Często zatrzymywaliśmy się, by odpocząć. Harry zaczął się usprawiedliwiać, że nie może mnie zastąpić przy maczecie, ale zaraz zamknąłem mu usta.

— Pilnuj, byśmy szli we właściwym kierunku. Jak stoimy z wodą? Potrząsnął butelką.

— Został jeszcze łyk dobrej. — Wyciągnął ją w moją stronę. — Równie dobrze możesz ją wypić ty.

Odkorkowałem butelkę i zawahałem się.

— A ty?

— Potrzebujesz jej bardziej. To ty odwalasz całą robotę — odpowiedział z uśmiechem.

Brzmiało to rozsądnie, ale nie podobało mi się. Harry wyglądał na bardzo wyczerpanego, a jego twarz była szaroblada pod warstwą brudu.

— Jak ci się idzie?

— W porządku — powiedział zniecierpliwiony. — Pij wodę. Wypróżniłem butelkę i zmęczonym głosem zapytałem:

— Ile jeszcze zostało?

— Około trzech kilometrów — spojrzał na zegarek. — Przejście półtora kilometra zajęło nam trzy godziny.

Popatrzyłem na gęstą, zieloną plataninę. Według skali Fallona był to dwumetrowy las, który się stale pogarszał. Gdybyśmy poruszali się w dotychczasowym tempie, to dojście do cenote zajęłoby nam sześć godzin, a może nawet więcej.

— Ruszajmy — zdecydowałem. — Daj mi drugą maczetę, ta jest już cholernie tępa.

W godzinę później Harry zawołał:

— Stój! — Znieruchomiałem. Ton jego głosu zjeżył mi włosy na głowie. — Spokojnie — powiedział. — Cofnij się teraz, bardzo spokojnie i wolno.

— Co się stało? — zapytałem robiąc krok do tyłu, a potem jeszcze jeden.

— Jeszcze trochę. Jeszcze kilka kroków — powiedział cicho.

— Co się dzieje, do diabła? — Zniecierpliwiony ponowiłem pytanie, ale posłusznie wykonałem polecenie Harry'ego. Usłyszałem, jak odetchnął z wyraźną ulgą.

— Teraz już nic, spójrz jednak tam, pod to drzewo.

Wreszcie zrozumiałem. W miejscu, gdzie przed chwilą stałem, leżało zwinięte w kłębek obrzydlistwo z płaską głową i nieruchomymi oczyma. Jeszcze jeden krok i nadepnąłbym na niego.

— To pan buszu — wyjaśnił Harry. — Boże, uchwyci, żeby któregoś z nas taki ukąsił.

Waż cofnął głowę, po czym wślizgnął się w poszycie i zniknął.

— Co za przekłete miejsce — powiedziałem, ocierając pot z czoła. Było nieco bardziej wilgotne, niż usprawiedliwiałby to wysiłek.

— Zróbmy odpoczynek — zaproponował Harry. — Napij się trochę wody.

— Wolę zapalić — odparłem, grzebiąc w kieszeni.

— Wysuszy ci to gardło — ostrzegł Harry.

— Ale uspokoi nerwy — rzuciłem. Zajrzałem do paczki, w której znalazłem jeszcze trzy papierosy.

— Chcesz jednego?

Pokręcił głową. Uniósł płaskie pudełko.

— To zestaw przeciwko ukąszeniu żmij. Obyśmy nie musieli z niego korzystać. Facet, który zostanie ukąszony, przez kilka dni nie będzie w stanie dalej iść, nawet jeśli dostanie surowicę.

Rider miał rację. Każda zwłoka mogła nas wykończyć. Z kieszeni wyjął buteleczkę.

— Daj no, posmaruję ci trochę te zadrapania. — Wytarł krew i zdezynfekował ranki, podczas gdy ja dopalałem papierosa.

Po krótkiej przerwie podniosłem znowu maczetę i już nieco bardziej znużonym ruchem ponowiłem atak na las. Na dłoni zrobiły mi się pęcherze, które popękały, gdyż skórę zmiekczała pot, a obcierała rączka maczety. Swego czasu trochę fechtowałem, ale była zasadnicza różnica pomiędzy tym, co musiałem robić teraz, a pracą klingą, do której przywykłem. Maczeta była dużo cięższa niż sportowa szabla, używana przeze mnie w *salle d'armes*. I chociaż technika była prymitywna, wymagała więcej siły, szczególnie wtedy, gdy ostrze się tępiło. Poza tym nie fechtowałem nigdy przez kilka godzin bez przerwy — atak szablą jest krótki, ostry i zdecydowany.

Maszerowaliśmy do zapadnięcia zmroku. Wówczas znaleźliśmy miejsce na nocny odpoczynek, co wcale nie znaczy, że świetnie odpoczęliśmy. Nie uśmiechało mi się spanie na ziemi, było tam zbyt wiele czołgających się i pelzających stworzonek,

znaleźliśmy więc rozłożyste, niezbyt wysokie drzewo, na które się wspięliśmy. Harry wyglądał na śmiertelnie zmęczonego. Złożył ręce na piersiach, a ja w nikłym świetle zapadającego zmroku ponownie zobaczyłem w kąciku jego ust ciemną strużkę krwi.

— Znowu krwawisz — powiedziałem zafrasowany.

— Nic wielkiego. — Otarł ręką usta. — Po prostu mam rany po złamanych zębach — zamilkł.

Nocą las wypełniały najróżniejsze odgłosy. Wokół słyszeliśmy dziwne szelesty, a spod drzew dochodziło osobliwe parskanie i sapanie. Później wyjce zaczęły swoją serenadę. Obudziłem się z drzemki tak przestraszony, że niemal spadłem z drzewa. Był to przerażający dźwięk, który napinał nerwy do ostatnich granic, niczym krzyk ofiar wyjątkowo brutalnego mordu. Na szczęście, pomimo czynionego hałasu wyjce są raczej nieszkodliwe, więc nie powstrzymały mnie przed ponownym zaśnięciem.

Gdy już zasypiałem, miałem mgliste wrażenie, że gdzieś w oddali słyszę głosy: złudne i nielogiczne.

Rozdział 36

Następny dzień był kopią poprzedniego. Na śniadanie wypiliśmy resztkę śmierdzącej mętnej wody, z pełnym uznaniem dla jej wartości. Odczuwałem też głód, ale na to nie mogliśmy już nic poradzić. Człowiek może się przez dłuższy czas obyć bez jedzenia, ale woda jest niezbędna, szczególnie w tropikalnym upale.

— Ile mamy jeszcze do cenote? — zapytałem. Harry po omacku odnalazł mapę. Wszystkie jego ruchy były zwolnione i najwyraźniej sprawiały mu ból.

— Sądzę, że jesteśmy gdzieś tutaj — powiedział chrapliwie. — Jeszcze półtora kilometra.

— Głowa do góry. Powinniśmy to zrobić za następne trzy godziny.

— Będę się ciebie trzymał. — Próbował się uśmiechnąć, ale wyszedł mu z tego kiepski grymas.

Ruszyliśmy więc, ale już znacznie wolniej. Moje cięcia maczetą nie miały dawnej siły, dlatego musiałem teraz ciąć dwa razy tam, gdzie poprzednio wystarczało raz. Przestałem się też pocić, co jak wiedziałem, było złym znakiem.

W cztery godziny później wciąż jeszcze nie natrafiliśmy na cenote, za to zarośla były równie gęste, jak do tej pory. Jednak pomimo że szedłem pierwszy i na mnie spadała cała robota, ciągle jeszcze poruszałem się szybciej niż Harry, który często zatrzymywał się, by odpocząć. Sprawiał wrażenie, jakby zupełnie opadł z sił, i nie wiedziałem, co się z nim dzieje. Zatrzymałem się, czekając na niego. Pojawił się po chwili i niemal padając ze zmęczenia, osunął się bezwładnie na ziemię u moich stóp.

— Co jest, Harry? — Uklęknąłem obok niego.

— Wszystko w porządku — powiedział, usiłując nadać swojemu głosowi przekonujący ton. — Nie martw się o mnie.

— Martwię się o nas obu. Powinniśmy już teraz być przy cenote. Jesteś pewien, że idziemy w dobrym kierunku? Wyciągnął kompas z kieszeni.

— Tak, w dobrym — potarł twarz. — Może tylko powinniśmy skrócić nieco na północ.

— Jak daleko to jest, Harry?

— Chryste, nie wiem. Cenote jest niewielka. Z łatwością mogliśmy ją przegapić.

Zaświtało mi w głowie, że mogliśmy zablądzić. Polegałem dotąd na Harrym w określaniu naszej pozycji, ale chyba nie był w odpowiednim stanie do podejmowania decyzji. Rzeczywiście miał rację, mówiąc, że mogliśmy nawet już minąć cenote. Musiałem się liczyć z tym, że w przyszłości podejmowanie wszelkich decyzji będzie należało do mnie. Pierwszą właśnie podjąłem.

— Pójdziemy jakieś dwieście metrów na północ, a następnie równoległe do kierunku, w jakim szliśmy dotychczas.

Przesunąłem palcem po ostrzu maczety — było tępe jak krawędź pogrzebacza i równie niezdatne do cięcia czegokolwiek. Wymieniłem ją na drugą, niewiele lepszą, i powiedziałem:

— Chodź, Harry, musimy znaleźć wodę.

Tym razem to ja niosłem kompas i ostro zmieniłem kierunek. Po stu metrach wyrąbywania drogi, ku memu wielkiemu zaskoczeniu, doszliśmy do otwartej przestrzeni, pewnego rodzaju przejścia przez gąszcz, czyli krótko mówiąc, do ścieżki. Przyjrzałem się jej ze zdumieniem i zauważyłem, że została wycięta zupełnie niedawno, gdyż ślady po nacięciach były świeże.

Właśnie chciałem wejść na tę ścieżkę, kiedy usłyszałem głosy i ostrożnie wycofałem się. Dwóch mężczyzn przeszło o metr ode mnie. Ubrani w brudne, białe stroje, miękkie kapelusze i uzbrojeni w strzelby. Rozmawiali po hiszpańsku.

Nasłuchiwałem cichnącego pomruku ich głosów, aż ponownie zapadła cisza.

Harry dotarł właśnie do mnie, więc przezornie położyłem palec na ustach.

— Chicleros — wyjaśniłem. — Cenote musi być bardzo blisko.

— Może nam pomogą — powiedział, oparłszy się o drzewo.

— Nie dałbym za to głowy. Nigdy nie słyszałem nic dobrego o chicleros. — Przez chwilę zastanawiałem się. — Słuchaj, Harry, ułóż się tu wygodnie, a ja pójdę za nimi. Wołałbym najpierw dowiedzieć się o nich czegoś więcej, zanim się im pokażemy.

— Nie mam nic przeciwko temu — wyszeptał zmęczonym głosem. Osunął się po pniu i usiadł pod drzewem. — Chętnie bym odpoczął.

Zostawiłem go więc i wszedłem na ścieżkę. Na Boga, cóż to była za ulga, móc poruszać się swobodnie. Szedłem szybko, dopóki nie zobaczyłem przed sobą znikającego za zakrętem skrawka białej koszuli ostatniego z idących chicleros. Wówczas zwolniłem, utrzymując rozsądną odległość. Po przejściu około czterystu metrów poczułem dym ogniska i usłyszałem więcej głosów, zboczyłem więc ze ścieżki. Las okazał się tu na tyle rzadki, że mogłem się w nim swobodnie poruszać, nie używając maczety.

Nagle, poprzez drzewa, zobaczyłem słońce, odbijające się od tafli wody i żaden Arab, natknąwszy się niespodziewanie na oazę w sercu pustyni, nie mógłby uradować się bardziej ode mnie. Ciągłe jednak zachowywałem ostrożność. Dzięki temu nie wpadłem na polanę przy cenote, tylko podkradłem się chyłkiem i ukryłem za pnem drzewa, by rozeznac się w sytuacji.

I dzięki Bogu, że tak zrobiłem. Wokół niebiesko-żółtego namiotu, pasującego bardziej do angielskiej łąki niż do obecnego otoczenia, rozłożyło się chyba dwudziestu mężczyzn. Przed namiotem, na turystycznym krzeselku, siedział Jack Gatt i właśnie przygotowywał sobie drinka. Starannie odmierzył ilość whisky, a następnie uzupełnił ją wodą z syfonu. Gardło ścisnęło mi się boleśnie, gdy na to patrzyłem.

Wokół Gatta zgromadziło się ośmiu mężczyzn, którzy słuchali uważnie tego, co mówił, i jednocześnie wskazywali coś na mapie rozłożonej na stoliku przed nim. Czterech z nich, sądząc po akcencie i ubiorze, było z pewnością Amerykanami, pozostali zapewne Meksykanami, chociaż równie dobrze mogli pochodzić z jakiegokolwiek kraju Ameryki Środkowej. Po drugiej stronie polany, nad brzegiem cenote, wylegiwało się chyba z dwunastu chicleros. Nie brali udziału w konferencji Gatta.

Wycofałem się i okrążyłem cenote, po czym zbliżyłem się ponownie, by się jej przyjrzeć z innej strony. Musiałem się jakoś dostać do wody bez zwracania na siebie uwagi, ale zorientowałem się, że każda osoba podchodząca do cenote została by natychmiast dostrzeżona. Na szczęście ta studnia różniła się od tych, które do tej pory poznałem, gdyż bardziej przypominała zwyczajny staw niż zbiornik i dlatego dojście do niej było o wiele łatwiejsze.

Przez dłuższy czas obserwowałem Jacka Gatta i tę grupę ludzi. Nie robili nic specjalnego, po prostu siedzieli, leżeli, czasem rozmawiali ze sobą. Przyszło mi do głowy, że na coś czekają. Gatt, siedzący ze swoimi ludźmi pod markizą, przed frontem eleganckiego namiotu, zupełnie nie pasował do tego towarzystwa, chociaż jeżeli wierzyć Harrisowi, był gorszy od wszystkich zgromadzonych wokół chicleros.

Nie mogłem nic zrobić. Wycofałem się więc i okrążywszy cenote, wróciłem na ścieżkę. Harry spał, jęcząc co chwilę, a kiedy go zbudziłem, wydał z siebie zduszony okrzyk.

— Cicho, Harry. Jesteśmy w tarapatach.

— O co chodzi? — Powiódł wokół dzikim wzrokiem.

— Znalazłem cenote. Jest tam banda chicleros i Jack Gatt.

— Kim, u diabła, jest Jack Gatt?

Fallon oczywiście nic mu nie powiedział. W końcu Rider był tylko pilotem helikoptera, chłopakiem zatrudnionym u Fallona, i nie było powodu, dla którego musiałby wiedzieć o wszystkim.

— Jack Gatt to dla nas duży kłopot — wyjaśniłem w skrócie.

— Pić mi się chce. Nie możemy tam pójść i nabrać wody?

— Nie, chyba że chcesz, żeby ci poderżnięto gardło — powiedziałem ponuro. — Widzisz, Harry, według mnie Gatt jest pośrednio odpowiedzialny za uszkodzenie helikoptera. Wytrzymasz do zmroku?

— Myślę, że tak. Wszystko jest w porządku, dopóki nie muszę przebierać nogami.

— Nie musisz tego robić. Połóż się i odpocznij. — Zaczynałem się coraz bardziej martwić o Harry'ego. Coś z nim było nie tak, ale nie wiedziałem co. Położyłem mu rękę na czole i poczułem, że jest rozpalone i suche.

— Spokojnie. Czas szybko przeleci.

Powoli nastawał wieczór. Harry znów zasnął lub przynajmniej zapadł w coś, co przypominało sen. Był rozgorączkowany i majaczył. Nie wróżyło to niczego dobrego. Siedziałem obok niego i próbowałem naostrzyć maczety znalezionym kamieniem. Nie był to najlepszy sposób i dużo bym dał za prawdziwą osełkę. Tuż przed zmrokiem obudziłem Harry'ego.

— Idę teraz do cenote. Daj mi butelkę na wodę. — Odchylił się od drzewa i odwiązał połączone rzemieniem butelki.

— Co masz jeszcze na wodę? — zapytałem.

— Nic.

— Masz przecież. Daj mi tę butelkę ze środkiem dezynfekcyjnym. Wiem, że zmieści się do niej tylko kilka łyków, ale woda jest teraz najważniejsza.

Przewiesiłem sobie butelki przez ramię i przygotowałem się do drogi.

— Nie śpij, jeśli możesz, Harry. Nie wiem, jak długo mnie nie będzie, ale postaram się wrócić jak najszybciej.

Chciałem dotrzeć do cenote przed zmierzchem. Można poruszać się szybciej, gdy się widzi, dokąd się idzie, a poza tym planowałem za dnia wybrać jak najodpowiedniejsze miejsce do przeprowadzenia tej operacji. Gdy wyszedłem na ścieżkę, wyjąłem z kieszeni skrawek papieru i nabiłem go na gałązkę, by później bez problemów odnaleźć Harry'ego.

Chicleros rozpalili ognisko i gotowali kolację. Manewrowałem tak, aby znaleźć się w miejscu położonym jak najbliżej wody, a jednocześnie jak najbardziej oddalonym od obozu. Ognisko dopiero co rozpalono i buchające płomienie oświetlały całą cenote. Rozłożyłem się i czekałem.

W końcu z ogniska pozostał jedynie czerwony żar, a ludzie zgromadzili się wokół niego. Niektórzy piekli nadziane na patyki mięso, inni robili coś w rodzaju naleśników. Drażniący aromat kawy rozsunął się ponad cenote i mój żołądek skurczył się konwulsyjnie. Nie jadłem od blisko dwóch dni i moje wnętrzości zaczynały się buntować.

Trzy godziny upłynęły, zanim chicleros zdecydowali ułożyć się do snu, chociaż według miejskich kryteriów było jeszcze dość wcześnie. Gatt jako typowy mieszczuch nie kładł się spać do późna. Na szczęście siedział w namiocie, i to niewątpliwie pod moskitierą. Przez płótno namiotu mogłem dostrzec blask lampy. Nadszedł czas działania.

Podpełzłem na brzuchu jak wąż do samego brzegu cenote. Już uprzednio wyjąłem korki z butelek i trzymałem je w zębach. Kiedy zanurzyłem pierwszą butelkę w wodzie, zabulgotało głośno. W tym samym momencie pierwszy wyjęć wydał z siebie swój mrozący krew w żyłach okrzyk, a ja dziękowałem Bogu za wszystkie jego

stworzenia, nawet te najbardziej niesamowite. Wyciągnąłem butelkę, przyłożyłem ją do ust i poczułem błogosławiony smak wody w wyschniętym gardle. Wypiłem tylko kwartę, choć kusilo mnie, by wypić więcej. Napełniłem dwie butelki i zakorkowałem je, następnie wypłukałem i napełniłem tę po środku dezynfekcyjnym.

Śmiem twierdzić, że każdy z obozu chicleros, kto tylko dobrze by się przyjrzał, dostrzegłby mnie natychmiast. Niebo było czyste, księżyc w pełni, więc człowieka, szczególnie w ruchu, można było z łatwością zauważyć. Jednak udało mi się tu dotrzeć pod osłoną lasu bez wszczynania alarmu, zapewne więc chicleros nie wystawili wart.

Bez większych kłopotów odnalazłem drogę powrotną do Harry'ego i dałem mu butelkę wody, którą skwapliwie opróżnił. Miałem problem, bo musieliśmy się przedostać pod osłoną nocy na drugą stronę cenote, a oznaczało to konieczność pobudzenia Harry'ego do natychmiastowego działania. Nie miałem jednak pewności, czy będzie do tego zdolny. Zaczekałem, aż zaspokoił pragnienie, i powiedziałem:

— Musimy zaraz ruszać dalej. Dasz radę? — Myślę, że tak. Skąd ten pośpiech? — Ta cenote leży pomiędzy nami a Uaxuanoc. Musimy ją obejść nie zauważeni. Po drugiej stronie odkryłem ścieżkę wiodącą we właściwym kierunku. Jutro będziemy mogli pokonać znacznie większy kawałek drogi.

— Jestem gotów — oznajmił i podniósł się wolno. Musiał jednak przytrzymać się drzewa. Trochę mnie to przeraziło, ale kiedy ruszyliśmy, szedł dość szybko i trzymał się blisko mnie. Przypuszczalnie woda dodała mu sił.

Miałem do wyboru: albo zatoczyć szerokie koło wokół cenote i pójść przez gęsty las, albo idąc prosto ścieżką, przekraść się obok obozu chicleros. Wybrałem to drugie, gdyż wymagało to mniejszego wysiłku ze strony Harry'ego. Miałem nadzieję, że nie narobi hałasu. Udało się nam nadspodziewanie łatwo. Gasnące węgielki obozowego ogniska stanowiły niezły punkt orientacyjny, dlatego bez trudu odnalazłem ścieżkę po drugiej stronie cenote. Gdy się upewniłem, że nikt nas nie dojrzy z obozu, sprawdziłem mapę i kompas. Wydawało mi się, że ścieżka wiedzie mniej więcej w kierunku Uaxuanoc, co bardzo nam odpowiadało.

Po jakimś kilometrze potykania się w ciemnościach Harry zaczął zostawać z tyłu, zarządziłem więc odpoczynek. Zboczyliśmy ze ścieżki w głąb lasu. Położyłem Harry'ego na ziemi, gdyż nie był w stanie wspiąć się na drzewo, i zaproponowałem:

— Napij się jeszcze wody.

— A co z tobą?

— Napełnię — odrzekłem, wpychając mu butelkę do rąk. — Wracam, by uzupełnić zapas. — I tak musiałbym to zrobić. Bez zapasu wody nigdy nie dotarlibyśmy do Uaxuanoc.

Ponownie zostawiłem go i zaznaczyłem miejsce, wbijając maczetę na środku ścieżki. Każdy, nie wyłączając mnie, idąc ścieżką, musiał się o nią potknąć. Nie sądziłem jednak, by ktoś oprócz mnie włóczył się tędy po nocy. Dotarcie do cenote zajęło mi półtorej godziny, napełnienie zaś butelek piętnaście minut. Na powrót straciłem kolejną godzinę. Otarłem sobie golenie na tej cholernej maczecie. Wprawdzie kłamałem na nią, ale przynajmniej byłem pewien, że nikt nie odkrył Harry'ego. Spał, więc nie budziłem go, tylko położyłem się obok i zapadłem w niespokojną drzemkę.

Harry obudził mnie o świcie. Był rześki w przeciwieństwie do mnie. Czuję się jak po narkotyku. Zesztywniały mi kończyny i wszystko mnie bolało. Nigdy nie miałem zbyt dużego przekonania do campingów i to spanie na ziemi kłóciło się z moją naturą. Na domiar złego nie spałem zbyt długo, bo przecież tłukłem się przez większą część nocy po lesie.

— Musimy podjąć decyzję — powiedziałem. — Możemy wprawdzie nadal przedzierać się przez las, co jest bezpieczniejsze, lecz zajmie nam więcej czasu, albo

możemy pójść ścieżką, narażając się na spotkanie któregoś z chicleros Gatta. Co ty na to, Harry?

Tego ranka Rider miał znacznie jaśniejszy umysł. Nie był tak bezwolny i skłonny do biernej akceptacji jak poprzednio.

— Kim jest ten Gatt? — zapytał. — Nigdy wcześniej o nim nie słyszałem.

— To zbyt skomplikowane, by teraz dochodzić szczegółów. Niech ci wystarczy, że jego obecność tutaj stanowi dla nas śmiertelne zagrożenie. Z tego, co widziałem, sprzymierzył się z chicleros.

— Dlaczego facet, o którym nigdy nie słyszałem, miałby mnie zabijać? — Potrząsnął niedowierzająco głową.

— To gruba ryba w amerykańskim świecie przestępczym. Chce zdobyć skarby Uaxuanoc. To długa historia, ale tak właśnie wygląda w skrócie. Chodzi o ogromną forszę, dlatego nie wydaje mi się, żeby Gatt cofnął się przed czymkolwiek, by ją zdobyć. Jeśli to będzie konieczne, bez żadnych skrupułów każe nas zabić. Właściwie to już próbował i prawie mu się udało. Nie przychodzi mi na myśl nikt inny, komu mogłoby zależeć na uszkodzeniu helikoptera.

— Wierzę ci na słowo — Harry skrzywił się. — Ale cholernie nie podoba mi się ten pomysł z przedzieraniem się przez las.

Mnie również to się nie podobało. Według mapy byliśmy niecałe osiem kilometrów od Uaxuanoc. Wiedzieliśmy dobrze, że las w pobliżu Uaxuanoc był wyjątkowo gęsty i w naszym obecnym stanie torowanie sobie w nim drogi mogło zająć dwa dni. A na to nie mogliśmy sobie pozwolić, szczególnie przy naszych ograniczonych zapasach wody. Co prawda teraz napiliśmy się do syta, lecz wkrótce wycilibyśmy to i zostałyby nam jedynie dwie kwarty rezerwy.

A poza tym — Harry. Cokolwiek mu było, jego stan nie ulegał poprawie. Szlak umożliwiał mu łatwą przeprawę, mogliśmy więc robić przynajmniej dwa kilometry na godzinę. W tym tempie mieliśmy szansę dotrzeć do Uaxuanoc w ciągu pięciu godzin. Była to bardzo kusząca perspektywa.

Argumentem przeciw był fakt istnienia ścieżki. Jedynym miejscem, gdzie Gatt mógł wygodnie obozować, było to przy cenote, które niedawno opuściliśmy, a które zapewniało mu wodę. A więc jeśli obserwował Uaxuanoc i szlak wycięli jego chicleros, to istniało duże prawdopodobieństwo, że wpadniemy na któregoś z nich. Nie wiedziałem, co mogłoby się wtedy stać, ale ci wszyscy, których widziałem, byli uzbrojeni, a z tego, co mówił Fallon, jasno wynikało, że potrafili zrobić z tej broni użytek.

Cholernie trudno było podjąć decyzję, ale w końcu zdecydowałem się na ścieżkę. Przejście przez las było prawie nierealne, a tu na ścieżce przecież wcale nie musieliśmy natknąć się na chicleros.

— Wszystko, tylko nie las — Harry westchnął zadowolony i skinął głową na znak zgody.

Ostrożnie wkroczyliśmy na ścieżkę. Bez przeszkód posuwaliśmy się naprzód, stopniowo oddalając się od obozowiska Gatta. Szedłem, patrząc pod nogi, znalazłem więc wiele dowodów, które świadczyły o tym, że ścieżka jest ciągle uczęszczana. W miejscach, gdzie ziemia była miękka, widniały ślady stóp. Znalazłem też dwa niedopałki papierosów, a raz nawet, niedbale odrzuconą na bok, puszkę po konserwie z wołowiny.

Tak minęła pierwsza godzina drogi.

Obecność tych śladów bardzo mnie martwiła, ale jeszcze większym problemem był Harry, który szedł z każdym krokiem wolniej. Rozpoczął marsz nawet dość żwawo, lecz nie zdołał utrzymać tego tempa, coraz bardziej pozostając w tyle. Musiałem więc również iść wolniej, by nie oddalić się zbyt daleko. Widziałem wyraźnie, że siły Harry'ego

są na wyczerpaniu. Bardzo zbladł, co było widoczne nawet pod ciemną szczeciną zarostu, i niepokojąco zapadły mu się oczy. Jego ruchy stawały się coraz wolniejsze. Zataczał się, jedną ręką obejmując klatkę piersiową, jak gdyby chciał ją uchronić przed rozpadnięciem się na kawałki.

Ścieżka była na tyle szeroka, że pozwalała na przejście tylko jednej osobie. Gdyby było inaczej, pomógłbym Harry'emu, jednak marsz obok siebie był niemożliwością. Musiał więc sam sobie radzić. Szedł zupełnie na oślep i co chwilę się potykał. W ciągu pierwszej godziny zrobiliśmy zaledwie kilometr i zaczynało mnie to martwić. Wydawało się, że przebycie drogi do Uaxuanoc zajmie nam dużo czasu, obojętne, czy pójdziemy ścieżką czy lasem.

Zostaliśmy złapani właśnie z powodu tego zółwiego tempa. Przez cały czas miałem się na baczności, gdyż spodziewałem się natknąć na jakiegoś chiclero idącego ścieżką z naprzeciwka. Za każdym razem, gdy ścieżka skręcała, zatrzymywałem się, by ją sprawdzić i upewnić się, że nie wpadniemy w tarapaty.

I to nie my wpakowaliśmy się w kłopoty — to one nas dogoniły. Przypuszczalnie chiclero wyszedł z obozu Gatta o świcie, mniej więcej w tym samym czasie, co i my. Nie był osłabiony z głodu ani schorowany, narzucił więc niezłe tempo i dogonił nas z łatwością. Nie mogłem winić Harry'ego za to, że nie obserwował ścieżki za sobą, miał i tak dość problemów z przebieraniem nogami. Jednym słowem zostaliśmy zaskoczeni.

Zabrzmiał okrzyk: — *He, compañero!* — a gdy odwróciliśmy się, usłyszeliśmy pełne zdumienia przekleństwo, któremu towarzyszył złowieszczy szczęk kurka strzelby. Nie był wysokim mężczyzną, ale fakt posiadania broni czynił zeń trzymetrowca. Wprowadził kulę do lufy i przyglądał się nam podejrzliwie. Nie sądzę, aby wiedział, kim jesteśmy, wystarczyło, że byliśmy obcymi w tym miejscu, gdzie żadnych obcych być nie powinno.

Zatrąkotał coś w nieznanym języku i uniósł strzelbę, celując w nas.

— *Aguarde aqui! Tenga cuidado!*

Wszystko rozegrało się w ułamku sekundy. Harry odwrócił się i wpadł na mnie.

— Uciekaj! — krzyknął ochryple. Pobiegłem dalej ścieżką. Rozległ się strzał. Kula odłupała drzazgę z drzewa przede mną i odbiła się rykoszetem. Równocześnie ktoś ostrzegawczo krzyknął.

Nagle zdałem sobie sprawę z tego, że słyszę tylko tupot swoich butów. Odwróciłem się i zobaczyłem Harry'ego rozciągniętego na ziemi oraz chiclero biegnącego w jego kierunku z podniesioną strzelbą. Harry próbował wstać, ale chiclero był już przy nim, unosząc broń, by roztrzaskać mu kolbą czaszkę.

Niewiele mogłem zrobić. W ręce miałem maczetę, więc nią rzuciłem. Gdyby uderzyła go rękojeścią lub klingą na płask, albo nawet tym cholernym tępym ostrzem, wystarczyłoby to, aby na chwilę stracił równowagę. Ale wbiła się szpicem, tuż pod klatką piersiową.

Zaskoczony zdążył tylko otworzyć szeroko usta i popatrzeć z przerażeniem w oczach na szerokie ostrze, które wystawało z jego ciała. Wydał z siebie zdławiony charkot, a uniesiona strzelba wysunęła się z rąk. Kolana ugięły się pod nim i upadł na Harry'ego z rozkrzyżowanymi ramionami, drapiąc jeszcze przez chwilę palcami butwiejące na ziemi liście.

Nie chciałem go zabijać, ale stało się. Kiedy podbiegłem, nie żył, a krew buchała z rany w takt ostatnich, zamierających uderzeń serca, plamiąc koszulę Harry'ego. Stopniowo pulsujący strumień zamienił się w sączącą strużkę. Przetoczyłem go na bok i pochyliłem się nad Harrym.

— Nic ci nie jest?

— Chryste! — wystękał. — Ale oberwałem! — Objął sobie pierś ramionami.

Rozejrzałem się wokół, zastanawiając się, czy ktoś usłyszał strzał, potem

powiedziałem:

— Zejdźmy ze ścieżki, szybko!

Chwyciłem maczetę upuszczoną przez Harry'ego i utorowałem nią drogę w bok, wchodząc około dziesięciu metrów w głąb lasu. Następnie pomogłem przejść Harry'emu. Kiedy doprowadziłem go na miejsce, zwałił się bezwładnie na ziemię. Otwierał i zamykał usta, musiałem więc pochylić się, by usłyszeć, jak szepcze:

— Klatka piersiowa, boli mnie jak diabli!

— Spokojnie. Napij się wody.

Ułożyłem go tak wygodnie, jak tylko potrafiłem, i wróciłem na ścieżkę. Chiclero z całą pewnością nie żył. Leżał w kałuży szybko krzepnącej krwi. Chwyciłem go pod pachy i odciągnąłem w zarośla. Znowu wróciłem na ścieżkę i próbowałem zatrzeć wszelkie ślady, zgarniając nogami ziemię, by zasypać krew. Zabrałem jeszcze strzelbę i pomaszero wałem do Harry'ego.

Zastałem go siedzącego pod drzewem, z ramionami ciągle jeszcze przyciśniętymi do klatki piersiowej. Podniósł na mnie zamglone oczy i powiedział:

— Myślę, że to już koniec.

— Co się stało? — Przykucnąłem obok niego.

— Ten upadek wykończył mnie. Miałaś rację, myślę, że żebra przebiły mi płuca.

— Krew ponownie wypłynęła mi z ust.

— Na miłość boską! Dlaczego nic nie powiedziałeś? Myślałem, że po prostu pociąłeś sobie usta.

— Co by to zmieniło? — Uśmiechnął się krzywo.

Miał rację. Nawet gdybyśmy o tym wiedzieli, i tak nie moglibyśmy zrobić nic innego. Ale Harry musiał porządnie cierpieć, maszerując przez las z przebitymi płucami.

Jego świszczący oddech był coraz bardziej nieregularny.

— Chyba nie dam rady dojść do Uaxuanoc — wyszeptał — ale ty się stąd wynoś.

— Czekaj — powiedziałem i zawróciłem do ciała zabitego. Miał ze sobą dużą, niemal dwulitrową manierkę wody oraz chlebak. Przeszukałem też jego kieszenie i znalazłem zapalki, papierosy, paskudnie wyglądający składany nóż, a także kilka innych drobiazgów. W chlebaku było parę sztuk niezbyt czystej bielizny, trzy puszki wołowiny i okrągły, płaski bochenek chleba, mniej więcej rozmiarów talerza, oraz płat suszonej wołowiny. Wszystko to przyniosłem do Harry'ego.

— Możemy wreszcie coś zjeść — powiedziałem. Wolno pokręcił głową.

— Nie jestem głodny. Wynoś się stąd, póki masz jeszcze czas.

— Nie bądź idiotą. Nie zostawię cię tutaj. Głowa opadła mu na bok.

— Jak sobie życzysz — powiedział i zakaszłał, konwulsyjnie krzywiąc się z bólu.

Dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że umiera. Jego twarz wyglądała tak, jakby na czaszkę naciągnięto kawałek cienkiej, przezroczystej niemal skóry. Kiedy kaszłał, krew wypływała mu z ust, plamiąc liście obok. Nie mogłem tak po prostu odejść i zostawić go, bez względu na to, jakie niebezpieczeństwo groziło mi ze strony chicleros. Pozostałem więc, próbując dodać mu otuchy.

Nie chciał jeść ani pić i przez pewien czas majaczył. Po jakiejś godzinie przyszedł jednak do siebie na tyle, by mówić z sensem.

— Czy był pan kiedyś w Tucson, panie Wheale? — zapytał.

— Nie, nie byłem — odparłem. — A na imię mi Jemmy.

— Czy będziesz może w Tucson?

— Tak, Harry, pojedę do Tucson.

— Odwiedź tam moją siostrę. Powiedz jej, czemu nie wracam.

— Zrobię to — powiedziałem cicho.

— Nigdy nie miałem żony ani dziewczyny, nikogo na poważnie. Chyba za często

byłem w drodze. Ale z siostrą byliśmy sobie naprawdę bliscy.

— Pojadę do niej. Opowiem jej o wszystkim. Skinął głową i zamknął oczy. Milczał. Po półgodzinie miał atak kaszlu i z ust wypłynął mu duży strumień czerwonej krwi. Po dziesięciu minutach zmarł.

Rozdział 37

Ścigali mnie jak charty lisa. Nigdy nie przepadałem za rozrywkami polegającymi na zabijaniu zwierząt, a te doświadczenia pogłębiły jeszcze moją niechęć i pozwoliły mi uzmysłowić sobie, jak to wygląda z pozycji ściganej zwierzyny. Moje szansę pomniejszał również fakt, że nie znałem terenu, podczas gdy psy były u siebie. Było to nerwowe i bardzo męczące zajęcie.

Zaczął się wkrótce po śmierci Harry'ego. Niewiele mogłem zrobić z jego ciałem, chociaż nie chciałem go zostawić leśnym padlinożercom. Zacząłem kopać grób, używając maczety Harry'ego. Ale tuż pod powierzchnią natknąłem się na litą skałę i musiałem zrezygnować. W końcu ułożyłem go z ramionami skrzyżowanymi na piersiach i pożegnałem się.

Był to oczywiście błąd, podobnie jak i próba wykopania grobu. Gdybym zostawił Harry'ego tak, jak umarł, leżącego jak ciśnięty toból u stóp drzewa, to może wyszedłbym z tego bez szwanku. Znalezione by ciało zabitego chiclero, a potem nieco dalej ciało Harry'ego. Gdybym go nie ruszał, ludzie Gatta mogliby nawet nie domyślić się mojego istnienia. Ale umarli nie usiłują wykopać sobie grobu ani nie układają się tak starannie w oczekiwaniu na swój koniec. Rezultat był wiadomy — urządzono polowanie.

Może się zresztą myłę, gdyż zabrałem zabitemu chiclero tyle rzeczy, ile tylko się dało. Były dla mnie zbyt cenne, by je zostawić. Wziąłem więc strzelbę, tobołek, opróżniłem kieszenie, zabrałem bandolier wypełniony nabojami i dobrą, nową maczetę, ostrą jak brzytwa i dużo lepszą niż te, których używałem. Zdarłbym też pewnie jego odzież, by się w nią przebrać, gdybym nie usłyszał zbliżających się głosów. Opanował mnie strach i wślizgnąłem się do lasu. Postanowiłem oddalić się od tych głosów tak daleko, jak tylko było to możliwe.

Nie wiem, czy ciało odkryto wówczas, czy może później, gdyż uciekając w pośpiechu zupełnie straciłem orientację. Pamiętałem tylko, że szlak Gatta do Uaxuanoc znajdował się gdzieś na zachodzie, ale gdy sobie to uświadomiłem, było już zbyt ciemno, by to wykorzystać. Spędziłem więc noc na drzewie.

Może to dość dziwne, ale czułem się lepiej niż kiedykolwiek od czasu rozbicia helikoptera. Miałem żywność i niemal trzy kwarty wody. Nauczyłem się też poruszać w tym lesie. Nie wycinałem bezsensownie przejścia maczetą tam, gdzie nie było to konieczne. Poza tym jeden człowiek może przecisnąć się w miejscu, gdzie dwóch już nie da rady. Szczególnie jeśli jeden z nich jest chory. Biedny Harry, bez niego byłem swobodniejszy i sprawniejszy. W dodatku miałem strzelbę. Nie wiedziałem, co prawda, do czego może mi się przydać, ale zatrzymałem ją dla zasady.

Następnego ranka, gdy tylko się trochę rozwidniło, skierowałem się na zachód z nadzieją na dotarcie do ścieżki. Przebyłem cholernie długą drogę i doszedłem do wniosku, że popełniłem straszliwy błąd. Wiedziałem, że jeśli nie odnajdę tej ścieżki, to nigdy nie trafię do Uaxuanoc, a kiedy skończy mi się żywność i woda, moje kości pozostaną na zawsze w tym lesie. Mój niepokój był więc usprawiedliwiony. Nie znalazłem ścieżki, natomiast niemal oberwałem kulą w chwili, gdy ktoś krzyknął i wystrzelił do mnie.

Kula poszła wysoko nade mną, ścinając liście z krzaka. Wziąłem nogi za pas i pędem wyniosłem się stamtąd. Od tej chwili zaczął się dziwny, prowadzony jakby na zwolnionych obrotach pościg w wilgotnym, zielonym półmroku leśnego poszycia. Zarośla były tak gęste, że można było stać obok kogoś i wcale go nie widzieć, jeśli tylko zachowywał się cicho.

Wyobraźcie sobie labirynt Hampton Court¹, umieszczony wewnątrz jednej z wielkich, tropikalnych cieplarni w Kew², w którym znalazłoby się kilku uzbrojonych drani o krwiożerczych instynktach, a w samym środku — siebie — obiekt ich niemiłej sercu uwagi.

Poruszałem się tak cicho, jak tylko potrafiłem, ale moja wiedza o leśnych podchodach pochodziła jeszcze z książek Fenimore'a Coopera, chyba więc nie byłem najlepszy w roli Sokolego Oka. Na szczęście chicleros też nie byli lepsi. Tłukli się dookoła i pokrzykiwali na siebie, strzelając na oślep. Po chwili udało mi się opanować strach i zaczęło we mnie narastać przekonanie, że jeśli zaszyję się w gąszczu i po prostu stanę nieruchomo, to mogę ujść pogoni równie dobrze, jak biegnąc dalej.

Tak też zrobiłem. Stałem zasłonięty liśćmi, zaciskając spocone dłonie na strzelbie, dopóki nie umilkły odgłosy pościgu. Nie ruszyłem się od razu. Największym niebezpieczeństwem był dla mnie człowiek inteligentniejszy od innych, który zrobiłby to samo co ja, to znaczy czekałby w bezruchu, aż mu się nawinę pod rękę. Odczekałem więc jeszcze jakąś godzinę i ponownie skierowałem się na zachód.

Tym razem odnalazłem ścieżkę. Wpadłem na nią niespodziewanie, ale na szczęście w pobliżu nie było nikogo. Gwałtownie cofnąłem się, lecz gdy spojrzałem na zegarek, zorientowałem się, że było po siedemnastej, czyli niedaleko do zmroku. Rozważałem wszystkie za i przeciw, czy mogę zaryzykować i pójść szlakiem. Byłem już zmęczony, dlatego moja zdolność oceny sytuacji chyba się przytępiła, gdyż głośno powiedziałem: — Do diabła z tym — i śmiało wkroczyłem na ścieżkę. Doznałem ogromnej ulgi, mogąc znów swobodnie się poruszać.

Nie musiałem już machać maczetą, zdjąłem więc strzelbę i chwyciłem ją w obie ręce. Ruszyłem szybko, mając świadomość tego, że każdy krok przybliżył mnie do Uaxuanoc jak do bezpiecznej przystani.

Tym razem to ja zaskoczyłem chiclero. Stał na ścieżce, odwrócony do mnie plecami, na tyle blisko, że poczułem dym marnego papierosa, którego palił. Zaczęłem ostrożnie wycofywać się, gdy wiedziony chyba jakimś szóstym zmysłem zdał sobie sprawę z mojej obecności i szybko się odwrócił. Wystrzeliłem do niego. Natychmiast padł, przetoczył się i ukrył. Potem wypalił w odpowiedzi tak celnie, że poczułem podmuch powietrza na policzku.

Schowałem się, a słysząc krzyki, zaszyłem się głębiej w las. Znowu zaczęła się ta groteskowa zabawa w chowanego. Znalazłem sobie następną kryjówkę i przycupnąłem w niej jak zając pod miedzą, mając nadzieję, że myśliwi przejdą gdzieś obok. Nasłuchiwałem, jak chicleros zagłębiali się w gąszcz, pokrzykując do siebie. Było w ich głosach coś, co kazało mi sądzić, że nie robili tego z przekonaniem. Trudno się zresztą temu dziwić. Jeden z nich już nie żył, zakłuty w wyjątkowo wstrętny sposób, a przed chwilą strzelałem do drugiego. Nie mogło to napawać ich zbytnim optymizmem, gdyż wykazałem zdecydowanie mordercze skłonności, a poza tym nie wiedzieli, z kim mają do czynienia. Mogłem przecież stać w każdym miejscu i czyhać na któregoś z nich. Nic więc dziwnego, że trzymali się razem i wołali do siebie. W grupie czuli się bezpiecznie.

Zrezygnowali o zmierzchu i wycofali się tam, skąd przyszli.

Pozostałem w tym samym miejscu, zastanawiając się intensywnie nad swoją sytuacją, o której nie myślałem w chaosie mijającego dnia. Wpadłem dotychczas na dwie grupy i, jak mogłem przypuszczać, chicleros poruszali się grupkami po trzech lub czterech. Ale z drugiej strony ten, którego zabiłem, był sam.

Natomiast ta ostatnia grupa ani nie obserwowała Uaxuanoc, ani nie pilnowała obozu Gatta. Jak sądziłem, jej jedynym zadaniem było polowanie na mnie. W

1 Hampton Court – dawna rezydencja królewska

2 Kew – dzielnica Londynu na południe od Tamizy

przeciwным wypadku, dlaczego przebywaliby na szlaku? Sądzę, że Gatt zidentyfikował ciało Harry'ego Ridera i domyślił się, kim był jego towarzysz. Tak czy inaczej, za każdym razem, gdy usiłowałem przedostać się do Uaxuanoc, spotykałem kogoś, kto chciał mnie zatrzymać.

Poza tym nie miałem żadnych złudzeń, co by się ze mną stało, gdybym wpadł w ich ręce. Człowiek, którego zabiłem, mógł mieć przyjaciół i na nic zdałoby się tłumaczenie, że nie miałem zamiaru go zabijać, a chciałem jedynie powstrzymać od rozbicia czaszki Harry'ego. Zabiłem go i tego nie dało się już cofnąć.

Na wspomnienie tego człowieka z maczetą, ohydnie wystającą z ciała, zrobiło mi się niedobrze. Zabiłem człowieka, o którym nie wiedziałem nawet, jak się nazywał ani co myślał. Przekonanie, że to on sam zaczął, strzelając do nas, i dostał tylko to, na co zasłużył, jakoś nie przyniosło mi ulgi. Ten prymitywny świat, kierujący się zasadą zabij albo sam będziesz zabity, był bardzo odległy od Cannon Street i chłopców w melonikach. Co tu, do diabła, robił taki szary człowiek jak ja?

Nie był to jednak najlepszy moment na oddawanie się filozoficznym medytacjom, ponownie więc skupiłem uwagę na sprawach przyziemnych. Jak miałem wrócić do Uaxuanoc? Wpadłem na pomysł, żeby iść ścieżką po ciemku, co już wypróbowałem wcześniej. Ale może chicleros będą czuwali w nocy? No cóż, można się było przekonać tylko w jeden sposób — pójść i sprawdzić to na własnej skórze.

Nie było jeszcze zbyt ciemno i miałem akurat tyle czasu, aby dotrzeć z powrotem do szlaku, zanim zapadnie zmrok. Poruszanie się nocą po lesie było niemożliwe, a wędrowanie ścieżką niewiele łatwiejsze, mimo to szedłem wytrwale, starając się robić to jak najciszej.

Widok ogniska bardzo mnie przygnębił. Chicleros wycięli małą polankę, a ognisko rozpalili pośrodku ścieżki. Obsiedli je wokół i mimo prowadzonej rozmowy najwyraźniej mieli się na baczności. Okrążenie ich w nocy było niewykonalne, wycofałem się więc z żalem. Gdy tylko uznałem, że mnie nie usłyszą, zboczyłem do lasu, znajdując sobie wygodne drzewo.

Następnego dnia o świcie jeszcze głębiej zaszyłem się w lesie, wyszukując sobie następne drzewo. Wybrałem je bardzo starannie i usadowiłem się na swego rodzaju platformie, dwanaście metrów nad ziemią, mając pod sobą tak zwartą osłonę z liści, że nie widziałem ziemi. Jedna rzecz była pewna, ci chłopcy nie byli przecież w stanie wdrapać się na wszystkie drzewa w lesie, by sprawdzić, na którym z nich się ukryłem. Czulem się więc w miarę bezpieczny.

Byłem zmęczony, śmiertelnie zmęczony uciekaniem i walką z tym przeklętym lasem, zmęczony brakiem snu i zbyt wielką ilością adrenaliny wpompowanej do mojego organizmu, ale przede wszystkim zmęczony strachem, który nieodłącznie mi towarzyszył.

Być może ten mały szary człowieczek, który we mnie siedział, chciał jak najszybciej uciec. Wytłumaczyłem mu jednak, że muszę mieć chwilę wytchnienia. Stawiałem wszystko na jedną kartę. Pozostała mi kwarta wody i trochę żywności — racja wystarczająca na jeden dzień, jeśli nie musiałbym zbyt wiele biegać. Zamierzałem pozostać na tym drzewie przez dwadzieścia cztery godziny, by wreszcie odpocząć, wyspać się i złapać oddech. Przez ten czas zjadłbym całą żywność i wypił wodę, aż w końcu musiałbym się ruszyć. Na razie jednak postanowiłem się tym nie przejmować.

Może to cecha szaraczków, że zaczynają działać, gdy się ich odpowiednio mocno przyciśnie, a może już sam nieświadomie doprowadzałem do sytuacji, kiedy zrobią to głód i pragnienie. Natomiast zupełnie świadomie myślałem, że jeśli chicleros nie zobaczą żadnych moich śladów w ciągu następnej doby, mogą dojść do wniosku, że zrezygnowałem lub poszedłem gdzie indziej. Miałem niewielką nadzieję, że kiedy

zejdę z drzewa, chicleros już nie będzie.

Rozłożyłem się więc wygodnie, a właściwie tak wygodnie, jak to było możliwe, i wypoczywałem. Podzieliłem żywność na trzy posiłki, a na butelce z wodą zaznaczyłem trzy porcje. Ostatnia z nich była przeznaczona na śniadanie, przed wyruszeniem w drogę. Szybko potem zasnąłem, a ostatnią moją myślą była obawa, bym zbyt głośno nie chrapał.

Większość czasu spędziłem w jakimś półśnie, nie myśląc o niczym szczególnym. Wszystkie sprawy dotyczące Fallona i Uaxuanoc wydawały mi się bardzo odległe, a farma Hay Tree mogłaby równie dobrze znajdować się na innej planecie. Istniał tylko lepki, zielony upał otaczającego mnie lasu i nawet wszechobecne niebezpieczeństwo ze strony chicleros wydawało się mało konkretne. Śmiem twierdzić, że gdyby zbadał mnie wówczas psychiatra, stwierdziłby ewidentny przypadek schizofrenicznej ucieczki od rzeczywistości. Musiałem być chyba w kiepskiej kondycji psychicznej i myślę, że stan mojego umysłu osiągnął nadir.

Nadeszła noc, którą przespałem nieco twardszym snem aż do świtu i obudziłem się zupełnie pokrzepiony. Ten nocny sen bardzo dobrze mi zrobił, gdyż czułem się nadzwyczaj rześko, chrupiąc suszoną wołowinę i zjadając resztki chleba. Poczulem diabelną zuchowatość, gdy popijałem swój posiłek ostatkiem wody z butelki. Dzisiaj Jemmy Wheale miał znaleźć się pod wozem albo na wozie. Nie miałem się gdzie wycofać, więc musiałem iść naprzód.

Porzuciłem butelki na wodę i chlebak, zatrzymałem jedynie składany nóż, maczetę i strzelbę. Miałem zamiar iść szybko i bez obciążenia. Nie zabrałem nawet bandoliera, tylko włożyłem kilka ładunków do kieszeni. Jakoś nie potrafiłem sobie wyobrazić siebie staczającego walną bitwę, a gdyby do niej doszło i tak nie pomogłaby mi amunicja całego świata. Przypuszczam, że bandolier i butelki na wodę ciągle jeszcze są na tym drzewie, nie sądzę, żeby ktoś je mógł tam znaleźć.

Zeskoczyłem wreszcie na ziemię, niewiele dbając o to, czy ktoś mnie widzi lub słyszy, i przeszedłem przez las do ścieżki. Gdy już do niej dotarłem, bez namysłu skręciłem i pomaszerowałem nią, jakbym miał gdzieś cały świat. W jednej ręce niosłem strzelbę, w drugiej maczetę i nawet nie zadałem sobie trudu, by zwalniać przed kolejnymi zakrętami, tylko po prostu szedłem przed siebie.

Kiedy przybyłem na polanę, którą chicleros wycięli na swoje małe obozowisko, zatrzymałem się i pomacałem węgle w ognisku. Nie przyszło mi nawet do głowy, aby podchodząc zachować ostrożność. Zwyczajnie wszedłem na polanę, nikogo na niej nie zastałem i automatycznie pochyliłem się, by poczuć żar węgielków. Były jeszcze ciepłe, a gdy odwróciłem je ostrzem maczety, żarzyły się czerwono. Niewątpliwie świadczyło to o tym, że chicleros odeszli niedawno. Ale w którą stronę? Nie dbałem o to zbyt i ruszyłem dalej tym samym raźnym krokiem, by uzyskać dobry czas. I udało mi się. Spojrzałem na mapę, próbując określić kierunek swoich wędrówek w ciągu tych dni, kiedy mnie ścigano. Było to jednak niemożliwe. Mogłem tylko przypuszczać, że znajdowałem się w promieniu pięciu kilometrów od Uaxuanoc i byłem zupełnie zdecydowany trzymać się tego szlaku, dopóki tam nie dotrę.

Głupcy mają zwykle największe szansę wdrzeć się tam, gdzie mądrzy boją się nawet postawić nogę, a poza tym przysłowiowe już jest szczęście głupich. Przez cały czas ci dranie ścigali mnie, a ja byłem nieprzytomny ze strachu, wpadałem na nich i kluczyłem, jak mogłem. Teraz, kiedy przestałem się nimi przejmować, to ja zobaczyłem ich pierwszy. A właściwie ich usłyszałem paplających po hiszpańsku i, gdy nadeszli z przeciwka, schowałem się tylko w lesie, pozwalając im przejść.

Było ich czterech, wszyscy uzbrojeni. Wyglądali na skończonych łajdaków, nie ogoleni, w popularnych wśród chicleros brudnobiałych ubiorach. Gdy przechodzili, któryś wspomniał nazwisko Gatta, co zostało skwitowane wybuchem śmiechu.

Oddalili się, a ja wyszedłem ze swojej kryjówki. Gdyby rozglądali się pilniej, mogliby z łatwością mnie dojrzeć, gdyż wcale nie schowałem się daleko, ale nawet nie odwrócili głów. Osiągnąłem stan, w którym i tak było mi wszystko jedno.

Im dłużej szedłem, tym większą zyskiwałem pewność siebie. Było już mało prawdopodobne, bym któregoś z nich jeszcze spotkał, wydłużyłem więc krok, aby nie dać się dogonić jakiemuś chiclero nadchodzącemu z tyłu. Był to spory wysiłek, a cenna woda, którą wypilem rano, pokryła mi ciało powłoką potu. Wciąż jednak ponaglałem się nieubłaganie i utrzymywałem to zabójcze tempo przez następne dwie godziny.

Nagle ścieżka skręciła ostro w lewo, ciągnęła się jeszcze jakieś sto metrów i raptownie urwała się. Zatrzymałem się niepewny, dokąd pójść, gdy nagle na szczycie pagórka po mojej prawej stronie zauważyłem leżącego mężczyznę. Wpatrywał się w coś przez lornetkę, a gdy gwałtownym ruchem uniosłem strzelbę, leniwie odwrócił głowę i niedbale zapytał:

— *Es usted, Pedro?*

— *Si* — powiedziałem, mając nadzieję, że jest to prawidłowa odpowiedź.

Ponownie przyłożył lornetkę do oczu i podjął obserwację czegoś, co znajdowało się po drugiej stronie pagórka.

— *Tiene usted fosforos y cigarillos?*

Nie zrozumiałem, co mówił, ale po intonacji wyczułem, że musiało to być pytanie, powtórzyłem więc: — *Si* — i wdrapałem się śmiało na wzgórze, stojąc tuż za nim.

— *Gracias, Que hora es?* — Odłożył lornetkę i odwrócił się, by na mnie spojrzeć akurat w chwili, gdy uderzyłem go kolbą w głowę. Trafiłem tuż ponad prawym okiem i zobaczyłem, jak twarz wykrzywił mu grymas bólu. W nagłym przypływie gniewu uniosłem strzelbę i z furją uderzyłem powtórnie, tym razem mocniej. Tak jak chciano rozprawić się z Harrym. Odgłos, który z siebie wydał, był czymś pośrednim między jękiem a chrząknięciem. Stoczył się z pagórka i znieruchomiał parę kroków niżej.

Spojrzałem na niego obojętnie, podszedłem i trąciłem nogą. Nawet nie drgnął, odwróciłem się więc, by sprawdzić, czemu się tak uważnie przyglądał. Na otwartej przestrzeni przede mną, w odległości może czterystu metrów, rozciągało się Uaxuanoc i obóz III. Patrzyłem na to tak, jak pewnie Izraelici musieli spoglądać na swoją Ziemię Obiecaną. Łzy napłynęły mi do oczu. Potykając się przebiegłem kilka kroków i krzyknąłem ochrypłym głosem w stronę odległych postaci, które poruszały się w pobliżu baraków. Gdy ciężkim krokiem zacząłem biec w tamtą stronę, nagle poczułem się, jakby opuściły mnie wszystkie siły. Byłem śmiesznie słaby, a jednocześnie lekki, pogodny i oszołomiony. Nie miałem pojęcia, czy człowiek, którego ogłuszyłem lub zabiłem, był jedynym chiclero obserwującym obóz, czy też miał towarzyszy. Z pewnością nie sprawiłoby im trudności, by strzelić mi w plecy, gdy tak szedłem potykając się w stronę krzaków, ale nie padł żaden strzał.

Joe Rudetsky, którego wielką postać ujrzałem, wyprostował się na mój widok i coś krzyknął. Straciłem przytomność... Kiedy się ocknąłem, Fallon pochylał się nade mną z wyrazem troski w oczach. Coś do mnie mówił, ale nic nie rozumiałem, gdyż miałem wrażenie, jakby ktoś walił w bęben w moim uchu. Głowa Fallona najpierw się skurczyła, potem nadeła jak wielki balon i raptem zniknęła. Znowu zemdlałem.

Rozdział 38

Woda — czysta, zimna, przezroczysta woda — to coś wspaniałego. Używałem jej czasem, gdy przygotowywałem zupy z paczki: wysypujesz suchy proszek, wyglądający mało apetycznie, niczym zioła z worka znachora, dodajesz wodę i hokus-pokus — to, co było kilkoma strużynami, zamienia się w soczysty, zielony groszek i mięsiste warzywa.

Po tygodniu spędzonym w lesie mój organizm był bardzo odwodniony i straciłem sporo na wadze, lecz już po kilku godzinach poczułem się znacznie lepiej. Nawet nie dlatego, że wypilem dużo wody, gdyż Fallon mi na to nie pozwolił i wydzielał ją łykami, ale po prostu na widok oszronionego dzbana, który stał przy łóżku, działając na mnie kojąco. Wiedziałem bowiem, że wystarczyło sięgnąć po niego ręką. Cudowne wrażenie! Czuję się więc lepiej, choć być może tak jak zupa z paczki straciłem nieco na smaku.

Fallon oczywiście domagał się bardziej szczegółowych wyjaśnień niż ta krótka, chaotyczna historia, którą mu opowiedziałem tuż po przybyciu do obozu. Przynął krzesło i usiadł przy moim łóżku.

— No, opowiadaj wszystko od początku.

— Zabiłem człowieka — przyznałem cicho.

— Ridera? — Uniósł brwi. — Nie powinieneś tak o tym myśleć.

— Nie, nie Harry'ego. — Opowiedziałem mu, co zaszło.

W miarę jak opowiadałem, na jego twarzy pogłębiał się wyraz zaniepokojenia i oszołomienia, a kiedy wreszcie skończyłem, powiedział:

— A więc jesteśmy obserwowani i Gatt jest tam.

— Z całą armią. To właśnie próbował powiedzieć ci Pat Harris, ale nie chciałeś słuchać. Gatt ściągnął swoich ludzi ze Stanów i zwerbował chicleros do pomocy w lesie. Pożar w chacie, gdzie stało radio, nie był dziełem przypadku, tak jak awaria helikoptera.

— Jesteś pewny, że to był sabotaż?

— Harry tak twierdził i sądzę, że się nie mylił. Myślę, że to samo dotyczy dużego helikoptera w obozie I. Twój odrzutowiec również został umyślnie zatrzymany w Mexico City. Jesteśmy tu odizolowani.

— Ilu ludzi widziałeś przy Gacie? — Fallon był przybity.

— Nie zatrzymywałem się, żeby ich policzyć dokładnie, ale widziałem ich w sumie chyba ze dwudziestu pięciu. Oczywiście niektórych z nich mogłem spotkać kilkakrotnie, ale mniej więcej tylu ich jest. — Wyciągnąłem rękę i przyłożyłem ją do zimnego dzbana z wodą. — Nie tak trudno domyślić się, co zrobią teraz. — No, co takiego?

— Czy to nie oczywiste? Napadną na nas. Gatt chce mieć przedmioty, które wydobyliśmy z cenote, i wszystkie inne świedelka, jakie mogliśmy tu znaleźć. To wszystko jest jeszcze tutaj, prawda?

Fallon skinął głową.

— Powiniennem był to wysłać wcześniej. — Wstał i wyjrzał przez okno. — Zdumiewa mnie jednak, skąd ty... i Gatt... możecie być tego pewni?

— Do licha, wyciągnąłem przecież te rzeczy z wody, tak czy nie? — Byłem zbyt zmęczony, żeby na niego krzyżeć, ale zdobyłem się na ten wysiłek.

— Ale Gatt o tym nie wie. Skąd mógłby wiedzieć, chyba że ktoś mu doniósł. Nie przekazywaliśmy tej wiadomości drogą radiową. Przemyślałem to sobie, po czym łagodnie powiedziałem:

— Po rozbiciu helikoptera prawie tydzień spędziłem w lesie, a Gatt w tym czasie

nie wykonał żadnego posunięcia. Jest przecież gotowy, na co więc czeka?

— Może nie ma pewności — zasugerował Fallon. — Nie jest pewien, czy znaleźliśmy coś wartościowego, to znaczy wartościowego w jego pojęciu.

— Zgadza się. Ale w tej chwili jedyną rzeczą, jaka mu pozostała do zrobienia, to przyjść tu i zabrać te półtora miliona dolarów, które spokojnie czekają na wzięcie.

— Jest tego nawet więcej. Paul dokonał wielkiego znaleziska w świątyni Yum Chaca. Miał nie rozpoczynać wykopalisk, ale zrobił to i natknął się na schowek sprzętów sakralnych. Jemmy, one są bezcenne, niczego takiego dotąd nie znaleziono.

— Dla Gatta wszystko ma swoją cenę. Ile to mogłoby być warte dla niego?

— Całości jako kolekcji muzealnej nie da się wycenić. Ale gdyby Gatt zaczął sprzedawać poszczególne egzemplarze, to może dostałby za nie następne półtora miliona.

— I miałeś czelność powiedzieć mi, że w Uaxuanoc nie będzie żadnego złota? — Popatrzyłem kwaśno na Fallona. — Wiemy już, że Gatt potrafi docenić wartość tych rzeczy i, korzystając z usług Gerrysona, pozbyć się ich. Co więc robimy? Po prostu wręczamy mu skarby, gdy zgłosi się ze swoimi zbirami?

— Żeby było uczciwie, musimy omówić to ze wszystkimi — powiedział Fallon. — Dasz radę?

— Nic mi nie jest — uspokoiłem go i zsunąłem nogi z łóżka.

Była to ponura i przygnębiająca konferencja. Opowiedziałem swoją historię od początku. Nie dowierzali mi zbyt, nie rozumiejąc sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy, ale po kilku minutach dość ostrej perswazji udało mi się wtłoczyć im do głów, że znaleźliśmy się w tarapatkach. Fallona nie musiałem już przekonywać, ale Paul Halstead dał występ w swoim stylu.

— Ta cała historyjka brzmi niezbyt wiarygodnie — powiedział z tą przekłątą wyższością w głosie.

— Nazywasz mnie kłamcą? — Nastroszyłem się. Fallon położył ostrzegawczo rękę na moim ramieniu.

— Nie, ale myślę, że przesadzasz i że... poniosła cię wyobraźnia — wyjaśnił Halstead.

— To przejdź się po lesie. Jeśli dostaniesz kulę, to pewno nic ci nie będzie, gdyż jest ona wytworem mojej wyobraźni.

— Z całą pewnością jednak mogłeś zrobić coś więcej, aby pomóc biednemu Riderowi — powiedział.

Pochyliłem się nad stołem, by go złapać, ale zdążył się w porę odsunąć.

— Dość tego! — warknął Fallon. — Paul, jeżeli nie masz nic mądrzejszego do powiedzenia, to zamknij gębę na kłódkę.

Niespodziewanie Katherine po raz pierwszy zaatakowała męża.

— Tak, zamknij się, Paul — rzekła ostro. — Robi mi się już niedobrze, gdy cię słucham.

Patrzył na nią z widocznym zaskoczeniem.

— Nie stajesz chyba znowu po stronie Wheale'a? — zapytał urażonym głosem.

— Tu nie ma żadnych stron i nigdy ich nie było — wyjaśniła lodowato. — I jeśli ktokolwiek tutaj ma wybijałą wyobraźnię, to na pewno nie Jemmy. — Spojrzała na mnie. — Przepraszam cię.

— Nie musisz go za mnie przeproszać — wybuchnął Paul.

— Wcale tego nie robię — powiedziała głosem tak twardym, że przeciąłby diament. — Przepraszam Jemmy'ego w swoim imieniu za to, że nie posłuchałam go wcześniej. A teraz zamknij się, tak jak mówił profesor Fallon.

Ten niespodziewany atak z jej strony tak zaskoczył Halsteada, że zamilkł i popadł w zadumę. Spojrzałem na Rudetsky'ego.

— Co o tym sądzisz?

— Ja ci wierzę. Mieliśmy już trochę kłopotów z tymi cholernymi chicleros w obozie I. To banda zbrodniarzy, więc wcale mnie nie zaskoczyło, że strzelali do ciebie. — Rozłożył potężne ramiona i zwrócił się do Fallona: — Ale ten facet, Gatt, to coś innego. Nic o nim nie wiedzieliśmy.

— Dotąd nie było potrzeby, żebym wam o tym mówić — odparł Fallon bezbarwnie.

— Uważam, że jednak trzeba było nas poinformować, panie Fallon. — Twarz Rudetsky'ego przybrała nieustępliwy wyraz. — Jeżeli Gatt zebrał przeciwko nam chicleros, to jest to poważna sprawa. W umowie nie było mowy o tym, że będą do nas strzelać. To nie podoba się ani mnie, ani Smitty'emu, ani Fowlerowi. — Dwaj wymienieni mężczyźni skinęli z powagą głowami.

— Co próbujesz zrobić, Rudetsky? — zapytałem. — Założyć związek zawodowy? Trochę za późno. To, czy pan Fallon wprowadził was w błąd, nie ma w tej chwili żadnego znaczenia. W każdym razie nie sądzę, żeby zrobił to celowo. Zastanówmy się lepiej, co teraz zrobimy z Gattem.

— Możemy zrobić tylko jedno, dać mu to, czego chce — odezwał się Fallon zmęczonym głosem.

Smith i Fowler energicznie przytaknęli, a Rudetsky powiedział:

— Myślałem o tym samym.

Usta Katherine zacisnęły się, a Halstead podniósł głowę i czujnym wzrokiem rozejrzał się wokół stołu.

— Tak myślicie? — spytałem. — A więc tak po prostu damy Gattowi trzy miliony dolarów, pogłaszczemy go po główce z nadzieją, że sobie pójdzie? Cholernie mało prawdopodobne, że tak się stanie.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — Rudetsky pochylił się do przodu.

— Jestem pewien, Joe, że aż tak głupi nie jesteś. Gatt popełnia przestępstwo, kradnie komuś wielką forszę. Nie mam pojęcia, kto jest legalnym właścicielem tych przedmiotów, ale zapewne rząd meksykański ma do nich spore prawa. Naprawdę myślicie, że Gatt pozwoli komukolwiek z nas wrócić do Mexico City i złożyć oficjalną skargę?

— O mój Boże — westchnął Fallon, kiedy uświadomił sobie, jaka jest faktycznie nasza sytuacja.

— Myślisz, że nas wszystkich wykończy? — zapytał Rudetsky, podnosząc głos.

— A co zrobiłbyś na jego miejscu? — pozwoliłem sobie na cynizm. — Oczywiście zakładając, że nie czujesz zbyt wielkiego szacunku dla świętości życia ludzkiego.

Nagle zaczęli mówić jeden przez drugiego, a ponad ogólny harmider wzbil się tubalny głos Rudetsky'ego, przeklinającego bez żenady.

— Ja stąd spieprzam — wrzasnął Smith.

— Zamknijcie się wszyscy, do jasnej cholery! — ryknąłem, walnąwszy pięścią w stół.

Ku memu zaskoczeniu zamilkli i spojrzeli na mnie. Nie miałem w zwyczaju tak ostro się stawiać i być może trochę przesadziłem, tak czy inaczej poskutkowało. Wymierzyłem palec w Smitha.

— I dokąd, u diabła, chciałbyś stąd pójść? Wejdiesz dziesięć metrów w las i jesteś gotowy. Nie miałbyś żadnych szans.

— Jezu, on ma rację, Smitty! To odpada. — Fowler popatrzył na pobladłego, nerwowo przełykającego ślinę Smitha.

— To niemożliwe, Wheale, wywlekasz tu jakieś straszidła. — Głos Fallona nagle nabral siły. — Wyobrażasz sobie, jaki byłby smród, gdyby Gatt dopuścił się tego... tego masowego morderstwa? Sądzisz, że człowiek może zniknąć i nikt nawet o niego nie

zapyta? Nie uszłoby mu to na sucho.

— Nie? No, a kto jeszcze oprócz nas wie, że Gatt jest tutaj? Jest cwany i ma za sobą Organizację. Założę się, że w tej chwili mógłby skrzyknąć co najmniej stu świadków, aby udowodnić, że jest właśnie w Mexico City. Nie martw się, zrobi wszystko, aby nikt go nie mógł z tą sprawą skojarzyć.

— Ale kiedy nas znajdą... to znaczy nasze ciała... będą chyba wiedzieli, że... — Katherine pobladła.

— Przykro mi, Katherine, ale nikt nas nie znajdzie. Można w Quintana Roo pochować armię i nikt nigdy nie trafi na żaden ślad. Po prostu znikniemy.

— Przyłożyłeś do tego rękę, Wheale — rzekł napastliwie Halstead. — Kto poza nami wie, że Gatt jest tutaj? I my wiemy o tym tylko od ciebie. Ani ja, ani nikt inny nie widział go. Uważam, że usiłujesz celowo wywołać panikę, by nas w coś wpakować.

— A dlaczego, do diabła, miałbym to robić? — Wytrzeszczyłem oczy ze zdumienia.

Ostentacyjnie wzruszył ramionami.

— Od samego początku wpychałeś się do tej ekspedycji. Bardzo interesowała cię też wartość materialna wszystkiego, co znaleźliśmy. Czy mam dodać coś jeszcze?

— Nie, do cholery, nie musisz — warknąłem. — I lepiej tego nie rób, bo policzę ci wszystkie zęby. — Pozostali wpatrywali się we mnie w milczeniu, wyraźnie oczekując konkretnego odparowania zarzutów. — Gdyby rzeczywiście zależało mi na wywołaniu paniki, po co miałbym zatrzymywać Smitha. Czemu chcę, żebyśmy trzymali się w kupie?

— Jezu! Pomyśleć, że przez moment uwierzyłem temu facetowi. — Rudetsky aż sapnął z irytacji, patrząc na Halsteda z nie ukrywanym niesmakiem. — Powinienem być mądrzejszy. — Halstead poruszył się niespokojnie wobec tej jawnie okazanej wzgardy, a Rudetsky zwrócił się do mnie: — Co więc robimy, panie Wheale?

Już miałem powiedzieć: — Dlaczego mnie o to pytasz? — ale jedno spojrzenie na Fallona wystarczyło, bym zmienił zamiar. Zamknął się w sobie i wpatrywał się w niewidoczny punkt, kontemplując jakąś wewnętrzną wizję. Nie wiem, o czym myślał, i nie chciałbym zgadywać, ale było jasne, że nie mogliśmy już liczyć na niego jako szefa. Halstead nie umiałby przeprowadzić ślepca przez ulicę, podczas gdy Rudetsky czuł się dobrze jedynie w roli sprawnego sierżanta, który doskonale wykonuje każde polecenie i nie musi podejmować decyzji. A Smith i Fowler byli cieniami Rudetsky'ego.

Nigdy nie przewodziłem żadnej grupie, gdyż nie odczuwałem potrzeby, by kogokolwiek gdziekolwiek prowadzić. Zawsze byłem zdania, że człowiek powinien iść swoją drogą i jeśli tylko używał mózgu, który Bóg mu dał, to nie potrzebował iść po niczyich śladach, a tym samym nie powinien oczekiwać, że ktoś inny pójdzie za nim.

Byłem samotnikiem, nieokiełznanym indywidualistą, być może dlatego więc przyklepiono mi etykietkę człowieka szarego i bezbarwnego. Nie starałem się nigdy o to, by przekonać kogokolwiek do swojego sposobu widzenia, któremu to zajęciu zdawali się z pasją oddawać inni. Najczęściej błędnie interpretowano tę moją zamierzoną izolację, uważając, że nie mam nic interesującego do powiedzenia.

A teraz w tym cichym baraku wszyscy oczekiwali, bym przejął dowództwo i wymyślił jakieś rozwiązanie. Wszyscy z wyjątkiem Fallona, który odizolował się od rzeczywistości, i oczywiście Halsteda, który sprzeciwiał mi się programowo z powodów, jakie zrodziły się w jego obłąkanym umyśle.

Ciszę przerwał Rudetsky, zwracając się do mnie błagalnym głosem:

— Musimy coś zrobić.

— Gatt tu wkrótce nadejdzie — powiedziałem. — Jaką bronią dysponujemy?

— Jest strzelba i karabin — odparł Rudetsky. — To wyposażenie obozowe. Oprócz tego mam jeszcze swój prywatny pistolet.

— Ja mam rewolwer — rzekł Fowler.
— Coś jeszcze? — spytałem.
Fallon wolno pokręcił głową, a Halstead patrzył na mnie bez zmużenia oka. Zamiast niego odezwała się Katherine:
— Paul też ma pistolet.
— A więc mamy strzelbę, karabin i trzy pistolety. Dobrze i to. Joe, jak myślisz, który barak najlepiej nadaje się do obrony?
— Szykujesz się do bitwy? — zapytał Halstead. — Jeśli Gatt tu rzeczywiście jest, w co wątpię, nie będziesz miał szans. Według mnie zwariowałeś.
— Wolałbyś sam Gattowi podsunąć gardło pod nóż? No więc, Joe?
— Chyba twój barak. Jest blisko cenote, co daje nam pewną osłonę z tyłu.
— Gdzie skarby? — spojrzałem na puste półki.
— Spakowałem wszystko — wyjaśnił Fallon. — Przygotowane do odjazdu, kiedy tylko helikopter przyleci.
— W takim razie będziesz to musiał wypakować. Trzeba się tego pozbyć.
— Do licha, co ty chcesz zrobić? Ten materiał jest bezcenny. — Halstead aż poderwał się.
— Nie, nie jest — powiedziałem bez ogródek. — Ma swoją realną cenę, siedem istnień ludzkich. Gatt może nas zabić, jeśli będzie mógł go dostać. Ale gdyby udało się nam umieścić te rzeczy poza jego zasięgiem, to być może dojdzie do wniosku, że siedem morderstw to gra nie warta świeczki.
— To się zgadza — poparł mnie Fowler. — Ale co zamierzasz z tym zrobić?
— Wrzucić wszystko do cenote — wyjaśniłem brutalnie. — Na wydobywanie tego potrzeba dość dużo czasu, a nie wydaje mi się, aby zechciał tu tkwić, by próbować.
— Nie możesz tego zrobić — krzyknął rozszalały Halstead. — Może już nigdy nie będziemy w stanie tego odzyskać.
— Dlaczego nie? Większość tych rzeczy wydobyliśmy przecież właśnie z tej cenote. Nie stracimy ich na zawsze. A jeśli nawet, to zupełnie o to nie dbam, tak jak i inni tutaj. To nasza jedyna szansa na przeżycie.
— Nie, do diabła! — poparł mnie Rudetsky. — Trzeba wyrzucić to wszystko.
— Nie możesz im na to pozwolić — zwrócił się do Fallona Halstead.
— Zdaje się, że Jemmy objął komendę — odparł Fallon, unosząc wzrok. — Zrobi to, co uważa za konieczne. — Wykrzywił usta w jakiejś namiastce uśmiechu. — I nie sądzę, żebyś mógł go powstrzymać, Paul.
— Jaskinia — powiedziała nagle Katherine. — Możemy to złożyć w jaskini.
Halstead gwałtownie uniósł głowę.
— Jaka jaskinia? — spytał podejrzliwie.
— W cenote na głębokości dwudziestu metrów znajduje się jaskinia — wyjaśniłem. — To dobry pomysł, Katherine. Wszystko będzie tam tak bezpieczne i niedostępne, jak nigdzie indziej.
— Pomogę ci — zaproponowała.
— Nie zrobisz tego — uciał Halstead. — Nie przyłożysz ręki do tego wariackiego pomysłu.
— Przestałam już słuchać twoich rozkazów, Paul — zmierzyła go wzrokiem. — Dla odmiany mam zamiar pójść własną drogą. I zrobię to, co ja uważam za słuszne. Uaxuanoc zniszczyło cię, Paul, zmieniło w innego człowieka niż ten, którego poślubiłam, dlatego nie dam się więcej używać jako narzędzia do realizacji twoich szalonych obsesji. Między nami wszystko skończone.
Uderzył ją. Nie był to policzek wymierzony otwartą dłonią, ale cios zaciśniętą pięścią. Trafił pod szczękę. Katherine zatoczyła się przez cały barak i upadła pod przeciwległą ścianę.

Nie traciłem czasu na rozmyślenia o dżentelmeńskich sposobach walki i kodeksie honorowym. Chwyciłem stojącą na stoliku butelkę i porządnie zdzieliłem nią Halsteda w głowę. Co prawda butelka nie rozbiła się, ale z pewnością też nie podziałała na niego kojąco. Stęknął i ugiął się w kolanach. Nie upadł jednak, więc przyłożyłem mu ponownie i wreszcie zwałił się na podłogę.

— No dobra — wydyszałem, ściskając butelkę w ręce. — Czy ktoś jeszcze ma tego typu argumenty?

— Dobrze zrobiłeś — mruknął Rudetsky. — Całe tygodnie czekałem na podobną okazję. — Dopomógł Fowlerowi postawić Katherine na nogi i doprowadzić do krzesła przy stole. Nikt nie przejmował się Halsteadem, zostawiono go tak, jak upadł.

Katherine była oszołomiona i wstrząśnięta, więc Fallon nalał jej dużego drinka.

— Mówiłem ci, żeby go nie zabierać — powiedział cicho.

— Musztarda po obiedzie — powiedziałem. — Jestem tak samo winny jak wszyscy pozostali. — Rudetsky kręcił się wciąż troskliwie przy Katherine. — Joe, chcę mieć jego pistolet. Nie ufam już temu draniowi.

— Jest w pudełku obok łóżka — powiedziała słabo Katherine.

— Idź i przynieś go, Smitty — machnął ręką Rudel.sky. Spojrzał na Halsteda i trącił go nogą. — Ale mu przyłożyłeś. Łeb będzie mu pękał.

Katherine zakrzuszyła się whisky.

— Nic ci nie jest? — spytałem. Delikatnie obmacała podbródek.

— On jest szalony — wyszeptała. — Zwariował. Wstałem i odciągnąłem Rudetsky'ego na bok.

— Lepiej zanieś Halsteda do jego baraku i zamknij go. I bez tego szaleńca mamy dość kłopotów.

— Dawno już bym to zrobił, ale bałem się, że Fallon mnie wywali. Człowieku, zdrowo go przetrzepałeś! — Jego uśmiech był esencją radości.

— Możesz mu dać łupnia, kiedy tylko zechcesz, nie martwiąc się o konsekwencje. Sezon polowania na Halsteda właśnie się zaczął. Przestałem już być tak cholernie tolerancyjny.

Rudetsky i Fowler pochylili się nad Halsteadem, który powoli dochodził do siebie. Kiedy postawili go na nogi, popatrzył na mnie beznamiętnym, zamglonym wzrokiem, jakby mnie nie poznawał. Po chwili Fowler wypchnął go z baraku.

— Jak się czujesz? — zwróciłem się do Katherine.

— Tak jak można się czuć po publicznej awanturze z mężem — uśmiechnęła się z przymusem. Zapatrzyła się w stół. — Tak bardzo się zmienił.

— Zmieni się jeszcze bardziej, jeśli nadal będzie przysparzał kłopotów. I to nie tak, jakby sobie tego życzył. Kredyt mu się wyczerpał, Katherine, i nic więcej nie możesz dla niego zrobić. Nie możesz już dłużej być barierą odgradzającą go od reszty świata.

— Wiem — zgodziła się ze smutkiem.

Na zewnątrz baraku rozległ się okrzyk. Skoczyłem do drzwi. Z oddali doszedł odgłos pojedynczego strzału, a po nim rozległa się cała kanonada. Błyskawicznie wybiegłem z baraku i skierowałem się na skraj obozu, skąd ukryty za barakiem Rudetsky gestem ręki nakazywał mi, bym się położył.

Kuląc się w biegu, dołączyłem do niego.

— Co się, do diabła, dzieje?

— Halstead uciekł — powiedział, dysząc ciężko. — Pobiegł w stronę lasu, a my próbowaliśmy go dogonić. Wtedy otworzyli do nas ogień.

— Co z Halsteadem? Do niego nie strzelali?

— Myślę, że nie żyje — wysapał Rudetsky. — Widziałem, jak upadł tuż przy ścianie drzew.

Usłyszałem za sobą stłumiony szloch Katherine.

— Wracaj do baraku — rozkazałem gniewnie. — Tutaj jest niebezpiecznie.

Dwie duże łzy spłynęły po jej policzkach, a ramiona opadły w wyrazie przygnębienia.

Przez długi jeszcze czas czekałem na skraju obozu, ale nic więcej się nie zdarzyło. Żadnych strzałów ani oznak życia. Jedyne wściekła zieleń lasu zdawała się zewsząd dławić oczyszczony teren centrum Uaxuanoc.

Rozdział 39

Obserwowano każdy nasz krok. Byłem tego pewien. Miałem więc problem. Zastanawiałem się, czy zatopić wszystkie kosztowności zupełnie otwarcie, czy skrzętnie ukryć ten fakt. Doszedłem do wniosku, że najlepsze będzie dyskretne załatwienie sprawy. Gdybyśmy przystąpili do tej operacji otwarcie, Gatt mógłby się zaniepokoić i zaatakować nas natychmiast, by nie pozwolić nam skończyć pracy. Nic wówczas nie byłoby go w stanie powstrzymać.

Wszystkie paki przygotowane przez Fallona musiały zostać otwarte, a ich zawartość, sztuka po sztuce, przerzucona do mojego baraku obok cenote. Prawdopodobnie najlepszym wyjściem było zatopienie skarbu tak, jak początkowo sugerowałem, ale nie chciałem rezygnować z zabezpieczenia, jakie stanowiła jaskinia. Oznaczało to zejście w dół, a z tym lepiej było poczekać, aż zapadnie zmrok i wścibskie oczy nie będą mogły nic wypatrzeć.

Aż do wieczora staraliśmy się nadać obozowi pozornie normalny wygląd. Sporo kręciliśmy się po terenie i stopniowo wszystkie cenne przedmioty zostały zgromadzone na podłodze mojego baraku, gdzie Rudetsky pakował je do metalowych koszy, używanych wcześniej do wydobywania tych samych rzeczy z dna cenote.

W planie mieliśmy także umocnienie baraku, tak aby można się było w nim bronić. Było to kolejne zadanie, z którego realizacją trzeba było poczekać do zapadnięcia zmroku. Ale Smith i Fowler włóczyli się po obozie, dyskretnie dobierając potrzebne do tego materiały i gromadząc je w miejscach łatwo dostępnych w nocy. Te kilka godzin zdawało się ciągnąć w nieskończoność, aż wreszcie słońce zaszło w czerwonej mgiele, która przypominała zakrzepłą krew.

Zabraliśmy się do roboty. Smith i Fowler przynieśli drewniane belki, które miały choć trochę ochronić barak przed kulami, i zaczęli je przybijać w odpowiednich miejscach. Rudetsky przygotował kilka dużych butli tlenowych, a my przyciągnęliśmy tratwę do brzegu i załadowaliśmy je na pokład. Było to trudne zadanie ze względu na ich ciężar oraz panujące ciemności. Umieściliśmy też na tratwie wszystkie skarby i wreszcie mogliśmy z Katherine zejść w dół.

Jaskinia była wypełniona świeżym powietrzem i nic się nie zmieniło od czasu, gdy ją opuściliśmy. Uniosłem się, zapaliłem światło, które zainstalowałem wewnątrz, i wyłączyłem swoją latarkę. Ponad poziomem wody w pieczarze znajdował się występ skalny na tyle szeroki, że mogliśmy na nim bez trudu wszystko zmieścić. Usiadłem na nim, pomagając Katherine wyjść z wody.

— Jest tu mnóstwo miejsca na przechowanie tych rzeczy — powiedziałem z zadowoleniem.

Bez większego zainteresowania skinęła głową.

— Przykro mi, że Paul przysporzył tyle kłopotów, Jemmy. Ostrzegałeś mnie, ale byłam zbyt głupia, by ci uwierzyć.

— Co spowodowało, że zmieniłaś zdanie?

— W końcu zaczęłam myśleć — zawahała się. — Zadałam sama sobie kilka pytań na temat Paula. To ty sprawiłeś, że zaczęłam się nad tym wszystkim zastanawiać. Zapytałeś mnie, co czuję do Paula, miłość czy lojalność. Nazwałeś to źle umiejscowioną lojalnością. Znalezienie odpowiedzi nie zajęło mi wiele czasu. Problem w tym, że Paul nie zawsze jest, był taki. Myślisz, że nie żyje?

— Nie wiem. Nie było mnie tam, kiedy to się stało. Rudetsky uważa, że zginął. Ale może ocalał. Co zrobisz, jeśli właśnie tak będzie?

— Co za pytanie w takiej chwili? — Roześmiała się drżącym głosem. — Czy sądzisz, że to, co tutaj robimy, ma sens? — Wskazała wilgotne ściany pieczary. —

Mam na myśli pozbycie się tego, czego chce Gatt.

— Nie mam pojęcia. Dużo będzie zależało od tego, czy uda się nam z nim porozmawiać. Jeśli byłbym w stanie przekonać go, że nie ma nawet cienia szansy dostania tych rzeczy, to może skłoniłbym go do układów. Nie wyobrażam sobie, by zabił sześcioro albo siedmioro ludzi bez powodu, chyba że jest szalonym mordercą, ale o to go nie podejrzewam.

— Niemożność uzyskania tego, na czym mu zależy, może go doprowadzić do szału.

— Tak — powiedziałem zamyślony. — On będzie cholernie rozczarowany, a my będziemy musieli się z nim delikatnie obchodzić.

— Jeżeli tylko z tego wyjdziemy, rozwiodę się z Paulem. Nie mogę już z nim żyć. Dostanę rozwód w Meksyku, będzie ważny wszędzie, gdyż ślub też tutaj zawarliśmy.

Przez chwilę zastanawiałem się nad jej słowami.

— Odnajdę cię. Miałabyś coś przeciwko temu?

— Nie, Jemmy. Chciałabym tego. Może udałoby się nam zacząć wszystko od nowa.

— Zaczynanie od początku nie przychodzi tak łatwo — westchnąłem posepnie. — Nigdy już tego nie zapomnimy, Katherine, nigdy. — Przygotowałem się do założenia maski. — Chodź, Joe będzie się o nas niepokoił.

Wypłynęliśmy z jaskini i zaczęliśmy mozolną pracę przenoszenia skarbów z kosza, który Rudetsky opuścił do pieczary. Kosz po koszu te przeklęte rzeczy zjeżdżały w dół. Zajęło nam to sporo czasu, ale w końcu pozbyliśmy się wszystkiego. Byliśmy pod wodą przez dwie godziny, ale nie schodziliśmy poniżej dwudziestu metrów, więc czas dekompresji wynosił niecałą godzinę. Joe opuścił wąż, który zwisał obok liny kotwicznej, a my szczepiliśmy dwa zawory na końcu automatów oddechowych przy naszych akwalungach. W ciągu tej godziny Rudetsky dostarczał nam powietrze z dużych butli na tratwie. Nie chcieliśmy używać kompresora, gdyż spowodowałby zbyt wiele hałasu.

— Wszystko w porządku? — zapytał, kiedy w końcu wydostaliśmy się na powierzchnię.

— W porządku — odparłem i zakląłem, uderzywszy palcem nogi o butlę z tlenem. — Słuchaj, Joe, wyrzucimy te butle do wody. Mogłyby nasunąć Gattowi różne pomysły, może nawet sam umie nurkować. A tak nic nie działo bez butli tlenowych.

Stoczyliśmy butle z tratwy, wpadły z pluskiem do cenote i zatonęły. Kiedy dopłynęliśmy do brzegu, byłem już bardzo zmęczony, a jeszcze wiele pozostało do zrobienia. Smith i Fowler wzmocnili barak, lecz możliwości ich nie były zbyt wielkie. Trudno ich za to winić. Nie mieliśmy przecież odpowiednich materiałów.

— Gdzie Fallon? — spytałem.

— Chyba w swoim baraku.

Znalazłem go siedzącego z ponurą miną za biurkiem. Odwrócił się, gdy zamknąłem drzwi.

— Jemmy! — powiedział z rozpaczą. — Ale wpadliśmy! Ale strasznie wpadliśmy!

— Drink dobrze ci zrobi. — Zdjąłem z półki butelkę i dwie szklanki. Nalałem do nich po kilka kieliszków czegoś mocnego i jedną z nich podsunąłem Fallonowi. — To nie twoja wina.

— Oczywiście, że moja — przerwał mi szorstko. — Nie potraktowałem Gatta wystarczająco poważnie. Ale kto by pomyślał, że taki rozbój może się zdarzyć w dwudziestym wieku?

— Sam kiedyś powiedziałeś, że Quintana Roo nie znajduje się w samym centrum cywilizowanego świata. — Wypiłem łyk whisky i poczułem ciepło w gardle. — Te ziemie tkwią jeszcze w osiemnastym wieku.

— Przesłałem wiadomość przez chłopców, którzy wyjechali. Listy do władz w México City o tym, co tutaj znaleźliśmy. — Nagle zaniepokoił się. — Chyba nie spotkało ich nic złego ze strony Gatta?

— Nie sądzę. Trudno, żeby we wszystko się wdawał, bo władze mogłyby się zorientować, że coś nie jest w porządku.

— Powinienem był to zrobić wcześniej — powiedział Fallon z żalem. — Departament Starożytności uwielbia sprawować nadzór nad wykopaliskami. To miejsce zaroi się od urzędników, gdy tylko rozejdzie się wiadomość. — Posłał mi wymuszony uśmiech. — Dlatego właśnie nie zawiadamałem ich wcześniej, przez jakiś czas chciałem mieć to wszystko dla siebie. Boże, jakim byłem głupcem!

Nie starałem się go oszczędzać.

— Pat Harris wielokrotnie cię ostrzegał. Dlaczego, do diabła, nie reagowałeś na to?

— Byłem samolubny — przyznał. Popatrzył mi prosto w oczy. — Zwyczajnie samolubny. Chciałem tu zostać, póki jeszcze mogłem, dopóki miałem czas. Tak mało mam już czasu, Jemmy.

— Wrócisz w przyszłym sezonie — powiedziałem i pociągnąłem trochę whisky.

— Nie — pokręcił głową — już nigdy tu nie wrócę. Ktoś inny to przejmie, ktoś młodszy. To mógłby być Paul, gdyby nie był tak nierozważny i niecierpliwy.

— Do czego zmierzasz? — Odstawiłem szklanę. Posłał mi zmęczony uśmiech.

— Umrę w ciągu trzech miesięcy, Jemmy. Powiedzieli mi o tym tuż przed wyjazdem z Mexico City. Wtedy dawali mi sześć miesięcy. — Rozparł się na krześle. — Lekarze nie chcieli, żebym jechał na tę wyprawę, wiesz, jak to z nimi jest. Zrobiłem to wbrew ich opinii, ale jestem z tego zadowolony. A teraz wrócę do Mexico City i pójdę do szpitala, by umrzeć.

— Co to jest?

— Stary wróg. Rak.

W ciszy baraku słowo to padło ciężko jak ołów. Umilkłem zakłopotany. Wyjaśniło się wreszcie, dlaczego tak często stawał się jakby nieobecny duchem, jaki był powód uporczywego dążenia, by doprowadzić do końca zamierzoną pracę, dlaczego skupił się na osiągnięciu tego jednego celu bez oglądania się na inne sprawy. Chciał przed śmiercią przeprowadzić swoje ostatnie wykopaliska i cel ten osiągnął.

— Przepraszam — szepnąłem po chwili.

— Ty przepraszasz! — parsknął. — Przepraszasz mnie! Ale jeśli nie mylisz się co do Gatta, to chyba nie dożyję tego, by umrzeć w szpitalu, tak zresztą jak i wszyscy pozostali tutaj. To ja ciebie przepraszam, Jemmy, że cię w to wciągnąłem. Ciebie i innych. Lecz przeprosiny niczego nie załatwiają, prawda? Jaki pożytek z powiedzenia trupowi „przepraszam”?

— Uspokój się.

Zamilkł przygnębiony. Po chwili zapytał:

— Jak sądzisz, kiedy Gatt zaatakuje?

— Nie mam pojęcia, ale pewnie niedługo wykona jakiś ruch. — Dopilem whisky. — Lepiej się trochę przespij. — Wiedziałem, że Fallon nie wziął sobie do serca mojej propozycji, ale nic nie powiedział, więc wyszedłem.

Rudetsky miał jednak kilka własnych pomysłów. Wpadłem na niego w ciemności, gdy rozwijał zwój drutu. Zaklął siarczyście i powiedział:

— Przepraszam cię, ale nerwy trochę mnie zawodzą.

— Co robisz?

— Jeżeli te dranie zaatakują, będą się mogli ukryć za tymi dwoma barakami.

Wziąłem więc tyle nitrogliceryny, ile udało mi się znaleźć, i założyłem ją. Teraz przeciągam drut do detonatora w naszym baraku. Nie będą mieli żadnej osłony, jeśli tylko zdążę to zrobić.

— Nie wysadzaj jeszcze tych baraków — powiedziałem. — Lepiej wypadnie to jako niespodzianka. Zaczekajmy, aż wysadzenie ich stanie się konieczne.

— Zaskakujesz mnie — mlasnął językiem. — To doprawdy paskudny kawał.

— Tam, w lesie, wziąłem kilka lekcji. — Pomogłem mu rozwinąć drut i zamaskowaliśmy go na tyle, na ile się dało. Rudetsky zamocował końcówki jednego kompletu drutów do zacisków detonatora i poklepał jego ściankę z zadowoleniem.

— Wkrótce będzie świtać — zauważyłem. Podszedł do okna i spojrzął w niebo.

— Jest sporo chmur. Fallon mówił, że deszcze rozpoczynają się nagle.

— Postaw Smitha i Fowlera na straży na skraju obozu — powiedziałem, ponieważ nie o pogodę się martwiłem najbardziej. — Lepiej, żebyśmy nie zostali zaskoczeni.

Potem miałem godzinę dla siebie. Usiadłem przed barakiem i prawie natychmiast zasnąłem, czując nagły przypływ zmęczenia. Sen był czymś, czego nie dano mi w nadmiarze i gdyby nie ten dwudziestoczętygodzinny wypoczynek na drzewie, w lesie, śmiem twierdzić, że straciłbym świadomość jak po środku nasennym. W tej sytuacji jednak tylko drzemałem, dopóki ktoś nie obudził mnie, potrząsając za ramię. Był to Fowler.

— Ktoś nadchodzi — oznajmił pospiesznie.

— Gdzie?

— Z lasu. Stamtąd, pokażę ci.

Poszedłem za nim do baraku stojącego na skraju obozu i służącego jako punkt obserwacyjny. Wziąłem lornetkę, którą mi podał, i nastawiłem ostrość na odległą postać w bieli, idącą wolno przez oczyszczony teren.

Było już dostatecznie widno, a lornetka na tyle mocna, że bez trudu rozpoznałem Gatta.

Rozdział 40

Powietrze tego ranka było wyjątkowo przejrzyste. Pomimo chmur, szybko biegnących po niebie, wszystko było przezroczyste jak kryształ, zniknęła nawet spowodowana upałem mgielka, która zwykle snuła się od świtu ponad lasem. Właśnie wschodziło słońce, prześwietlając niebo niesamowitym, niezdrowym, żółtym blaskiem. Lekki wiatr od zachodu ugiął gałęzie drzew ponad oczyszczonymi ruinami Uaxuanoc.

Gdy nastawiłem ostrość szkieł lornetki na Gatta, z niezadowoleniem stwierdziłem, że drżały mi ręce. Musiałem oprzeć lornetkę na framudze okna, by obraz przestał mi tańczyć przed oczami.

Gatt nie spieszył się. Przechadzał się tak beztrudnie, jakby zażywał tradycyjnego, porannego spaceru w parku miejskim, czasem tylko zatrzymywał się i przyglądał odkrytym kopcom. Ubrany był równie schludnie jak wtedy, gdy przyleciał do obozu, i zobaczyłem nawet cienki skrawek białej chusteczki, która wystawała z butonierki.

Zignorowałem go, lustrując lornetką ruiny. Nikt więcej się nie pokazał i wyglądało na to, że Gatt jest sam. Nic bardziej złudnego. Podąłem lornetkę Rudetsky'emu, który wszedł do baraku. Uniósł ją do oczu i zapytał:

— To ten facet?

— Zgadza się, to Gatt.

— Nie spieszy się — mruknął. — Co on, do diabła, robi? Zbiera kwiatki?

Gatt pochylił się i szukał czegoś na ziemi.

— Będzie tu za pięć minut — powiedziałem. — Wyjdę, żeby z nim porozmawiać.

— To ryzykowne.

— I tak trzeba to zrobić, a wołałbym, żeby ta rozmowa odbyła się raczej na zewnątrz niż tutaj. Czy ktoś potrafi posługiwać się tym karabinem, który mamy?

— Znam się na tym nie najgorzej — powiedział Fowler.

— Nie najgorzej, do diabła! — zagrzmiał Rudetsky. — Był snajperem w Korei.

— Dla mnie to wystarczy — powiedziałem, próbując się uśmiechnąć. — Trzymaj go na muszce, a gdyby chciał wykręcić jakiś numer, zastrzel go.

Fowler wziął karabin i obejrzał celownik.

— Nie odchodź za daleko — ostrzegł. — I nie stawaj przypadkiem na linii strzału.

Podszedłem do drzwi baraku.

— Ukryjcie się dobrze — rzuciłem jeszcze i wyszedłem na zewnątrz, czułem się jak skazaniec w drodze na szubienicę. Skierowałem się w stronę Gatta i przechodząc przez odsłonięty teren, miałem niemiłą świadomość tego, że krok w krok podąża za mną muszka czyjegoś karabinu. Stosując się do wskazówek Fowlera, szedłem wolno, tak aby spotkać się z Gattem o jakieś dwieście metrów od baraku. Skręciłem nieco, starając się stworzyć Fowlerowi jak najlepsze warunki do strzału.

Zbliżając się do mnie, Gatt zapalił cygaro i uprzejmie uchylił róna swojej panamy.

— O, pan Wheale, piękny poranek, nieprawdaż? — Nie byłem w nastroju do zabawy w kotka i myszkę, więc nic nie odpowiedziałem. Wzruszył ramionami. — Mógłbym rozmawiać z profesorem Fallonem?

— Nie — odparłem krótko.

— No, dobrze! — Pokiwał głową ze zrozumieniem. — Oczywiście wiesz, po co przyszedłem. — Nie było to nawet pytanie, lecz bezbarwne stwierdzenie.

— Nic nie dostaniesz — powiedziałem równie beznamiętnie.

— O, dostanę, dostanę. — W jego głosie brzmiała pewność. Popatrzył na słupek popiołu na końcu cygara. — O ile dobrze rozumiem, występujesz w imieniu Fallona.

Trochę mnie to zaskoczyło, naprawdę. Wydawało mi się, że stać go na to, by mówić za siebie, jednak okazało się, że wewnątrz jest mięczakiem jak większość ludzi. Ale do rzeczy. Sporo wyciągnęliście z tej cenoty. Chcę to mieć. To chyba proste. Jeżeli oddacie mi to bez problemów, ja też ich wam nie sprawię.

— Nie wyrządzisz nam krzywdy? — dopytywałem się.

— Zwyczajnie wyjedziecie sobie stąd — zapewnił mnie.

— Jaką mamy na to gwarancję?

Rozpostarł ramiona i podniósł na mnie oczy, z których była szczerość.

— Daję ci na to moje słowo.

— Nic z tego, Gatt — roześmiałem się głośno. — Aż taki głupi nie jestem.

— Mówmy otwarcie, Wheale. — Po raz pierwszy okazał gniew, a w jego oczach pojawił się dziki błysk. — Przychodzę, by zabrać te świece i ani ty, ani ktokolwiek inny nie powstrzyma mnie od tego. Oddajcie je dobrowolnie albo zabiorę je siłą. Wybór należy do ciebie.

Kątem oka zarejestrowałem jakiś ruch i odwróciłem głowę. Kilka ubranych na biało postaci wynurzało się wolno z lasu. Tworzyli rozciągniętą linię i nieśli karabiny. Gwałtownie spojrzałem na drugą stronę i dostrzegłem inną grupę mężczyzn wyłaniającą się z lasu.

Najwyraźniej nadszedł czas, by trochę przycisnąć Gatta. Wymacałem w kieszeni koszuli papierosy, zapaliłem jednego i niedbale podrzuciłem w górę pudełko zapalek.

— Gatt, jesteś na muszce — oznajmiłem. — Jeden fałszywy ruch i zginiesz.

— Ty też. — Uśmiechnął się nieznacznie. — Nie jestem głupcem.

— Mam umówiony sygnał. — W dalszym ciągu podrzucałem pudełko zapalek. — Jeżeli upuszczę te zapaliki, dostaniesz kulę. Zatrzymaj swoich ludzi, bo jeśli zrobią jeszcze dziesięć metrów, upuszczę je.

— Blefujesz — powiedział, spoglądając na mnie niepewnie. — Też byś wtedy zginął.

— Spróbuj — zachęciłem. — Jest różnica pomiędzy tobą a mną. Nie dbam specjalnie o życie, ale założę się, że tobie na twoim zależy. Stawki są wysokie w tej grze, Gatt, a im zostało jeszcze pięć metrów. Pamiętaj, zabiłeś mojego brata! I drogo zapłacisz za jego życie.

Gatt jak zahipnotyzowany wpatrywał się w pudełko, gdy wleciało do góry i mimowolnie drgnął, kiedy niezręcznie je chwyciłem. Stawka w grze, którą prowadziłem, była wysoka, musiałem więc pozorować bezwzględność. Ponownie podrzuciłem pudełko.

— Jeszcze trzy metry i żaden z nas nie będzie musiał się więcej martwić o skarby Uaxuanoc. Załamał się.

— W porządku, odeślę ich — powiedział ochryple. Uniósł obie dłonie i pomachał. Szereg ludzi zatrzymał się, a następnie wycofał w stronę lasu. Patrząc w ślad za nimi, podrzuciłem jeszcze raz pudełko, a Gatt krzyknął z irytacją. — Na miłość boską, przestań się tym bawić!

Uśmiechnąłem się i przytrzymałem pudełko, ciągle jednak obracając je w palcach. Na czole Gatta pojawiły się niewielkie kropelki potu, mimo że nie było jeszcze upału.

— Nie chciałbym grać z tobą w pokera — powiedział wreszcie.

— Jeszcze tej gry nie próbowałem.

— Słuchaj, Wheale, nie wiesz, jak sprawy stoją — wysapał rozdrażniony. — Miałem oko na Fallona od samego początku. Chryste, uśmiełem się wtedy na pasie startowym, kiedy wszyscy odgrywaliście niewiniątka. Naprawdę zdawało się wam, że mnie nabierzecie? Do diabła, wiedziałem o wszystkim, co robicie i co zamierzacie. Przegoniłem tego głupca, Harrisa, po całym Meksyku. I zobacz, wszystko sprowadziło

się do jednego, jedyne punktu: jestem tutaj i jestem górą. Co ty na to?

— Musiałeś mieć jakąś pomoc — zaryzykowałem.

— Nie wiedziałeś? — sprawiał wrażenie zaskoczonego i zaczął się śmiać. — Jezu! Miałem tego cholernego durnia, Halsteda. Przyszedł do mnie jeszcze w Mexico City i zawarł umowę. Bardzo z niego zachłanny facet, nie chciał dzielić tego miasta z Fallonem, więc szybko się dogadaliśmy. On dostałby ruiny, a ja zabrałbym złoto i usunąłbym mu Fallona. — Kąciki ust wykrzywiła mu pełna okrucieństwa pogarda. — Facet miał zbyt wielkiego pietra, żeby sam go zabić.

A więc to był Halstead, tak jak podejrzewał Pat Harris. To on, gdy tylko odnaleźliśmy Uaxuanoc, dał znać Gattowi. Nic dziwnego, że Pat kręcił się w kółko, skoro Gatt znał każdy nasz ruch. Zrobiło mi się niedobrze, kiedy zdałem sobie sprawę, jak fałszywie pojęta ambicja może zdeprawować człowieka, doprowadzając do tego, by sprzymierzył się z kimś takim jak Gatt. Zabawne w tym wszystkim było to, że Halstead właściwie miał zamiar go okpić, nie spodziewał się przecież, że znajdziemy cokolwiek na tyle wartościowego, aby Gatt mógł na tym położyć łapę.

— Gdzie jest teraz Halstead? — spytałem twardym głosem.

— Och, już nie żyje — rzucił Gatt zdawkowo. — Kiedy go ścigaliście, moi chicleros trochę zbyt skwapliwie pociągali za spusty i dostał kulę. — Uśmiechnął się. — Czy zaoszczędziłem ci kłopotu, Wheale?

— Tracisz tu czas. — Zignorowałem zaczepkę. — Proszę, chodź i zabierz swój łup, ale zamoczysz się, chcąc to zrobić.

— Nie ja! Ty! Dobrze wiem, co z tym zrobiłeś. Halstead nie umarł od razu i powiedział mi, przy użyciu łagodnej perswazji, gdzie są te rzeczy. Zajęło to trochę czasu, bo byłbym tu wcześniej, zanim wsadziliście je do wody. Ale nie ma to większego znaczenia, naprawdę. — Jego głos brzmiał spokojnie, łagodnie, a jednocześnie przerażająco groźnie. — Możesz to wyciągnąć, Wheale, jesteś nurkiem, tak jak i ta suka Halsteda. Zejdiesz na dół i przyniesiesz mi to w zębach.

— Nie masz pojęcia o nurkowaniu. To nie jest robota na pięć minut.

— Tak czy inaczej nie wymigasz się od tego. — Przeciął dłonią powietrze.

— Ciekawe, w jaki sposób chcesz mnie zmusić.

— Coś wymyślę. Dowiesz się. — Jego uśmiech był straszny. — Powiedzmy, że przytrzymam Fallona i popracuję nad nim, co? Będziesz patrzył na to, co robię, i szybko skoczysz do wody. Obiecuję ci. —

Upuścił niedopałek cygara i poklepał mnie po piersiach. — Miałeś rację, mówiąc, że różnimy się. Ja jestem twardy, Wheale, a tobie się tylko wydaje, że taki jesteś. Przed chwilą odstawiłeś niezłą gierkę i nabrałeś mnie, ale jesteś taki sam, jak cała reszta zwykłych nędzników na tym świecie, miękki w środku, podobnie jak Fallon. Kiedy zacznę powoli rozbierać na części Fallona albo tę dziewczynę, a może tego wielkiego wołu, Rudetsky'ego, to będziesz nurkował. Rozumiesz, co mam na myśli?

Zrozumiałem aż za dobrze. Ten człowiek traktował swoje okrucieństwo jak narzędzie. Sam był wyzuty z ludzkich uczuć, miał jednak dostateczną wiedzę, by manipulować uczuciami innych. Gdybym rzeczywiście umówił się z Fowlerem, bez namysłu upuściłbym wówczas to pudełko zapalek, ryzykując nawet, że zostanę zabity, byle tylko jego wyeliminować. A tak mogłem jedynie przeklinać własną bezmyślność, przeklinać się za to, że nie zabrałem pistoletu, by zastrzelić tego drania.

Wstrzymałem oddech, usiłując mówić spokojnie.

— W takim razie musisz uważać, żeby mi się nic nie stało. Słyszałeś chyba o kurze znoszącej złote jajka?

— Będziesz jeszcze żałował, że cię nie zabiłem — obiecał, wykrzywiając usta w szyderczym grymasie. — Naprawdę, będziesz. — Odwrócił się i odszedł, więc ja także pośpiesznie zawróciłem do baraku.

Dopadłem drzwi i wrzasnąłem:

— Zastrzel tego bydlaka! — szalałem z wściekłości.

— Nie da rady — powiedział Fowler od okna. — Ukrył się.

— No i co? — spytał Rudetsky.

— On zwariował, kompletnie zwariował! Napotkał nasz opór i zwariował. Nie może dosięgnąć łupu, więc chce go wyrwać, nie licząc się z tym, ile popłynie krwi. — Przypomniał mi się inny szaleniec, który obłąkańczo krzyczał: Weltmacht oder Niedergang. Tak jak Hitler Gatt zupełnie zwariował, w złości był gotów zniszczyć nas i siebie. Przestały docierać do niego jakiegokolwiek argumenty. Widział świat poprzez czerwień krwi.

Rudetsky i Fowler spoglądali na mnie w milczeniu, po czym Rudetsky westchnął głęboko:

— Myślę, że to chyba bez znaczenia. Wiedzieliśmy, że i tak byłby nas zabił.

— Lada chwila ruszy do ataku — powiedziałem. — Niech wszyscy wrócą do baraku przy cenote.

Joe wepchnął mi rewolwer do ręki.

— Musisz tylko nacisnąć spust.

Wziąłem broń, choć wcale nie byłem pewien, czy potrafię się z nią obchodzić jak należy, i wybiegliśmy z baraku, ile sił w nogach. Byliśmy dopiero w połowie drogi do cenote, kiedy rozległa się palba karabinowa, a wokół nas zaczęły się wzbijać fontanny ziemi.

— Rozproszyc się! — ryknął Rudetsky i skreślił ostro, wpadając na mnie. Odbił się i obaj daliśmy nura za ścianę baraku. Padło jeszcze kilka strzałów.

— Gdzie oni są? — spytałem.

— Gdzieś od frontu. — Pierś Rudetsky'ego falowała.

Ludzie Gatta przystąpili do ataku, gdy tylko ich szef ukrył się, zapewne według wcześniej umówionego sygnału. Strzały padały zewsząd jak na jakimś westernie i trudno było nawet precyzyjnie określić, skąd nadchodzi atak. Zobaczyłem Fowlera, który skulony dotąd za porzuconą skrzynią po drugiej stronie polany nagle zerwał się i zaczął biec zakosami, jak przystało na doświadczonego żołnierza. Kule wzbijały się wokół niego, ale nie został trafiony i zniknął nam z oczu gdzieś za barakiem.

— Musimy się stąd wynosić — powiedział szybko Rudetsky. Na jego twarzy malowało się napięcie. — Z powrotem do baraku.

Miał na myśli barak nad cenote. Zrozumiałem, o co mu chodzi. Nie było sensu umacniać baraku, a potem dać się złapać na otwartej przestrzeni. Miałem nadzieję, że pozostali wykazali na tyle rozsądku, by się tam wycofać, kiedy tylko rozległy się pierwsze strzały. Obejrzałem się za siebie i przekląłem miłującego ład i porządek Rudetsky'ego. Wybudował obóz z szeroką, otwartą ulicą, która nie dawała nam teraz żadnej osłony przed kulami.

— Lepiej rozdzielimy się, Joe, w dwa ale trudniej trafić niż w jeden.

— Idź pierwszy — powiedział gwałtownie. — Będę mógł cię osłaniać.

Nie było czasu na dyskusje, więc pobiegłem do baraku za nami. Miałem już tylko dwa metry do niego, kiedy nieoczekiwanie zza rogu wyłonił się chiclero. Był tak samo zaskoczony jak ja, gdyż dosłownie nadział się na pistolet, który trzymałem przed sobą, tak że lufa wcisnęła mu się w brzuch.

Pociągnąłem za spust, a siła wystrzału szarpnęła mi konwulsyjnie ramię. Wyglądało to, jak gdyby jakaś ogromna ręka zwała się chiclero z nóg: odrzuciło go i upadł z rozpostartymi ramionami. Byłem tak roztrzęsiony, że serce wywinęło mi chyba w piersi kilka salt, zanim uspokoiłem się na tyle, by skoczyć w drzwi baraku.

Na moment oparłem się o ścianę, łapiąc oddech i rozluźniając ściśnięte ze strachu wnętrzności, po czym odwróciłem się i ostrożnie wyjrzałem przez okno.

Rudetsky'ego nie było widać, musiał ruszyć zaraz za mną.

Popatrzyłem na rewolwer, był załadowany do pełna, a teraz tkwiło w nim jeszcze pięć kul. Te przeklęte zbiry zbliżały się ze wszystkich kierunków.

Człowiek, którego zastrzeliłem, nadszedł z tyłu, od strony cenote. Płynące z tego wnioski niezbyt przypadły mi do gustu.

Zastanawiałem się, co robić dalej, gdy podjęto za mnie decyzję. Tylne drzwi baraku otworzyły się z trzaskiem, ustępując pod silnym kopnięciem. Gwałtownie odwróciłem głowę i zobaczyłem w nich chiclero, który naciskał właśnie spust wymierzonego we mnie karabinu. Wydawało się, że czas zatrzymał się, stałem jak sparaliżowany, zanim uczyniłem żalosną próbę uniesienia rewolweru. Nawet wówczas wiedziałem, że było za późno.

Nagle chiclero drgnął, wykonując ruch podobny do tego, jaki widuje się w starych filmach, kiedy kilka klatek zostało wyciętych z akcji, powodując przemieszczenie aktora. Boczna część szczęki chiclero znikła, a dolna połowa twarzy zmieniła się w krwawą maskę. Wydał z siebie bulgocący krzyk, przytknął dłonie do twarzy i zatoczył się w bok, upuszczając z łoskotem karabin na próg. Nie wiem, kto go zastrzelił, mógł to być Fowler lub Rudetsky, albo nawet któryś z jego towarzyszy — kule latały tak gęsto, że i taka pomyłka była możliwa.

Nie traciłem jednak czasu na zastanawianie się nad tym. Skoczyłem do przodu i skulony wypadłem przez otwarte drzwi, chwytając w biegu porzucony karabin. Nikt do mnie nie strzelił, gdyż gnałem na złamanie karku, kierując się w lewo, na skraj obozu. Zbliżyłem się do baraku nad cenote okrężną drogą, ale nie byłem w stanie powiedzieć, czy drzwi były otwarte lub czy ktoś był w środku. Ale zobaczyłem Fowlera, jak biegł do niego od frontu.

Już prawie mu się udało, gdy nie wiadomo skąd pojawił się jakiś człowiek, nie chiclero, ale jeden z eleganckich zbirów Gatta. Trzymał w rękach coś, co jak oceniłem na pierwszy rzut oka, było pistoletem maszynowym. Fowler był nie więcej niż sześć kroków od baraku, kiedy gangster wystrzelił, a jego broń wybuchła specyficznym podwójnym buuum. Fowler został trafiony odłamkami z obrzynka, a siła uderzenia odrzuciła go w bok jak zmięty tobołek.

Wystrzeliłem pośpiesznie do mordercy, choć nie miałem nadziei trafienia go, i pognałem do drzwi baraku. Kula odłupowała parę drzazg u framugi tuż obok mojej głowy, jedna z nich wbiła mi się nawet w policzek, gdy wpadłem do środka. Ktoś zatrzasnął za mną drzwi. Kiedy ponownie wyjrzałem na zewnątrz, przekonałem się, że dla Fowlera nic już nie można było zrobić. Jego ciało drgało od czasu do czasu, kiedy trafiały je kule. Używano go jako celu ćwiczebnego.

Rozdział 41

Bezlądna strzelanina stopniowo cichła, a ja rozejrzałem się po baraku. Fallon, przykucnąwszy pod oknem, ścisnął strzelbę. Smith stał obok drzwi z pistoletem w ręce i najprawdopodobniej to on je zatrzasnął. Katherine leżała na podłodze, łkając spazmatycznie. Nikogo więcej nie było.

Kiedy się odezwałem, mój głos wydał mi się obcy.

— Rudetsky?

Fallon odwrócił głowę i spojrzał na mnie. W jego oczach malował się ból.

— W takim razie już nie przyjdzie — powiedziałem chrapliwie.

— Jezu! — odezwał się Smith drżącym głosem. — Zabili Fowlera. Zastrzelili go.

Jakiś głos zahuczał na zewnątrz. Był to Gatt, który najwyraźniej posługiwał się przenośnym megafonem.

— Wheale, słyszysz mnie?

W pierwszej chwili otworzyłem usta, ale zaraz mocno je zacisnąłem. Klócić się z Gattem, starać się go przekonywać byłoby bezcelowe. Tak jak sprzeciwianie się sile żywiołów, jak próba zmiany kierunku błyskawicy za pomocą sylogizmu. Popatrzyliśmy z Fallonem na siebie.

— Wiem, że tam jesteś, Wheale — dobiegł nas donośny głos. — Widziałem, jak wszedłeś. Jesteś gotów do zawarcia umowy?

Przygryzłem wargi. Fallon niepewnie zapytał: — Umowa? Czy on wspomniał o umowie?

— Nie o takiej, jakiej byś oczekiwał — odparłem.

— Przykro mi, że ten facet został zabity — krzyknął Gatt. — Ale ty wciąż jeszcze żyjesz, Wheale. Mogłem cię zabić choćby na progu, ale tego nie zrobiłem. Chyba wiesz dlaczego.

Smith gwałtownie odwrócił głowę i popatrzył na mnie zmrużonymi oczyma. Było w nich nieme pytanie. Zacisnąłem dłoń na rękojeści rewolweru i mierzyłem go wzrokiem, dopóki nie odwrócił oczu.

— Mam tu jednego faceta — zaryczał Gatt. — Wielkiego Joego Rudetsky'ego. Jesteś gotów do umowy?

Doskonale zrozumiałem groźbę. Obliziałem wargi i krzyknąłem:

— Pokaż go żywego, to może będę.

Nastąpiła długa przerwa. Nie wiedziałem, co bym zrobił, gdyby Joe rzeczywiście żył, a Gatt zaczął spełniać swoje pogroźki. Cokolwiek bym uczynił i tak było bezcelowe. Oznaczałoby to oddanie nas czworga w jego ręce i pozbycie się wszelkich atutów. A w końcu, tak czy inaczej, zabiłby nas wszystkich. Ale gdyby pokazał Joego Rudetsky'ego i zaczął go torturować, to czy potrafiłbym wytrzymać? Nie wiedziałem.

— Sprytny jesteś, Wheale. — Gatt roześmiał się wreszcie. — Bardzo sprytny. Tyle że nie dość twardy. Fallon jeszcze żyje? . Gestem nakazałem Fallonowi milczenie.

— Przypuszczam, że tam jest i on, i jeszcze jedna lub dwie osoby. Pozwolę, żeby to oni cię przekonali, Wheale. Może wtedy zdecydujesz się, by zawrzeć ze mną umowę. Dam ci godzinę, nie więcej. Nie sądzę, byś okazał się na to dość twardy.

Czekaliśmy jeszcze w bezruchu przez dwie minuty, ale nic więcej nie powiedział. Byłem mu za to wdzięczny, bo i tak powiedział wystarczająco dużo, mogłem to dostrzec w oczach Smitha. Spojrzałem na zegarek i ze zgrozą uświadomiłem sobie, że była dopiero siódma rano. Niecałe piętnaście minut wcześniej rozmawiałem z Gattem poza obozem. Zaatakował nas nagle i bezlitośnie.

Fallon powoli usiadł na podłodze. Troskliwie położył obok siebie strzelbę.

— Co to za umowa? — zapytał, przyglądając się swoim stopom. Jego głos był

głosem zmęczonego życiem starca.

Smith obchodził mnie teraz bardziej niż Fallon. Trzymał wciąż pistolet automatyczny, niby luźno, lecz ciągle mógł być niebezpieczny.

— Tak, co to za umowa? — powtórzył.

— Nie ma żadnej umowy — oznajmiłem krótko. Smith skinął głową w stronę okna.

— Ten facet twierdzi coś innego.

— Wątpię, czy chciałbyś o tym usłyszeć — powiedziałem chłodno.

Zobaczyłem, jak palce zacisnęły mu się na broni, więc uniosłem rewolwer. Nie stał wprawdzie zbyt daleko ode mnie, nie wiem nawet, czy mógłbym go trafić. Podobno rewolwery są bardzo mało dokładne w niedoświadczonych rękach. Smith jednak nie wiedział, że jestem miernym strzelcem.

— Pozabijamy się wszyscy nawzajem, zaoszczędzimy przynajmniej Gattowi kłopotu — powiedziałem ze złością.

Smith popatrzył na lufę mojego rewolweru wycelowanego w jego brzuch.

— Chcę się po prostu czegoś dowiedzieć o tej umowie — wyjaśnił poważnie.

— W porządku, powiem ci, ale najpierw odłóż broń. Rozprasza mnie.

Myśli kłębiące się w głowie Smitha były tak wyraziście odzwierciedlone na jego twarzy, jak gdyby wypowiedział je na głos. W końcu podjął decyzję. Pochylił się i położył pistolet na podłodze. Odprężyłem się i również odłożyłem swoją broń na stół. Napięcie zmalowało.

— Wydaje mi się, że wszyscy jesteśmy już wykończeni nerwowo — powiedział Smith. Zabrzmiało to jak usprawiedliwienie.

Fallon wciąż przypatrywał się czubkom swoich butów, jakby one właśnie były najważniejszą rzeczą na świecie. Zapytał cicho:

— Kogo chce Gatt?

— Mnie. Chce, żebym zszedł na dno cenote i wyciągnął tamte rzeczy.

— Tak przypuszczałem. Co się stało z Rudetskim?

— Nie żyje. Miał szczęście.

— Co to znaczy? — Smith aż syknął, gwałtownie wciągając powietrze.

— Sposób, w jaki Gatt chce mnie nakłonić do nurkowania, nie jest zbyt wytworny. Weźmie kogokolwiek z was, ciebie, Fallona lub panią Halstead, to nie ma dla niego znaczenia, i będzie tę osobę torturował, aby wyrzucić na mnie presję. Jest zdolny do tego i sądzę, że byłby w siódmym niebie, mogąc popuścić wodze wyobraźni przy takim zajęciu. — Złapałem się na tym, że referowałem to w sposób beznamietny. — Może ci przypiekać stopy lutownicą, może cię kroić kawałek po kawałku, dopóki będziesz żył, może... zresztą nie ma końca tego typu pomysłów.

Smith odwrócił twarz. Drgnął nerwowo.

— I pozwoliłbyś mu na to? Tylko z powodu kilku zawszonych świecidełek?

— Nie mógłbym go powstrzymać. Dlatego jestem zadowolony, że Rudetski i Fowler nie żyją. Widzisz, pozbyliśmy się butli z tlenem, a nurkowanie bez nich byłoby cholernie trudne. Wszystko, co tutaj mamy, to kilka napełnionych butli do akwalungu, duże butle są na dnie cenote. Jeżeli sądzisz, że będę nurkował w tych warunkach z kimś wrzeszczącym mi do ucha za każdym razem, kiedy wypłynę na powierzchnię, to jesteś jeszcze bardziej szalony niż Gatt.

Smith rzucił się na Fallona.

— To ty mnie w to wpakowałeś, zwariowany staruchu! Nie miałeś prawa, słyszysz? Nie miałeś prawa! — Twarz wykrzywiła mu ogromna rozpacz. — Jezu, jak ja z tego wyjdę? Nie chcę być torturowany. — Głos załamał mu się w bezgranicznym żalu nad samym sobą, a z oczu popłynęły łzy. — Dobry Boże, nie chcę umierać! — Łkał.

Przykro było na niego patrzeć. Rozkleił się zupełnie. Gatt bardzo dobrze

wiedział, jak manipulować najgłębszymi instynktami ludzkimi, więc ta godzina łaski, którą nam dał, już w założeniu nie miała być wytchnieniem. Było to najbardziej sadystyczne posunięcie. Wygrywał! Katherine załamała się. Fallona zżerał rak oraz wyrzuty sumienia, a Smithowi groźba tortur i śmierci odebrała resztki godności.

Ogarnęła mnie totalna niemoc. Chciałem uderzyć, rozrywać i miażdżyć, chciałem dobrać się do Gatta i wyrzeć mu to jego cholerne serce. A nie mogłem nic zrobić i to poczucie beznadziejności dobijało mnie.

Smith spojrział na mnie przebiegle.

— Wiem, co zrobimy — wyszeptał. — Damy mu Fallona. To on nas w to wciągnął, a Gatt chciałby mieć Fallona, prawda? — W jego oczach czaił się obłęd. — Mógłby te wszystkie rzeczy zrobić z Fallonem, a nas zostawiłby w spokoju. Wtedy nic by się nam nie stało, prawda?

— Zamknij się — wrzasnąłem i wreszcie wziąłem się w karby.

Tego właśnie chciał Gatt: złamać nas zimno wykalkulowanym okrucieństwem. Stłumiłem w sobie pokusę brutalnego wyładowania na Smisie swoich frustracji i zacząłem mówić, starając się nadać głosowi ton zrównoważony i stanowczy:

— Posłuchaj, Smith. Wszyscy umrzemy. Możemy umrzeć w torturach lub od kuli. Wiem, co mi bardziej odpowiada, będę więc walczył z Gattem i zrobię wszystko, aby to jego zabić.

Smith spojrział na mnie z nienawiścią.

— Dobrze ci gadać. On ciebie nie będzie torturował, możesz czuć się bezpieczny.

Niedorzeczność tego, co powiedział, uderzyła mnie nagle i zacząłem się histerycznie śmiać. Wszystkie tłumione dotąd emocje znalazły ujście w śmiechu, nad którym nie mogłem zapanować.

— Bezpieczny! — prychnąłem. — Mój Boże, ale kawał! — Śmiałem się do łez, aż poczułem ból w piersiach. — Bezpieczny!

Szaleństwo, czające się w oczach Smitha, ustąpiło zdumieniu. Po chwili zrozumiał i zachichotał. Była to autentyczna histeria, ale dobrze nam obu zrobiła, bo gdy skończył się ten spazm, poczułem się oczyszczony, a Smith przestał wreszcie balansować na krawędzi obłędu.

Nawet na twarzy Fallona pojawił się ponury uśmiech, godny uwagi u człowieka, którego życie i rodzaj śmierci były przed chwilą przedmiotem spekulacji szaleńca.

— Przepraszam, że cię w to wpakowałem, Smith — powiedział — ale sam jestem w identycznej sytuacji. Jemmy ma rację, możemy tylko walczyć.

— To ja przepraszam, panie Fallon, coś mi odbiło — powiedział Smith z zakłopotaniem. — Chyba na moment zwariowałem. — Schylił się po pistolet, wyjął magazynek i szarpnął mechanizm, by wyprowadzić nabój znajdujący się w części zamkowej lufy. — Chcę tylko zabrać ze sobą tylu drani, ilu potrafię. — Przejrzał magazynek i załadował do niego luźny nabój. — Pięć kul, cztery dla nich i ostatnia dla mnie. Wydaje mi się, że tak będzie najlepiej.

— Może masz rację — powiedziałem, biorąc rewolwer. Zupełnie nie miałem pojęcia, czy umiałbym wpakować sobie kulę w łeb, gdybym był do tego zmuszony. — Uważaj na to, co się dzieje na zewnątrz. Gatt wprawdzie obiecał nam godzinę, ale zbyt mu nie ufam.

Zrobiłem kilka kroków i ukląknęłem obok Katherine. Jej oczy już były suche, choć na policzkach widniały jeszcze ślady łez.

— Jak się czujesz? — spytałem.

— Przykro mi — wyszeptała. — Przykro mi, że się załamałam, ale ten strach był silniejszy ode mnie.

— Dłaczego miałabyś się nie bać? Wszyscy się boimy. Tylko skończony głupiec nie boi się w takiej chwili jak ta. Nerwowo przełknęła ślinę.

— Czy oni naprawdę zabili Rudetsky'ego i Fowlera? Skinąłem głową i zawahałem się.

— Katherine, Paul też nie żyje. Gatt mi o tym powiedział. Westchnęła i oczy znów zaszyły jej łzami, choć ani jedna nie potoczyła się po policzkach.

— O mój Boże, biedny Paul! Chciał zbyt wiele i zbyt szybko.

„Biedny Paul” — rzeczywiście! Nie miałem zamiaru jej mówić wszystkiego, czego dowiedziałem się o Halsteadzie, o drogach, którymi kroczył w tym szybkim zdobywaniu tego, czego tak pragnął. Nic by to nie pomogło, a tylko zламаło ją jeszcze bardziej. Lepiej, żeby zapamiętała go takiego, jaki był wtedy, gdy pobierali się: młody, pełen entuzjazmu i ambicji. Wyjawienie jej całej prawdy byłoby zbędnym okrucieństwem.

— Też mi przykro.

Dotknęła z ufnością mojego ramienia.

— Jemmy, czy mamy jakąś szansę, czy choćby cień szansy?

Osobiście nie sądziłem, żebyśmy mieli większą szansę niż kulka śniegu w piekle. Spojrzawszy jednak na Katherine, powiedziałem pewnym głosem:

— Zawsze jest nadzieja.

Jej spojrzenie powędrowało poza mnie.

— Fallon chyba tak nie uważa — stwierdziła cicho.

Odrzuciłem głowę, by popatrzeć na niego. Ciągle siedział na podłodze z wyciągniętymi nogami i wpatrywał się w czubki butów, pewnie ich nawet nie widząc.

— On ma swoje własne problemy — powiedziałem, po czym wstałem i podszedłem do niego.

Gdy zbliżałem się, podniósł na mnie wzrok.

— Smith miał rację — powiedział cicho. — To moja wina, że znaleźliśmy się w takich tarapatach.

— Miałeś inne sprawy na głowie. Wolno skinął głową.

— Tak, byłem egoistą. Mogłem przecież spowodować deportację Gatta z Meksyku, wystarczyłoby mi na to wpływów. Ale zobojętniałem na wszystko.

— Nie przypuszczam, by to mogło przeszkodzić Gattowi — próbowałem go pocieszyć. — I tak by tu wrócił, on też ma trochę znajomości, jeśli to, co mówił Pat Harris, jest prawdą. Nie sądzę, żeby udało ci się go powstrzymać.

— Nie dbam o siebie — wyjaśnił Fallon ze skrucą. — Tak czy inaczej za trzy miesiące nie będę żył. Ale mieć na sumieniu tylu innych, to niewybaczalne. — Po tych słowach ponownie zamknął się w sobie, popadając w stan odrętwienia.

Nie byłem w stanie mu pomóc, więc podniosłem się i dołączyłem do Smitha stojącego przy oknie.

— Dzieje się coś?

— Kilku z nich jest w tych barakach.

— Ilu?

— Trudno policzyć, może po pięciu, sześciu w każdym.

— Sprawimy im niespodziankę — oznajmiłem pogodnie. — A gdzie jest Gatt?

— Nie wiem. Nie mam nawet pojęcia, jak wygląda. Cholernie zabawne, no nie? — Wpatrywał się w baraki. — Jeżeli otworzą do nas ogień z tak bliska, to kule będą przechodziły przez te ściany jak przez kartonowe pudło.

Odrzuciłem głowę, spojrzałem na skrzynkę detonatora oraz prowadzące do niej druty i zastanawiałem się, ile ładunków wybuchowych rozmieścił Rudetsky w tych barakach i czy ich nie odnaleziono. Gdy byłem jeszcze chłopcem, zawsze rozczarowywały mnie przytłumione fajerwerki w noc Guy Fowkesa.

Darowana nam godzina dobiegała końca. Mówiliśmy niewiele. Wszystko, co było do powiedzenia, zostało z nas wydarte w ciągu tych wybuchowych pierwszych pięciu

minut, zdawaliśmy sobie więc sprawę, że dalsza, bezowocna dyskusja nie miała najmniejszego sensu. Usiadłem i by się czymś zająć, zacząłem z pomocą Katherine sprawdzać akwalung. Przypuszczalnie podświadomie spodziewałem się, że w końcu ulegniemy Gattowi i będę musiał ponownie zejść do cenote. Gdyby do tego doszło, aparatura powinna być sprawna, choćby ze względu na dobro potencjalnych zakładników w rękach Gatta.

Ciszę gwałtownie przerwał szorstki głos Gatta spotęgowany przez megafon. Wydawało się, że miał z nim kłopoty, gdyż buczał, jak gdyby głośnik był przeciążony.

— Wheale! Jesteś gotów do rozmowy?

Skulony pobiegłem w stronę detonatora i ukląknę przy nim, mając nadzieję, że moja odpowiedź okaże się dostatecznie przekonywająca.

— Twoja godzina minęła, Wheale — zarechotał. — Będziesz łowił albo cię potnę na przynętę.

— Słuchaj — szarpnął mnie Smith. — To samolot.

Warkot był bardzo głośny. Nagle przeszedł w ryk, gdy samolot przeleciał nad nami. Desperacko przekręciłem rączkę detonatora o dziewięćdziesiąt stopni i wepchnąłem ją w dół. Barak aż zatrząsł się od siły eksplozji. Smith krzyknął z zachwytem, a ja podbiegłem do okna, by zobaczyć, co się stało.

Jeden z baraków zniknął niemal całkowicie. Gdy już rozwiął się dym, okazało się, że zostały z niego tylko betonowe fundamenty. Białe postacie uciekały w popłochu z drugiego baraku, a Smith strzelał w ślad za nimi. Złapałem go za ramię:

— Dostyc! Marnujesz naboje.

Samolot ponownie przeleciał nad nami, chociaż nie zobaczyliśmy go.

— Zastanawiam się, do kogo należy — powiedziałem. — Może do Gatta?

Smith roześmiał się podekscytowany.

— A może nie. Jezu, jaki daliśmy mu sygnał!

Ze strony Gatta nie było żadnej reakcji. Jego donośny głos zamilkł w chwili wybuchu i miałem desperacką nadzieję, że udało mi się go wysłać do wszystkich diabłów.

Rozdział 42

To byłoby jednak zbyt piękne, żeby było prawdziwe. Przez następną godzinę panowała cisza, a potem rozpoczęła się wolna, lecz systematyczna kanonada. Kule przeszywały cienkie ściany baraku, odłupując wewnętrzną izolację, opuszczenie więc miejsca przy grubych, drewnianych belkach rozmieszczonych przez Rudetsky'ego było bardzo niebezpieczne.

Główne zagrożenie stanowiły jednak nie bezpośrednie strzały, lecz rykoszety. Sądząc z tempa wystrzałów, wywnioskowałem, że zaangażowanych w to było trzech lub czterech ludzi. Z niepokojem zastanawiałem się, co robili pozostali.

Było oczywiste, że Gatt żył. Wątpiłem, aby bez niego i jego byczych chłopaków chicleros ponowili atak. W przeciwieństwie do Gatta nie mieliby motywu, a poza tym pewna ich liczba została wysadzona w baraku. Miałem podstawy, by sądzić, że żaden z ludzi znajdujących się w tamtym baraku nie przeżył eksplozji, co dla reszty musiało być diabelnym szokiem.

Fakt, że atak podjęto już po godzinie, dowodził, że Gatt bez względu na to, kim był, potrafił kierować i podporządkowywać sobie ludzi. Osobiście wiedziałem o trzech chicleros, którzy zostali zastrzeleni, następnych czterech, skromnie licząc, zginęło w baraku, a Fowler i Rudetsky, nim zostali zabici, pewnie też paru wykończyli. Gatt musiał być nie lada piekielnikiem, jeśli potrafił po odniesieniu takich strat zmobilizować chicleros do kolejnego ataku.

Po eksplozji samolot zatoczył kilka pętli, po czym odleciał, kierując się na północny zachód. Jeżeli należał do Gatta, to i tak nie robiło nam żadnej różnicy, jeśli do kogoś innego, to pilota musiało zastanowić, co się tu dzieje. Z pewnością zainteresowało go to na tyle, że kilkakrotnie przeleciał nad obozem. Mógł więc o tym zameldować odpowiednim władzom po dotarciu do celu swej podróży. Zanim jednak by podjęto jakieś kroki, wszyscy gryźlibyśmy już ziemię.

Nie przypuszczałem jednak, by mógł to być ktoś obcy. Już od dłuższego czasu przebywaliśmy w Quintana Roo i jedynymi samolotami, jakie widziałem, były samoloty należące do Fallona i dwusilnikowa awionetka Gatta, którą przyleciał do obozu I. W Quintana Roo nie ma zbyt wielkiego zapotrzebowania na usługi lotnicze, jeśli więc nie był to samolot Gatta, mógł mieć na pokładzie kogoś takiego jak Pat Harris, który chciał się dowiedzieć, dlaczego Fallon przestał kontaktować się ze światem zewnętrznym. Ale nie ludziłem się nawet, by mogło to zmienić naszą sytuację.

Skrzywiłem się z bólu, gdy kula przeszła ścianę baraku i kilka odprysków plastikowej izolacji wbiło mi się w grzbiet dłoni. Mieliśmy do wyboru dwie rzeczy: pozostać w baraku i czekać, aż nas po kolei wystrzelają, lub próbować przebić się do lasu i dać się zabić na otwartej przestrzeni. Kiepski wybór.

— Zastanawiam się, gdzie jest reszta tych facetów — powiedział Smith. — Od frontu nie może ich być więcej niż czterech.

— Chcesz wyjść na zewnątrz i sprawdzić? — uśmiechnąłem się krzywo.

Zdecydowanie potrząsnął głową.

— Niech sami przyjdą po mnie. Wtedy to oni będą odsłonięci.

Katherine przycupnęła za dużą belką, ściskając rewolwer, który jej dałem. Jeżeli nawet nie przestała się jeszcze zupełnie bać, to umiejętnie kryła strach. Bardziej martwił mnie Fallon, po prostu trwał w bezruchu, mocno trzymając strzelbę w oczekiwaniu tego, co musiało nastąpić. Myślę, że dał już za wygraną i z ulgą powitałby druzgocące uderzenie kuli w głowę, które zakończyłoby wszystko.

Mijał czas odmierzany regularną palbą karabinową i głuchymi uderzeniami kul,

gdy trafiały w grube drzewo. Pochyliłem się i przyłożyłem oko do przestrzelonej dziury w ścianie, kierując się raczej wątpliwą zasadą, że piorun nigdy nie uderza w to samo miejsce. Snajperzy byli doskonale ukryci, zupełnie bowiem nie można ich było zlokalizować. Zresztą i tak nie miało to żadnego znaczenia. Byliśmy w posiadaniu tylko jednego karabinu z dwoma nabojami w magazynku.

Ciało Fowlera leżało jakieś dziesięć metrów od baraku. Wiatr targał jego koszulę, a pasemka włosów tańczyły w rytm gwałtowniejszych podmuchów. Leżał spokojnie, z jedną ręką wyciągniętą w bok i nienaturalnie zgiętymi palcami. Można by pomyśleć, że spał, gdyby nie okropne, ciemne plamy krwi na koszuli, znaczące ślady po kulach.

Gardło zabolowało mnie, gdy przełknąłem ślinę. Spojrzałem na zniszczony barak, a potem dalej, na miny Uaxuanoc i odległy las. Było w tej scenerii coś dziwnego i nienaturalnego, ale nie z przyczyny tego ohydneho świadectwa przemocy i śmierci. Nastąpiła jakaś zmiana i sporo czasu minęło, zanim zgałęm, co się stało.

— Smith!

— Tak?

— Wiatr się wzmacnia.

Zapadła cisza. Wyjrzał na zewnątrz, aby to sprawdzić, po czym zapytał zmęczonym głosem:

— No i co z tego?

Ponownie popatrzyłem na las. Poruszał się, wierzchołki drzew i gałęzie tańczyły kołysane podmuchami wiatru. Przez cały okres mojego pobytu w Quintana Roo powietrze było zastygłe w bezruchu i gorące. Były chwile, kiedy z radością powitałbym chłodny powiew, Ostrożnie wyjrzałem przez okno, starając się nie wystawiać głowy na przypadkowy strzał. Na wschodzie niebo pociemniało, zasnuwając się ciężkimi chmurami, przez które przebijało odległe migotanie błyskawic.

— Fallon! Kiedy zaczyna się pora deszczowa? Lekko drgnął.

— Lada chwila, Jemmy.

Nie zainteresowałem się, dlaczego o to pytam.

— A gdybyś teraz zobaczył chmury i błyskawice, to co byś pomyślał?

— Że deszcze się zaczęły.

— I to wszystko? — spytałem rozczarowany.

— To wszystko.

Następna kula uderzyła w barak, a ja zakląłem, bo poczułem, jak drzazga wbija mi się w łydkę.

— Hej! — krzyknął Smith z trwogą. — Skąd ona, u diabła, przyleciała? — wskazał na wyszczerbioną dziurę w drewnianej podłodze.

Zrozumiałem, co miał na myśli. Ta kula uderzyła pod nieprawdopodobnym kątem, a przecież nie odbiła się rykoszetem. Wpadła następna — krzesło drgnęło i przewróciło się. Zobaczyłem dziurę w siedzeniu i już wiedziałem wszystko. Poczekałem jeszcze na kolejną kulę. I tym razem usłyszałem wyraźnie, jak przebiła dach. Chicleros wdrapali się na stok wzgórza za cenote i z góry ostrzeliwali nasz barak.

Sytuacja stała się zupełnie nie do zniesienia. Dodatkowo zabezpieczone były tylko ściany i osłona ta do tej pory dobrze nam służyła, od góry jednak nie chroniło nas nic. Mogłem już dostrzec światło dzienne, wpadające przez szczelinę w płycie azbestowej dachu, w miejscu, w którym kula rozłupała kruchy płat. Przy dostatecznej liczbie celnych strzałów chicleros mogli nieomal zedrzeć dach nad naszych głów, ale my najprawdopodobniej nie dożylibyśmy tego.

Minimalne schronienie mogliśmy znaleźć, kuląc się na styku podłogi za ścianą baraku stojącego najbliżej wzgórza, lecz stamtąd nie widzielibyśmy, co dzieje się przed barakiem. Gdybyśmy tak postąpili, to jedyną rzeczą, jaka pozostałaby Gattowi

do zrobienia, to podejść i otworzyć drzwi, a żaden z nas nie byłby nawet w odpowiedniej pozycji, by go zastrzelić.

Kolejna kula uderzyła z góry.

— Smith, chcesz się przebić? Poszedłbym z tobą.

— Nie da rady — powiedział nieustępliwie. — Wolę zginąć tutaj.

W dziesięć sekund po wypowiedzeniu tych słów dostał kulę w środek czoła. Siła uderzenia rzuciła go na ścianę, a w chwilę potem osunął się na podłogę. Zginął, nie widząc ani człowieka, który go zabił, ani nie znając Gatta, który wydał rozkaz.

Pochyliłem się nad nim i w tym samym momencie kula trzasnęła w ścianę, w miejsce, gdzie przed chwilą stałem.

Fallon krzyknął ostrzegawczo:

— Jemmy! Okno! — i usłyszałem przytłumiony huk strzelby.

Jakiś człowiek wrzasnął, a ja przetoczyłem się po ziemi z rewolwerem w ręce. W samą porę, by zobaczyć chiclero, znikającego za rozbitym oknem, i Fallona, który trzymał dymiącą jeszcze broń. Podszedł do okna i strzelił ponownie, a z zewnątrz odpowiedział mu krzyk.

Odsunął się i złamał strzelbę, by ją nabić, więc szybko zająłem jego miejsce. Jakiś chiclero w pośpiechu szukał schronienia. Inny, z rękami przy twarzy, zataczał się jak pijany, przeraźliwie jęcząc. Zignorowałem go i strzeliłem do trzeciego, skradającego się do drzwi o jakiś metr ode mnie. Nawet nowicjusz musiałby w takiej sytuacji trafić. Jęknął i złamał się wpół.

Cofnąłem się, gdy kula roztrzaskała jeden z pozostałych w oknie kawałków szkła, po czym gwałtownie wzdrygnąłem się, kiedy dwie następne przebiły dach. Lada chwila spodziewałem się uderzenia jednej z nich.

Fallon znowu się ożywił. Trącił mnie stopą. Spojrzałem w górę i zobaczyłem, że wpatrywał się we mnie bystrym wzrokiem.

— Możesz stąd wyjść — powiedział szybko. — Ruszaj się! Gapilem się bezmyślnie, więc machnął ręką, wskazując akwalung.

— Do cenote, cholera! — wrzasnął. — Tam się do ciebie nie dobiorą.

Podczołgał się do ściany i przyłożył oko do dziury po pocisku.

— Od frontu jest spokój. Mogę ich zatrzymać wystarczająco długo.

— A co z tobą?

— Co ze mną? — Odwrócił się. — Tak czy inaczej nie żyję. Nie martw się, Gatt nie weźmie mnie żywcem.

Nie było wiele czasu do namysłu. Katherine i ja mogliśmy schronić się w cenote przed kulami Gatta, ocaleć dzięki temu na jakiś czas, ale co potem? Po wypłynięciu bylibyśmy wystawieni na strzał, a przecież nie mogliśmy wiecznie siedzieć na dole. Jednak nawet niewielka nadzieja na przedłużenie życia była czymś więcej niż te kilka minut, które pozostawały nam w baraku.

Chwyciłem dłoń Katherine.

— Zakładaj akwalung i, na Boga, spiesz się.

Spojrzała na mnie ze zdumieniem, ale błyskawicznie zaczęła się przebierać. Zdarła z siebie ubranie i włożyła kombinezon, a ja pomogłem jej założyć szelki.

— Co z Fallonem? — spytała zdyszana.

— Mniejsza o niego — uciałem. — Skoncentruj się na tym, co robisz.

Intensywność ostrzału baraku zmniejszyła się, czego zupełnie nie mogłem zrozumieć. Na miejscu Gatta teraz właśnie nasiliłbym ogień, lecz tylko jedna kula wpadła przez dach, kiedy wraz z Katherine męczyliśmy się z szelkami i podłączeniem butli.

— Jak tam na zewnątrz? — spytałem Fallona. Popatrzył przez okno na niebo po wschodniej stronie, a nagły podmuch wiatru rozwił jego rzadkie włosy.

— Myliłem się, Jemmy — powiedział nieoczekiwanie. — Nadchodzi burza. Wiatr jest już bardzo silny.

— Wątpię, czy nam to coś pomoże.

Ładunek dwóch butli na ramionach ciążył mi. Wiedziałem więc, że nie zdołam szybko biec, a Katherine będzie jeszcze bardziej skrępowana. Byłem przekonany, że zostaniemy zastrzeleni w drodze do cenote.

— Ruszajcie — popędził nas Fallon, podnosząc strzelbę. Zebrał całą broń i zgromadził ją obok siebie, przy oknie. Z irytacją wzruszył ramionami. — To nie pora na długie pożegnania, Jemmy. Wynoście się stąd, do wszystkich diabłów! — Odwrócił się do nas plecami i uniósł karabin zajmując miejsce przy oknie.

Odsunąłem stół barykadujący drzwi, po czym powiedziałem do Katherine:

— Kiedy otworzę drzwi, wybiegniesz. Myśl tylko o tym, żeby dobiec do cenote. Kiedy się w niej znajdziesz, nurkuj do pieczary. Zrozumiałaś?

Przytaknęła, lecz bezradnie spojrzała na Fallona.

— A co z...?

— Mniejsza o to — powtórzyłem. — Ruszaj, już!

Otworzyłem drzwi i Katherine wybiegła na zewnątrz. Skuliłem się i podążyłem za nią. Gdy tylko moje stopy uderzyły o ziemię, skręciłem, by zmienić kierunek. Usłyszałem huk wystrzału, ale nawet nie wiedziałem, czy to strzelał wróg, czy osłaniający nas ogniem Fallon. Katherine zniknęła za rogami baraku. Gdy skoczyłem za nią, uderzył we mnie nagły podmuch wiatru. Dosłownie zatkało mnie, kiedy otworzyłem usta, by złapać oddech. Ostrzał był teraz słaby, zaledwie kilka chaotycznych strzałów i z tego, co widziałem, żadna z kul nie padła w pobliżu.

Oderwałem oczy od Katherine, spojrzałem w górę i zrozumiałem, co było tego przyczyną. Las na zboczu wzgórza, ponad cenote, falował smagany wichurą jak łan pszenicy kołysany podmuchami lekkiej, angielskiej bryzy. Ale tu ugięły się trzydziestometrowe drzewa, a nie kłosa zboża, dlatego wiatr był z pewnością nieco silniejszy niż nasz zefirek. Zrozumiałem, że ktokolwiek znajdował się na zboczu, powinien się raczej martwić o swoją skórę.

Nie miałem jednak czasu, by to analizować. Zobaczyłem, że Katherine waha się na skraju cenote. Wybrała sobie niezbyt odpowiedni moment na rozważania o subtelnościach prawidłowego sposobu nurkowania, wrzasnąłem więc do niej:

— Skacz! Do diabła, skacz!

Ciągle jednak nie mogła zdecydować się na dziesięciometrowy skok, pchnąłem ją więc w plecy i runęła przez krawędź. W ułamku sekundy skoczyłem za nią i spadłem na nogi. Szelki naprężyły się, szarpiąc mnie mocno, ale już po chwili woda zamknęła się nade mną.

Rozdział 43

Wchodząc pod wodę, złamałem się wpół, by zanurkować głębiej. Jednocześnie rozglądałem się za Katherine. Ujrzałem ją wreszcie, lecz ku memu przerażeniu płynęła w górę, ku powierzchni. Skręciłem w wodzie i popłynąłem za nią, zastanawiając się, co też, u diabła, zamierza. Złapałem ją, zanim zdążyła się wynurzyć.

Wtedy zobaczyłem, co się stało. Nie miała maski, którą zdarł jej z głowy najprawdopodobniej impet uderzenia o wodę, a wąż doprowadzający powietrze był tak zaplątany i poskręcany między butlami na plecach, że nie mogła do niego nawet sięgnąć. Szybko zaczęło jej brakować powietrza, ale nie straciła głowy i powoli, równomiernie wypuszczała je tak samo, jak wówczas, gdy zaskoczyłem ją w basenie Fallona w Mexico City. Nie wpadła w panikę nawet wtedy, gdy ją chwyciłem, i pozwoliła się przeciągnąć pod wodą na skraj cenote.

Wynurzyliśmy się i przez chwilę ciężko łąpała oddech. Wyplułem ustnik, rozplatałem jej przewody doprowadzające powietrze z butli. Zawahała się, zanim nałożyła maskę.

— Dzięki — powiedziała. — Ale czy tu jesteśmy bezpieczni?

Tkwiliśmy przy bliższym wzgórza brzegu cenote, zabezpieczeni przed strzałami z góry prostopadłą ścianą studni, ale gdyby ktokolwiek przedostał się poza pozycję bronioną przez Fallona, byłibyśmy wystawieni na strzały jak kaczki kołyszące się na wodzie.

— Przepłyn pod wodą do linii kotwicznej i zaczekaj na mnie — powiedziałem. — Nie przejmuj się strzałami, woda jest twarda, zatrzyma kulę już po piętnastu centymetrach. Zejdź jakiś metr pod powierzchnię, a wtedy nic ci się nie stanie, będziesz bezpieczna jak za płytą pancerną.

Zanurzyła się pod wodę i zniknęła. Nie mogłem jej dostrzec wśród roztańczonych fal, lecz chłopcy na zboczu wzgórza najwyraźniej ją zobaczyli, gdyż nagle, w jednej linii, trysnęła od strzałów fontanna wody. Miałem nadzieję, że nie myliłem się w tym, co powiedziałem o kulach uderzających w wodę. Odetchnąłem z ulgą, kiedy delikatny przechył tratwy upewnił mnie, że Katherine dotarła do niej, znajdując bezpieczne schronienie.

Teraz była moja kolej. Zanurzyłem się i popłynąłem w stronę tratwy, zachowując bezpieczną odległość od powierzchni. Niech diabli mnie porwą, jeśli nie widziałem kuli, opadającej pionowo, z czubkiem spłaszczonym od uderzenia. Mimo wszystko to, o czym mówiłem, potwierdziło się.

Odnalazłem Katherine uczepioną liny kotwicznej i kciukiem wskazałem w dół. Opadła posłusznie, trzymając się jedną ręką liny, a ja zszedłem za nią. Na poziomie dwudziestu dwóch metrów znak na linie wskazał nam, że osiągnęliśmy głębokość jaskini. Popłynęliśmy do niej i wynurzyliśmy się wewnątrz z uczuciem ogromnej ulgi. Pomogłem Katherine wspiąć się na występ skalny, po czym zapaliłem światło.

— Udało się.

Zmęczonym ruchem zdjęła maskę.

— Na jak długo? — zapytała, patrząc na mnie oskarżające. — Zostawiłeś Fallona na pewną śmierć, porzuciłeś go.

— To była jego własna decyzja — powiedziałem krótko. — Zakręć zawór butli, marnujesz powietrze.

Machinalnie wykonała polecenie, a ja rozejrzałem się po pieczarze. Była dość spora i oceniłem jej objętość na dobrze przekraczającą sto metrów sześciennych. Wpompowaliśmy do niej diabelnie dużo powietrza, by wypchnąć wodę. Na tej głębokości powietrze znajdowało się pod ciśnieniem trzech atmosfer, czyli zawierało

trzykrotnie więcej tlenu niż ta sama objętość na powierzchni, co było dla nas korzystne. Ale z każdym oddechem wydaliśmy z siebie dwutlenek węgla. Mieliśmy świadomość, że w miarę, jak jego poziom zacznie rosnąć, będziemy mieć coraz większe kłopoty.

Przez chwilę odpoczywałem, obserwując światło żółtawo odbijające się od stosu złotych talerzy złożonych na drugim krańcu występu. Problem był prosty, rozwiązanie mniej. Im dłużej pozostawaliśmy na dole, tym dłużej musielibyśmy poddawać się dekompresji w drodze na powierzchnię. A butle, które mieliśmy na plecach, nie zawierały wystarczającej ilości powietrza. W końcu pochyliłem się i przepłukałem maskę przed założeniem.

— Dokąd idziesz? — spytała Katherine.

— To nie potrwa długo. Tylko na dno cenote, by znaleźć sposób na przedłużenie naszego pobytu tutaj. Nic ci się nie stanie, rozpręż się i postaraj nie przejmować.

— Może ci pomóc?

Zastanowiłem się, po czym powiedziałem:

— Nie. Zużyjesz niepotrzebnie powietrze. To, które jest w pieczarze, powinno nam wystarczyć, a tego z twojej butli mogę potrzebować. Spojrzała w górę na światło i wzdrygnęła się.

— Mam nadzieję, że nie zgaśnie. Dziwne, że jeszcze działa.

— Baterie na górze są naładowane — uspokoiłem ją. — Nie masz się czemu dziwić. No, głowa do góry, wkrótce wrócę.

Założyłem maskę, zsunąłem się do wody i wypłynąłem z pieczary, kierując się w stronę dna. Znalazłem jedno z naszych świateł roboczych i przez chwilę wahałem się, czy je włączyć, gdyż byłoby widoczne z powierzchni. W końcu zaryzykowałem. Gatt nie mógł mi się dobrać do skóry, gdyż nie miał ładunków głębinowych, a nie sądziłem, żeby wymyślił na poczekaniu coś innego.

Szukałem butli z powietrzem, które razem z Rudetskim zepchnęliśmy z tratwy, i znalazłem je, porozrzucane we wszystkie strony. Odnalezienie rury rozgałęznej, którą wrzuciliśmy w ślad za butlami, było już większą sztuką, ale odkryłem ją pod zwojami przewodu powietrza rozciągniętego jak olbrzymi wąż. Uśmiechnąłem się z satysfakcją, widząc przymocowany do niej pętlą liny klucz. Jego brak pogrzyżyłby nas zupełnie.

Ściągnięcie butli na jedno miejsce było zadaniem na miarę Herkulesa, jednak w końcu udało mi się. Potem zająłem się podłączaniem ich do rury rozgałęznej. Nurkowie mają zbliżone do astronautów problemy z nieważkością, dlatego za każdym razem, kiedy próbowałem dosięgnąć nakrętki, moje ciało obracało się wokół butli w przeciwnym kierunku. Przebywałem na dole niemal godzinę, ale w końcu podłączyłem z jednej strony rury rozgałęznej wszystkie butle z otwartymi zaworami, a z drugiej przewód powietrza, w którym zostawiłem zamknięty zawór końcowy. Teraz mogliśmy regulować w miarę potrzeb dopływ powietrza z butli na końcu przewodu.

Popłynąłem do pieczary, ciągnąc za sobą przewód. Wydostałem się na powierzchnię obok występu w skale, trzymając ów przewód triumfalnie w górze. Katherine siedziała trochę dalej, a kiedy powiedziałem: — „Łap to” — nawet nie drgnęła, jedynie odwróciła się i popatrzyła obojętnie.

Jakoś wydobyłem się z wody, z trudnością przytrzymując koniec przewodu, po czym wciągnąłem go więcej i usiadłem na nim, żeby się nie zsunął z powrotem.

— Co się z tobą dzieje? — spytałem.

Przez jakiś czas myślała, wreszcie odpowiedziała ponuro:

— Myślałam o Fallonie.

— O!

— Czy to wszystko, co masz do powiedzenia? — rzuciła z pasją w głosie, ale to nagłe wzburzenie opuściło ją równie szybko, jak przyszło. — Myślisz, że nie żyje? —

zapytała nieco spokojniej.

— Przypuszczalnie — odparłem po chwili.

— Mój Boże, miałam cię za kogoś innego — powiedziała z wyrzutem. — Jesteś rzeczywiście zimnym człowiekiem. Dopiero co zostawiłeś go na pewną śmierć i nic cię to nie obchodzi.

— To, co czuję, jest moją sprawą. A poza tym była to decyzja Fallona, którą sam podjął.

— Ale ty to wykorzystałeś.

— Tak jak i ty — zwróciłem jej uwagę.

— Wiem — zgodziła się strapiona. — Wiem. Ale nie jestem mężczyzną, nie potrafię zabijać ani walczyć.

— Ja też nie zostałem do tego stworzony — powiedziałem kwaśno. — Nie tak jak Gatt. Ale gdybyś musiała, Katherine, zabiłabyś. Tak jak każdy z nas. Jesteś człowiekiem, a więc mordercą z definicji. Wszyscy potrafimy zabijać, tyle że niektórych trzeba do tego zmusić.

— I nie wydawało ci się, że powinieneś bronić Fallona? — zapytała spokojnie.

— Nie, wcale mi się tak nie wydawało — odpowiedziałem równie spokojnie. — Gdyż broniłbym nieboszczyka. Fallon o tym wiedział. Katie, on umiera na raka. Wiedział o tym już w Mexico City, dlatego też był tak cholernie nieodpowiedzialny. A teraz dręczą go wyrzuty sumienia. Chciał się pojednać z samym sobą. Czy sądzisz, że powinienem był odebrać mu tę możliwość, chociaż wszyscy i tak umrzemy?

— O, Boże! — westchnęła cichutko. — Nie wiedziałam, nic nie wiedziałam.

— Przepraszam. — Poczuję się zawstydzony. — Trochę mi się pomieszało. Zapomniałem, że przecież nie miałaś o tym pojęcia. Fallon powiedział mi to tuż przed atakiem Gatta. Wraciał do Mexico City, by umrzeć w ciągu trzech miesięcy. Nieciekawa perspektywa, prawda?

— A więc dlatego tak trudno było mu stąd wyjechać — jej głos przeszedł w szloch. — Widziałam nieraz, jak przyglądał się temu miastu, jak gdyby był w nim zakochany. Głaskał rzeczy, które stąd wydobyliśmy.

— Zachowywał się jak człowiek, który żegna wszystko, co kochał. Na jakiś czas zamilkła, po czym powiedziała:

— Przepraszam, Jemmy, przepraszam za to, co usłyszałeś ode mnie. Dużo bym dała, żeby móc to cofnąć.

— Zapomnij o tym.

Zająłem się umocowywaniem przewodu, a następnie zacząłem się zastanawiać, co mam z nim począć. Przeciężny nurek nie uczy się na pamięć tabel admiralicji, a ja nie należałem do wyjątków. Jednak ostatnio sporo z nich korzystałem, szczególnie w odniesieniu do głębokości cenote, i mniej więcej orientowałem się, o jakiego rzędu wielkości chodziło. Wcześniej czy później musieliśmy wypłynąć na powierzchnię, a to oznaczało postoje dekompresyjne po drodze.

Niedawno spędziłem godzinę na poziomie trzydziestu metrów i wróciłem na dwadzieścia dwa. Obliczyłem, że godzina odpoczynku w pieczarze załatwia sprawę dekompresji na drodze z dna cenote. Azot zaczął się już stopniowo uwalniać z tkanek bez wydzielania pęcherzyków.

Pozostawał jeszcze powrót na powierzchnię. Im dłużej siedziałem w pieczarze, tym więcej czasu potrzebne było na dekompresję, a czas ten był ściśle ograniczony ilością powietrza w butlach złożonych na dnie cenote. Byłoby niefortunnie, łagodnie mówiąc, gdyby powietrze skończyło się w momencie osiągnięcia poziomu na przykład sześciu metrów. Pozostałby wtedy żaloszny wybór pomiędzy pozostaniem w wodzie i uduszeniem się a wypłynięciem i chorobą kesonową. Problem tkwił w tym, że nie wiedziałem, ile powietrza pozostało w butlach. Te sprawy załatwiał Rudetsky, a teraz

raczej nie miałem możliwości, by go o to zapytać.

Zaryzykowałem więc, przyjmując za punkt wyjścia do dalszych obliczeń, że były wypełnione do połowy. Pewną rezerwę stanowiły też butle Katherine, w przeciwieństwie do moich — prawie pełne. W końcu obliczyłem, że jeśli spędziliśmy w pieczarze niewiele ponad trzy godziny, to na dekompresję trzeba będzie przeznaczyć godzinę i trzy kwadransy. Dawało to w sumie pięć godzin od chwili, kiedy skoczyliśmy do cenote. Możliwe, że w ciągu tych pięciu godzin na górze coś się zmieni. Uśmiechnąłem się lekko. Trochę optymizmu nie mogło zaszkodzić, sfrustrowany Gatt mógł się nawet zastrzelić.

Sprawdziłem czas, gratulując sobie, że nabrałem zwyczaju ciągłego noszenia zegarka do nurkowania, wodoszczelnego i odpornego na ciśnienie. Byliśmy na dole od półtorej godziny, pozostawało więc drugie tyle do opuszczenia pieczary. Wyciągnąłem się na twardej skale. Musiałem pamiętać, by trzymać przewód.

— Jemmy!

— Tak.

— Nikt oprócz mojego ojca nie mówił do mnie Katie. Tak nazywał mnie tylko ojciec.

— Tylko nie traktuj mnie jak kogoś w rodzaju ojca — burknąłem.

— Nie będę — przyrzekła solennie.

Zgasło światło. Bez jakiegoś desperackiego migotania, jak przy wyładowujących się bateriach, ale tak nagle, jakby przekreślono wyłącznik. Katherine krzyknęła wystraszona, więc zawołałem:

— Uspokój się, Katie! Nie ma się czym przejmować.

— Czy to wyczerpały się baterie?

— Prawdopodobnie — powiedziałem, choć dobrze wiedziałem, że to nieprawda. Ktoś celowo wyłączył światło albo został przerwany obwód. Spowijała nas teraz ciemność jak wilgotna, czarna zasłona. Mrok jako taki nigdy nie napawał mnie lękiem, wiedziałem jednak, że niektóre osoby są szczególnie podatne na jego działanie, wyciągnąłem więc rękę.

— Katie, chodź tutaj. Nie oddalajmy się zbyt od siebie. Poczulem jej dłoń na swojej.

— Mam nadzieję, że to się nigdy nie stanie.

Rozmawialiśmy bez końca w ciemnościach pieczary, mówiliśmy o wszystkim, o czym się dało: o jej ojcu i jego pracy w college'u, o moich sportach — szermierce i pływaniu, o farmie Hay Tree, o Wyspach Bahama, o mojej przyszłości, o jej przyszłości i... o naszej przyszłości. Spowijający nas mrok zatarł w nas chyba granice rozsądku, bo zapomnieliśmy o wszystkim, wierząc, że mamy jakąś przyszłość.

— Czy pamiętasz, z której strony nadszedł ten gwałtowny wiatr? — zapytała w pewnym momencie Katherine.

— Jaki wiatr?

— Zanim pobiegliśmy do cenote.

Znowu wróciłem do krwawego, ponurego świata tam, na górze.

— Rider mówił mi, że nad morzem był huragan. Może skręcił w głąb łądu. Tyle tylko wiem, że uważnie nasłuchiwał prognoz pogody.

— Wydawało mi się, że rozbicie helikoptera i nagonka w lesie zdarzyły się przed wiekami.

Spojrzałem na zegarek, a jego fosforyzująca tarcza zabłysła w ciemnościach jak upiór. Nadchodził już czas, by wyruszyć, powiedziałem więc o tym. Katherine podeszła do tego praktycznie.

— Przygotuję się — oznajmiła.

— Ty nie idziesz. — Zaschło mi w ustach, dlatego wydobył się tylko kilka słów

przyszło mi z trudnością.

— Dlaczego nie? — Usłyszałem w mroku urywany oddech.

— Powietrza jest tylko tyle, by jedno z nas mogło wrócić na górę.

Jeżeli pójdziemy oboje, to oboje zginiemy. A ty nie możesz pójść, bo Bóg jeden wie, co mogłabyś zastać na górze. Nawet jeżeli Gatt zrezygnował, to trzeba odnaleźć ukryte przez Rudetsky'ego części kompresora i ponownie go uruchomić. Umiąłabyś to zrobić?

— Nie sądzę — westchnęła. — Nie, nie potrafiłabym. — W takim razie ja muszę pójść. Wierz mi, że wcale nie chcę cię tu zostawić, ale to jedyne wyjście.

— Jak długo cię nie będzie?

— Prawie dwie godziny zajmie mi droga na górę i może następną godzinę uruchomienie kompresora. Nie zabraknie ci tu powietrza, Katie, powinno go jeszcze wystarczyć na jakieś siedem, osiem godzin.

— Siedem godzin to byłoby zbyt długo, prawda? Jeżeli to potrwałoby tak długo, to w ogóle nie wrócisz. Mam rację, Jemmy? Miała i wiedziała o tym.

— Wrócę znacznie wcześniej — powiedziałem, choć oboje zdawaliśmy sobie sprawę z miąższości tego zapewnienia.

— Wolalabym się utopić, niż wolno dusić z braku powietrza. — W jej głosie zabrzmiała melancholia.

— Na miłość boską! — wybuchnąłem. — Zostaniesz w tej cholernej pieczarze, dopóki nie wrócę, słyszysz? Zostaniesz tutaj, przyrzeknij mi!

— Zostanę — obiecała łagodnie i nagle znalazła się w moich ramionach. — Pocałuj mnie, kochanie — jej usta przywarły do moich. Przytuliłem ją mocno mimo tych przeklętych, lepkich i mało romantycznych kombinezonów gumowych, które mieliśmy na sobie.

W końcu odsunąłem ją.

— Nie możemy tracić czasu — powiedziałem i schyliłem się, usiłując po omacku odnaleźć przewód. Palcami natrafiłem na coś metalicznego, co szczęknęło o skałę. Chwyciłem to, potem drugą ręką odnalazłem przewód. Naciągnąłem maskę i niecierpliwym ruchem wsunąłem pod pasy uprząży znaleziony przedmiot, który teraz trochę mi zawadzał. — Wrócę — obiecałem i ześlizgnąłem się do wody, ciągnąc za sobą przewód.

Ostatnim dźwiękiem, który usłyszałem przed zanurzeniem się pod wodę, był odbijający się echem w opuszczonej pieczarze głos Katie.

— Kocham cię, kocham.

Rozdział 44

Holowałem mniej więcej dwadzieścia trzy metry węża i jego ciężar nieustannie ściągał mnie w dół. Opadłem więc trochę niżej, zanim dotarłem do liny kotwicznej, ale kiedy już przy niej byłem, przytrzymałem się jej, podciągając jednocześnie więcej węża. Gdy wyczuwałem opór, zatrzymywałem się i jednym z pasków mocujących płetwy przywazywałem wąż do liny. Płetwy były mi już niepotrzebne, a wąż musiałem jakoś przymocować, aby pozbyć się ciężaru. Gdy to zrobiłem, zacząłem wolno posuwać się do góry, aż do zaznaczonej na linie głębokości dziesięciu metrów. Pozwalałem ulatywać z ust pęcherzykom powietrza, gdyż musiało ono mieć ujście, rozszerzając się w płucach w miarę zmniejszania się ciśnienia otaczającej wody. Jednocześnie poruszałem się wolniej niż unoszące się pęcherzyki.

Na poziomie dziesięciu metrów wdrapałem się na ławeczkę przymocowaną do liny kotwicznej i podłączyłem przewód powietrza do automatu oddechowego przy uprząży, by pobierać powietrze z dużych butli leżących na dnie cenote, a zawartość mniejszych pozostawić jako rezerwę. Spojrzałem na zegarek. Powinienem być czekać piętnaście minut na głębokości dziesięciu metrów, trzydzieści pięć minut na sześciu metrach i pięćdziesiąt minut na trzech metrach.

Poddawanie się dekompresji jest czasochłonnym i uciążliwym procesem nawet wtedy, gdy się nie ma żadnych kłopotów na głowie, a mnie przecież w dodatku dręczyła niepewność tego, co zastanę na górze. Na poziomie trzech metrów napięcie stało się nie do zniesienia, gdyż zdawałem sobie sprawę, że jestem doskonale widoczny dla każdego, kto stanąłby na skraju cenote. Jakby tego było mało, powietrze skończyło mi się po zaledwie dziesięciu minutach i musiałem przełączyć się na rezerwę. W dużych butlach nie było aż tyle powietrza, na ile liczyłem, zrobiło się więc cholernie wesoło. Katherine widocznie zbyt rozrzutnie gospodarowała swoim zapasem, gdyż skończył się na piętnaście minut przed upływem czasu, co zmusiło mnie do wcześniejszego wyjścia na powierzchnię.

Wynurzyłem się pod tratwę, mając nadzieję, że nie ma to większego znaczenia i z zadowoleniem wdychałem haustami ogrzane słońcem powietrze. Trzymałem się tratwy od spodu. Wysunąłem z wody jedynie głowę i uważnie nasłuchiwałem. Nic jednak nie mąciło ciszy poza szumem wiatru, który znacznie zelżał w czasie, gdy byliśmy pod wodą. W każdym razie nie dotarły do mnie żadne ludzkie głosy.

Po chwili wypłynąłem i z trudem wspiąłem się na tratwę. Gdy strząsałem z siebie szelki aparatu nurkowego, coś z brzękiem upadło na deski. Przestraszony, że ktoś mógłby to usłyszeć, rozejrzałem się wokół, zanim pochyliłem się, by podnieść rzecz, która narobiła takiego hałasu. Była to złota rzeźba z pieczary — mała statuetka dziewczyny Majów, którą odlał Vivero. Wepchnąłem ją za pas i ponownie wyteżyłem słuch, ale wokół panowała cisza.

Popłynąłem do brzegu, w stronę prowizorycznej przystani, zrobionej przez Rudetsky'ego, i ciężkim krokiem wszedłem po stopniach wyciętych w stromym obrzeżu cenote. Na szczycie przystanąłem osłupiały ze zdziwienia. Obóz był kompletnie zniszczony, większość baraków zniknęła zupełnie, pozostały jedynie fundamenty. Cały obszar pokrywała płatanina gałęzi, a nawet poprzewracanych drzew, które Bóg wie, skąd się wzięły. I nie było widać żywej duszy.

Spojrzałem w stronę baraku, który uczyniliśmy naszą twierdzą, i zobaczyłem, że został zmiażdżony pod ciężarem dużego drzewa, sterczącego absurdalnie korzeniami w niebo. Gdy ruszyłem w jego kierunku, moim krokom towarzyszył suchy trzask deptanych gałęzi. Podeszedłem bliżej i na moment znieruchomiałem ze strachu, gdy jakiś jasnopióry ptak wyfrunął z rumowiska.

Pokręciłem się chwilę wokół, wreszcie wszedłem do środka, z trudem przełaząc przez gałęzie tak grube, jak moje ciało. Gdzieś wśród tych zgliszczy znajdowały się zapasowe butle do akwalungu, potrzebne do wydostania Katherine na powierzchnię.

I gdzieś tutaj musiał być Fallon!

Znalazłem dwie skrzyżowane maczety leżące tak, jak gdyby ktoś je ułożył do tańca z szablami. Jedną z nich zacząłem wycinać mniejsze gałęzie w pobliżu miejsca, gdzie spodziewałem się znaleźć Fallona. Po dziesięciu minutach pracy ujrzałem dłoń i wyrzucone w przedśmiertnym geście ramię, a kilka następnych cięć odsłoniło umazaną krwią twarz Smitha. Ponownie spróbowałem nieco dalej, wzdłuż linii, gdzie stała kiedyś ściana. Tym razem znalazłem go.

Leżał przyciśnięty do ziemi konarem, który go przypuszczalnie przewrócił. Kiedy dotknąłem jego ramienia, ze zdumieniem odkryłem, że był jeszcze ciepły. Szybko chwyciłem za nadgarstek i sprawdziłem puls. Wyczułem słabe tętno. Fallon żył! Nie zginął ani z ręki Gatta, ani nie pokonał go jego wewnętrzny wróg. To było wprost nieprawdopodobne, ale żył pomimo okrucieństwa sił natury, które cisnęły olbrzymie drzewo na barak.

Zamachnąłem się maczetą i przystąpiłem do uwalniania go, co nie było nawet trudne, bo leżał w kącie utworzonym przez podłogę i ścianę. To położenie w pewnym stopniu uchroniło go przed bezpośrednim uderzeniem. Już wkrótce udało mi się go wyciągnąć i ułożyć wygodniej w ocienionym miejscu. Był wciąż jeszcze nieprzytomny, ale po chwili jego twarz odzyskała naturalny kolor. Na pierwszy rzut oka nie stwierdziłem u niego żadnych obrażeń, poza ciemnym siniakiem z boku głowy. Pomyślałem więc, że wkrótce sam odzyska przytomność, i zająłem się pilniejszymi sprawami.

Części kompresora były ukryte w dziurze obok baraku i przysypane ziemią, lecz cały ten teren pokrywała teraz płatanina gałęzi i innych szczątków, w tym całych pni. Przez moment zastanowiło mnie, skąd się tu wzięły, i spojrzałem poprzez cenote na zbocze wznoszącego się za nią wzgórze. To, co zobaczyłem, dosłownie zaparło mi dech w piersi. Wzgórze zostało kompletnie odarte z roślinności, jak gdyby brygada Rudetsky'ego pracowała na nim z piłami mechanicznymi i miotaczami ognia.

Przeszła tędy wichura, potężna wichura, która powyrywała płytko zakorzenione drzewa, a potem zmiotła je na obóz. Odwróciłem się, by znowu spojrzeć na barak, i zrozumiałem, że drzewo, którego korzenie tak absurdalnie sterczały w górze, podmuch huraganu cisnął ze zbocza jak jakąś dziwną włócznię. Dlatego też w jakimkolwiek kierunku popatrzyłem, cały obszar obozu był rumowiskiem poplątanych ze sobą drzew i liści.

Zbocze wzgórza, odarte teraz do czysta, odsłoniło nagą skałę, przykrytą wcześniej cienką warstwą ziemi. Na szczycie grzbietu, pod niebem, wznosiła się dumnie świątynia Yum Chaca, która zapewne tak właśnie wyglądała, gdy Vivero ujrzał ją po raz pierwszy. Cofnąłem się nieco, by móc objąć wzrokiem cały grzbiet. Spojrzałem poza zrujnowany barak i odczułem przejmujący lęk.

Na zboczu widniał bowiem wypisany płonącym złotem znak Vivera. Nie należę do ludzi religijnych, ale to, co zobaczyłem, wywarło na mnie tak wielkie wrażenie, że ugięły się pode mną nogi, padłem na kolana i poczułem napływające do oczu łzy. Jakiś sceptyk łatwo by to wytłumaczył grą światła, porównując do kilku sławnych, dobrze znanych naturalnych formacji skalnych w innych częściach świata, które dają podobne efekty. Lecz ten potencjalny sceptyk nie przeszedł przez to wszystko, co ja przeżyłem w ciągu tego dnia.

Zachodzące słońce, kapryśnie przeświecające przez pędzone wiatrem chmury, rzucało bladożółte światło na grzbiet góry wraz z gigantycznym wizerunkiem Chrystusa Ukrzyżowanego. Mogła to być gra światła i cieni, ale była niezaprzeczalnie

realna — tak rzeczywista, jakby wyryta przez artystę rzeźbiarza. Na ramionach rozciągniętych w poprzek wzgórza widoczny był każdy umęczony mięsień, a główki gwoździ w dłoniach rzucały głębokie cienie. Szeroki tors przechodził w zapadnięty brzuch gdzieś u podnóża wzniesienia. Z boku, tuż pod klatką piersiową, ział otwór, który pewnie dla sceptyka byłby zwykłą grotą. Układ żeber ukazany był tak wyraźnie, jak na rysunku anatomicznym. Miało się złudzenie, jakby ta potężna pierś właśnie łapała oddech.

Ale najbardziej przyciągała uwagę twarz. Wielka głowa zwieszała się, oparta o ramię, a poszarpane pasmo skał tworzyło cierniową koronę na tle ciemniejącego nieba. Głębokie cienie kreśliły ostre linie bólu od nosa do kącików ust. Przymknięte oczy, z kurzymi łapkami w kącikach, patrzyły poprzez Quintana Roo, a wargi zdawały się właśnie rozchylać, by krzyknąć potężnym głosem kamieni: *Eloi! Eloi Loma Sabacthani!*

Zorientowałem się, że drżą mi ręce. Nietrudno było sobie wyobrazić wrażenie, jakie to zjawisko wywarło na Viverze, dziecku prostszej, lecz o wiele głębszej wiary niż nasza. Nic dziwnego, że chciał, by jego synowie zajęli Uaxuanoc, nic dziwnego, że zachował to w tajemnicy, a w liście kusił złotem. Gdyby to odkryto w czasach Vivera, z pewnością zostałyby uznane za jeden z cudów świata chrześcijańskiego, a odkrywca mógłby być czczony nawet jako święty.

Najprawdopodobniej efekt ten nie był zjawiskiem codziennym i zależał od położenia słońca, a nawet pory roku. Majowie, wychowani w innej tradycji malarstwa, nie znając chrześcijaństwa, mogli nawet nie wiedzieć, co to takiego. Jednak Vivero z pewnością rozpoznał to od razu.

Kłęczałem jak zahipnotyzowany pośrodku zdewastowanego obozu i spoglądałem na ten wielki cud od tyłu wieków ukryty pod osłoną drzew. Światło zmieniło się, gdy chmura przysłoniła słońce, i wyraz tej ogromnej, odległej twarzy zmienił się z łagodnego smutku w niewyobrażalną, śmiertelną udrękę. Nagle poczułem przejmujący strach i zamknąłem oczy.

Nieoczekiwanie usłyszałem trzask łamanych gałązek.

— Słusznie, zmów modlitwę, Wheale — usłyszałem ochryply głos.

Otworzyłem oczy i odwróciłem głowę. Gatt stał z boku z rewolwerem w ręce. Wyglądał tak, jakby cały las runął na niego. Znikła gdzieś jego wyszukana elegancja. Był bez marynarki, a porwana w strzępy koszula odsłaniała owłosioną pierś, pokrytą krwawymi zadrapaniami. Miał rozdarte na kolanach spodnie, a gdy obszedł mnie dookoła, zobaczyłem, że był w jednym tylko bucie i lekko utykał. Jednak mimo wszystko był w lepszej sytuacji niż ja — miał broń!

Potał dłońią spocony policzek, rozmazując na nim brud, i uniósł rękę, w której trzymał rewolwer.

— Zostań tak, jak jesteś, na kolanach. — Przeszedł jeszcze trochę dalej, dopóki nie znalazł się dokładnie na wprost mnie.

— Widziałeś ten wizerunek nad sobą? — zapytałem spokojnie.

— Tak, widziałem — powiedział bezbarwnie. — Niezły efekt, co? Lepszy niż góra Rushmore. — Uśmiechnął się. — Chyba nie sądzisz, Wheale, że to ci coś pomoże?

Nic nie odrzekłem, tylko wpatrywałem się w niego. Miałem u swego boku maczetę, była w zasięgu ręki, gdybym się tylko trochę pochylił. Nie łudziłem się jednak, by Gatt mi na to pozwolił.

— No co, wznosiłeś rączki do Bozi, chłopcze? Dobrze robisz. — Wraz z elegancją stroju zniknął wypielęgnowany akcent. Wrócił do swych prymitywnych początków. — Masz do tego wszelkie prawo, bo zamierzam cię sprzątnąć. Chcesz się jeszcze trochę pomodlić? Dalej, zaczynaj, nie krępuj się.

Wciąż uparcie milczałem, co w końcu rozśmieszyło Gatta.

— Co, zapomniałeś języka w gębie? Nic nie powiesz Jackowi Gattowi? Rano byłeś bardziej wyszczekany. A zatem ja ci coś powiem, tak między nami. Masz mnóstwo czasu na modlitwę, bo nie umrzesz ani szybko, ani łatwo. Wpakuję ci gorącą kulę prosto w bebechy i potrwa to długo, bardzo długo, zanim przyłączysz się do naszego kumpla tam. — Zakrzywionym kciukiem wskazał za ramię. — Wiesz, o kim myślę, o świętym Jezusku w niebie.

W jego oczach czaił się szaleńczy błysk, a tik wykrzywił mu prawy policzek. Pomieszało mu się w głowie, dlatego żadne argumenty i tak by do niego nie dotarły. Zapomniał nawet o swoim pomysle, który miał mnie zmusić do nurkowania po skarby. Wszystko, czego pragnął, to okrutnej zemsty — nagrody pocieszenia za to, że został oszukany.

Spojrzałem na rewolwer, który trzymał, ale nie dostrzegłem w nim żadnych kul. To, czego nie wiem na temat broni, wypełniłoby całą bibliotekę, mimo to w rewolwerze, którego używałem, cylinder przekręcał się, kiedy naciskało się spust, by wprowadzić ładunek pod młoteczek, a zanim padł z niego strzał, nabój powinien być widoczny od frontu. Nie mogłem jednak dostrzec tego naboju w broni Gatta.

— Przynosiłeś mi mnóstwa kłopotów — powiedział Gatt. — Więcej kłopotów niż jakikolwiek człowiek, którego znałem. — Roześmiał się ochryple. — Rozumiesz? Powiedziałem to w czasie przeszłym, gdyż faceci, którzy sprawiają mi jakiegokolwiek kłopoty, nie żyją długo. Ty też się nie wywiniesz. — Był odprężony i bawiła go ta zabawa w kotka i myszkę.

Mnie za to dużo brakowało do tego, by się odprężyć. Za przekonanie, że nie ma dwóch różnych typów tego rewolweru, miałem właśnie położyć na szalę swoje życie. Wolno pochylilem się i zacisnąłem palce na rękojeści maczety. Gatt sprężył się i gwałtownie uniósł broń.

— O nie — powiedział. — Rzuć to!

Nie posłuchałem go i zacząłem się podnosić.

— W porządku, cwaniaczku! — krzyknął. — Masz, czego chciałeś! — Nacisnął spust, ale młoteczek z suchym trzaskiem uderzył w pustą komorę. Popatrzył zdumiony i cofnął się szybko, widząc mnie nadchodzącego z podniesioną maczetą. Odwrócił się i pognął przed siebie, a ja pobiegłem za nim.

Gdy przełaził przez pień drzewa, zaplątał się w gałęzie. Zamachnąłem się na niego, aż tuman liści i drobnych gałązek wzbił się w powietrze. Gatt wrzasnął ze strachu. Wreszcie uwolnił się, próbując przedostać się na otwarty teren i dalej do lasu, ale obiegłem drzewo i odciąłem mu drogę. Wycofał się więc w stronę cenote.

Ciągle jeszcze trzymał bezużyteczny rewolwer. Kolejny przykry moment przeżyłem, gdy uniósł go, próbując wystrzelić, ale i tym razem jedynie trzasnął nieszkodliwie. Posunąłem się trochę do przodu, napierając wciąż na niego, a on cofał się ostrożnie, nie spuszczać ze mnie wzroku, dopóki nie potknął się o betonowe fundamenty baraku.

Muszę przyznać, że był szybki. Niespodziewanym ruchem rzucił we mnie pistoletem, więc odruchowo uchyliłem się. Wykorzystał ten moment, bo kiedy znów się wyprostowałem, był już uzbrojony w maczetę, którą podniósł z podłogi baraku. Rozprostował ramiona i wydawało się, że odzyskał pewność siebie, gdy machnął bronią o szerokim ostrzu. Rozchylił wargi, przywołując na twarz uśmiech, ale w jego czujnych oczach nie było widać rozbawienia.

Odruchowo przybrałem postawę szermierczą — klasyczną pozycję obronną. Jakby z zaświatów usłyszałem upiorny głos maitre d'armens: *Używaj palców przy cięciu, Wheale!* Machnąłem maczetą. Nie była to jednak lekka, sportowa szabla, bym mógł ją pociągnąć ruchami palców, jak tego uczyli węgierscy mistrzowie. Bardziej odpowiednie byłoby porównanie tej broni do marynarskiego kordu.

Gatt skoczył i uderzył z rozmachem. Instynktownie sparowałem ze szczękiem stali. Odskokczyłem dwa metry, czując, jak pod gumowym kombinezonem oblewa mnie pot. Użyłem złej parady, zapominając, że maczetą nie ma gardy. Gatt ciął z boku, ale odparowałem w sekundzie, przyjmując jego ostrze na swoje. Gdybym w porę nie uskoczył, klinga jego maczety ześlizgnęłaby się po mojej i odcięłaby mi rękę — coś, co nie mogłoby się zdarzyć w walce na szable.

Flintowałem go, by zyskać czas do namysłu i zaobserwować jego reakcję na atak. Spróbował niezdarnie odparować, nie trafił w moje ostrze, odskoczył do tyłu i o mało co nie przewrócił się. Jak na swój wiek był bardzo sprawny i szybko się pozbierał, by z powodzeniem odparować mój kolejny cios. Oddałem pole, usatysfakcjonowany tym, co zaobserwowałem. Gatt zdecydowanie nie był szermierzem. Jako młody gangster mógł mieć do czynienia z walką na noże, lecz maczetą bardziej przypominała miecz, więc miałem nad nim przewagę.

A zatem byliśmy tu, wypełniając przepowiednię Pata Harrisa. Gatt i ja, sami w Quintana Roo, on odseparowany od swojej obstawy. Byłem zdecydowany załatwić to tak szybko, jak tylko mi się uda. Po prostu chciałem jak najszybciej zabić Gatta. Jednak nie zapomniałem, że wciąż był bardzo niebezpieczny i podchodziłem do niego z należytą ostrożnością.

Miał na tyle rozsądku, by przesunąć się w bok i nie stać plecami do szczątków baraku. To mi nawet odpowiadało, gdyż nie mógł się zbyt daleko wycofać, nie wchodząc na krawędź cenote. Stał mocno na szeroko rozstawionych nogach, pocił się i dyszał. Natarł znowu gwałtownie i ciął z góry z zamachem, który rozłupałby mi czaszkę, gdyby dotarł do celu. Odparowałem kwintą i pozostałem w miejscu, czego się chyba nie spodziewał. Przez ułamek sekundy był bardzo blisko. Oczy rozszerzyły mu się ze strachu, gdy uwolniłem jego klingę i ciąłem w bok. Uniknął ciosu, uskakując do tyłu. Koniec maczety odciął mu jedynie strzęp koszuli.

Wykorzystałem przewagę i zaatakowałem. Powoli oddawał teren. Lękliwie śledził moje ostrze, co jest błędem. Powinien był patrzeć na rękę, która nim kierowała. Zdesperowany zaatakował ponownie. Wprawdzie odparowałem, ale jednocześnie poślizgnąłem się na gałęzi. Zachwiałem się i straciłem kontakt z jego klingą, która ześlizgnąwszy się, raniła mnie płytko w bok. Odzyskałem jednak równowagę i serią flint zmusiłem Gatta do ponownego wycofania się. Bronił się, rozpaczliwie machając maczetą na wszystkie strony. Wreszcie odstałem i opuściłem rękę, jak gdybym był zmęczony. Z widoczną ulgą zrobił to samo, opuszczając gardę. Wtedy ruszyłem, by go zabić — flesz i pchnięcie w górne partie jeszcze obronił. Przechwyciłem jego paradę i zaraz potem ciąłem go w głowę.

Krawędź maczety trafiła poniżej ucha. Instynktownie pociągnąłem ją do siebie tak, jak mnie tego uczono. Ostrze werżnęło mu się głęboko w szyję. Nie zdążył nawet poczuć, że umiera, gdyż niemal odciąłem mu głowę. Padając, jego ciało skrzyło się i przetoczyło w stronę krawędzi cenote, następnie powoli runęło przez nią i z głuchym łomotem zważyło się na drewniany pomost. Nawet na nie nie spojrzałem. Zataczając się, dotarłem do najbliższej podpory, którą było zwalone drzewo, i oparłem się o jego pień. Chwyciły mnie torsje tak silne, że prawie wyrwały mi serce.

Rozdział 45

Potem chyba zemdlałem, gdyż jak pamiętam, ocknąłem się leżąc na ziemi, a przed moimi oczyma wędrowała kolumna pracowitych mrówek, które oglądane z takiej pozycji miały wielkość słoni. Z trudem podniosłem się i usiadłem na pniu. Coś mi nie dawało spokoju, coś, co miałem zrobić. W głowie panował zupełny mętlik, jakieś myśli bez ładu i składu tłukły się po niej jak gacki po strychu.

Aha, to właśnie miałem zrobić. Musiałem przecież upewnić się, czy Jack Edgcombe nie namieszał na farmie. Przede wszystkim nie był zbyt zapalony do moich planów, a taki człowiek mógł narobić strasznego bałaganu wśród ruin Majów. Była tam kolumna, którą odnalazłem tuż obok dębu zasadzonego przez pradziadka. Nazywałem go Skośnookim Starcem, a Fallon był bardzo zadowolony, że nie mogę w jego pobliżu dopuścić Jacka Edgcombe'a. Mniejsza o to. Stary pan Mount dopilnuje wszystkiego — ściągnie pośrednika rolnego, by ten dopilnował prac wykopaliskowych przy świątyni Yum Chaca.

Przyłożyłem ręce do oczu i otarłem łzy. Dlaczego, u diabła, płakałem? Nie było powodu. Pójdę teraz do domu, a Madge Edgcombe zrobi mi herbatkę, a do tego trójkątne placuszki, grubo polaną śmietanką z Devonshire z dżemem truskawkowym domowej roboty. Użyje do tego georgiańskiego, srebrnego serwisu, który tak bardzo lubiła moja matka, a wszystko poda na tej dużej tacy.

Duża taca!

Wreszcie zaskoczyłem, przypominając sobie całą resztę, a przerażenie niemal rozsadziło mi głowę. Popatrzyłem na swoją rękę pokrytą zasychającą krwią, zastanawiając się, czyja to była krew. Zabiłem tylu ludzi — nie wiedziałem nawet ilu — więc czyja to była krew?

I wtedy właśnie złożyłem sobie solenną obietnicę, że wrócę do Anglii, do bezpiecznych pagórków Devonu, i nigdy więcej nie opuszczę farmy Hay Tree. Będę się trzymał blisko rodzinnej ziemi, na której Wheale'owie przez pokolenia pracowali w pocie czoła, i nigdy więcej nie będę takim skończonym głupcem, by szukać przygód. Będę miał wystarczająco dużo przygód, hodując bydło i wysuszając kufle w gospodzie Kingsbridge. A jeśli kiedykolwiek ktoś nazwie mnie szaraczkiem, roześmieję mu się w nos i zgodzę z tym określeniem, wcale nie pragnąc, by było inaczej.

Bolał mnie bok. Dotknąłem go i uniosłem rękę lepką od krwi. Kiedy spojrzałem w dół, zobaczyłem, że Gatt ściał mi płat skóry, przecinając kombinezon tak równo, jakby to zrobił rzeźnik toporem. Widoczne były kości, kości moich żeber, a ból dopiero się nasilał.

Nagle przypomniałem sobie o Katherine uwięzionej w pieczarze. O Boże, jak ja nie chciałem znowu wchodzić do tej cenote! Ale człowiek robi wszystko, co musi zrobić, szczególnie taki szaraczek. Gatt nie był szarym człowiekiem, raczej czerwonym od krwi na kłach i pazurach, lecz szaraczki tego świata zapędzają w kozi róg takich Gattów, chociażby dlatego, że jest ich więcej i nie lubią, gdy się nimi pomiata.

Zebrałem więc do kupy swoje rozklekotane gnaty, gotów pójść szukać części kompresora. Wierzchem dłoni przetarłem oczy, by zetrzeć z nich ślady łez słabości. Kiedy spojrzałem na Uaxuanoc, zobaczyłem duchy, które zbierały się wokół ruin i podchodziły coraz bliżej — niewyraźne, białe postacie z karabinami.

Podeszli cicho. Patrzyli na mnie twardymi oczami, zwołując się słabymi okrzykami triumfu, dopóki nie zgromadziło się ich z tuzin i nie otoczyli mnie półkolem. Chicleros z Quintana Roo.

„O Boże — pomyślałem z rozpaczą. — Czy to zabijanie nigdy się nie skończy?” Schyliłem się, po omacku szukając maczety, zacisnąłem dłoń na jej rękojeści, po czym

z trudem powstałem.

— Chodźcie, wy dranie! — wyszeptalem. — Chodźcie! Skończmy z tym!

Podchodzili wolno, ostrożnie i z dziwnym respektem widocznym w spojrzeniach. Uniosłem maczetę, a jeden z nich zdjął karabin. Usłyszałem metaliczny odgłos naboju wprowadzanego do zamka. Do moich uszu dotarł jeszcze jakiś wibrujący dźwięk, pociemniało mi przed oczami i zachwiałem się. Jak przez mgłę zobaczyłem pękający krąg ludzi. Kilku z nich zaczęło z głośnym krzykiem uciekać.

Popatrzyłem do góry i ujrzałem chmurę szarańczy opuszczającą się z nieba, a później pochyliłem się do przodu i zobaczyłem lecącą na mnie ziemię.

Rozdział 46

— Obudź się! — powiedział odległy głos. — Jemmy, obudź się! Poruszyłem się i poczułem ból. Ktoś gdzieś mówił z ożywieniem coś po hiszpańsku, po czym ten sam głos rozległ się przy moim uchu:

— Jemmy, nic ci nie jest? — I w innym kierunku: — Niech ktoś przyniesie nosze. Otworzyłem oczy i spojrzałem na ciemniejące niebo.

— Dla kogo mają być te nosze?

Czyjaś głowa znalazła się w polu mojego widzenia. Zmrużyłem oczy i poznałem Pata Harrisa.

— Jemmy, jak się czujesz? Kto cię pobił? Ci cholerni chicleros? Uniosłem się na łokciu, a Pat podtrzymał mi ramieniem plecy.

— Skąd się tu wzięłeś?

— Przylecieliśmy helikopterami. Do akcji włączyła się armia. — Nieznacznie się poruszył. — Spójrz, to właśnie oni.

Popatrzyłem na pięć helikopterów stojących poza obozem i na żwawo poruszających się ludzi w mundurach. Dwóch z nich biegło w moim kierunku z noszami. Szarańcza opadająca z nieba — przypomniałem sobie — to były helikoptery.

— Przepraszam, że nie dałem rady dostać się tu wcześniej — powiedział Pat. — To przez tę cholerną burzę. Huragan trzepnął nas ogonem i musieliśmy wylądować w pół drogi.

— Skąd przylecieliście?

— Z Campeche, z przeciwnej strony Jukatanu. Przelatywałem nad wami dziś rano i zobaczyłem, że rozpętało się tu piekło. Wezwałem więc na pomoc meksykańską armię. Gdyby nie burza, byłibyśmy tu już sześć godzin temu. Słuchaj, a gdzie jest reszta?

To było dobre pytanie. Zgryźliwie odpowiedziałem:

— Większość z nas nie żyje!

— Nie żyje! — powtórzył, wpatrując się we mnie, gdy siadałem. Zmęczony skinąłem głową.

— Myślę, że Fallon jeszcze żyje. Jest tam. — Chwyciłem go za ramię. — Jezu! Katherine siedzi na dnie cenote w pieczarze. Muszę ją wydostać.

Spojrzał na mnie, jakbym oszalał.

— W pieczarze! W cenote! — powtórzył za mną tępo. Potrząsnąłem go za ramię.

— Tak, ty cholerny głupcze! Umrze, jeśli jej nie wyciągnę. Ukryliśmy się tam przed Gattem.

Dotarło wreszcie do niego, że nie mającę, i obudził się do życia jak po dawce elektrowstrząsów.

— Nie możesz tam zejść. Nie dasz rady w tym stanie. Kilku z tych chłopców to wyszkoleni nurkowie, porozmawiam z porucznikiem.

Obserwowałem, jak podszedł do grupy żołnierzy po czym wstałem. Przy każdym ruchu odczuwałem ból. Powlokłem się jednak do cenote i stojąc przy krawędzi, popatrzyłem w dół, na ciemną taflę wody. Po chwili przybiegł Pat.

— Porucznik ma czterech przeszkolonych płetwonurków i parę butli tlenu. Jeżeli im powiesz, gdzie jest ta dziewczyna, to dostarczą jej tlen. — Spojrzał w dół, do cenote. — Dobry Jezu! — wymamrotał. — Kto to?

Patrzył na ciało Gatta, które leżało rozwalone na drewnianym pomoście. Głębokie cięcie przypominało usta otwarte w upiornym uśmiechu.

— To Gatt — wyjaśniłem bez żadnych emocji. — Powiedziałem ci przecież, że go zabiję.

Byłem wyzuty z wszelkich uczuć. Nie byłem zdolny do śmiechu, płaczu, smutku czy radości. Patrzyłem w dół, na trupa, i zupełnie nic nie czułem. Harris za to wyglądał, jakby mu było niedobrze. Odwrócił się zresztą zaraz i spojrzał w stronę helikopterów.

— Gdzie są ci przekłęci nurkowie?

W końcu nadeszli i jakoś wyjaśniłem, co mieli zrobić, a Pat przetłumaczył moje słowa. Jeden z nich założył moją uprząż, prowizorycznie zamontował butlę z tlenem i zszedł na dół. Miałem nadzieję, że nie przestraszy Katie, kiedy pojawi się w pieczarze. Ale pocieszyłem się, że jej hiszpański jest dostatecznie dobry, więc wszystko powinno być w porządku.

Podczas gdy opatrywał mnie sanitariusz, zauważyłem, jak odnosili Fallona na noszach do jednego z helikopterów. Harris powiedział zdumiony:

— Ciągle jeszcze znajdują ciała, to musiała być jatka.

— Coś w tym rodzaju — powiedziałem obojętnie.

Nie ruszyłem się ze swego miejsca na skraju cenote, dopóki Katie nie została wywindowana na górę. Trochę to trwało, bo musieliśmy poczekać na odpowiedni sprzęt z Campeche. Potem już wszystko było proste i Katherine wypłynęła o własnych siłach. Byłem z niej naprawdę dumny.

Razem przeszliśmy do helikoptera. Musiałem się o nią oprzeć, gdyż nagle opuściły mnie wszystkie siły. Nie wiedziałem, co stanie się z nami w przyszłości ani czy takie przeżycia, jakich doświadczyliśmy, były najlepszym wstępem do małżeństwa, ale pragnąłem spróbować, gdyby się tylko zgodziła.

Z tego, co wydarzyło się później, niewiele pamiętam aż do momentu, gdy obudziłem się w szpitalu w Mexico City, a Katie siedziała na skraju łóżka. Minęło już sporo dni od opuszczenia obozu. Jednak jak przez mgłę pamiętam, że w chwili, gdy startował nasz helikopter, wschodziło słońce, a ja ścisnąłem małą, złotą figurkę zrobioną przez Vivera. Wizerunek Chrystusa był niewidoczny i tylko ciemny kształt świątyni Yum Chaca majaczył ponad wodą, na zawsze odpływając w dal pod wirującymi rotorami.